

DZIENNIK

MAŁGORZATKI

przez

PANNE V. MONNIOT

przekład z Francuzkiego

F. B.

TOM I.

(W DANE DRUGIE.)

Nakładem i drukiem Władysława Golskiego.

W WARSZAWIE.

1879.

12019 MKD

100

DZIENNIK
MAŁGORZATKI.

Bela Ponaszynska

DZIENNIK MAŁGORZATKI

PRZEZ

pannę V. Monriot

przekład z francuzkiego

F. B.

WYDANIE DRUGIE

Tom I.

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM WŁADYSŁAWA PĘBSKIEGO.

Ulica Senatorska Nr. 20, wprost kościoła św. Antoniego.

—
1879.

L2JK 1-61

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Августа 1878 г.



82/89-93

399902/
92

2/352/92

SZANOWNÉJ LAURZE GUÉRIN

PRZEŁOŻONÉJ PENSJI WYŻSZÉJ ŻEŃSKIÉJ
W DOWÓD NAJGŁĘBSZEGO SZACUNKU I PRZYWIĄZANIA,
ORAZ NIGDY NIEWYGASŁÉJ WDZIĘCZNOŚCI
PRACĘ SWOJĄ POŚWIĘCA

BYŁA UCZENNICA

F. B.

DO DZIECI Z WYSPY BOURBON.

Kochane dzieci tego kraju, który stał się moim na mocy świętych praw wdzięczności i miłości; kraju, gdzie na łonie najdroższej rodziny przebyłam, najpiękniejsze, najśłodsze lata życia; kraju, gdzie wolno mi w piękném gronie starszych sióstr waszych liczyć tyle wiernych przyjaciółek, tyle towarzyszek młodości, razem ze mną wychowanych przez mą najukochańszą matkę; — dzieci tego kraju przyjmijcie jako słabą oznakę głębokiego i tkliwego o was wspomnienia stosowną pracę, którą wam poświęcam. Prosta i naiwna historya codziennego życia opisana przez dziewczę dziesięcioletnie nie przedstawi wam przed oczy ważnych wypadków, ani nadzwyczajnych, mniej lub więcej prawdopodobnych wydarzeń, których żywa, wiekowi waszemu

właściwa wyobraźnia poszukiwać zwykła, a które znajdują się w większej części książek pisanych dla dzieci i młodzieży. Może też opowiadanie to wyda wam się niedokończonem, ponieważ zawiera tylko przeciąg *lat dwóch*, a i z tych zmuszoną byłam dla skrócenia opuścić dni, a nawet miesiące, nie przedstawiające dla was nic ciekawego.

Mam jednak nadzieję, że pomimo wszystkiego czego brakować mu może, z zajęciem i pobłażaniem przyjmiecie Dziennik Małgorzatki; szczere, z *życia rzeczywistego* zwierzenia, potrafią zawsze znaleźć drogę do serca, a wasze odpowiedzą współczuciem tym wylaniom serca i duszy dziecka wiekiem do was zbliżonego. Jeżeli przywiązał się do niej, jak tego mam nadzieję, radebyście więcej wiedzieć o jej losach, opowiem wam kiedyś chętnie co tylko zdołam dowiedzieć się o niej. W każdym razie dwa lata zajęte przygotowaniem się do pierwszej Komunii zawsze prawie stanowią o całym życiu wewnętrznym, z tego więc czém była Małgorzata w tej ważnej życia epoce, łatwo wam będzie odgadnąć, jaką była później.

Mam przytém drugi jeszcze powód, dla którego wybieram dla was historią tych dwóch lat. Widząc jak Małgorzata przybywa na ziemię waszą, jak razem ze swą przybraną siostrą Maryą Kreolką, żyje, kocha i cierpi pod tem samem co i wy

niebem i tak samo jak wy, — czy mogłybyście pozostać dla nich obojętni? Czyżbyście ich nie przyjęły jak przyjaciółki i siostry i czy nie chciałybyście korzystać z nauk które im były udzielane i z przykładów jakie one wam przedstawia. Przykłady te i nauki przychodzą do was wsparte uznaniem które raczył dać ojciec dusz waszych, pierwszy wasz Pasterz, który dla was Boga Samego zastępuje!

Tak, — moje dzieci, — nie boję się wyznać, że głównym moim celem w ogłoszeniu drukiem dziennika Małgorzatki była praca nad dobrem waszém religijném i moralném. Wolałabym sto razy, aby książka ta po przeczytaniu pierwszych stronnic odrzuconą przez was została, niż gdybyście po przeczytaniu jej nie zaczerpnęły w niej zbawiennych wrażeń. Bóg od każdego z nas zażąda kiedyś rachunku z każdego dobrego słowa, z każdej chrześcijańskiej nauki, która dla duszy naszej bez pożytku zostanie...

Ale wy nie będziecie potrzebowały obawiać się podobnego rachunku, nie prawdaż? Wy wiecie, że prawdy, które dziecię takie jak Małgorzatka zrozumieć mogło i wy także pojąć potraficie; że wszystkie dziewczynki chrześcijańskie mogą podejmować te same usiłowania i ofiary, jakie podejmowały dla odparcia złego, a umiłowania cnoty, dzieci w wieku Małgorzatki i Mani.

Mogą i *powinny*, bo taki jest obowiązek nasz na tym świecie,... obowiązek wszystkim nam wspólny.

Może mi zarzucicie, że mało jest dzieci podobnych do Małgorzatki, mniej jeszcze do Mani podobnych, i że to były wyjątkowe usposobienia? Rzadkie one są wprawdzie, ale istnieją przecież i sama znałam kilka takich dusz wybranych, które już od dzieciństwa wznosiły się po nad poziom ich wiekowi właściwy. Przytém, gdyby dzieci których historią zamierzam wam opowiedzieć nie różniły się niczém od innych, jakież miałabym powód wskazywać je wam jako wzór do naśladowania? Czyż zajęłyby was kartki zapisane przez pierwszą lepszą dziewczynkę, gdybyście nie znalazły w nich jakiegoś powabu dla umysłu, pociągu, który serca porywa i nauki dla dusz waszych zbawiennój?

Przyznaję, że Małgorzatka nie była to zwyczajna dziewczynka, ale zauważcie, że została taką nie tyle dzięki naturze swój hojnie przez Boga obdarzonej, ile dzięki téj pracy starannój z jaką przy pomocy Bożej charakter swój urabiała i rozwijała. Małgorzatka również jak wy miała wady, może nawet większe od waszych, ale dawano jej *wychowanie chrześcijańskie*, a Religia, która ją uczyła przewycięzania siebie, stanowiła siłę najlepszą.

I wy także moje dzieci odbieracie tak samo dobroczynne wychowanie i wam także Religia nie

skąpi podpory, światła i łaski... O! umiejcież z darów jej korzystać, a zapewnicie sobie szczęście na tym i na tamtym świecie, a próby najcięższe złamać was nie zdołają. Bo chociażbyście także powołane zostały do wejścia w młodym już wieku na bolesną drogę łez i cierpień, poznałybyście jednak wkrótce, że Bóg który zasmuca jest także Bogiem pociechy i że najsurowsze przepisy Religii, przepisy mówiące o wyrzeczeniu się, o ofiarach, o Krzyżu, nie są nawet dla dziecka strasznemi, jeżeli to dziecko ma w sercu miłość Boga.

Oby ten Bóg miłosierdzia, który czyni użytecznym na nic nie przydatne narzędzie, oby ten Bóg błogosławił drobnemu ziarnu, które wiatrom niebieskim powierzam, aby je za morza przeniosły; oby to ziarno przyjęło się w sercach waszych jak w ziemi błogosławionój, na którą wzywam boskiej rosy; oby daremnemi nie zostały pobożne moje starania i szczęścia dla was pragnienia.

Szczęśliwa będę, gdy wam dowiodę, że serce moje nie zapomniało na łonie wspólnej matki — ojczyzny, pięknej Francyi naszej tak czule kochanej przez jej dzieci Kolonie zamieszkujące, tej przybranej ojczyzny, téj dalekiej, a drogiej mi wyspy Burbon, której nikt ją znający nie może przestać kochać. Dodam jednak: „Cóż znaczy ojczyzna ziemiska obok ojczyzny niebieskiej, ojczyzny dusz

naszych! Zjednoczeni w téj saméj wierze, ożywieni temi samemi nadziejami i umocnieni tą samą miłością przyrzeknijmy sobie wszyscy święte tam spotkanie.

V. Monriot.



w Lit. W. Walskiewicza w Warszawie.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Małgorzatka we Francyi.

Wtorek, 7 października 18..

Skończyłam dziś lat dziesięć! Mama ucałowała mnie jeszcze serdeczniej jak zwykle. Ojciec dał mi pięciofrankową sztukę złota zupełnie nową! Ucałował mię także serdecznie. Jestem bardzo szczęśliwa. Gustaw i siostrzyczki moje przyszli ze śmiechem uściskać mnie i kłaniali mi się mówiąc, że jestem już dużą osobą, że pewno nigdy już nie będę się im sprzeciwiała. Przecież to zawsze oni pierwsi mi się sprzeciwiają, — to jest Gustaw. Ale nie chciałam gniewać się tak zaraz po uścisku od Mamy i Taty otrzymanym i śmiałam się też, odpowiadając, że istotnie jestem już dużą i spodziewam się, że dzieci a nawet Gustaw szanować mnie będą.

Prawda, dziś zdaje mi się, że większa i dziwne to na mnie sprawia wrażenie; tak mi to od razu przyszło na myśl po rozmowie z Panią. Ona tak ma poważny i łagodny sposób tłumaczenia mi wszystkiego! Opiszę tu naszą rozmowę, bo mi Pani poleciła, abym zawsze miała w pamięci jej dzisiaj słowa. Kiedym poszła powiedzieć jej dziś rano dzień dobry, przytrzymała mnie w swym objęciu i rzekła: — „Skończyłaś już rok dziesiąty Małgosiu! Dawno pragnęłaś doczekać dnia tego; jakież on na tobie sprawia wrażenie?“ — Ponieważ zawsze jej mówię, co myślę, odpowiedziałam natychmiast: — „Ach! taka jestem kontenta! będę miała cały dzień wolny od lekcji. Mama i Pani obiecały mi to, tak się dobrze będę bawiła. A jeszcze dostanę podarunki, wszyscy mi będą wieszowali, to bardzo przyjemnie!“ — „Prawda moje dziecko, odpowiedziała Pani, ale czy to tylko cię zajmuje? Masz dziesięć lat Małgosiu, możesz więc już teraz zrozumieć rozmowę poważniejszą od tych jakie miewaliśmy dotąd.“ — „O! tak Pani, zawołałam.“ — „Słuchaj mnie więc z uwagą: Oto już dziesięć lat jak Bóg ci dał życie, a dziś pozwala ci zacząć rok nowy. Od dzieciństwa obsypana byłaś dobrodziejstwami Jego, opiekował się tobą ciągle, zachował ci Ojca, Matkę, siostry, braci. Otoczył cię czułymi i wiernymi przyjaciółmi!...“ — „A tak, zawołałam, dał mi Panią.

Pani pocałowała mnie, a potem mówiła dalej: — „Tak moje dziecko, dał ci mnie, a ty wiesz jak ja cię kocham. A więc za wszystkie te dary, któremi cię obsypał, za czułość z jaką czuwał nad tobą, dając ci codziennie pokarm ciała i duszy, to jest poży-

wienie dla ciała, a dla duszy pokarm nauki i łaski, za te dary cożes mu oddać? Powiedz Małgosiu, czyś uczyniła cokolwiek dla Niego?“ — Spuściłam głowę i zdaje mi się, że musiałam zaczerwienić się okropnie, ale odpowiedziałam cichutko: — „Byłam jeszcze za małą.“ — Jakże więc będąc tak małą, znalazłaś jednak sposobność obrażania ciężko Pana Boga?“

Czekała odpowiedzi, ale ja nic nie mówiłam. Ona więc ciągnęła dalej: — „Wiesz, Małgosiu, sumienie ci to mówi, że wiele grzeszyłaś. Jesteś za żywa i zbyt często się gniewasz. Bóg ci dał co prawda, dobre serce i dosyć zdolności, do pojęcia tego co słuszne, ale ty najczęściej słuchasz złych podszeptów i prawie zawsze robisz źle zamiast robić dobrze. I dla tego chociaż kochasz szczerze brata Gustawa, jesteś bez ustanku w sprzeczce z nim, i unosisz się tak, że aż się sama potem wstydzisz.“ — „Ale pani wie dobrze, zawołałam, że to on zawsze zaczyna!“ — „Nie, *nie zawsze*, moje dziecko, ale przypuszczając nawet, że to jego wina, dla czegoż masz się stawiać ty także równie winną? Jeżeli on Boga obraża, chcesz i ty Go obrażać? Czy może powiesz, że łagodna Stefunia także ci się sprzeciwia i dokucza ci? Czyż ona nie jest zawsze gotową zrobić to, co się tobie podoba? A jednakże czyż nie ciągle gniewasz się na nią? Czyż nie to samo robisz z Bercią, która ma dopiero cztery lata? Czyż nawet parę razy nie tupiałaś nogą i nie czerwieniłaś się ze złości dla tego, że Bobuś nie przestawał krzyzczeć, gdyś go chciała zabawić? Czyżes wtedy rozsądniejszą była od niego?“ — „Nie Pani, odpowie-

działam bardzo zawstydzona, ale... — „I uważaj, rzekła jeszcze Pani, że ja tu mówię jedynie o głównej twojej wadzie Małgosiu... Ale nie chcę zasnuć cię dzisiaj, dziecię moje, pragnę ci tylko przypomnieć, że to czegoś jeszcze nie dopełniła dotąd, możesz dopełnić na przyszłość, i że teraz jest właśnie chwila powzięcia postanowienia. Trzeba, żeby dzień dzisiejszy zaznaczył się w twym życiu, żebyś Bogu dowiodła wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwa i żalu za popełnione grzechy silnym postanowieniem pracowania nad sobą i poprawienia się. Natychmiast weź się do dzieła, módl się, a Bóg ci pomoże. A teraz idź się bawić, ten dzień do ciebie należy, chociaż, nie zapominaj o tém, że pierwszy jeszcze należy do Boga. Pamiętaj również dziecię moje, że w tym roku zaczniesz uczyć się katechizmu przygotowującego cię do pierwszej Komunii. O moje dziecię! powiedz mi, czyż téj myśli samój nie dosyć, aby cię zachęcić do dobrego?

Cała ta rozmowa wzruszyła mnie bardzo i zaczęłam płakać, jednak czułam się szczęśliwą, bo postanowiłam być dobrą i poprawić się z błędów. Myśl, że przyjmę *pierwszą Komunię*! O! ta mnie najwięcej podniosła.

Ucałowałam Panią i dawszy jej tysiące przyrzeczeń, miałam już odejść, kiedy ona mi rzekła: — „Małgosiu, mam do ciebie prośbę, ponieważ dzień ten jest twoją własnością, od ciebie więc zależeć będzie zadosyć uczynienie mojemu żądaniu; odłóż wszystkie lekcye, a weź swój dziennik i napisz go staranniej jak zwykle. Wszystko co ci powiedziałam, łatwoby się w pamięci zatarło, gdybyś na-

tychmiast tego nie zapisała; potrzebujesz zaś bardzo zatrzymać to wszystko w pamięci. Wiesz ile korzyści i przyjemności przynosi ci dobry zwyczaj spisywania wiernie zdarzeń dnia każdego, lubisz je odczytywać od czasu do czasu, a najwięcej zajmują cię rzeczy poważne. Nie uważaj więc za stracony tego czasu, który poświęcisz opisowi dnia dzisiejszego, i dokonaj tego jak najsumienniej.

Przyrzekłam napisać i myślę, że mi się opis udał, zresztą poproszę Pani, aby odczytała ten dziennik. Trochę to trwało długo, chociaż pisałam jak mogłam najprędzej. Ale teraz idę się bawić. Oby tylko Bóg pozwolił mi nie gniewać się dzisiaj. Słyszę już Gustawa wołającego na mnie, że nie dosć się śpieszę. Wezmę obręcz której mu wczoraj pożyczyć nie chciałam i pozwolę mu zabrać ją na spacer. Ponieważ mam lat dziesięć, powinnam zatem być *uprzejmą*. Pewna jestem, że Pani powiedziała by to samo.

Środa, 8 października.

No, pytam się jak można rachować na dobre postanowienia. Klóciłam się wczoraj z Gustawem, chociaż skończyłam lat dziesięć... Nie było to tak ostro, jak czasem bywa, a przytem nie gniewałam się wcale na Stefkę, ani na Bercię, chociaż źle bawiły się w gąski. A Gustaw gniewał się, one płakały przez niego, ale nie mogę tego opowiadać, bo Pani mówi zawsze, że powinnam pisać dziennik za siebie, a nie za innych. Klóciłam się więc z Gusta-

wem; nie zupełnie moja w tém była wina, ale tak się zniecierpliwiłam, że aż mi potem wstyd było. To jedno trochę mnie pociesza, że się bardzo kłótnią zmartwiłam, a Pani mi powiedziała, że moje lat dziesięć, na to się przynajmniej przydały, aby lepiej dać mi uczuć, jak wielką była moja wina. Bardzo też przepraszałam pana Boga i pocałowałam Gustawa bez urazy.

Co za szkoda, żem się gniewała! Dzień ten byłby tak pięknym! Mama zawiozła nas wszystkich do lasku Bulońskiego, bo czas był łagodny i prześliczny. Potem poszłam z boną do Klary, u której bawiłam się dobrze. Dziś wzięłam się znowu do pracy, chcę być bardzo pilną. W dyktandzie miałam tylko ośm błędów, chociaż było długie i napisałam bardzo dobrze koniugacye. Ćwiczenia gramatyczne nie były bardzo dokładnie zrobione, ale umiałam lekcyę, bom je sobie powtórzyła dziś rano zaraz po ubraniu się.

Czwartek, 9 października.

Nie jestem niekontenta z dnia wczorajszego, bo nie popełniłam wielkich błędów, ale mniejszych było dosyć. Zaczęłam gniewać się na Stefkę, ale gdy spostrzegłam łzy w jej oczach, ustąpiłam jej natychmiast. Bercia tylko dwa razy płakała na mnie, a Mama zauważyła, żem łagodniejsza dla Bobusia. Kochaneczek! tak się śmieje jak aniołek! Gustaw był cały dzień w szkole, bo lekcyę znów się rozpoczęły. Dla tego też nie kłóciliśmy się wcale. Wie-

czorem rozmawiał z Rodzicami o swych naukach, o profesorach, ja szłam przy Pani, a potem jej i Mamie czytałam powiastkę. Zinówiłam pacierz dość uważnie. Uczylałam się pierwszej lekcyi katechizmu, bo za kilka dni zaczną się już nauki księdza. Oddawna umiem już mały katechizm i częśc większego, mimo to bardzo się boję myśli, że mnie pytać będą.

Środa, 15 października.

Wczoraj był to dzień uroczysty... O! jak się bałam! Pani mnie zaprowadziła na katechizm, Mama przyszła tam także, to też podwójnie byłam szczęśliwa! Serce mi biło i bardzo byłam zmieszana gdy trzeba było wejść samęj między inne dzieci. Oglądałam się ciągle po za siebie, aby widzieć gdzie Mama i Pani usiądą i nie spostrzegłam, że jeden z księży daje mi znak, abym się zbliżyła. Widząc że nie uważam, wziął mnie ksiądz łagodnie za rękę i zaprowadził mnie do ławki. Znalazłam się obok dwóch dziewczynek w grubą żałobę ubranych; przykro mi było patrzeć na nie. Starsza była tak blada, tak bardzo zdawała się smutną! Druga była rumiana i nie myślała, jak się zdaje, o żałobie. To też to młodsza! Miałam ochotę przemówić do nich, szczególnie do starszój, dowiedzieć się o ich nazwisku i pilnie słuchałam, gdy ksiądz wyznaczał miejsca. Gdy powiedział Marya i Joanna de Laval, one powstały i udały się ku wskazanej sobie ławce, a ja postanowiłam nie zapomnieć ich nazwiska. Żalowa-

łam, że zostałam z niemi rozdzieloną, ale dobry nasz ksiądz rzekł potem: Małgorzata Guyon!... Wstałam więc prędko i zajęłam dane mi miejsce obok dwóch dziewczynek. Spojrzałam na nie, one się uśmiechnęły. Myślę, że się polubimy.

Nie pytano nas o katechizm, bo dużo czasu zajęło wyznaczanie miejsc. Ale ksiądz Martin, który daje lekcye katechizmu, miał do nas bardzo tkliwą naukę. Mówił nam o ile pamiętam, że weszliśmy niby do przedsionka, zkąd mamy dojść do świętego miejsca, to jest do ołtarza, u stóp którego przyjmujemy pierwszą Komunię. Było to bardzo pięknie powiedziane, ale nie umiem tego dobrze opisać; wiem tylko, że się potem z większą uwagą modliłam, i zdawało mi się, że Bóg nam wszystkim błogosławi. Mania i Joasia wyszły z jakimś starym panem, który się wydaje co najmniej ich dziadkiem, bo brodę i włosy zupełnie ma białe. Podał Mani rękę, a Joasia szła za nimi. Nie wiem dla czego wszyscy na nich patrzyli. Zalecono nam kochać nasze towarzyszek, co do tych dwóch spełnienie rozkazu nie będzie mi trudnem. Nudzi mię to tylko, że Gustaw żartował sobie ze mnie wieczorem, gdy opowiadała wszystko. Pytał mnie, czy dziadek nie jest podobny do *mumii*. Pani nie mogła nie przyznać, że to bardzo brzydko wyrażać się w taki sposób o starcu, a ja powiedziałam, że nie warto uczyć się historii na to tylko, aby z niej czerpać przedmiot do złośliwych porównań. Doprawdy Gustaw jest niedobry. A jednak Pani powiada, że ja nie powinnam tak mówić. Podług mnie za łagodnie połażała Gustawa, ale przecież to go powstrzymało od

dalszych żartów. Z powodu katechizmu nie mogłam zrobić wszystkich lekcyj, nawet trochę się ujęło z rekreacyi, ale dzisiaj to wynagrodzę.

Czwartek, 16 października.

Pracowałam wczoraj pilnie cały dzień; Pani powiedziała to Mamie, która mnie ucałowała. To dziwne, jak ja jestem szczęśliwą, gdy mnie Mama pocałuje w nagrodę. A gdy Ojciec uśmiecha się patrząc na mnie i mówi: „Jesteś dobra dziewczynka!“ to jestem tak z siebie zadowolona, jak gdyby mi Ojciec dał krzyż legii honorowej, taki sam jak ten który nosi na piersiach. Wczoraj wieczorem ubrał się Ojciec w galowy mundur kapitana okrętu, bo szedł do króla. Czułam się dumną patrząc na niego. Chciałabym wiedzieć, czy ojciec Mani i Joasi ma także krzyż legii. Ojciec Klary nie ma go, powiedziała jej to, gdy się chwaliła przedemną, że jej matka bogatsza jest od mojej. Bardzośmy się wtedy pogniwwały, ale już pogodziłyśmy się teraz. Zresztą ja bardzo lubię Klarę, ona taka milutka! A przytém Pani wytłómaczyła mi, że ten rodzaj sprzeczek jest śmiesznym.

Widziałam, że gdy Ojciec odjechał Mama była niezwykle smutna i pytałam co jój jest, ale nic mi nie chciała powiedzieć, a Pani zawołała mnie i kazała mi czytać. Ja się wcale nie smucę gdy widzę Ojca w mundurze! może dla tego była smutna, że nie pojechała z Ojcem do Tuilleries, ale przecież tyle już razy tam była! Zresztą nie chcę dochodzić

dla czego Mama nie była wczoraj w zwykłym usposobieniu, toby było ciekawością. Ale nie lubię widzieć Mamy smutnej, martwi mnie to.

Piątek, 17 Października.

Ojciec wydaje się także stroskanym od dwóch dni, to też wszyscy nie wiedzieć dla czego jesteśmy smutni. Mama z Panią odbywają ciągle ważne narady, i lekcye moje zostały nawet przerywane; coś w tém nadzwyczajnego. Cóż to się dziać może? Klara przysłała wczoraj do mnie, pozwolono mi z nią i z jej boną pójść na spacer. Spotkałyśmy biedną kobietę z trojgiem małych dzieci. Na nie-szczęście nie miałam pieniędzy, ale Klara która miała właśnie kupić ciastek dla siebie i dla mnie, spytała, czy nie zrobiłybyśmy lepiej, oddając te pieniądze biednej kobiecie. Ja jej powiedziałam: — „O daleko lepiej.“ — Widzę teraz, że Klara jest bardzo dobra. Dzieci tak się ucieszyły, że to nam prawdziwą sprawiło radość. Kiedy opowiadałam to przy obiedzie, dobra Berciunia odjęła od ust biszkopcik, żeby go dać biednej kobiecie, o której nie wiemy, gdzie mieszka; a Stefka przyniosła cztery grosze, cały swój majątek i oddała je Pani dla biednych. Gustaw żartował, ale i on także jest hojny, bo rozdaje wszystko, co ma i często jest zmuszony pożyczać odemnie, co mi wcale nie jest przyjemnem, bo Gustaw nie zawsze mi oddaje.



*Dzieci tak się ucieszyły że to nam prawdziwą
sprawilo radość...*

Sobota, 18 października.

Otóż się wyjaśniło dla czego Rodzice i Pani tyle z sobą mówili. Nie mogę wyjść z podziwu; nigdy dotąd nie było w mém życiu wypadku, a to co się teraz dzieje, może się nazywać wypadkiem i to ważnym bardzo. Ojciec mianowany jest *Gubernatorem Pondichery* w Indjach, a ponieważ musi tam pozostać lat kilka, przeto i my z nim *pojedziemy*. Co za szczęście!... Nigdy nie przypuszczałam, że poznam Indye inaczej jak w geografii i dziwną mi się wydaje myśl, że zobaczę ten kraj, że ja, ja, Małgorzatka pojedę do Azji. A przytém Gubernator... to wielki tytuł! Gustaw mówi, że on tam znaczy to samo, co tytuł *króla*. Zabawnie to zostać odrazu córką *prawie króla*. O! będę często prosiła Ojca o łaski. A nie zdaje mi się, aby miał być bardzo surowym.

Co pomyśli o tém Klara? Ale dla czego Mama płacze? Ja jestem w zachwycie. Gdybym widziała Ojca odjeżdżającego bez nas, tak jak dawniej bywało, płakałabym i ja także, ale kiedy Mama z nim jedzie i nas z sobą zabiera, to się tylko zwać może przyjemnością. Podróżować z Ojcem przez sześć może miesięcy i do tego na morzu — na morzu, które taką miałam ochotę poznać! Widzieć inne kraje, inne drzewa, inne owoce, i Kreolów i murzynów w wielkiej ilości. Ja, która tylko u pani Baldi widziałam jednego murzyna! Ledwo nie oszaleję z radości i bardzo lubię ważne takie wypadki. Gustaw myśli tak samo, na tę chwilę jesteśmy w zgodzie i rozmawiamy o naszych zamiarach. Pani ma twarz poważną; przecież podróż nie może dodawać

powagi? Ach! mój Boże, gdyby Pani nie miała jechać z nami! Nie pytałam jej o to, ale to niepodobna, czyż ona mogłaby się rozłączyć z nami, a my z nią? Jednak nie jest ona zmuszoną towarzyszyć nam, tak jak ja, która jadę z Ojcem i z Mamą. Pójdę pomówić z nią o tém.

Nie mam nic więcej do zapisania w dzienniku, gdyż wczoraj nie prawie nie pracowałam. Cały dom był w nieładzie, a Mama zabrała Panią do siebie na większą część dnia; i dzisiaj jest to samo.

Niedziela, 19 października.

Bardzo płakałam wczoraj. Byłam u Pani, aby zapytać ją, czy z nami pojedzie, ale tak się bałam, by nie powiedziała *nie*, żem tylko patrzyła na nią, nic nie mówiąc, potem uciekłam do pokoju Mamy, która dla bólu głowy leżała na kanapie, i tam miałam z Mamą bardzo długą rozmowę. Jaka Mama dobra! Rozmawiała ze mną, — sama to powiedziała, — jak gdybym miała *lat piętnaście*. Opiszę wszystko, jeśli potrafię; bo jak będę miała naprawdę lat piętnaście, przyjemnie mi będzie doświadczyć, jakie to na mnie wtedy sprawi wrażenie. Najprzód, znalazła Mama, że jakoś inaczej wyglądam, bo natychmiast spytała, co mi jest? Zaczęłam płakać, a ona przyciągnęła mnie do siebie, mówiąc, że ją bardziej przez to głowa bolć będzie. Staralam się łzy powstrzymać i szepnęłam jej cichutko do ucha: — „Czy panna Valmy pojedzie z nami?“ — Mama się uśmiechnęła i odpowiedziała, całując mnie: — Bez wąpie-

nia. Więc to było przyczyną tego wielkiego smutku? — Tak Mamo, bo już teraz tylko się cieszę. — No, moje dziecko, odrzekła Mama, możesz się uspokoić. Ty wiesz, ilebym cierpiała, gdyby mi przyszło rozstać się z Karoliną, którą kocham od dziecka, ponieważ jak ci to już nieraz opowiadałam, byłyśmy koleżankami na pensyi i przyjaciółkami od serca, chociaż ona młodsza jest odemnie. Ja byłam szczęśliwszą od niej, bo ona po śmierci rodziców straciła majątek i została zmuszoną pracować na siebie. Weszła najpierw jako nauczycielka do domu, gdzie nie umiano jej ocenić i nie pozwolono jej zrobić dla dzieci tyle dobrego ile pragnęła. Ale wkrótce potem Ojciec twój wyjeżdżając w daleką podróż i widząc mnie smutną i opuszczoną, uległ moym prośbom i pozwolił mi powołać do siebie Karolinę, aby się stała moją towarzyszką i drugą matką mych dzieci. Przypominasz sobie Małgosiu, jak byliśmy odtąd szczęśliwi! Karolina równie nas kocha jak my ją, a ponieważ nie jej nie zatrzymuje we Francyi, pojedzie więc z nami wszędzie. Pomiń gorącej chęci towarzyszenia mężowi, myślę że nie widziałabyś mnie tak odważną, gdyby ona miała nie jechać z nami... — „Jednak Mamo, jesteś tak smutna, dla czego? Widzi Mama, że ja jestem już teraz wesół, gdy mię Mama uspokoiła! — Tyś dziecko, Małgosiu i nie możesz jeszcze zrozumieć wszystkiego co umysł i serce matki niepokoi w chwili tak ważnej zmiany. Jednakże największy mój smutek stałby się także twoim, gdybyś jego przyczynę wiedziała. — O Mamo! przerażasz mnie! Tak jesteś wzruszoną! Ależ Mama zapomina, że ja mam lat

dziesięć i ma mnie za dziecko? Ja już mam lat dziesięć i dni dwanaście. — Mama smutnie się uśmiechnęła i rzekła: — „Nie, ja nie zapominam moje dziecko i aby ci tego dowieść, chcę ci otworzyć me serce i opowiedzieć ci największe moje zmartwienie. Wiesz, że chociaż Gustaw nie zawsze nas zadawalnia swém sprawowaniem, wielką nam jednak sprawia radość swemi postępami w nauce. Nauczyciele unoszą się nad zdolnościami i pilnością jego. Gustaw daleko zajdzie, mówią. A my się z tego cieszymy, bo to nasz najstarszy, ten który kiedyś wami opiekować się powinien. To też, gdybyśmy teraz przerwali jego nauki, wielką poniósłby stratę, nie wiemy nawet, czy sam mógłby się uczyć dalej, bo wszyscy Kreoli wysyłają swych synów na naukę do Francji... — To niech Mama weźmie takiego nauczyciela, jakiego ma brat Cesi. — Ojciec nie chce tego i ma słusność, Gustaw potrzebuje emulacji i karności, na którą patrzeć nie miałabym siły. — Mamo, Mamo, cóż mi chcesz powiedzieć?”

Mama wzięła mnie w objęcia, oparła swoją głowę na moją i powiedziała cicho: — „Trzeba go będzie zostawić we Francji.”

Krzyknęłam i wyrwałam się z objęć Mamy, żeby jęj spojrzeć w oczy, płakała. Wtedy i ja zaczęłam płakać, potem krzyczeć: — „Gustaw nie zostanie, ja nie chcę! Mamo powiedz, że nie! On mi się sprzeciwia, to prawda, ale to nic nie szkodzi, wolę, żeby mi się zawsze sprzeciwiał. Biedny Gustaw miałby tu sam zostać, nie widzieć ani Mamy ani Ojca, ani Bobusia, którego tak kocha! Miałby nie odbyć tej pięknej podróży! Mamo, Mamo! proszę cię,

pozволь mu jechać z nami! — „Małgosiu, sprawiasz mi przykrość, wielką przykrość, odrzekła Mama, czyż sądzisz, że ja nie cierpię daleko więcej od ciebie?” Ucałowałam ją i płakałam już ciszej, a Mama rzekła wtenczas: — „Mówię do ciebie, jak gdybyś miała lat piętnaście, a ty zamiast pocieszać matkę, zasmucasz ją.”

Mój Boże, mój Boże! jakaż ja byłam nieszczęśliwa, żem taka niedobra, ja co Mamę tak kocham. Gniewałam się sama na siebie i powiedziałam: — Pozwól mi Mamuniu iść poszukać Pani, ona będzie wiedziała jak cię pocieszyć.” — Ale Mama wstrzymała mnie za rękę: — „Nie, moje dziecko, ja ciebie tylko pragnę; matka która cierpi z powodu jednego dziecka, tylko przez drugie może być pocieszona.” Te słowa mnie uderzyły. To więc do mnie należy pocieszać Mamę po Gustawie. Biedny Gustaw! Wolałabym, żeby on razem ze mną Mamę pocieszał. Ale gdyby on był z nami nikt nie potrzebowałby pociechy i wszystko byłoby dobrze. Ach! co za nieszczęście!

Ale wracam do Mamy. Była tak bladą, patrzyła na mnie z taką boleścią, że nie wiedziałam co robić, tak byłam także zmartwiona. Siadłam obok niej na kanapie, ucałowałam ją ze sto razy, a potem powiedziałam: — „Ale Mamuniu kochana, masz jeszcze więcej dzieci! Masz mnie, Stefkę, Bercię i Bobusia! A zostawiasz tylko jedno! I my będziemy ci służyć, to jest Bobus jeszcze teraz nie może, ale później. — Ach! moje dziecię, zawołała Mama, nie wiesz jak ja się o was obawiam! Ta podróż! ten klimat gorący! mój Boże...”

Skończyła szeptem do modlitwy podobnym. Ja doprawdy miałam ochotę iść po Panią. Jednak rzekłam znowu: — „Bądź pewną Mamuniu, że jesteśmy zupełnie zdrowe, patrz jak utylam w tym roku. I ja lubię gorąco, i Bobuś także, bo się zawsze śmieje, gdy widzi słońce. Co do Stefki i Berci te nigdy nie chorują. Gustaw tylko nas niepokoi, ale on będzie pisywał, że ja też o tém nie pomyślałam! — I ja będę do niego pisywała, co za szczęście! I Mamusia też będzie rada, gdy odbierze listy. To będzie święto takie same jak było wtedy, gdy przychodziły z Kajenny albo z Gwadelupy listy od Ojca, albo jak wtedy gdy przychodzą wiadomości od Wujaszka Henryka, który jest w Rio-Janeiro. — Tak moje kochanie, ale go nie będziemy widywali. A gdyby zachorował? — Czyż dobry Bóg nie będzie z Gustawem, również jak i z nami? Pani mi zawsze mówi, że On jest Ojcem nas wszystkich, a czyby się Mama obawiała zostawić Gustawa z Ojcem. I Ojciec przecie nie może od niego odwrócić choroby, a Bóg ma tę moc! A my Go tak będziemy prosiły... Słuchaj Mamuniu kochana, zamiast tak we dwie płakać, zmówmy paciorek i powiedzmy Panu Bogu, że Jemu polecamy Gustawa. Ty wiesz Mamo, jak mi co powierzysz, jakie ja mam o tém staranie, a Pan Bóg jest daleko lepszym odemnie.

Mama uklękła i modliłyśmy się razem. Potém przestała płakać i powiedziała, ściskając mię: — Bóg cię natchnął kochana kaznodziejko, rzeczywiście ulgę mi przyniosłaś... — No, to Mamuniu, jak tylko będziesz smutna, zawołaj mnie, żebyśmy się razem

pomodliły. Taka będę szczęśliwa, jeśli Mamę pocieszyć potrafię.“

Mama całowała mnie długo, potém odesłała mię do Pani, mówiąc, że spróbuje zasnąć. Cały dzień nie bawiłam się wczoraj. Wieczorem miałam ochotę płakać patrząc na Gustawa, przed którym trzeba jeszcze ukrywać prawdę, ale zdaje mi się, że on się już zaczyna domyslać. Szczęście, że dzisiaj mam czas napisać ten długi dziennik, bo to niedziela. Byłam rano na Mszy; dziwna rzecz jak w smutku daleko lepiej modlić się można.

Środa, 22 października.

Wczoraj Pani zaprowadziła mnie na katechizm. Z przyjemnością ujrzałam znowu Manię i Joasię de Laval; ukłoniły mi się. Tym razem nie pytano jeszcze o katechizm, zadano nam tylko lekcję, której się mamy nauczyć. Nie gniewałam się o to, bo chociaż powtórzyłam pierwszy rozdział, nie umiałam go jednak dobrze z powodu wszystkich wzruszeń.

Jaką piękną naukę miał do nas ksiądz Martin, kiedy mówił o matkach, które dostąpią tego szczęścia, że doprowadzą swe dzieci do pierwszej Komunii, Mania zalała się łzami, a Joasia szepnęła jęć coś do ucha z bardzo smutną miną. Może one straciły matkę. Mój Boże! to byłoby okropnem! Biedaczki. Nie śmiałam na nie patrzeć, widziałam je jednak z boku i pragnęłam mówić z niemi. Cóżbym jednak im powiedziała? Mnie nikt pocieszyłby nie potrafił, gdybym matkę straciła. Podczas całego ka-

téchizmu siedziały bardzo poważnie, to mi było na rękę, gdyż ja także jestem bardzo poważną, odkąd mam zmartwienie.

Dotąd największy mój smutek, to było stłuczenie woskowej lalki. Ach! pamiętam, jakby to wczoraj było dopiero! Biedna Nina! Posadziłam ją na krzeselku i skakałam w około jak szalona, wtém upadłam sama i ją przewróciłam padając. Ale nie myślałam o sobie tylko o Ninie. Podnoszę ją prędko, a ona zamiast twarzy ma już ogromną dziurę!... Z przestachu stałam, jak mi mówiła bona, z ustami otwartymi szeroko i patrzyłam na lalkę, a potem płakałam, płakałam!... Nigdy tego nie zapomnę i cieszę się, że ten wypadek na pamiątkę w mój dziennik wpisała. Wtedy jeszcze nie pisałam dziennika, byłam za małą, nie miałam jeszcze lat siedmiu, a dopiero od ośmiu lat zaczęłam go pisywać.

Zabawne były początki; pisałam tylko: „wstałam o siódméj, grałam, jedliśmy o wpół do dwunastej śniadanie.“ Albo: „pisałam i czytałam trochę. Byłam na spacerze. Gustaw mnie uderzył,“ albo też: „uderzyłam Gustawa.“ (Bogu dzięki teraz tego nie czynię). W tym pierwszym kajecie nic nie ma pięknego, aż do dnia w którym się pierwszy raz spowiadałam, a nawet i wtedy nie spisałam mych wrażeń. O! tak dobrze przypominam sobie tę spowiedź! Pani wykazała mi wszystkie moje błędy, a tak ich miałam wiele. Po rachunku sumienia nie śmiałam spojrzeć na nikogo i byłabym się bała Pana Boga, gdyby nie Pani, która mi powiedziała, że to byłby jeden grzech więcej i że owszem trzeba prosić o przebaczenie z ufnością. Było mi jednak bardzo

ciężko... A gdy weszłam do konfesyonału, byłam tak zmieszana, że natychmiast wyszła, zapewniając Panią, że nigdy nie potrafię nic wyznać. Przez cały ten czas dobry Proboszcz czekał na mnie nie gniewając się wcale! Pani ośmieliła mnie, prosiłam ją, żeby usiadła blisko na krzesle, a potem wszystko wyznałam. Byłam bardzo kontenta, gdy skończyłam i lżej mi było słuchać księdza, to jest samego Boga, ponieważ On to mówi przez usta kapłana. Dawał mi cudowne rady, byłam trochę lepszą, odchodząc. Od tego czasu za każdym razem, gdy idę do spowiedzi czuję się lepszą i przypominam sobie, co mi Mama opowiadała o jednym chłopczyku, który rzekł do swéj Matki: „Mamo, konfesyonał, to *międnica grzesznika*.“ To wielka prawda, bo tam obmywamy sumienie nasze, szczególnie, gdy dostajemy rozgrzeszenie. Co za szczęście, gdy ta chwila dla mnie nadejdzie!

Piątek, 24 października.

Mam opowiadać straszne rzeczy... Ach! doprawdy mam ochotę gniewać się na siebie, bo jestem zbyt wielką złością. Ale byłby to jeden gniew więcej, a dosyć już tych, jakie były. Wczoraj zawiniłam bardzo. Dnie w których mam więcej jak zwykle czasu przynoszą mi zawsze nieszczęście, a jednakże nie pragnęłabym pracować więcej jak dotąd.

Miałam rano dobrą cenzurkę. Po obiedzie czas był tak piękny, że Mama pozwoliła mi z boną i dziećmi iść na daleki spacer. Wróciliśmy późno i spot-

kałyśmy Gustawa, który we czwartek wraca trochę wcześniej. Otóż on mi się zaczyna sprzeciwiać za to, że skacząc przez sznur w Tuilleries rozdarłam sukienkę. To mię wprawiło w zły humor, bo już i tak ten wypadek był mi przykry. Odpowiadam mu ostro i nawzajem mu się sprzeciwiam, mówiąc, że atramentem splamił koszulę. Kłócimy się, a chociaż nas Józefa przestrzega, nie przestajemy się spierać nawet na schodach. Kiedy ja wchodzę, Gustaw chce mnie wyprzedzić, uwiesiłam się u poręczy, on chcąc mnie ściągnąć, zawadza nogą o moją sukienkę i rozdziera ogromny kawał. Opanował mnie straszny gniew, schwyciłam Gustawa za kamizelkę i chce mu ją rozerwać; on ściska mi rękę, żebym puściła, a ja się nachyliłam i ugryzłam go tak mocno, że aż mu łzy w oczach stanęły, jemu który chce nigdy nie płakać! Puścił mnie nareszcie i poszedł powiedzieć Pani, że jestem zła jak furja. To mię wprowadziło w gniew jeszcze większy, tupałam nogami, krzyczałam, płakałam ze złości. Stefka zaczęła także płakać, a Bercia się rozkrzyczała. To dopiero był hałas! Wszystko mi to było jedno i robiłam swoje, jakbym nie wiedziała, co czynię. Czułam jednakże w sercu, że byłam zła, a tu jakby mię kto podmawiał. To ten zły duch tak nas zawsze kusi, to też nienawidzę go! Mama wracała właśnie i widziała mię w tym stanie. Starła się mnie uspokoić, wreszcie zawołała:—„Jakto, maż to być to samo dziecko, do którego mówiłam jakby do piętnastoletniej panny!“—Ale i to nie pomogło, im więcej się wstydziałam, tém więcej krzyczałam i tém silniej tupałam nogami; bo czułam, że gdy się powstrzymam,

gdy się zastanowię nad sobą, przestraszę się sama siebie.

Wreszcie Pani nadeszła, ach! gdy sobie pomyślę, że ona mię taką widziała! Patrzyła na mnie przez kilka minut, nie nie mówiąc, co mię bardzo wstydzilo. Mama odeszła. Pani przybrała minę zimną i surową, która mi zawsze sprawia przykrość. Rzekła do Gustawa:—„Proszę, idź do swego pokoju.“—Z tego byłam kontenta, bo póki stał Gustaw nade mną, nie mogłam się uspokoić. Potém Pani powiedziała do Józefy:—„Zabierz dzieci, niech nie patrzą dłużej na ten smutny widok.“—Tak mię te słowa uderzyły, żem się na chwilę wstrzymała, ale chciałabym była, żeby mnie znowu kto rozgniewał, bo bałam się uspokoić. Gdyby mnie Pani była łajała, ja byłabym odpowiadała, tak mi się przynajmniej zdaje; ale ona tylko spytała mnie zimno:—„Czy chcesz zostać tu, czy też wolisz pójść do twego pokoju?“—Poszłam za nią w milczeniu, rzucając drzwiami z całej siły. Zaprowadziła mnie do mego pokoju i usiadła tam nie nie mówiąc. Nie wiedziałam co mam robić, zdjęłam kapelusz i cisnęłam go na łóżko, aż spadł na ziemię, kopnęłam go nogą, potém rzuciłam mantylkę na drugi koniec pokoju. Potém wszystkiém stanęłam patrząc niby przez okno, ale widziałam tylko Panią. Nareszcie odezwiała się Pani do mnie:—„Czy przeszedł już napad?—Jaki napad? zawołałam z uniesieniem. — Widać, że się jeszcze nie skończył, odrzekła, zostawiam cię samą, jak przyjdiesz do siebie, zawołaj mnie.“

Odeszła z wolna. Mój dobry anioł mi mówił, że bym pobiegła za nią i przeprosiła ją, ale zbyt by-

łam zawstydzona, a przytém zanadto słuchałam rad szatana, on téż stał się mocniejszym odemnie. Zamknęłam drzwi na klucz, co uczyniwszy, rzuciłam się na dywan i zaczęłam płakać, jak gdyby mi serce pęknać miało. Stefcia przyszła podedrzwi wołając: — „Nie płacz.“ — Ale ja krzyknęłam: — Idź sobie! — I płakałam tak ciągle przynajmniej przez całą godzinę. Wtém usłyszałam że dzwonią na obiad, to mię uspokoiło nagle i zawołałam: — „Mój Boże! a ja nie ubrana!“ — Chciałam prędko zawołać Józefy, ale mi przyszło na myśl: — „Jak tu zejść! Nie będę się śmiała nikomu pokazać. A przytém jeżeli mnie odeszła? Co tu robić? co robić? Tak stałam nie śmiejąc ruszyć się z miejsca. Słyszałam jak Stefka i Bercia schodziły śmiejąc się i śpiewając; Stefcia umilkła przechodząc koło moich drzwi, a gdy Bercia zawołała: — „Czy się już nie złościsz Małgosiu?“ — ona ją przestrzegła, aby dała temu pokój. Odeszły.

Jak zrobić? Oddałabym była wszystkie moje zabawki, a nawet najzabawniejsze książki, aby tylko nie była się stała ta brzydka awantura. Dla czego téż ten niedobry Gustaw sprzeciwiał mi się. Chciałabym była bardzo wiedzieć, czy téż on poszedł do stołu!

Nareszcie usłyszałam, że jeszcze ktoś schodzi i pobiegłam otworzyć drzwi z klucza, była to bowiem Pani. Potém usiadłam sobie w kąci. Na szczęście moje ściemniło się już prawie zupełnie; Pani nie mogła widzieć mojej twarzy. Powiedziała mi Pani: — „Małgosiu siadają do stołu, jeżeli czujesz, że nie jesteś niegodną usiąść razem z nami wszystkimi, możesz zejść, w przeciwnym razie przyniosą ci tu

obiad.“ — Co powiedziawszy odeszła. Zrozumiałam dobrze co mi trzeba czynić i zostałam u siebie. Jakże się wstydziłam, jak Franciszek przyniósł mi światło i obiad. Powiedział mi: — No panno Małgorzato, odwagi! Nie wielka to rzecz te małe gniewy dziecinne, to przejdzie z wiekiem.“ — Tém więcéj czułam się upokorzona i nie odpowiedziałam nic, bo byłabym się znowu gniewała, a nie chciałam już tego. Co to był za smutny wieczór. Stefci tylko pozwolono przyjść mnie pocałować, bo inaczej nie byłaby usnęła. Ale Mama! Ale Pani! nie powiedziały mi dobranoc. To téż spałam źle bardzo. A pacierz! a rachunek sumienia, który mię zmuszał spojrzeć w siebie! Prosiłam Boga o przebaczenie, ale obawiałam się, że mi nie przebaczy. A gdybym téż była umarła téj nocy!...

Dziś rano Pani kazała mi powiedzieć, żebym została w swoim pokoju i *bardzo sumiennie* napisała dziennik, nim ona do mnie przyjdzie. Boję się jęj, a jednak chciałabym, żeby przyszła.

Sobota, 25 października.

Jak to źle, że Pani tyle ufa memu dziennikowi. Od dnia w którym mi powiedziała: — „Małgosiu twój dziennik powinien być podobnym do spowiedzi; powinien być równie szczerym, równie dokładnym, równie dla ciebie świętym. Nie chcę cię zmuszać do pokazywania mi go, oddasz mi go wtedy tylko, gdy sama zechcesz, ale musisz mi przyrzec, że pisać go będziesz tak dokładnie, jakbym miała

czytywać go codziennie.“ — A ponieważ przyrzekłam umieszczać w dzienniku wszystkie możliwe szczegóły o popełnionych przezemnie błędach i o radach jakich mi udzielają, jestem przeto zmuszona pisywać tomy. Pokazuję go zawsze Pani na to, żeby poprawiła to, co o jej naukach napisałam, wielką mi to przynosi korzyść, gdy odczytawszy dzienniczek, jasno zobaczę wady moje. To też starannie opiszę dzień wczorajszy, aby dobrze zapamiętać, co mi Pani mówiła! Ach! tak się gniewać skończywszy lat 10! Całe życie będę się tego wstydziła. Ale trzeba się śpieszyć, bo długie będzie opowiadanie.

Siedziałam wczoraj rano w moim pokoju i pisałam dziennik. Właśnie w chwili gdy obcierała pióro, weszła Pani. Wstałam nie śmiejąc jednak podbieść, by ją uściskać, tak jak to zwykle czynię. Zbliżywszy się ku mnie, zapytała: — „Czy jesteś już dzisiaj dawną Małgosią?“ — Potém wzięwszy mnie za rękę, usiadła i przyciągnęła mnie do siebie. — „Biedne dziecko, rzekła mi, biedna Małgosieczko, jakaś ty nieszczęśliwa!“ — Czułam się nią w samej rzeczy, zaczęłam więc szlochać. Pani mówiła dalej: — „W jednej chwili obaliłaś cały budynek dobrych twych przedsięwzięć. Nie zostało z nich nic, wiatr gniewu rozniósł wszystko! Matka twoja, którą kochasz, Gustaw, z którym wkrótce się rozłączysz... ale nade wszystko Bóg, którego gotujesz się przyjąć w pierwszej Komunii. Nic cię wstrzymać nie zdołało. Zasmuciłaś Matkę, rozgniewałaś Gustawa, zgorszyłaś młodsze siostry i służących, mnie zadziwiłaś boleśnie!.. Ach! Małgosiu, wszystko to bardzo jest smutne! Ale co najsmutniejsze, to obraza wyrzą-

dzona Bogu. Jakto! codziennie mu przyrzekasz, że się poprawisz z błędów, że pokonasz przedewszystkiém gwałtowność twoją, a jak ci się tylko kto sprzeciwi, zaraz zapominasz o wszystkiém! Niecierpliwisz się, unosisz, tracisz rozwagę! Bo, — pytam się ciebie Małgosiu, czy była to istota rozumna, ta mała dziewczynka którą wczoraj widziałam, z oczyma zaiskrzonymi, z podniesionemi pięściami, w postawie grożącej, z miną istoty rozumu pozbawionej, której smutne wspomnienie ścigało mnie noc całą? Ach! Małgosiu spuszczaś głowę i płaczesz... Masz słuszość. Ja także moje dziecko płakać chcę nad tobą, gdy pomyślę, jakie będzie twoje życie, jeżeli nie pokonasz gwałtowności twego charakteru?“

Pani miałyby płakać nad złém jak ja dzieckiem! Ach! ona jest za dobra! Ukryłam twarz na jej kolanach i ucałowałam jej rękę. — „Przebacz mi Pani! przebacz, wołałam.“ — „Boga najprzód o przebaczenie prosić potrzeba. Jeżeli, jak widzę, żałujesz, żeś mię zasmuciła, bo wiesz jak cię kocham, jakież głęboki żal czuć musisz względem Boga, który cię kocha sto razy więcej odemnie i dobrodziejstw cię obsypuje?“ — Prosiłam Go o przebaczenie, odpowiedziałam łkając, ale boję się, nie wiem, czy mi przebaczy.“ — Owszem moje dziecko, On ci i tym razem przebaczy, On uczyni to zawsze, bo jest dobrocią samą. Ale czyż możesz nadużywać tego. Korzystasz z darów Jego, ale je przeciw Niemu Samemu obracasz, bo czyż nie On daje ci życie? A z tego życia jak korzystasz Małgosiu?“ — „Pani, jam bardzo zła, wiem o tém, ale dla czegoż Gustaw rozdarł mi sukienkę?“ — „Małgosiu, nie chcę słuchać opowiadania

tęj gorszącej kłótni; nie nie usprawiedliwia gniewu, w jakim cię widziałam. Ale przypuściwszy, że Gustaw zbłądził, jak sam przyznaje, powiedz szczerze, czy cię wina jego uniewinnia?“

Bardzo cichutko odpowiadałam: *nie*, Pani tak dalej mówiła:—„Gdybyś była, jak ci to zawsze zalecam, wesoło przyjęła pierwsze sprzeciwianie się Gustawa, gdybyś mu była odpowiedziała łagodnie, zamiast natychmiast się rozgniewać, ta sprzeczka byłaby została przytłumiona?“—„Prawda, ale ja nie miałam ochoty do śmiechu, rozdarłszy suknię na spacerze.“—„A więc sama wyznajesz; żeś już była w złym humorze, nim Gustaw odezwał się do ciebie? Początek winy nie od niego zatem pochodzi.“—„Przepraszam Panią, gdyby on mi się nie sprzeciwiał, nie byłabym się gniewała.“—„Nie ręczę za to Małgosiu; przypuść, że Stefka nastąpiłaby ci niechcący na suknię, albo Bercia pociągnęłaby cię wśród zabawy, nie byłabyś tak samo w gniew wpadła, poprzednio już czując się źle usposobiona?“—„Może, ale to ten zły duch jest przyczyną wszystkiego złego.“—„Nie, Małgosiu, nie mów tego, często mi powtarzasz to fałszywe rozumowanie. Bardzo byłoby wygodnie popełniać winę za winą i tęp się wymawiać, że zły duch jest wszystkiego sprawcą. Zły duch pobudza nas wprawdzie do złego i dla tego też zachęcam cię zawsze, abys mu nie ufając, opierała mu się wytrwale. Ale on nie jest twym panem, on bez twego zezwolenia zostać nim nie może.“—„O! Pani! ależ ja nie zezwalam!“—„Słuchaj Małgosiu, Bóg cię stworzył dla nieba, wiesz o tęp, nieprawdaż?—Tak pani. — A jednakże jeżeli źle postę-

pować będziesz, czyliż tam wnijsć zdołasz?—Nie! na nieszczęście.—To tęp gdyby zły duch został twoim panem, zawsze byś już źle pełnić musiała, bo on jest duchem złego. Szczęście niebieskie byłoby już dla ciebie straconém, bo nie skażonego nie wnijdzie do Królestwa niebieskiego? Jakże więc masz pracować, by zasłużyć na szczęście wiekuiste?—A, Pani, Bóg nie chce, ażebym słuchała złego ducha!—Bez wątpienia, dla tego tęp możesz stawieć skuteczny opór temu nieprzyjacielowi, ale musisz własną wolą wybierać pomiędzy złém a dobrém, pomiędzy Bogiem i szatanem. I nie możesz tęp się wymawiać, że zostałas mimowolnie pociągniętą do grzechu. Pojmujesz, że Bóg jest za nadto sprawiedliwym, aby miał ci dawać rozkazy niepodobne do wykonania.—Prawda Pani, ale ja jestem jeszcze za mała dla odparcia złego ducha, nie mam siły oprzeć się radom, które mi daje, bo zawsze wybiera tęp właśnie chwilę, kiedy ja mam ochotę zrobić to do czego on mnie skłonić pragnie, więc źle robi się samo.—A czy myślisz, że Bóg nie zna twojej słabości i nie wie, żeś ty jeszcze mała?—O Pani! przecież On wszystko widzi... — A zatem nie zostawia cię własnym siłom i zawsze jest gotów do dania ci pomocy. Czy nie doznałas już nieraz, jak chętnie przybywał ci z pomocą, skoro Go tylko wezwałaś? Ilekroć powstrzymałas wybuch niecierpliwości, ilekroć uniknęłas sprzeczki, albo spełniłas dobry uczynek, któż cię wtedy oświecał i wzmacniał, jeżeli nie Bóg łaską Swoją?—Tak pani, wiem, że sama z siebie jestem zła. — A więc Małgosiu, gdybyś Go była natychmiast prosiła o pomoc, skoro tylko uczułas popęd

do gniewu, czy byłoby przyszło do tej smutnej sceny? — Już powiem Pani całą prawdę, chociaż się bardzo wstydzę... — Mów drogie dziecko, mów, odrzekła Pani ze słodyczą. — Bóg mi pomagał, choć ja Go o to nie prosiłam, ale ja sama nie chciałam przyjąć pomocy. Wśród uniesienia gniewu, czułam jakiś głos ostrzegający mnie, że źle czynię. To pewno sumienie odzywało się do mnie, jak mi to Pani nieraz mówiła. A ja nie chcąc usłuchać tego głosu, krzyczałam jeszcze głośniej. O! teraz bardzo tego żałuję, bo był to widać głos Samego Boga, względem którego postąpiłam niegodnie. — Niegodnie postąpiłaś i niewdzięcznie, biedne moje dziecko. Bóg dawał ci jeden więcej dowód miłości Swojej a ty jak odpowiedziałaś na niego. — Ależ Pani, to jest okropna rzecz być niewdzięczną! Mój Boże, mój Boże, cóż ja zrobię! tyle mam grzechów!... postąpiłam nieuczciwie, niewdzięcznie i tak się gniewałam. — Co zrobisz powiem ci Małgosiu: błagaj Boga o przebaczenie, wyznaj mu głęboką boleść, jaką ci sprawia myśl, że Go obraziłaś i przyrzeknij Mu poprawę. Nadewszystko staraj się ze wszystkich sił wytrwale naprawiać złe któreś popełniła; bądź odtąd słodką, dobrą, cierpliwą. *Czynami* tylko dowieść możesz Bogu, również jak i nam, że żal twój jest szczery. — Ach! tego tylko pragnę, ale to tak trudno... — Bóg ci pomoże. — I Pani pomoże mi także, nieprawdaż? Powie mi pani zawsze jak mam postępować. — Bez wątpienia... Teraz idź najpierw uściskać dobrą twoją Matkę, którą tak zasmuciłaś, powtórz jej obietnice, jakie mnie czynisz. Potem powiedz dzień dobry Stefce i Berci, staraj się dać im poznać, jak żałujesz,

że dałaś im tak zły przykład. — Ach Pani! — Musisz to zrobić Małgosiu; inaczej dzieci zatrzymają w pamięci tylko złe przez ciebie popełnione, a nie będą widziały żalu za nie i postanowienia poprawy..“

Spuściłam głowę. Pani rzekła jeszcze potem: — „Co do Gustawa, on teraz w szkole, ale dziś wieczorem uściskajcie się oboje serdecznie i przeproście się wzajemnie, on gotów do tego. — I ja także, ale bardzo wstydzę się... — Bardzo to naturalne, moje dziecko, ten wstyd powinien być dla ciebie pierwszą karą, którą musisz przyjąć jako zadość uczynienie za grzechy. — Dobrze, ale niech mnie Pani uściska, ja już pragnę być dobrą! I niech Pani ma już dla mnie takie same spojrzenie jak zwykle. Pani mnie uściaskała i odeszłam trochę pocieszona.

Poszłam najpierw do Mamy, która mi chętnie przebaczyła. Ale sumienie dokucza mi jeszcze. Pani mówi, że to przejdzie, gdy przez jakiś czas będę łagodna; chciałam już doczekać tej chwili. Całując Stefkę i Bercię powiedziałam im: — „Byłam wczoraj bardzo niegrzeczna, nie róbcie nigdy tak jak ja“ — Stefcia odparła: — „O nie, za wiele to sprawia wszystkim przykrości.“ — Te słowa były dla mnie jakby pchnięciem sztyletu. Szkaradna Bercia zaczęła się śmiać i krzyżeć, tupiąc nogami: — „Ty tak robiłaś wczoraj!“ — Trudno mi było nie rozgniewać się na nią, ale powstrzymałam się. Boję się, aby ta mała nie była kiedyś podobna do mnie, tak bardzo jest żywa! Stefcia podobna do Mamy, jakie to dla niej szczęście. Gustaw był wczoraj wieczorem bardzo miły i rzekł do mnie: — „Widzisz, oboje byliśmy niegrzeczni, nie martw się więc tak bardzo.“ —

Ja utrzymywałam, że byłam więcj od niego niegrzeczna, bo w tój sprzeczce było z jego strony pół żartu, a ja się naprawdę gniewałam. Bardzo się cieszę że już ten dzień przeminął.

Poniedziałek, 27 października.

Dzień sobotni wcale nie był złym dla mnie. Pani znalazła, że byłam cierpliwszą. Wczoraj w niedzielę byłam na sumie razem z Mamą, z Panią, z Ojcem i Gustawem. Bardzo jestem szczęśliwa, gdy Tata idzie z nami do kościoła. Na nieszczęście nie często się to zdarza; Ojciec tyle ma interesów! Mówią jednak, że niedziela jest *dniem spoczynku, dniem Pańskim*, tak go przynajmniej nazywają. Dla czegoż więc Tata pracuje w tym dniu? Zawsze interesa, zawsze zajęcia. Wczoraj wreszcie poszedł z nami, z czego bardzo byłam kontenta! Sądzę że i Mama także! Powróciwszy ze mszy, bawiłam się z Gustawem i siostrzyczkami. O mało co nie pokłóciłam się z niemi, ale na szczęście dzisiaj właśnie Pani uczyła nas, jak trzeba święcić niedzielę, pomyślałam więc sobie, że kłótnią dnia Pańskiego nie uczę. A potem przypomniałam sobie wszystkie obietnice, jakie Bogu złożyłam. Najwięcej mnie to niecierpliwi, że ile razy powstrzymam się od gniewu, Gustaw zaczyna śmiać się ze mnie i woła: — „Zwyciężyła! zwyciężyła.“ — W samej rzeczy zwyciężam, Pani mi to samo powtarza, ale nie lubię, żeby Gustaw mieszał się do tego. Zrobiliśmy piękny spacer powozem. Wieczorem pokazywałam Berci obrazki.

Zabawna jest mała, śmieszy nas wszystkich swemi uwagami.

Środa, 29 października.

Wczoraj wreszcie pytano nas o katechizm, umiałam go bardzo dobrze, ale mi powiedziano, że za cicho mówię. Gustaw utrzymuje, że to go dziwi, bo w domu zawsze krzyczę, ale jabym chciała widzieć go na mojem miejscu, zmuszonego wydawać jaką lekcję, w obec wszystkich dziewczynek patrzących na mnie. Pewna jestem, że zaczerwieniłby się po uszy. Marya de Laval była drżąca, ale dobrze słysząc było co mówiła. Jaki ona ma głos słodki! przenikał mi do głębi serca. Ach! pewna jestem, że ona się nigdy nie gniewa. Pytano także Joasi, ale zacięła się w samym środku odpowiedzi. A przecież nie jest nieśmiałą, bo patrzy na mnie, jakby mnie znała od lat dwudziestu. Mania próbowała jęj podpowiedzieć, ale nic nie pomogło i Joasia musiała usiąść napowrót. Nie chciałabym być na jęj miejscu, nie śmiałam prawie spojrzeć na nią, ale ona chociaż mocno zarumieniona, śmiała się jednak. O! jabym nie miała ochoty do śmiechu.

Kazano nam zrobić mały wyciąg tym tylko, które chcą zadać sobie tę pracę, ale ja pragnę należeć do chcących i zrobić wyciąg, a przynajmniej spróbuję go zrobić. Pani mi trochę pomoże; na pierwszy raz to pozwolone. Bardzo mnie to ucieszyło, że przy wyjściu rozmawiałyśmy chwil kilka z Manią. Deszcz padał, dobry ich dziadek był z nie-

mi, ale bojąc się ulewy, czekał, czy gdzie nie ujrzy dorożki. Wtedy Pani obiecała mu przysłać jaką. Kłaniał się o! ale się też kłaniał. I nie chciał przyjąć. Tymczasem Mania powiedziała mi nieśmiało: — „Jak ta pani jest dobra! Tak się boję, żeby się dziadzio nie zaziębił! On zawsze z tego choruje.“ — Odpowiedziałam: — „O! tak, Pani jest zawsze bardzo dobra, ale teraz jej dobroć jest zupełnie naturalną.“ — Ona odrzekła: — „Jestem pewna, że panienka równie jesteś dobra i bardzo się cieszę, że obok siebie siedzimy.“ — „I ja się cieszę, odpowiedziałam, ale ja wcale nie jestem dobrą, zaręczam, to panienka....“ — Uśmiechnęła się, ale w tej chwili Pani kiwnęła na mnie i poszłyśmy prędko po dorożkę, którą im posłałyśmy, musieli być kontenci. Pani powiada, że dziadzio i te panienki bardzo jej się podobają; nie na mnie więc jednej sprawiają one takie wrażenie.

Czwartek, 30 października.

Wczoraj wieczorem po lekcjach Pani kazała mi zrobić rachunek sumienia, bo nam wszystkim na katechizm uczęszczającym polecono wypowiadać się z powodu uroczystości Wszystkich Świętych i dnia Zadusznego. Ja muszę opowiedzieć gniew mój! Ale to mi ulgę przyniesie, gby go wyznam. Zdaje mi się, że muszę mieć prawdziwą skruchę, bo tak mi smutno, gdy sobie pomyślę, jak byłam złą, a jak Bóg jest dobry! Pani mi poleciła gorąco prosić Najświętszej Panny i Świętych Pańskich o przy-

czynę za mną; nie zaniedbam uczynić tego. Gustaw przygotowywa się także do Spowiedzi i nie tak mi się już sprzeciwia. Zresztą on dostąpi szczęścia Kommunii, a to go zawsze czyni lepszym. Ach! jakbym chciała być na jego miejscu!

Piątek, 31 października.

Wczoraj po południu byłam u spowiedzi i Bóg wie co Mu przyrzekłam. Tym razem chcę już dotrzymać słowa. Podczas mojej bytności w Kościele, udzielano błogosławieństwo, co mi bardzo było miłym, bo zdawało mi się, że Sam Bóg błogosławi moim postanowieniom, że On sam mówi do mnie: — „Małgosiu widzę cię i przebaczam ci,“ — ze łzami w oczach powiedziałam, że Mu *dziękuję* z całego serca. Nie wiem dla czego Cesia Dufon utrzymuje, że się nudzi w kościele, mnie tak tam dobrze! Może ona nigdy się nie gniewa i nic nie ma do wyznania Bogu. Jednak ma ona inne wady, które znam bardzo dobrze. A przytém Mama jej tak często choruje! Mogłaby o tém mówić Bogu w modlitwie. Ja tyle mam zawsze do powiedzenia Mu, że nie wiem od czego zacząć i zawsze mówię bez ładu, ale Pani mi zaręcza, że to nic nie szkodzi. Najprzód przepraszam Boga za wszystkie moje grzechy, a potem proszę Go, żeby mnie i Gustawa odmienił. Potem modlę się za Bobusia, który bywa czasem chory; za Ojca, szczególnie gdy jest w podróży; za Mamę i za wujaszka Henryka, za wszystkich krewnych i za kochaną Panią. Wreszcie proszę o błogosławieństwo

dla naszego wielkiego zamiaru... Ale, pytałam Mamę kiedy wyjedziemy. Mama mówi, że czas nie jest jeszcze oznaczony i że to dopiero za kilka miesięcy nastąpi. Taka jest smutna gdy mówi o tém, że nie śmiem pytać się o szczegóły. Mnie zawsze martwi myśl o Gustawie, ale już nie tak bardzo jak w pierwszych dniach, bo on który wie o zamiarze Rodziców nie bardzo się nim trapi. A zresztą on taki odważny.

Poniedziałek, 3 listopada.

W sobotę miałam cały dzień wolny z powodu uroczystości Wszystkich Świętych, a że wczoraj była niedziela, dziś więc dopiero obchodzi kościół Dzień Zaduszny. Po mszy i śniadaniu zasiadłam do pracy.

Pani poleciła mi napisać dziennik starannie, témbardziej że w dzień Zaduszny nie wypada być bardzo wesołą, ani się bawić, jeżeli więc zajdzie tego potrzeba, dokończę dziennik w godzinę rekreacji. Onegdaj na mszy myślałam o Świętych, pełniąc w tem polecenie Pani. Co to za szczęście być świętym. Ja się trapię myślą, że chyba do tego nigdy nie dojdę. Pani jednak powiada, że Bóg może uczynić mnie świętą, jeżeli ja sama chciałabym tego być. Przypominałam sobie w kościele wszystkie jej słowa i wyobrażałam sobie, że w niebie jest wielka uroczystość, dużo gości i mnóstwo przesłannego światła. I mówiłam sobie:—„Jak tam musi być pięknie! Radabym to zobaczyć.“ — A ponieważ Święci

są braćmi naszymi, mówiłam więc do nich:—„O moi dobrzy Święci, prosicie Boga, naszego Ojca, aby mi przygotował małe miejsce wśród was.“ — Rozmawiałam z Panią o tém wszystkiém; ona powiada, że święta w niebie w niczym nie są podobne do ziemskich uroczystości. Nie mogę więc wyobrazić ich sobie. Ale mam wielką ochotę je poznać. Cały kościół był dzisiaj przybrany w żałobę, co mi przykre robiło wrażenie. Ksiądz mówił o umarłych i kazał się za nich modlić, bo oni tego potrzebują, a są również jak i Święci braćmi naszymi. Jaka to liczna rodzina! Ja znajduję, że to jest bardzo piękne i wzruszające, jedni są szczęśliwi, drudzy nieszczęśliwi. Szczęśliwi więc proszą za nieszczęśliwymi, a wszyscy się kochają wzajemnie. Wczoraj na przykład Święci prosili Boga o wszystkie łaski dla nas, a dziś na nas przypada kolej, modlić się za dusze w czyszczeniu zostające. Jak tam smutno być musi. Chciałabym bardzo wiedzieć, czy znam kogo z tam będących; na szczęście odkąd podrosłam nie straciłam nikogo oprócz niańki, która była bardzo dobra. To nie przeszkadza jednak, że się co dzień za nią modlę, również jak i za dziadków moich, którzy umarli, gdy jeszcze byłam mała. Mama opłakuje wielu przyjaciół, to też bardzo jest smutna. A Pani! Modliłam się gorąco za jej rodziców, bo mnie o to prosiła. Obie z Mamą komunikowały onegdaj i dzisiaj. Gustaw także przyjmował wczoraj N. Sakrament i przez cały dzień bardzo był dobry. Czułam jakby poszanowanie jakiegoś dla niego; tym sposobem przeżyliśmy dzień szczęśliwie. Ale wieczorem o mały włos nie popsułam wszystkiego,

bo z powodu Pani zniecierpliwiłam się trochę. Bawiłyśmy się właśnie, gdy Stefcia powiada: — „Małgosiu dla czego Pani chodzi do spowiedzi? Czy i ona także grzeszy?”

Trudno mi było na to odpowiedzieć; doprawdy nie mogę odgadnąć, jakie ona grzechy popełnia. Wtedy Gustaw zawołał: — „Jeżeli ty nie wiesz Małgosiu, ja wiem dobrze, o co się Pani oskarża!” — Zaczęło mnie to gniewać, pytam więc: — „O cóż takiego? — Że ciebie nadto psuje. — Ach! zawołałam tego już za wiele. Jak ty możesz powiedzieć, że ona mię psuje? — Czy cię kiedykolwiek łaje? Czy się kiedy gniewała na ciebie, wtedy nawet, gdy się tak złościłaś? — Nie, Gustawie, ale jej spokój sprawia mi większe wrażenie, niż gdyby się na mnie gniewała. — Ale przecież nie ukarała cię, ty się sama skazałaś na to, by podczas obiadu pozostać na górze. — To prawda Gustawie, ona zawsze umie znaleźć sposób trafienia mi do przekonania, a jej łagodna wymówka jest dla mnie daleko większą karą. A zresztą to do ciebie nie należy, po co masz mi przypominać ten dzień szkaradny. Czyś ty także nie był zły, również jak i ja? A jednak poszedłeś na obiad; to ty chyba jesteś psuty. — Gustaw miał już coś odpowiedzieć, ale Bercia zawołała: — „To wcale nie wy, to ja psuta jestem. Wszyscyśmy się z tego śmiać zaczęli i to było prawdziwem dla nas szczęściem.

Wtorek, 4 listopada.

Dziś są imieniny Pani, winszowaliśmy jej wszyscy i modliłam się za nią szczerze, tak szczerze jak ją kocham.

Muszę zapisać dość ważny wypadek w dziejach mojej nauki: wczoraj zaczęłam się uczyć historyi rzymskiej, do czego dawno już miałam ochotę. Jednak i historia grecka jest także bardzo piękna i zajmowała mię bardzo; ale nie żałuję wcale, że ją skończyła, bo Pani powiada, że znowu do niej powrócę i uczyć się będę szczegółów. Lubię szczegóły. Zawsze się o nie pytam; nic niema bardziej zajmującego, jak gdy Pani bez książki opowiadać zacznie. Wyobrażam sobie, że widzę i słyszę tych wielkich Greków mówiących. Czasami, gdy Gustaw jest grzeczny, bawimy się oboje doskonale, przedstawiając wypadki z dawnych czasów i nazywamy to *bawić się w wielkich ludzi*; ale on chce zawsze grać najpiękniejsze role i ja chcę tegoż samego; zawsze więc zabawa kończy się kłótnią. Raz tylko jeden ustąpił mi, ale to było podejście z jego strony. Przysłał abym ja była Temistoklesem, a on Eurybiadesem, a kiedy ja zawołałam: — „*bij ale słuchaj!*“ on odpowiadając: — „*Masz!*“ porządnie mnie uderzył. Ja się rozgniewałam mówiąc, że nie tak było w grze, że Eurybiades podziwiał Temistoklesa, a zatem i on, Gustaw podziwiać mię także powinien, że to niegodnie udawać tylko Greka i że na złość jemu, nie wygram za to bitwy pod Salaminą. Jaka to nudna rzecz te kłótnie, psują całą przyjemność zabawy. To też wolę się bawić ze Stefką i Bercią, one przynajmniej robią zawsze to, co ja chcę.

Wczoraj wieczorem przedstawialiśmy ofiarę Abrahama. Ja byłam patryarchą, a Bercia Izaakkiem. Prześliczna była z pękiem drew, który jój włożyłam na plecy, a który miał przedstawiać drwa ofiary! Kiedy mi mówiła: — „Mój Ojczy,“ dusiłam się od śmiechu, ale udawałam, że łyżę ukrywam. Gdy chciałam zawiązać oczy memu synowi, ona nie pozwałała, bo to jój widać było niemiłym i wołała: — „Nie, Małgosiu, ja chcę patrzeć.“ — A chociaż jój mówiłam: — „Ależ, bądź cicho i daj sobie oczy zawiązać, bo nie będziesz wcale podobną do Izaaka.“ Ona się broniła; ja więc rzekłam: — „No, to cię i tak zabije.“ — Przez cały ten czas Stefka stojąc na krześle czekała, aby przedstawić anioła i w samą porę wstrzymała moją rękę. Na nieszczęście spadła potem z krzesła, co na anioła wcale nie było zgrabnie!

Środa, 5 listopada.

Pani opowiadała mi porwanie Sabine, które mi bardzo zajmowało, bo widziałam obraz przedstawiający to wydarzenie. Brzydko to było ze strony pana Romulusa, że oszukał biednych Sabinów i gwałtem porwał im żony! Pani mówi, że to się działo dla tego, iż zapomniano o Bogu, a Jezus Chrystus jeszcze nie przyszedł był na ziemię. Odpowiedziałam jój: — „Ale jednakże są jeszcze teraz złoźnicy, bo słyszę nieraz, jak Ojciec czyta Mamie w gazetach straszne rzeczy.“ — Pani odparła: — „Na nieszczęście są jeszcze w samą rzecz ludzi źli i zawsze tacy się znajdują, bo nie wszyscy idą chętnie

za głosem sumienia i słuchają przykazań Bożych. Ale przynajmniej ci ludzie źli nie są panami świata i powstrzymują ich jako tako prawa ludzkie oraz opinia publiczna.“ — Wtedy zaczęła mi tłumaczyć, co to jest sprawiedliwość, trybunał, sędziowie, i że występni są teraz zawsze ścigani, poszukiwani i natychmiast sążeni skoro tylko przytrzymanemi zostaną. Mówiła mi także o zmianach, jakie zrobił Chrystyanizm na świecie.

Chciałabym bardzo, żeby Romulusa wsadzono do więzienia za to głównie, że zabił brata swego Remusa. I pomyśleć tu proszę, że Rzymianie częściej oddawali Boską temu okrutnemu królowi. Bardzo się cieszę, że przyszedłam na świat po narodzeniu Chrystusa i że nie uczono mnie czcić jako bożków te szkaradne potwory, które wcale bogami nie były.

Bobuś chorował nam wczoraj, zupełnie osłabł. Mama przez cały dzień nie wychodziła od niego. Ojciec wyjechał do Brestu, Mama więc bardzo smutną była. Ja także jestem smutną, gdy sobie pomyślę, że dobrego Tatusia nie ma z nami, i że go dopiero za jakiś czas zobaczę. Ale sądzę, że ten wyjazd przyspieszy cokolwiek wielką naszą podróż i mimowolnie cieszy mi to. Zresztą ta podróż nie jest jak dawniejsze, kiedy Tata wyjeżdżał czasem na kilka miesięcy.

Umiałam dobrze katechizm, zadawano nam różne pytania, żeby się przekonać czy wszystko rozumiemy, a ponieważ Pani wytłumaczyła mi wszystko, odpowiadałam więc dobrze. Ksiądz Martin powiedział mi, że zrobiony przezemnie wyciąg jest dobry, ale trochę za długi, i że trzeba nauczyć się pisać

treściwie. Prawda, ja wcale tego nie umiem. To też mój dziennik taki długi, długi!... Nic to jednak nie szkodzi nikomu, ponieważ piszę go dla siebie tylko, a lubię odczytywać wszystko. Co mnie drażniło, to że inne dziewczynki na katechizmie będące, śmiały się, słysząc udzieloną mi naganę. Ale ksiądz im powiedział, że taka wada jest dobrą i że chciałby, aby ją wszystkie miały. Wtedy na mnie była kolej śmiać się, ale nie zrobiłam tego.

Jak Mania zdaje się dobrą! Gdy o mnie mówiono, nie oglądała się wcale, tylko potem uśmiechnęła się do mnie, jak gdyby zachęcić mnie chciała. Ale większej jeszcze doznaję przyjemności, gdy spotkam oczy Pani zwrócone na mnie. Patrzy tak samo jak Mama. Bo też ona jest dla mnie drugą Matką.

Piątek, 7 listopada.

Wczorajszy czwartek był dla mnie szczęśliwy. Ach! doprawdy Bóg tak wszystko urządził, bo wiedział dobrze jaką miałam ochotę poznać się z Manią i Joasią i może dla tego na to pozwolił, że od dnia owjej nieszczęsnej kłótni Mama i Pani są więcej ze mnie zadowolone.

Byłam z Panią na Mszy, po której ksiądz błogosławił Najświętszym Sakramentem, a potem zamiast jak zwykle natychmiast wrócić do pracy, zaprowadziła mnie Pani do naszych biednych, dla których w ciągu ostatniego miesiąca zarobiłam dwadzieścia groszy. Mama zawsze dodaje coś do pieniędzy przeznaczonych dla mnie za dobre stopnie, to

też zebrawszy razem pieniądze Gustawa i siostrzycek miałam na raz do dania *pięć franków*. Aż miło!

Wstąpiłyśmy najprzód do księgarza, aby kupić pobożną jedną książkę, którą nam na katechizmie zalecono. I cóż widzę? — Oto Manię i Joasię które wyszedłszy z kościoła poszły kupić tę samą książkę! Zaczzerwieniłam się cała z radości i patrzyłam na nie, nie myśląc już o niczym innym, ale Pani zażądała książek i kazała mi wybierać. Ukłoniłam się obu siostróm, myśląc sobie, że doskonała zdarza się nam sposobność do zabrania znajomości, nie wiedziałam jednak jak zacząć. Wreszcie Pani, która zawsze myśli moje odgaduje, przemówiła pierwsza do Mani i wskazując na mnie, rzekła: — Ta oto mała dziewczynka bardzo jest rada, że spotyka panienkę. — Zapewniam Panią, że i ja także rada jestem temu, odpowiedziała Mania słodkim swym głosem, bo nieraz myślałam jak potrafię podziękować Pani za to, coś dla mojego dziadzi zrobiła. — Pani odpowiedziała, że bardzo jej było przyjemnie oddać tę małą przysługę i zaczęła się rozmowa. Wyszłyśmy razem z księgarni. Na szczęście moje, one szły w tę samą co i my stronę. Były ze starą murzynką, na którą w innym razie byłabym ciekawie patrzyła, ale teraz wołałam patrzeć na Manię. To dziwne! zdaje mi się, że ona robi to, co sama chce, ale pewna jestem że wolności swojej nie nadużywa. Widać, że Joasia we wszystkim słucha siostry, co mnie dziwi, bo Mania jest tak bardzo łagodna.

Pani zaczęła mówić o ich dobrym dziaduniu i dowiedziałyśmy się wkrótce, że Mania i Joasia mają w nim jedyne go opiekuna, gdyż straciły już

ojca i matkę!... Tego się właśnie obawiałam. Biedaczki! Mania powiedziała to w dwóch słowach ze łzami w oczach; widać było, że nie byłaby w stanie dłużej mówić o tak smutnych rzeczach. Ojciec jej umarł, gdy jeszcze była małą, Matka dopiero niedawno; wracała z Kolonii, zkał jako Kreolka była rodem. Nie śmiałam zapytać jak się zowie ta kolonia, ale szczęściem Mania sama powiedziała. Jest to wyspa *Burbon*. Mania ma cerę Kreolki, prędkiej bladą niż ciemną, ale Joasia jest bardzo świeży! Zdaje się, że stary dziadunio jest ojcem ich ojca i że one wychowują się przy nim. Pożegnały nas przed bramą starego i pięknego domu, w którym mieszkają. Bardzo jestem rada, że się o ich mieszkaniu dowiedziałam. Pani sądzi, że będę mogła je widywać. Dla tego też i zaniósłszy nasze pięć franków biednej rodzinie, byłam przez cały dzień szczęśliwsza niż królowa.

Poniedziałek, 10 listopada.

Bobuś bardzo był wczoraj chory; cały dom był bardzo zasmucony! Mama się bała o niego, jak się zdaje, a widząc jej obawę i my przeleliśmy się także. Stefka widząc Mamę płaczącą, wyobraziła sobie, że Bobuś już umiera i tak płakać zaczęła, że się także rozchorowała. Pani zabrała ją do siebie i wytłumaczyła jej, że sprawia Mamie jeszcze więcej zmartwienia swoim płaczem, a nie uzdrowi nim Bobusia; że zamiast płakać trzeba się modlić, że zresztą Bobo nie jest w niebezpieczeństwie, jak się

to Mamie zdaje, bo matki zaraz się niepokoją. Stefka uspokoiła się trochę, ale nie chciała pójść na spacer, i wtedy się dopiero namysliła, gdy Pani jej przyrzekła, że Józefa zaprowadzi ją do kościoła, aby się tam mogła pomodlić i Matce Najświętszej polecić Bobusia. Ja otrzymałam pozwolenie zostania w domu, żeby Pani pomagać w doglądaniu naszego biednego klejnocika. Mama nie przestawała płakać, a nianka musiała ciągle kochanego malca trzymać na ręku. Tak byłam szczęśliwa, że mogłam doglądać Bobusia! to było prawdziwą dla mnie pociechą, ale wolałabym była, by mógł pójść z nami na spacer.

Pani przyłożyła mu synapizma, które doktor przepisał, a potem kładła kataplazmy. Ja przynosiłam wszystko, co było potrzeba i to mi było daleko przyjemniejsze niż największa zabawa. Biedny Bobuś! kładł główkę na ramieniu nianki i skarżył się tak rzewnie, że nam się serce krajało; a przytém patrzył na nas tak smutnie, jakby jaka duża osoba. Łzy miałam w oczach widząc go w tym stanie, ale naśladowałam Panią, która miała dość odwagi, aby przezwyciężyć swój smutek.

Wreszcie o ósmej wieczorem, kiedy doktor przyszedł powtórnie, Bobuś spał już spokojnie. Nikt w pokoju nie śmiał się ruszyć. Już mi nogi podętwiały z siedzenia i mimowolnie zaczynałam także zasypiać. Doktor powiedział, że jest z jego stanu zadowolony. Bobuś obudził się i roześmiał jakby rozumiał o co chodzi. Potem poszedł na ręce do Mamy, tak że nianka mogła trochę wypocząć. Wtedy pozwolono mi pocałować drogą pieczętówkę i ka-

zano mi odejść. Znalazłam Stefcię uradowaną. — „Widzisz Małgosiu, powiedziała, doktor zapewnił nas przechodząc, że Bobo prawie całkiem wyzdrowiał; to dobra Matka Boska cud ten sprawiła.“ — Bercia była także bardzo uszczęśliwiona, również jak Gustaw. Powiedział do mnie: — „Byłaś więc użyta na dozorczynię, co za zaszczyt! Widzę przecie, że i ty przydasz się na coś.“ — Chciał znowu żartować ze mnie, ale mię to nie rozgniewało, bo byłam bardzo szczęśliwa i on także.

Wtorek, 11 listopada.

Bobo ma się daleko lepiej. Dzień wczorajszy przebył szczęśliwie, dziękowaliśmy też wszyscy Bogu i Matce Najświętszej. Szczęściem że Ojciec nie widział tej choroby, i że dowie się o niej wtedy dopiero, gdy dziecko wróci do zdrowia; tak Mama mówi i ja także myślę, że Ojciec trapiłby się bardzo niepokojem. Kiedyż wreszcie Tata powróci? Tak dawno już jak wyjechał. Wszystkim nam brak go bardzo, ale zdaje mi się że Mamie najwięcej. Pracowałam pilnie, Pani była ze mnie zadowolona. Ale strasznych się dowiaduję rzeczy w historii rzymskiej. Jakto! więc biedny Serwiusz Tulliusz został zabitym przez własnego zięcia Lucjusza Tarkwiniusza, a tego złego króla nazwano Tarkwiniuszem Pyszny! A co jeszcze okropniejsze, to że nawet córka nieszczęśliwego króla, niegodna Tulia nie miała litości nad własnym ojcem! Przerażona je-

stem temi okropnościami, bo zaczęłam już trochę lubić Rzymian.

Środa, 12 listopada.

Ledwo nie oszaleję z radości! Mania i Joasia przyjdą do mnie jutro. Oto, jak się to stało: Mama która jest zawsze tak dobra, o niczem mi nie mówiąc, wypytała się najprzód księdza Martin o te dwie siostry. Ksiądz opowiedział jej całą ich historię, która bardzo jest smutna.

Pocziwy dziadunio miał tylko jednego syna, (ten był ojcem Mani i Joasi). Syn ten został marynarzem i okręt jego wysłano do Indyj na wielką wyprawę; w drodze napotkał Anglików, którzy napadli Francuzów. Ci ostatni bronili się dzielnie i Anglicy nie zdołali zdobyć okrętu, chociaż była na nim wielka liczba zabitych i rannych, co było bardzo smutne. Ale podług mnie największym nieszczęściem to było, że młody oficer pan de Laval był ciężiej rannym od innych. Mniemano, że umrze i bardzo go żałowano, bo walczył jak bohater. Wraz z innymi rannymi zostawiono go na wyspie Burbon, żeby się tam leczył. Kreole są tak dobrzy, że chętnie pomagali w doglądaniu chorych, jak gdyby ci biedni ludzie byli ich znajomi i kiedy pan de Laval wyszedł ze szpitala, wszyscy się ubiegali w ofiarowaniu mu wiejskiego mieszkania, gdzie mógłby zupełnie przyjąć do zdrowia. Ale co za nieszczęście, że stracił jedną nogę!... To straszne. Biedna Mania i biedna Joasia! Musi im być bardzo

smutno, gdy sobie wspomną o kalectwie ojca, a jednak taka odwaga jest piękną bardzo rzeczą. Co to za szczęście, że kobiety nie bywają zmuszone bić się; nie mogłabym nigdy chętnie przyzwolić na utratę nogi lub ręki. Zdaje się jednak, że i w takim stanie pociechę znaleźć można, gdyż oto młoda panienka należąca do kreolskiej rodziny, u której bawił pan de Laval, (była to matka Mani i Joasi), tyle uczuła litości i razem uwielbienia dla biednego rannego, że poślubiła go niebawem.

Doniesiono o tém wszystkiém dziadkowi, ale listy nieregularnie wtedy dochodziły, gdyż ciągle toczono wojny na ziemi i na morzu. Jaka to straszna była epoka! Biedny ojciec oplakiwał więc syna, o którym sądził, że nie żyje, bo tyle tylko o nim wiedział, że umierającego zostawiono go na wyspie Burbon. A przecie ten młody pan de Laval nie umarł i został ojcem najprzód małego chłopczyka, potem Mani, a później Joasi. Ale przed czterema właśnie laty, zachorował ciężko i mimo smutku żony i wszelkich jój starań, umarł już na prawdę, wtedy właśnie, gdy odebrano listy od ojca uszczęśliwionego odebraną o synu wiadomością, że zdrów i żyje. Ach! jakże to wszystko smutne! Biedna pani de Laval cierpiała bardzo i przez czas jakiś była niepokieszona. Wreszcie oswoiła się powoli z tą myślą, że nie ma już męża, ale wcale nie chciała wyjść z domu, nie dała się niczém rozerwać, a zdrowie miała bardzo wątłe. Napisano do dziadka o tém wszystkiém, ale otrzymano odpowiedź dopiero w dwa lata, bo tak chorował ze zmartwienia, że myślano, iż już nie wróci do zdrowia. W listach swoich tak

zaklinał panią de Laval, aby przyjechała do niego z wnukami, że nie mogła prośbie jego odmówić. Pisał, że umrze ze zmartwienia, jeżeli ona będzie się woli jego opierała. Nie mogła przecie wyjechać natychmiast i bała się puszczać w drogę sama. Rodzina jój, sądząc, że podróż morska pomoże zdrowiu biednej kobiety, ułatwiła jój wszystko. Przekonano ją wreszcie, że dla edukacyi syna, a nawet dla córek podróż tę odbyć potrzeba. Zeszłego więc roku puściła się w drogę z trojgiem dzieci.

Ale to, co teraz następuje, jest najsmutniejsze: pani de Laval tak była na okręcie cierpiąca, że jój nic wyleczyć nie mogło. Ksiądz mówi, że Mania musiała być aniołem stróżem dla matki, a brat jój okazywał się także bardzo dobrym synem. Mimo ich starań, choroba coraz się wzmacniała i biedna matka umarła w połowie drogi...

Nie wiem jak Mania potrafiła przenieść cios tak straszny! Ach! jeżeli Mama także chorować będzie na morzu! Dotąd nie obawiałam się tego. Mój Boże co tu zrobić? Tak się będę modliła, że Mama zawsze zdrową będzie, a przecież i Mania także musiała się modlić, bo bardzo jest pobożna. Nie śmiem zapytać jój o to, żeby jój nie zrobić przykrości. Wolę już nie myśleć o tém! Ale nie mam siły opisywać śmierci pani de Laval, Mama mówi, że ksiądz nawet płakał opowiadając jój ostatnie chwile, o których szczegóły wie od dziadunia. Dziadek jest niepokieszony, trapi go głównie ta myśl, że on nakłonił do podróży synową i teraz psuje wnuki jak może. Syn uczy się żeby zostać marynarzem, jak był ojciec. Mania i Joasia pobierają nauki w domu pa-

na de Laval. Ksiądz powiada, że są bardzo milutkie, szczególnie Mania i że jej towarzystwo będzie dla mnie korzystnym. Byłam tego pewna! Mama pozwoliła mi też zaprosić je jutro po obiedzie, napisałam więc do Mani listecik, który Pani osądziła godnym posłania. Mania odpisała mi tak ślicznie. Przyjmie moje zaprosiny. O! co za szczęście!

Piątek, 15 listopada.

Pani chce, żebym opisała dzień wczorajszy w miejsce ćwiczenia stylowego. Zazwyczaj dziennik piszę z łatwością, bo nie jest to wcale rzecz trudna, ale nie wiem, czy z tego wyjdzie opowiadanie gładkie i treściwe, bo ja się powtarzam, pisząc te same słowa, co często wracają mi pod pióro i opowiadam znanadto rozwlekle. Nie umiem streszczać jak powiada ksiądz Martin; wreszcie nie umiem nigdy powtórzyć dobrze żadnej rozmowy. Teraz jednak piszę lepiej jak dawniej, tak przynajmniej powiada Pani. Już też jestem starsza, chcę więc, żeby dzisiejsze opowiadanie było lepszym od zwykłego stylu dziennika, chociaż równie naturalnym. Sprobuję i oto już zaczynam:

O dziewiątej poszłam na Mszę z Mamą i z Panią i spostrzegłam Manię i Joasię siedzące pod amboną; udałam że ich nie widzę, bo nie byłoby dobrze dawać im znaki w kościele, a Mania wzięłaby to może za złe. Ale byłam bardzo roztargniona

i teraz gdy się nad tem zastanawiam, widzę, że okazałam się bardzo niewdzięczną; w chwili gdy z łaski Boga miałam mieć tyle przyjemności, nie umiałam myśli podnieść ku Niemu wyłącznie. Na drugi raz nie będę już patrzeć na Manię i na Joasię,—to jest nie będę na nie patrzeć w kościele.

Po lekcjach i po śniadaniu zajęłam się urządzeniem pokoju, w którym się uczymy; Stefcia mi pomagała tak do tego jak również i do urządzenia mego własnego pokoju. Stefcia cieszyła się bardzo, bo jej obiecałam że Joasia będzie się z nią bawiła. Bercia chciała koniecznie mieć wyłącznie dla siebie kogoś do zabawy, ofiarowałam jej na ten użytek starą murzynkę, ale nie chciała jej przyjąć, mówiąc, że się jej będzie bała.

Wreszcie około wpół do drugiej, gdy nie wiedząc co mam robić, zaczynałam się już niecierpliwie i wyglądałam przez okno, ujrzałam dwie panienki idące ze starą murzynką. Prosiłam Pani, żeby była tak dobra i zesła ze mną naprzeciw nich, bo nie śmiałam wyjść sama. Byłam jednak bardzo szczęśliwa. Pani przystała na moją prośbę i niewiem jak się to stało, że dodała także odwagi Mani, która jest również jak ja nieśmiała. Z Joasią łatwiej poszło, z nas trzech, ja byłam najwięcej zakłopotaną, bo czułam, że powinnam robić im honory u siebie. Wzięłam obie panienki pod ręce i prosiłam, żeby poszły ze mną na górę do naszego pokoju. Pani spytała czy murzynka chce zostać, czy też pójdzie do domu; ale zdaje mi się odpowiedziała, że woli odejść, kiedy panie nic od niej nie potrzebują. Dziwny ona ma sposób mówienia, nie

rozumiem i połowy tego co mówi, a to mnie najwięcej bawiło, że i Pani również mało rozumiała. Ale Mania tłumaczyła nam wszystko jakby od niechcienia. Rzekła do staruszki: — „Idź, kiedy chcesz moja pocziwa Barbaro; do widzenia, a doglądaj dobrze dziadunia.“

Stara murzynka odeszła, aż tu w chwili, gdy wchodziliśmy na schody, Bercia, która z góry słyszała i widziała wszystko, woła: — „Małgosiu! Małgosiu, widzisz, że dla mnie nie ma nikogo!“ — Zmieszalam się, doprawdy ta mała jest nieznośna. Przechodząc powiedziałam do niej: — „Będiesz ty cicho?“ — Ale ona uciekając, wołała jeszcze głośnieję: — „A Stefcia nie chce iść do swego gościa!“ — Mania mię zapytała: — „Czy to siostry panienki? O! powiedz im, niech przyjdą nas uściskać. Byłam zmuszona dogonić Bercię i powiedzieć kazanie Stefcie, która nie śmiała się zbliżyć; nie zawsze to wygodnie mieć siostry! Nakoniec udało mi się sprowadzić je; Mania znalazła, że są bardzo milutkie, a Joasia zaczęła się bawić z Bercią, jak gdyby w równym z nią była wieku. Wszystkie trzy poszły potem oglądać obrazki, wtedy Joasia polubiła bardzo Stefcie, bo ta lepiej umiała je objaśniać.

Mania i ja zawiązałyśmy rozmowę. Po pierwszych chwilach zakłopotania, byłam szczęśliwa, że mogłam rozmawiać o wszystkim z Manią; były jednak rzeczy, o które jeszcze nie śmiałam pytać. Najprzód spytała mnie Mania, co mi Bercia mówiła na schodach, trzeba jej to było powtórzyć. Śmiała się z całego serca, a ja byłam z tego, kontenta, bo Mania zawsze tak smutno wygląda! Śmiech jej

sprawił mi taką przyjemność, jak gdyby w pochmurny dzień nagle słońce zaświeciło. Wtedy chcąc ją ubawić zaczęłam jej opowiadać dowcipy Berci, a ona znowu opowiadała mi różne ciekawe szczegóły o Joasi, która jest jeszcze wielkiem dzieckiem, jak mówi Mania i bardzo jest roztrzepana, ale serce ma doskonałe! — „Jestem pewna, że ją panienka pokocha, dodała. — O bezwątpienia, odpowiedziałam, ale nigdy na równi z panienką.“ — Uśmiechnęła się do mnie bardzo słodko.

To dziwne! Mania sama mi powiedziała, że tylko o dwa lata i kilka miesięcy starsza jest odemnie, bo ma półtrzynasta roku, a ja czuję dla niej szacunek nie wiedzieć dla czego i dumna z tego jestem, że Mania rozmawia ze mną i nie uważa mnie za dziecko.

Powiedziałam jej zaledwie połowę tego wszystkiego a ona odparła: — „Nieszczęścia nasze sprawiły, że wydaję się starszą niż jestem, po wszystkim, com przeszła, nie mogę już być dzieckiem. — Tak, wiem wszystko, odrzekłam, o! to okropne!“ — Mania miała łzy w oczach i ja także. Właśnie w tej chwili weszła Mama. Uściskała Manię i rzekła, że choć jej jeszcze nie zna, już ją kocha za wszystko co o niej słyszała. — „A przytém serce mojej Małgosi przemówiło za tobą, skoro tylko zobaczyła cię pierwszy raz.“ — Jaka Mama dobra, że to powiedziała! Mania była bardzo przy Mamie onieśmielona, ale wyraz jej oczu mówił za nią, że znajduje Mamę bardzo dobrą. Mama zostawiła nas same, zalecając, żebyśmy korzystały z tego zbliżenia prosząc Mani, żeby mię zrobiła tak rozsądną,

jak nią jest sama i pocałowała mnie. Po jej odejściu Mania rzekła: — „O jak Mama panienki jest miła, żałuję że nie podziękowałam jej lepiej za jej dobroć dla mnie. Ale ja nigdy nie umiem wyrazić tego co czuję, a potem gdybyś panienka wiedziała!...“ — Wstrzymała się, a ja spytałam: — „Co takiego? ale jeżeli ci to przykrość sprawia, nie mów mi panienka.“ — Mania wahała się przez chwilę, a potem dalej mówiła: — „O gdyby panienka wiedziała, jakie to na mnie sprawia wrażenie, gdy widzę matkę całującą dziecko!“ — Zalała się łzami. Nie wiedziałam co robić; wreszcie uściskałam ją i rzekłam: — „O panno Maryo, nie płacz, proszę! Tak mi to przykro, że panienka jesteś zasmucona, gdy ja chciałam ją zabawić! A ja tak panienkę kocham. I Mama kocha cię także, kiedy sama powiedziała to przed chwilą. Ona panienkę ucałuje równie serdecznie jak i mnie, jeżeli ci to sprawia przyjemność. Mania uspokoiwszy się trochę rzekła: — „Przepraszam panienkę, ale tak jeszcze niedawno ściskałam moją matkę, a odkąd nie mogę tego zrobić czas mi się wydaje tak długi! — To prawda panno Maryo, ale matka twoja jest niezawodnie w niebie, gdzie ją kiedy zobaczysz, a to będzie wielkim szczęściem dla panienki...., Czy mama była podobna do panienki? — Tak, znajdują, że ją bardzo przypominam, Joasia znowu przypomina ojca. — Ach! ojciec panienki miał drewnianą nogę. To bardzo zaszczytne, ale musiało wam być smutno, patrząc na jego kalectwo. — Ojciec już się z niem oswoił, i my także, ale zawsze to smutne. — Wierzę! Jabyśmy chciała, żeby ojciec bił się także, bo jest równie odważny

jak ojciec panienki, jestem tego pewna, ale nade wszystko chciałabym, żeby nogi nie stracił. — Szczęściem, odpowiedziała Mania, nie ma teraz wojen.“

Powiedziałam że bardzo się z tego cieszę, gdyż mamy wkrótce popłynąć do Indyi i że bałabym się bardzo, gdyby nasz okręt został napadnięty, tak jak okręt na którym płynął jej ojciec. Panienka jedzie do Indyj? Pewnie przez Burbon przejeżdżać będzie? — Podobno. — Jaka panienka szczęśliwa, że nasz piękny kraj zobaczy! — Czy tak jest piękny panno Maryo? Czy podobny do Francyi? Bo przecież Francya jest bardzo piękna. — Nie znajduję podobieństwa; podczas podróży mej z Nantes do Paryża widziałam duży kawał kraju, a nie spostrzegłam ani jednego drzewa, ani jednej rośliny z tych jakie na Burbon rosną; tu już inny klimat i zdaje mi się że wszystko musi być również odmienne. — O! panno Maryo, powiedz mi jakie są drzewa, owoce i rośliny w Burbon! — To zajęłoby trochę za wiele czasu, odrzekła Mania z uśmiechem, ale poznasz je panienka sama, zobaczysz jak są piękne i przekonasz się jak dobre mamy owoce. — Czy lepsze od wisien i gruszek? — O! ja lubię daleko lepiej mangi, albo leczyse! — Co za dziwne nazwy! I dużo tam takich? — Mnóstwo; są atty, adwokaty, sapoty, jamalaki, jamrosa, daktyle, papaje, gojawy i wiele jeszcze innych. — O panno Maryo, to bardzo zabawne, ja wszystkie owoce jeść będę. A trzcina cukrowa, czy dobra? — Rzeczywiście bardzo dobra. Spytaj się panienka o to Joasi, gdy byliśmy na wsi, bawiła zawsze długo w odwiedzinach przy stosach trzciny; wchodziła na nie jak prawdziwy kot i zasiadała tam

aby ssać trzcinę, z której doskonale umiała wybierać łaski miękkie. — A panienska nie pomagała jój? Jabym robiła to samo. Słuchaj panno Maryo czy masz jeszcze krewnych na wsi? Daj mi do nich zlecenia, pojedę oddać im twoje listy — Żeby zobaczyć trzcinę? — O! nietylko dla trzciny, ale po to także, żeby mówić im o paniencie. Co za szkoda, że panienska nie jedzie z nami. — Prawda, odparła Mania; mamy tam brata matki naszój, wuja Adryana, którego bardzo kochamy. Ale dziadunio ma tylko nas dwie, a przytém byłoby nam smutno wracać teraz do Burbon!...

Widziałam, że Mania znowu myśli o swój matce, chciałam więc skorzystać ze sposobności i spytać ją o jedną ważną rzecz, o której wiedzieć pragnęłam, rzekłam tedy: — „Jeżeli to paniencie nie sprawi wielkiego smutku, chciałabym, żebyś mi odpowiedziała na jedno pytanie. — Z pewnością odpowiem. — A więc, dodałam, — ale głos mój drżał, — dla czego biedna mama panienski umarła? Czy panienska nie prosiła gorąco Boga o zdrowie dla niój, gdy widziała ją chorą?“

To czegom się obawiała właśnie nastąpiło, Mania zaczęła tak płakać, że mówić nie mogła. Gniewałam się na siebie, żem jój zadała to pytanie, ale rzecz już się stała. Wreszcie Mania rzekła: — „Ja także zadawałam sobie to samo pytanie, bo ja tak się gorąco modliłam. O panno Małgorzato, pomyśl, gdybyś miała chorą matkę cóżbyś zrobiła? — Dogałabym jój i modliłabym się za nią codziennie od rana do nocy... Ale nie chcę o tём myśleć. — A więc i ja tak się modliłam, a nawet więcej, bo przepe-

dzałam całe noce na modlitwie, gdy mi czuwać przy mamie wypadło. — Jakto panienska się nie kładła? Musiałaś być bardzo zmęczona? — Nie czułam tego, ale co mnie najwięcej trapi, to że mimo wszystkich moich modłów mama umarła! Nie śmiem o tём mówić, nigdy nikomu o tём nie wspomniałam, tylko teraz gdy mnie panienska zapytała.... — O panno Maryo jakże zrobić? Ja się spodziewałam, że będę mogła uchronić moją Mamę od choroby na okręcie! Czyż modlitwa na nic się nie przydaje? A jednakże Pani by powiedziała, że to co ja mówię jest złe. Słuchaj panno Maryo, pójdę jój o to zapytać, ona mi zawsze tłómaczy wszystko, czego sama zrozumieć nie mogę. — O nie, panno Małgorzato, nie teraz gdy ja tu jestem. — To się jój potęmi zapytam i drugim razem powiem paniencie. — Tak, gdy będziemy same tak jak dziś. Nie wiem dla czego, zdaje mi się, że z panienką mogę mówić o wszystkiem co mię smuci. — O tём lepiej, to mi taką sprawia przyjemność. — Ale ja panienkę zasmucam, a nie chcę tego. Od czasu jak tu przyszłam, jeszcze się panienska nie bawiła, a pewna jestem, że panienska inaczej robi. — Zapewniam pannę Maryę, że daleko więcej lubię rozmowę od zabawy, spytaj się panienska Gustawa? — To brat panienski nazywa się Gustaw? — Tak, a panienski? — Alberyk. — Co za piękne imię! Czy brat panienski sprzeciwia się jój także? — Czasami, to jest sprzeciwiał mi się często w Burbon; zdaje mi się, że to jest zwyczajem wszystkich braci, ale od śmierci biednej naszój matki Alberyk stał się poważniejszym i zawsze jest dla nas dobrym — No, to ja wolę żeby mi się Gustaw sprzeciwiał. Czy

panienka często widuje brata? — Co dwa tygodnie. Ja Gustawa widzę co dzień i wolę że tak jest. W jakim wieku jest brat panienki Alberyk? — Ma lat szesnaście. — O! jaki duży! Chciałabym go zobaczyć. — Spodziewam się, że go panienka zobaczy, jak przyjdzie do mnie. — Poproszę o to Mamę, ale może to nie będzie miłe dziadziowi? — O! nie, on taki dobry, że rad ze wszystkiego co nas bawi. — A to ja mu się nie podobam, bo wcale nie bawię panienki. — Mania się roześmiała i rzekła: — „kiedy tak, to proszę mnie bawić.“

Przyprowadziłam wtedy małe i zaczęłyśmy się bawić w gąski. Potem poszłyśmy do ogrodu, pokazałam Mani oranżeryę i ptaszki. Zaprowadziłam ją do mego pokoju dzieciennego, jakiś czas byłyśmy u Pani, a potem poszłyśmy się bawić z Bobusiem. To szczególne, malec zaraz Manię polubił tak samo jak ja, a Joasi nie dał się dotknąć. Mania bardzo także pieściła Stefkę i Bercię. Powiedziała mi że Stefka jest bardzo ładna, i że ma piękne i duże oczy, jak u gazeli łagodne. To prawda! Nigdy nie zwróciłam na to uwagi. A więc i Mama jest także bardzo ładna, bo Stefka do niej podobna. Nigdy się nad tem nie zastanowiła, bo Matka jakkolwiek jest zawsze się wydaje śliczna. Ale nie śmiałam mówić o tem do Mani, już i tak bardzo byłam zakłopotaną, kiedy Mama przysłała podczas podwieczorku. Udawałam bardzo zajętą jedzeniem konfitur, żeby Mamie nie przyszła myśl pocałowania mnie, bo bałam się, żeby Mania znowu nie płakała.

Bawiłyśmy się dobrze, Joasia śmieszyła nas swemi żartami. Dziwny ma sposób mówienia, widac

Kreolski, nie zawsze dobrze rozumiem co chce powiedzieć. Szczęściem Mania mówi po francuzku bardzo dobrze, bo rodzice wcześniej ją do tego wprawili.

O szóstej stara Barbara przysłała po swoje panienki; chciałam zatrzymać je na obiad, ale Mania powiedziała, że i tak już zbyt długo zostawiły dziadka samego. Jak ja kocham tę Manię. To dziwne.

Otóż już skończone opowiadanie. Pani znajdzie zapewne, że jest zbyt rozwlekłe, że może wiele rzeczy niepotrzebnie napisałam, że układ zdań jest zły, że niedobrze używam słów i że za często powtarzam: *ja powiedziałam*, albo *ona powiedziała* i t. d. Ale kochana Pani, ręczę, że zrobiłam co tylko mogłam. Kończę teraz, bo bardzo zmęczyłam rękę, chociaż odpoczywałam kilka razy.

Sobota, 15 listopada.

Rozmawiałam dziś rano z Panią o tem co tak nas kłopotuje Manię i mnie. Powiedziała mi, że dobrze robię mówiąc z nią o tem, bo nigdy nie trzeba kryć myśli złych jak ta, którą miałam przedwczoraj: *Ze na nic się nie przyda modlitwa*. Chciałabym przypomnieć sobie wszystko co mi Pani mówiła i dokładnie to powtórzyć Mani jak ją zobaczę. Proszę więc Boga o pomoc, bo to rzecz bardzo ważna.

Najprzód opowiedziałam Pani, jakim sposobem rozmowa zesłała na ten przedmiot, a potem, jak Mania była smutna; zresztą Pani czytała już to wszy-

stko w dzienniku. Odpowiedziała mi: — „Moje dziecię, *modlitwa zawsze się przyda*, nie zapominaj o tém nigdy, czasami wprawdzie Bóg nie daje nam tego co prosimy...“ — Przerwałam jęj wołając: — „A widzi Pani!“

— „Czekaj, odrzekła, nie zawsze daje, ale dla czego? Bo inaczej i lepiej jak my widzi rzeczy. Wiesz zapewne, że my nie tak dobrze, jak On wszystko wiemy? — O zapewne, bo nie możemy odgadnąć jakim sposobem doprowadzić do skutku to co chcemy spełnić, a przytém gdybyśmy nawet wiedzieli, nie mamy po temu możności. — Tak moje dziecię, ale nie to ci chciałam powiedzieć. Chcę ci wytłómaczyć, że z powodu naszej niedostatecznej wiedzy, mylimy się często, nawet w tém, czego najwięcej pragniemy. I tak prosimy naprzykład Boga o rzecz, która nam się wydaje pożyteczną. Bez wątpienia wie On, jak nas wysłuchać, może to uczynić, ale widzi także zakryte przed oczyma naszymi zło z tego następstwa i odmawia nam właśnie dla tego, że pragnie naszego dobra. My, którzy nie przenikamy przyszłości, modlimy się ciągle; ale Bóg zanadto jest dobrym, aby nam miał dać to, co szkodliwem dla nas być może. — Jakże więc poznać, czy to, o co prosimy, jest dobrém lub złém? — Jeżeli prośba nasza ma dobro na celu, Bóg nas wysłucha, jeżeli zło, odmówi. — Pani, ale przecie nie może być nic złego w prośbie o zdrowie Matki?... — Nie, Małgosiu, to jest nietylko obowiązkiem, ale nawet pociechą... — Ale nie ma pociechy, gdy Bóg prośbę odrzuca. — Zaczekaj chwilę. Modlitwa jest obowiązkiem, gdyż Bóg chce, abyśmy Mu jako

dzieci Ojcu przedstawiali wszystkie nasze pragnienia, a pociechę znajdujemy w tej właśnie nadziei, że On wysłucha prośb naszych; przytém mamy jeszcze przekonanie, że uczyniliśmy to, cośmy uczynić byli powinni. Ale nawet gdy Bóg nie daje nam tego o co prosimy, jak to właśnie miało miejsce z Manią, nie wolno nam sarkać przeciwko Niemu, ani wątpić o skuteczności modlitwy. On ją niezawodnie usłyszał i przyjął, wysłuchał ją nawet, chociaż uczynił to w inném tego słowa znaczeniu... I tak o cóż Mania prosiła? Czego pragnęła? Dobra dla swęj matki i szczęścia jęj. Sądziła, że szczęście to na tém zawisło, aby żyła na ziemi ze swemi dziećmi. — Pani, jabym tak samo myślała. — I ja może tak samo, drogie dziecię, ale myśli Boga nie takie są jak nasze, i On który Sam przyszłość przenika, może jedynie wiedzieć, ile oszczędził bólu i cierpień tej biednej Matce, zabierając ją ze świata. — Ale gdyby Bóg chciał, mógłby ją uczynić szczęśliwą. — Moje dziecię, szczęście niebieskie daleko więcej warte, niżeli szczęście doczesne, a gdy Bóg raczył niém obdarzyć matkę Mani, czyż biedne dziecię ma prawo się żalić? Czyż nie prosiła sama o dobro dla swęj matki? Prawda, że dodawała do modlitwy: „Zachowaj mi ją.“ Ale Bóg zachował ją dla nieba. — Coś podobnego i ja jęj mówiłam, ale widzi Pani, Mania modliła się i za siebie także, prosząc o zachowanie życia matki, bo dziecko matki nie mające to rzecz przeciwna naturze. — A któż ci Małgosiu powiedział, że Bóg nie miał na celu szczęścia Mani, dopuszczając na nią to cierpienie?“

Miałam już zawołać: — O! tego już za wiele!... Ale Pani mówiła dalej: — „Tak dziecię moje; bo wszystko w życiu wychodzi z téj zasady: *Jesteśmy stworzeni dla nieba, a nie dla ziemi...* Nie zapominaj tego nigdy Małgosiu, a w nieszczęściach, które Bóg zsyła, odkryjesz zawsze część zamiarów Bożych. Gdybyśmy byli tylko dla ziemi stworzeni, niepodobieństwem by dla nas było przyjąć cierpienia i znosić je. Ale ponieważ czekamy na niebo, pocieszamy się w smutku tą myślą, że później będziemy szczęśliwi i że wszystkie próby nasze zakupują nam przyszłe szczęście, które będzie nieskończonem i które sowiecie nam wynagrodzi największe ofiary. Czy pojmujesz dobrze to rozumowanie Małgosiu? — Bardzo dobrze pojmuję. Dla tego też Pan Jezus powiedział: *Błogosławieni którzy płaczą!* Jak mi to Pani tłómaczyła przy czytaniu Ewangelii. Jednak przykro mi było patrzeć, jak Mania płakała. — Moje dziecię, Mania tracąc Matkę została w młodym wieku pozbawiona jój miłości, jój opieki, jój starań, i widzi przed sobą wielkie do spełnienia obowiązki względem młodszej siostry i starego ojca... — Dziadka, proszę pani. — Tak dziadka. A więc Mania smutkami swego położenia nabyć może istotnych praw do szczęścia daleko większego, jak to, które straciła. Nadejdzie chwila, gdy wszystkie łyzy jój zostaną otarte, gdy zrozumie, że Bóg doświadczając ją zgotował dla niej najslodsze rozkosze. Ale trzeba, żeby najprzód poddała się woli Boga, żeby ją przyjęła chętnem sercem i z odwagą powinności swoje wypełniała. — Dobrze, Pani, ale znajduję, że to trudne dla Mani zadanie, pomyśl Pani, że ona ma

dopiero lat 12! — To prawda; ale czy sądzisz że ją Bóg opuści? Jeżeli to drogie dziecię wzbudza w tobie tak serdeczne współczucie, a nas wszystkich tak bardzo zajmuje, jakież więc uczucia mieć dla niej musi Niebieski jój Ojciec? Czyż On nie ma dla każdego ze swoich dzieci więcej miłości, niż my nawet pojąć możemy? Im więcej Mania jest doświadczaną, tém więcej jest kochaną od Boga; *bo On karze tych których kocha*, — uczyłaś się już tego. Przypomnij sobie historią Józefa, która cię tyle zajmowała; pytałaś mię wtedy także, co zawiniło to biedne dziecię, żeby być tak okrutnie karanem? A jednak czyż Bóg nie okazał Józefowi swój troskliwej opieki? — Ale proszę Pani, Mania przecież nie zostanie ministrem królewskim. — Ona jak się spodziewam zostanie świętą w niebie, czyż to nie więcej warte? — O zapewne. Ale ja wcale nie mam ochoty, żeby ona tam zaraz poszła. — Może zostanie tam dopiero wezwaną po długim upływie czasu, może nawet pierwój od niej tam będziesz. — O! nie, pani, ona daleko jest lepsza odemnie. Ale jak ja potrafię powtórzyć jój to wszystko? Gdyby Pani powiedziała jój sama. — Nie, moje dziecię, trzeba, żeby odpowiedź ta przeszła przez twoje usta, bo tak sobie życzyła Mania. Zresztą, może robi to na niej większe wrażenie, gdy zobaczy, że ty rozumiesz te prawdy, i ona łatwiej je zrozumie. Idź zapisz sobie rozmowę naszą. Bóg dał ci dosyć pamięci, abyś zatrzymać mogła w umysle wszystko, co mówię do ciebie. Tym sposobem nie zapomnisz nic do dnia, gdy będziesz mogła zobaczyć Manię. — Idę już, ale Pani poprawi mój dziennik, nie prawdaż? — Gdy-

bym się bała, że cokolwiek zapomnę, dałabym go Pani przeczytać.

Pani miała mi odpowiedzieć, gdy zawołałam nagle:— „Ależ Pani mówi, że Bóg zsyła próby na tych których kocha, aby sobie cierpieniem zarobili na niebo. Jabym jednak nie chciała, żeby umarła Mama, albo Pani, albo ktoś z rodziny. A przecież i ja pragnę wejść do nieba. — Pojmuję to drogie dziecko, że nikt nie pragnie podobnych prób, byłoby to przeciwne naturze ludzkiej i przeciwne obowiązkom naszym. Prosimy nawet, żeby Bóg odwrócił od nas takie próby, témbardziej, że Bóg w łasce Swojej daje czasem niebo duszy takiej, która żadnem cierpieniem nie zarobiła sobie na nie! Wszystko zależy od Jego woli, z naszej strony potrzeba tylko, abyśmy się poddali objawionej woli Bożej. — Jeżeli kiedy nieszczęścia spadną na mnie, czy Pani nauczy mnie znosić je? Sama nigdy tego zrobić nie potrafię. — Bóg jest zawsze obok nas i pomoc Swoją nam daje, Małgosiu, dobroć Jego Ojcowska stosuje łaski do prób, to jest daje nam codzień tyle siły, ile jęj właśnie potrzeba; nie trapijmy się więc przyszłością, a na teraz zajmijmy się jedynie Manią. Jak widzisz Bóg nie wszystkim dzieciom zsyła taki los jak Mani; musi on być niezwykłym, gdy jęj położenie tak cię uderza. — Prawda, to szczęście, że się to nie często zdarza!... Biedna Mania, co za szkoda że to się jęj właśnie przytrafiło. Ale jednak, gdy pójdzie do nieba, mam nadzieję, że będzie pocieszoną.

Potém opuściłam Panią i poszłam pisać dziennik. Mam wielką ochotę prędko zobaczyć Manię.

Poniedziałek, 17 listopada.

Byłam wczoraj na mszy z Mamą, Panią i Gustawem. Zdaje mi się, że się dość dobrze zachowałam i że starałam się modlić bez roztargnienia. Ale to źle, że zgrzeszyłam jeszcze próżnością, jak owego dnia gdy po raz pierwszy włożyłam moją różową sukienkę. Teraz przyczyną próżności był kapelusz, bo Mama mi kazała zrobić śliczny, nowy, dla zastąpienia letniego który już wypłowił. Taką mi to sprawia radość, gdy kładę co nowego, że chciałabym, aby mnie wszyscy chwalili. Można by powiedzieć, że jestem zadowolona sama z siebie, jakby to moja było zasługą, że mam piękne ubranie! Ale wiem, że to jest śmiesznością i bardzo żałuję, że byłam wczoraj tak próżna.

Ale co mnie najgorzej drażni, to że Gustaw spostrzeże to zawsze i zaraz mi mówi rozmaite rzeczy, które mnie gniewają. I tak idąc do kościoła i wracając do domu co chwila patrzył na mój kapelusz, udając, że go podziwia, a nie podziwiał go wcale! A potém pytał mnie:— „Czy jesteś ze mnie kontenta? Może chcesz, abym wszystkim przechodzącym mówił, że masz nowy kapelusz? Ale twarz twoja sama to mówi, bo takie robisz minki!“ — A gdy się gniewałam, on dodawał:— „Może ci się zdaje, że jeszcze nie dość głośno mówię? Panowie i panie patrzcie, jak moja siostra pięknie ubrana! Patrzcie! podziwiajcie! Ten kapelusik z białego pluszu i te piękne kokardki różowe, czyż nie są zachwycające! Nie uważajcie na zadąsaną minkę, którą zrobiła w tej chwili, przejdzie ona, jak pochwalicie kapelusz!“

Doprawdy trudno było wytrzymać! To też zaczęłam się gniewać na seryo i nie chciałam podać mu ręki. Bałam się okropnie, żeby kto tego nie usłyszał. Zdaje mi się że ten szkaradny Gustaw myślał o moim kapeluszu nawet w kościele i to mi sprawiało nie małe roztargnienie w modlitwie. Gdyby szło tylko o to sprzeciwianie się Gustawa, pocieszyłabym się łatwo, ale co mi najwięcej robi przykrości to, że ja w samą rzecz jestem bardzo rada, gdy kto chwali moje ubranie. Tak samo mnie to cieszy, gdy chwałą moją pamięć, albo jakie odezwanie się moje, albo jakikolwiek mój postęp. A jednak to dziwne, że Pani nie chwali mnie nigdy; ale gdy mi powie: *Dobrze zrobiłaś Małgosiu*, wtedy jestem szczęśliwsza niż po usłyszeniu największych pochwał; wprawdzie inszy czuję rodzaj radości, ale ten właśnie najlepiej lubię. — Bardzo się też Pani wstydzę, ile razy czuję iż byłam próżna, to też nie pokaże jej tego dziennika, ale boję się, czy już nie zauważyła wszystkiego, bo mi się zdaje, że widziałam to w jej twarzy, a to przypuszczenie miesza mnie bardzo.

Środa, 19 listopada.

Wczoraj podczas katechizmu zły duch starał się poddawać mi jeszcze myśli próżne z powodu kapelusza, ale nie zwracałam na to uwagi, bo Pani zawsze mówi, że tak robić najlepiej. Zresztą zostałam upokorzona i to poskromiło moją dumę: mój wyciąg był źle zrobiony. Pani mi to wprawdzie mó-

wiła, ale myślałam, że nie ma racji, bo częściej jestem chwalona niż ganiona. Dostałam *ostatni numer*; nie warto było doprawdy mieć nowy kapelusz, owszem z jego powodu lepiej jeszcze wszyscy mnie widzieć musieli. Wstydziałam się bardzo Mani, bo ona dostała numer pierwszy. Cieszyłam się że go ma, ale jednak bardzo to jest upokarzające. Mania też daleko większa odemnie. Zdaje mi się, że z pomiędzy nas wszystkich na katechizmie ona jest największa. Matka jej chciała, żeby obie siostry razem przystąpiły do pierwszej Komunii, Mania więc czekać musiała, bo Joasia bardzo jeszcze była dziecinna. Przytém Mania przez długi czas była tak delikatna, że matka jej nie chciała ją utrudzać nauką i przygotowaniem. Podróż do Francji opóźniła jeszcze tę ważną chwilę. Dopiero w tym roku obie siostry spodziewają się tego dopełnić. Mania mówi, że Joasia robi co może. Ale mnie to smuci, że ja nie przystąpię do pierwszej Komunii razem z Manią, bo na to trzeba słuchać katechizmu przez dwa lata... a ja dopiero niedawno uczęszczam na ten wykład religii. W Indyach się skończy rok drugi. Chciałabym wiedzieć, czy w tamtych krajach tak samo się wszystko odbywa jak tutaj.

Po katechizmie wyszłam razem z Manią i Joasią i dziadunio ich rozmawiał z Panią; pytał jej czy będę mogła przepędzić po południe z jego wnuczkami i zjeść z nimi obiad w przyszły czwartek. Co za szkoda! Byłabym tak z tego szczęśliwa. Ale Mama zaprosiła już na ten dzień Klarę, nie mogę więc być niegrzeczną. Pani podziękowała uprzejmie i powiedziała, że na inny raz służyć im będę, ale to

opóźnienie wiele sprawiło przykrości tak mnie jak i Mani. A przytém mam jęj jeszcze powtórzyć tę ważną rozmowę, czego nie mogłam zrobić na ulicy; jestem pewna, że Mania bardzo chciałaby wiedzieć odpowiedź Pani, bo ciągle jest równie smutna.

Piątek, 21 listopada.

Mama odebrała wreszcie list od Ojca, który donosi, że powróci w niedzielę. Co za szczęście! wszyscy skakaliśmy z radości, gdyśmy się o tём dowiedzieli; nawet Bobuś śmiał się, gdy mu to powiedziałam. Można było mniemać, że zrozumiał o co chodzi, ale to pewno dla tego, że widział mnie śmiejącą się.

Klara przepędziła ze mną dzień wczorajszy, bawiłyśmy się dobrze, ale nie byłam tak jak zawsze rada jęj odwiedzinom. Znajduje Manię daleko milszą, bo taka naturalna! gdy tymczasem Klara stroi miny; a potём nie mogę z nią rozmawiać, bo się nigdy nie rozumiemy. Ona udaje dorosłą pannę, chociaż tylko o dwa lata starsza odemnie, a taka próżna! Dla tego że jęj ojciec jest deputowanym, ona myśli, że jest wyższą od całego świata. Przecież to nie ona jest deputowaną i nie jęj w tём zasługa, że jęj matka jest bogatą.

Nie lubię jęj matki, ma jeszcze więcej pretensyi od Klary. A przytём w tak dziwny sposób mówi o pannie Lérins! Mama nie tak postępuje z Panią. Pani de Baldi przywiozła Klarę; lardzo byłam kontenta, że zobaczyłam jęj murzynka. Oddała Mamie

wizytę i ja z Klarą byłam w salonie; pani Baldi odchodząc spytała córki: — „O której godzinie chcesz, żebym przysłała po ciebie bonę? — Kiedy Mama zechce, ale może lepiej żeby pani po mnie przyszła i to wcześniej, mogłabym jeszcze pójść na pola Elizejskie. — Zostaawiłam jęj czas wolny do wieczora, ale mniejsza o to, musi wynaléźć sposób powrócenia na czas. — Możeby lepiej było nic nie zmieniać, bo jeszcze zeszłego czwartku mama jęj obiecała czas wolny. — Nie, nie, moje dziecię, nie troszcz się, nie możemy być niewolnikami takich osób; nie prawdaż kochana pani?“ — Ale Mama odpowiedziała bardzo zimno: — To jednak wielkie szczęście módz osłodzić im życie. — O! pani, dodała pani de Baldi, jesteś w położeniu wyjątkowém, pani masz skarb! A potём to pani przyjaciółka z lat dziecinnych! Ale ja nie jestem takiemi względami związana i mówiąc między nami, wolę to.“

Mama nie nie odpowiedziała. Pani de Baldi odeszła, a ja zaczęłam się bawić z Klarą i z dziećmi. Wieczorem byłam bardzo zmęczona, to tём wcześniej spać poszłam.

Poniedziałek, 24 listopada.

Jakże byłam szczęśliwą wczoraj i dziś! Ojciec kochany powrócił... Już tak dawno nie widzieliśmy go! Gdy przybył po obiedzie, ledwośmy go nie uduśili uściskami, ale zdaje mi się, że był z nich kontent. Gustaw był przy nim i pomagał wyjmować pakunki z powozu; Stefka zarzuciła mu na szyję rę-

ce, Bercia jak kot wdrapowała się na niego, a ja ciągnęłam go za ręce, żeby się nachylił i pocałował mnie. Chciał wprawdzie zrobić minę surową, aby nas uspokoić, ale myśmy zbyt byli szczęśliwi, żeby się bać Ojca. Mamie nawet nie zostawiliśmy miejsca obok niego. Nakoniec zaprowadziliśmy go do stołu i tam opowiadał nam swoją podróż, to jest opowiadał na nasze pytania, bo Ojciec nigdy nie mówi dość obszernie. Potem każdemu z nas dał mały podarunek. Gustaw dostał ładną laskę z drzewa, które z dalekich krajów pochodzi, a ja małą szkatułkę zrobioną przez galerników. Nie lubię galerników, ale moja szkatułka jest śliczna. Stefka dostała filiżaneczkę rzezbioną z kokosowego drzewa, a Bercia piękną zabawkę. Bobuś nawet nie został pominięty, dostał cacko z dzwonkami. Mama otrzymała bardzo piękne pudełko ozdobione pysznymi muszlami i Pani dostała także pudełko równie ładne. Wszyscy jesteśmy zadowoleni nawet Józefa, której Ojciec przywiózł koszyczek... Jaki on dobry że tak pamiętał o wszystkich.

Środa, 26 listopada.

Ułożono wczoraj po katechizmie, że pójdę do Mani we Wtorek, ale nie na obiad, bo Mama tego nie chce, Mania prosiła także Stefkę i Bercię; z jednej strony wołałabym to, bo bawiłyby się z Joasią, a ja mogłabym się do woli nagadać z Manią, ale z drugiej strony byłoby trudno doglądać małych, szczególnie Berci, a zawsze na mnie kładą ten

obowiązek. Zresztą nie będę się uskarżała, abym tylko poszła. Biedny Bobuś, on nie pójdzie z nami, bo jeszcze nie chodzi, zaczyna dopiero stawać, gdy go za obie rączki podtrzymują, a czasem nawet nie chce usiąść, taki z tego kontent, że stoi. Ale kiedyż on biegać zacznie?

Miałam wczoraj złe stopnie. Widzę, że od jakiegoś czasu praca nie idzie mi dobrze, a przecież przy końcu tego tygodnia Pani już będzie liczyła stopnie z całego miesiąca. Trzeba bardzo pracować, żeby to wynagrodzić. Dziś rano Pani była więcej zadowolona ze mnie.

Piątek, 28 listopada.

Wielka szkoda, że dzień wczorajszy już minął, ale się pocieszę w żalu, opisując wszystkie jego szczegóły, aby je lepiej zapamiętać.

Najprzód pracowałam dosyć pilnie, za co też dostałam lepsze stopnie. Po śniadaniu Józefa ubrała nas wszystkie trzy, bo Mama pozwoliła Stefce i Berci iść zemną pod warunkiem, że Józefa zostanie tam z nami, co mi bardzo było na rękę również jak i Mani. Mama się bała, żeby małe nie robiły zbyt wiele hałasu dziaduniowi i miała słusność. Pani poszła z nami, żeby nas przedstawić panu de Laval. Bardzo jest miły ten stary dziadunio! Z taką był grzecznością dla Pani, o! ale z bardzo wielką grzecznością, a nawet i dla mnie był grzeczny. Pani mówi, że to *dawna grzeczność francuska*. Widać, że

nowa nie taka grzeczna; szkoda, — bo to ładna rzecz.

Wprowadzono nas do wielkiego salonu, którego meble trochę dziwacznie wyglądają, bo są dawne i zupełnie inne jak meble u Mamy i u pani de Baldi. A przytém dużo jest portretów, a wszystkie osoby tak poubierane jak markizowie i markizy, których można widzieć w karnawale. Dywany i firanki są bardzo spłowiałe; sędzę że Klara śmiała by się z tego, ale we mnie przeciwnie wzbudzało to poszanowanie. Ale największe wrażenie sprawił na mnie widok starego dziadunia z białą brodą, obok tych dwóch wnuczek w żałobie, a między nimi ani ojca ani matki. Na płacz mi się zbierało; Pani czuła to samo.

Pan de Laval dziękował jój nie wiem jak długo za to, że nas przyprowadziła, a gdy Pani mu powiedziała, że Mama się obawia, byśmy go nie zmęczyły, odpowiedział: — „O! nie, pani z pewnością, ja tak jestem szczęśliwy, widząc, że moje wnuczki są kontente! A moja Mania tak już polubiła to piękne dziecko.“ — Mówiąc to patrzył na mnie. Doprawdy za wiele grzeczności mówić, żem piękna, ale zdaje mi się, że się dziadunio myli. Przyniósł dla dzieci cukierków; to też Bercia wieczorem mówiąc o nim zawołała: — „Jaki ładny ten dobry staruszek!“ — Może się pochwalić, że mu dobrego narobiła hałas! Joasia ją jeszcze pobudzała do swawoli, aż biedny dziadunio musiał się zamknąć w swoim pokoju. Mania zaprowadziła mnie do siebie, małe zostawiłyśmy przy Józefie, żeby się bawiły w ja-

dalnym pokoju, który jest bardzo duży i piękny, a meble w nim od starości wydają się czarne.

Oglądałam wszystkie rzeczy Mani. Ma mnóstwo przedmiotów pochodzących z Kolonii; małe namioty z Madagaskaru, kolce sandałowe, piękne ziarnka szare i białe, które się nazywają łzami Joba i które można nawlekać. Dużo mi dała takich. Prócz tego ma plecionki ze słomy, rozmaite przedmioty z kokosu; muszle, korale i t. d. Byłabym przez cały dzień oglądała te wszystkie osobliwości.

Bardzo mi się podobał pokój Mani; jest elegancki a skromny. Takie same jak przy oknie niebieskie firanki osłaniają jój i Joasi łóżka, bo obie siostry śpią obok siebie, a nad łóżkiem wisi krucyfiks Mani, który dostała po matce. Mania ma także piękny obraz Najświętszej Panny. A po każdej stronie kominka wiszą medaliony z włosami; Mania mi powiedziała: — „*To włosy mamy i ojca...*“ — Nie śmiałam patrzeć na nie. Jak to smutno mieć włosy osób, któreśmy tak kochali, a nie widzieć już tych osób! Jednakże przyjemnie mieć chociaż to. Biedna Mania! Włosy ma prawie takie same jak miała jój matka. Rzekła do mnie. — „Pytała mi się panienska przeszłym razem czy podobną jestem do mamy; pokazuje paniencie jój portret, taki, jakbyś ją żywą widziała...“

Otworzyła komódkę i z czerwonego pudelka z cyfrą na wierzchu wyjęła piękną złotą bransoletkę. Na tej bransoletce jest medalion z miniaturą przedstawiającą twarz matki Mani. O! co za piękna osoba! Miała wielkie oczy niezupełnie czarne tylko ciemne i podługne. A rzęsy czarne! Twarz

owalną i bladą, a usta małeńkie czerwone, które się uśmiechały równie łagodnie jak usta Mani. Pię-kne jój włosy tak ładnie odbijają od twarzy, cho-ciaż pleć ma ciemną, matową, jak zdaje mi się na-zywają. Jedném słowem jest śliczna!

Patrzyłam na nią ciągle i myślałam: — „Tak, Mania do niej podobna.“ — I mówiłam sobie: — „Bie-dna Mania, ma tylko ten portret! A kiedy chce matkę ucałować, wtedy martwy portret musi jój się wydawać zimnym i wielki jój smutek spra-wiać...“ — I to mię tak wzruszyło, że aż zaczęłam płakać. Mania się także rozpłakała i rzekła: — „O ja-ka panienka dobra, że płacze ze mną.“ — Nareszcie pomyślałam sobie, że to bardzo źle z mojej strony nie starać się pocieszyć Mani i zaczęłam jój opowia-dać całą moją rozmowę z Panią; na szczęście wszy-stko prawie pamiętałam.

Mania znalazła, że to bardzo piękne i prawdziwe, ale cóżby była powiedziała słysząc te słowa z ust sa-mej Pani; jednakże nie pocieszyła się jeszcze i powta-rzała ciągle: — „Tak rozumiem, ale mi to nie powróci matki...“ — Słuchaj panno Maryo, odparłam, nieszczę-ściem nic nie może powrócić ci jój, choćbyśmy nie-wiem jak płakały obie i rozpaczały, nie dokażemy te-go, aby matka panienki powróciła z nieba, bo to się jeszcze nie zdarzyło nikomu, a płacz nasz przeskod-zi panience do osiągnięcia tej zasługi, o której Pa-ni mówi. A pewna jestem że panienka ma wielką ochotę pójść kiedyś do nieba? — O! tak, zawołała, wielką mam ochotę!... — Widzi panna Marya, że le-piej będzie, gdy się panienka pocieszy, bo Bóg ją nagrodi i ja z tego cieszyć się będę także, szczegó-

niej jeżeli to nastąpi późno, bardzo późno! — Panna Małgorzata ma słusność i bardzo dziękuję, żeś mi powtórzyła słowa panny Valmy; powiedz jój pa-nienka, że będę się starała być rozsądniejszą i lepiej poddawać się woli Bożej.“ — Jednakże Mania była jeszcze potem bardzo smutna, ale ja rozumiem, że smutek nie może tak przejść od razu. Prosiła mnie, żebym się dla niej modliła o łaski, których potrze-buje. Przyrzekłam jój to i była, jak mi się zdaje, kontenta z tej obietnicy, bo stała się trochę wesel-szą. Schowała drogi swój portret i pokazywała mi potem albumy. Jój ojciec rysował bardzo dobrze; widziałam mnóstwo krajobrazów z Burbon robio-nych jego ręką. Rzeczywiście kraj ten bardzo jest piękny. Nie wiem czy w Indyach będzie równie dobrze. Mania długo rozmawiała ze mną o naszej podróży, a potem mówiła mi o Burbon rzeczy bar-dzo zajmujące, ale byłoby za długo wszystko opi-sywać.

Zawołano nas na podwieczorek, stara Barbara przyszła po nas, bo ona zawsze służy małym swym paniom. Mania tak często w opowiadaniach swoich wspominała tę pocziwą murzynkę, że zda-wało mi się, iż ją znam dobrze. Na nieszczęście nie rozumiem dobrze tej mowy kreolskiej i Mania mu-si mi zawsze tłumaczyć, co mię wprawia w kłopot z Joasią. Znalazłam, że Bercia daleko więcej postą-piła w tej umiejętności. Rzecz dziwna! Nie wiem jakim sposobem gadała z Barbarą, jak prawdziwa papuga i bawiąc się ciągnęła ją na wszystkie stro-ny. Barbara śmiała się i widać było wielkie jój bia-łe zęby odbijające od czarnej skóry, co bardzo Ber-

cię bawiło; wołała też do mnie gdy weszłam: — „Malgosiu, dobrześ zrobiła, żeś mi ją dała do zabawy!“ — Barbara była zachwycona. Stefka rozmawiała z Joasią i zdawały się dobrze rozumieć jedna drugą. Kazano nam usiąść przy stole; były ciastka owoce i kwiaty; za piękne dla nas przyjęcie. Jak Mania była u nas, podwieczorek nie był tak piękny; a jednak zdaje mi się, że Mama jest bogatsza od pana de Laval. Kiedy miałyśmy zacząć jeść nadszedł dziadzio i powiedział, że sam chce robić nam honory. Zaczął wtedy rozmaite ceremonie z małemi jak my dziewczętkami, czém tak byłam zmięszana, że nie jeść nie śmiałam. Ale Stefka, a szczególnie Bercia jadły doskonale, potem pan de Laval zaprowadził nas do salonu i kazał ciągnąć losy. Ach! to mnie ubawiło! Wygrałam kilka rzeczy, między innemi pieczętkę, prawdziwe pieścidełko, którą będę pieczętowała listy z Indyi do Gustawa i Mani, bo musiałam jej przyrzec, że pisywać do niej będę. Stefka i Bercia wygrały mnóstwo zabawek. Mania i Joasia nie prawie i oddawały nam i to jeszcze co miały. Co jabym im dać mogła, trzeba będzie poszukać.

O wpół do szóstej powiedziała Józefa, że czas już iść do domu; pokładłyśmy kapelusze i płaszczyki, ale panna Berta grymasiła po swojemu i nie chciała odejść. Ustąpiła wreszcie. Wieczorem zmówiłam modlitwę za Manię, kontenta jestem, że nie zapomniała o tém. Co dzień ją odmawiać będę.

Poniedziałek, 1 grudnia.

Szczęściem, że już zupełnie przyzwyczaiłam się do mego kapelusza, nie byłam więc dumną z niego, idąc wczoraj na Mszę. Miałam wprawdzie nowe buciki, ale tych nie tak widać nie są bardzo ładne, starałam się też nie myśleć o nich. Zresztą nie było Gustawa, Ojciec zabrał go z sobą do Versalu, co nam było przykro, bo wołałybyśmy, żeby obaj poszli z nami na Mszę. Mama powiedziała to Ojcu, który przyrzekł, że pójdzie w przyszłą niedzielę; wtedy Mama pozwoliła iść Gustawowi, ale pierwój musiał pójść rano na cichą Mszę, bo tak Mama chciała. Bardzo nam smutno, że Ojciec nie bywa z nami w kościele, ale przecież bywa czasami, a ojciec Klary nie chodzi tam nigdy, ona mi to sama mówiła. Gdy powiedziałam to Pani, rzekła mi, że nie do nas należy sądzić postępowanie rodziców, że oni mogą mieć swoje powody, których my nie znamy i że powinniśmy tylko modlić się za nich gorąco. O! ja się co rano i co wieczór modlę za mego Ojca równie jak i za Mamę. Myślałam, że bardzo dobrze dzień przepędzę kiedy niema Gustawa, a tymczasem wcale nie! byłam owszem bardzo nie-dobra dla siostrzyczek. Prosiły mnie, bym się z nimi bawiła w gaski, a ja nie chciałam, bo mnie to już nie bawi. Wtedy prosiły, żebyśmy się z nimi bawiła w grę jaką sama chcę. Odpowiedziałam: — Zrobmy loteryę jak u dziadunia Mani.“ — Zgodziły się na to i zapytały co ja dam na loteryę. Powiedziałam, że nie do mnie należy dawać cokolwiek, że one mają pudełko cukierków jeszcze ze chrztu bratcisza Cesi i że te cukierki wziąć trzeba na fanty.

Stefka przystała chętnie, ale Bercia zaczęła krzy-
czeć:— „Ale Małgosiu, to ja nie wygram nic, kiedy
to moje pudelko. Biedactwo, miała słusność; je-
dnak ja nazwałam ją *głupią* i *łakomcem* i chciałam
jój gwałtem zabrać pudelko, żeby przygotować
fanty. Im bardziej mi się opierała, tém ja w wię-
kszy gniew wpadałam. Wreszcie wyrwałam jój pu-
delko, a ponieważ rzuciła się na mnie, by je ode-
brać, uderzyłam ją porządnie. Pożałowałam tego
w téj chwili, jak tylko zobaczyłam, że twarz jój
zaczerwieniła się, ale dla czego téż Bercia zawsze
się unosi jak furja!

Pani wyszła wtedy ze swego pokoju i po-
wiedziała, że powinnam zaprzestać zabawy, kiedy
nie jestem rozsądniejszą od Berci i zabrała nam bi-
lety loteryjne. Stefcia rzekła na to:— „Otóż to tak,
ja nie zrobiłam nic i z waszój przyczyny, jestem tak-
że ukarana.“—A ponieważ złość już mi trochę by-
ła minęła i zrozumiałam, że ja rzeczywiście byłam
winną, widziałam więc, że ja także powinnam wy-
nagrodzić Stefci karę jaką ponosi i powiedziałam:
— „Stefciu idź się pobaw moim wolantem, poży-
czam ci go, kiedy lubisz się nim bawić.“ — Stefcia
bardzo się ucieszyła. Co do Berci, ta zapomniała
o płaczu, jedząc swoje cukierki, a nawet widząc,
żem smutna, włożyła mi jeden w usta. Co za szczę-
ście, że ona ma przynajmniej dobre serce.

Ale ja się nie dałam pocieszyć cukierkami i by-
ło mi bardzo smutno, że popeliłam rzecz tak szka-
radną. Najwięcej mię to trapiło wieczorem, przy
rachunku sumienia, który robię codziennie, bo mię
Pani tego nauczyła. Gdy się siebie pytam: — *Czy*

byłam dziś złą? I kiedy muszę odpowiedzieć: — *Tak!*
A, potem jeszcze: — *Cóżes zrobiła złego?* *Czy sprzeci-
wiałaś się?* — *Tak.* — *Ale dla czego?* — *Bo byłam łako-
ma.* (To prawda, powodem do téj sceny było moje
łakomstwo, bardzo lubię cukierki). — *A dla czego
uderzyłaś biedną twoją siostrzyczkę?* — *Bo gniewałam
się.* — *Otóż widzisz, ten szkaradny gniew zawsze powra-
ca!* *A jednak pamiętasz, że przyrzekłaś Bogu poprawić
się.* — *Ach! co za nieszczęście być taką!* Doprawdy
nie wiem kiedy ja stanę się dobrą...

Wtorek, 2 grudnia.

Wczoraj wieczorem Pani liczyła moje stopnie
z zeszłego miesiąca; bardzo jestem zawstydzona, bo
miałam tylko pięć dobrych, a bardzo wiele złych,
więc téż tylko będę miała pięć soldów dla bie-
dnych. Ja co chciałam kupić sukienkę dla tłuscio-
cha Marysi. Na żaden sposób nie dokażę tego za
pięć soldów, choćby nawet Stefka i Bercia dodały
mi swoje pieniądze, których także mają niewiele.
Spodziewam się, że Gustaw będzie szczęśliwszym
odemnie, jednakże nie wiele mi z tego przyjdzie.
Ja to wiem dobrze, że od jakiegoś czasu bardzo by-
łam leniwą. Bywały dnie, że mnie nudziła praca,
a choć Pani mnie zachęcała, byłam mimo to jak
w odrętwieniu. W ostatnim tygodniu szło trochę
lepiej, ale już za późno. Trzeba się poprawić; — do
nowego roku już tylko miesiąc czasu, trzeba zaro-
bić na kolendę dla biednych, jeżeli chcę, żeby mo-
ja zrobiła mi przyjemność. A prócz tego nie pra-

ucując pilnie byłabym nieposłuszną Bogu, który chce, żeby wszyscy wypełniali swoje obowiązki i sprawiłam Mamie i Ojcu wiele przykrości. A i Pani także! Dziś będę miała wyborną cenzurkę.

Środa, 3 grudnia.

Gustaw był bardzo grzeczny przez cały wieczór wczorajszy. Ojciec tak był kontent z jego cenzury za przeszły miesiąc, że mu dał 5 franków. To trochę inaczej jak ze mną. Wstydziłam się powiedzieć Gustawowi, że ja miałam tylko pięć soldów, a jednak bardzo mi się chciało poprosić go o cokolwiek dla biednych, którzy cierpieć będą, za moje lenistwo, ale bałam się jego przymówek; nieraz już płakałam z jego przyczyny. Wreszcie pomyślałam sobie, że to będzie źle z mej strony, jeżeli nie wyznam wszystkiego, że to nikczemnie. Ta myśl skłoniła mnie wreszcie. Rzekłam więc: — „Jakiś ty szczęśliwy Gustawie, że się tak dobrze uczyłeś!“ — Rozesmiał się pytając szyderczo: — „A tyś robiła inaczej?“ — Ale widząc, że mam łzy w oczach dodał: — „Za to tego miesiąca będziesz się uczyła dobrze.“ — Tak, odrzekłam, ale tymczasem biedni mają tylko pięć soldów! — To nie wiele, ale jeśli chcesz dam ci trochę pieniędzy? — O właśnie chciałam cię prosić o to! — Ileż chcesz? — Nie wiem, co sam dasz. — To ci dam czterdzieści soldów.“ — Doprawdy Gustaw jest bardzo wspaniałomyślny, przebaczam mu też dawne jego psoty.

Piątek, 5 grudnia.

We czwartek doznałam wielkiej przykrości... Ojciec obiecał wziąć mnie z sobą do Saint-Germain, gdzie miał złożyć wizytę admirałowi ***, który ma tam piękną posiadłość. Prawdziwe było to szczęście dla mnie opuścić ten nudny Paryż, gdzie zawsze się widzi to samo błoto i gdzie nie można chodzić nie będąc przejechaną, to jest nie narażając się na to. We środę wieczorem gdy mi to Ojciec przyrzekł nie mogłam usnąć tak byłam z obietnicy uradowana. A teraz nic z tego! Od rana widzę, że niebo jest czarne, tak czarne, jak gdyby zamiast śniegu miał padać atrament. I nawet to mnie dziwi, że niebo robi się takie czarne na śnieg, który jest przecie taki biały.

Pytam Józefy co ona myśli o pogodzie? Odpowiada mi, że czas będzie brzydki. Mówię jęj, że się na tém nie zna, co ją gniewa; zaczyna mnie łajać, ja ją jeszcze więcej i skoro mnie tylko ubrała wyszłam od niej z gniewem i pobiegłam do Pani, która mi rzekła, że mam chmury na czole takie, jak są na niebie. Odrzekłam jęj: — „Ale proszę Pani ja mam je właśnie dla tego, że ma je niebo.“ — Wtedy pyta mnie Pani, czy moje chmury robią komu co dobrego tak jak chmury niebieskie. Odpowiadam jęj, że nie widzę coby dobrego robić miały chmury na niebie, tylko mnie robią na złość. Pani przybiega wtedy minę poważną i tłómaczy mi, że nie trzeba tak lekkomyślnie mówić o rzeczy, którą Bóg zsyła, że Bóg nie sprzeciwia się nigdy ludziom, chociaż nieraz ich *doświadcza*. — „Ale proszę Pani jedno bardzo podobne do drugiego. — Nie, moje dziecię; kiedy

się sprzeciwiasz siostram albo Gustawowi, czy to czynisz dla ich dobra? — O nie, a jak oni mi się sprzeciwiają to także nie dla mojej przyjemności. — A Bóg doświadcza nas tylko dla naszego dobra. I tak teraz doświadcza cię Bóg podług sił twoich; obiecywałaś sobie wielką przyjemność z tej przejażdżki do Saint Germain, a niebo staje temu na przeszkodzie. — O! niemów Pani tego. Zapewniam, że niebo już trochę jaśniejsze. — Nie widzę tego moja biedna Małgosiu, i mówię ci to na wypadek, gdyby czas miał być złym w samej rzeczy. Jestto dla ciebie próba, musisz się wyrzec przyjemności i przyjąć umartwienie. Jeżeli się poddasz ochotnym sercem, będziesz miała prawdziwą zasługę, którą Bóg w dobroci swojej policzy, bo najmniejsza nawet ofiara jest Mu przyjemna, gdy ją ponosimy w celu przypodobania się Jemu. — A jeżeli się nie poddam? — Jeżeli się nie poddasz próba zawsze ci będzie zesłaną, ale stracisz zasługę, będziesz tylko miała umartwienie bez nagrody. — A! to lepiej byłoby przyjąć chętnie umartwienie, ale mi to trudno; bo widzi Pani byłabym się tak dobrze bawiła! — Prawda, moje dziecię, ale powiedz mi, czy zasłużyłaś na tę przyjemność? Czy pracowałaś tak dobrze, aby za to być wynagrodzoną? Czy się twój charakter polepszył? Wreszcie czyż nie sama to czujesz, że dobry twój Ojciec przyrzekając zabrać cię z sobą, słuchał więcej swój czułości dla ciebie, ale nie rozważał praw jakie masz do niej. — Na nieszczęście Pani ma słusność, ale nie mogłam nie przyjąć obietnicy. — Nie mogłaś, bo byłabyś sprawiła przykrość Ojcu, który się cieszył, że ci zrobi

przyjemność; ja ci tylko ukazuję jeden więcej powód, dla którego przyjąć powinnaś umartwienie. — Wie Pani, ja myślę, że to Bóg mię karze. — Być może drogie dziecię, przynajmniej przyjąć to powinnaś jako karę. — Poddaję się więc; ale czy Pani myśli, że mogłabym pojechać do Saint-Germain, gdyby się wypogodziło? Bo widzi Pani miałabym już zasługę za to, że się poddałam, a... — A prócz tego miałabyś jeszcze przyjemność z przejażdżki? odpowiedziała Pani śmiejąc się; ach! mała filutko, w twojej rezygnacji jest wiele nadziei!

Dużo w tém było prawdy, bo mówiłam sobie, że gdy Bóg mnie ujrzy uległą, oszczędzi mi może tego smutku, a więc starałam się nie mieć zupełnie nadziei i zaczęłam sobie powtarzać, że czas się nie zmieni, że nie będę mogła wyjechać, ale mimowolnie miałam chęć się zawieść. Na nieszczęście nie zawiodłam się wcale i nie wiele też miałam zasługi, prócz tej, że nie złościłam się wcale; ale byłam całorano w złym humorze, nie mogłam nic dobrze robić, i gdyby mnie Pani nie była trochę ożywiła, byłabym nawet miała smutne stopnie. Po śniadaniu jeszcze było gorzej, śnieg zaczął tak mocno padać, że nawet Ojciec nie miał już jechać, ale ponieważ admirał czekał na niego w Saint-Germain, musiał więc jechać koniecznie. Miałam ochotę płakać gdy Ojciec wsiadł bezemnie do powozu. Ale Pani zawołała mnie do swego pokoju i mówiła zemną o tylu rzeczach, że mnie wreszcie rozerwała. Śmiałam się nawet serdecznie i bardzo mi było z nią dobrze. Gdy patrzyłam na śnieg Pani mi tłumaczyła, na co Bóg śnieg zsyła, z czego się ten składa

i różne inne rzeczy, a ja sądziłam, że zła pogoda nie przyda się na nic! A tu! zimno, śnieg, mróz, wszystko co nam się najwięcej przykrzy, pożytecznem jest jednak dla ziemi. I dla nas samych jest to również dobrodziejstwem; bo ziemia daje zboże, a ze zboża mamy chleb. Ach! jak Bóg wszystko dobrze urządził. Nie będę się już nigdy użalała na złą pogodę, choćby mi to sprawiło przykrość, bo wiem już, że niepogoda ma swoje dobre strony. Siedziałam długo z Mamą, która także wyjść nie mogła i dzięki śniegowi który nazywałam szkaradnym, dostało mi się szczęście przebywania z kochaną Mamą, którą za mało widuję, z przyczyny lekcyi. Mój czwartek więc nie był bez przyjemności.

Poniedziałek, 8 grudnia.

Jak to źle, że ja tak lubię rozkazywać! A gniewam się gdy kto nademną przewodzi. I tak np. wczoraj z łaski Pani uznałam moją winę; — bawiliśmy się wszyscy, bo to była niedziela, a Gustaw ciągle chciał, żebyśmy robiły to co się jemu podoba, nie zważając czy my tego chcemy lub nie; i w końcu rozgniewałam się na niego na prawdę. Na szczęście Ojciec zawołał go, żeby z nim poszedł na spacer, bo mu to obiecał, wracając ze Mszy; byłam więc spokojniejsza i mogłam się bawić jak sama chciałam. Zaczęłyśmy grać w loteryjkę, co nudziło małe, bo musiałam za nie znaczyć numeru, a dla mnie byłoto męczące i nudne. Skończyło się na sprzeczce. Pani mi wyrzucała, że jestem tyranką

dla dzieci, a sama tak się oburzam na tyranię Gustawa; powiedziała mi, że jestem bardzo niesprawiedliwa i bardzo samolubna, nie widząc tego i że nie jestem posłuszną Bogu, który nakazuje nam czynić zawsze drugim to, co chcielibyśmy, żeby oni dla nas czynili.

Pani ma słuszość, ja nie chciałam grać w karty z Gustawem, a w chwilę potem, zmusiłam Stefkę i Bercię, żeby zemną grały w loteryjkę. Widzę, że źle robię, ale jednak to jest bardzo naturalne, że mi nie miło robić zawsze to, co Gustaw chce i że lubię robić to, do czego mam ochotę. Pani mówi, że to jest rzeczywiście *naturalne*, ale to nie racya, abyśmy iść mogły za złemi skłonnościami i że powinniśmy prosić Boga o siłę do zwyciężenia natury. Ach! jak to trudno! Chociaż mam już teraz lat dziesięć i dwa miesiące nie mogę jeszcze zdobyć się na to. Spodziewam się, że potrafię to po pierwszej Komunii, bo Bóg Sam dodaje nam siły. Ale tymczasem jeżeli nie będę próbowała być lepszą, nie pozwolę mi przyjąć pierwszej Komunii. To też proszę Boga, aby mnie dał siłę spróbowania.

Wczoraj wieczorem Mama urządziła nam wielką loteryę; wygrałam czekoladki, które lubię bardzo. Dobry przyjaciel Ojca pan Guer przyszedł i bawił się z nami bardzo wesoło.

Środa, 10 grudnia.

Wielkie miałam wczoraj na katechizmie zmarwienie; Joasia i Mania nie przyszły. Smutno było

widzieć nie zajęte ich miejsca, a z tego powodu musiałam siedzieć obok panienki, która mi się wcale nie podoba; nazywa się Aglaé Buffart. Tak jest pełną pretensyi, że jęj dla tego nie lubię; śmiała się, patrząc na mnie, bo jąkałam się wydając katechizm. Zdaje mi się, że byłam dla tego roztargniona iż nie było Mani; pytałam się siebie co jęj mogło przeszkodzić. Gdyby jedna z nich była słaba, druga byłaby przyszła, chyba że to jaka ciężka choroba; a tak nie będą wiedziały co nam zadano na następną lekcję? Liczyły może na mnie, ale w takim razie powinny były mnie prosić, żebym napisała do nich. Dziwi mnie to, bo Mania pod żadnym pozorem nie chce nigdy opuścić katechizmu. Ta mała Aglaé Buffart zaczynała rozmawiać ze mną, co mię bardzo narażało, bo mnie mogli zapisać za nieuwagę. Spodziewam się, że w przyszły wtorek nie będę siedziała przy niej. Miałam drugi numer za wyciągi, kiedyż dostanę numer pierwszy?

Piątek, 13 grudnia.

Jestem bardzo smutna. Biedny dziadek Mani jest bardzo chory... Mama dowiedziała się o tém. Była tak dobra, że widząc moje zmartwienie poszła wczoraj do pana de Laval, aby mi powiedzieć, co się dzieje. Chciała zarazem podziękować panu de Laval za jego grzeczność dla nas. Ale dowiedziała się od odźwiernego, że biedny pan de Laval leży w łóżku od tygodnia i że doktor jest nawet niespokojny o niego. Mama chciała zobaczyć się z Manią,

ale bała się jęj przeszkodzić, bo służący powiedział, że Mania ciągle siedzi przy dziadku, a ponieważ Mama nie zna ich dobrze i nawet nigdy nie widziała pana de Laval, zostawiła więc tylko bilet. Obiecała mi Mama, że pośle dziś dowiedzieć się o jego zdrowie. Biedna Mania! To ona jest *doświadczana*! Jak mówi Pani. Ale pewna jestem, że ona zawsze zostanie dobrą. Szczerze się modliłam za jęj dziadka.

Sobota, 13 grudnia.

Dziadek Mani jest jeszcze słabszy! Tak mię to martwi, że o nim tylko myślę. Zdaje mi się, że go widzę jak leży na łóżku z siwą brodą i z bardzo bladą twarzą. Jakie to wrażenie musi czynić Mani! Biedna Mania! Jestem pewna, że się teraz nie kładzie spać tak, jak to robiła przy matce. Ale Joasia musi spać dobrze! Jednak ona bardzo kocha dziadka; gdyśmy tam były, wchodziła mu co chwila na kolana. Jaka Mania musi być smutna. Chciałabym bardzo ją zobaczyć! Ale jak to zrobić? Pani mi obiecała, że wyszedłszy na spacer, pójdziemy same do odźwiernego dla wypytania się dobrze; dowiemy się więc, niż gdybyśmy posłały służącego. Zaczęłam opuszczać się w nauce, bo myślałam za wiele o Mani. Ale Pani, której wyznałam, że wolałabym modlić się tylko za pana de Laval, powiedziała mi, że jeżeli chcę, aby modły moje Bogu mile były, powinnam najprzód zyskać Jego łaskę, wypełniając gorliwie wszystkie moje obowiązki. Zaczęłam więc pracować i miałam dobre stopnie, nawet z arytmetyki.

tyki, która nie zawsze mnie bawi. Na szczęście Pani nie zadała mi dzielenia.

Poniedziałek, 15 grudnia.

Mam opowiadać rzeczy bardzo smutne, które mi jednak przyniosły pociechę, bo widziałam Manię. W sobotę, jak mi to Pani obiecała, poszliśmy do odźwiernego pana de Laval i dowiedzialiśmy się, że biedny dziadunio ma zapalenie płuc i że nie wiele mają dla niego nadziei. To mię tak przeraziło, że zbladłam i zaczęłam płakać. Wtedy Pani odeszła polecając odźwiernemu, aby wyraził Mani nasze współczucie i gdy trochę przyszedłam do siebie, połajęła mnie łagodnie, mówiąc jak to źle, że nie umiem panować nad sobą. Pani powiedziała, że wprawdzie tym sposobem *okazujemy* uczucie, ale nie dajemy jego *dowodów*, bo łzami nie można bliźniemu ulżyć w nieszczęściu, ale trzeba szukać sposobów stania mu się użytecznym.

— „Ale Pani, zawołałam, mnieby to wielką sprawiło przyjemność, gdybym mogła co uczynić dla Mani, Toby mnie powstrzymało od płaczu. — Nie wiem, czyby tak było, Małgosiu, bo nie umiesz panować nad sobą; ale przypuść, że jesteś u Mani i widzisz jęj dziadka umierającego, — cóżbyś zrobiła wtedy: — Ach! płakałabym z pewnością, bo sama ta myśl już mnie dreszczem przejmuje. — Więc nie pomogłabyś Mani? Nie starałabyś się dodać odwagi biednemu dziecku, rozbudzić w nięj jaką nadzieję? Czy twoje odebrałyby jęj jeszcze i tę trochę na-

dziei, którą mieć może! Myślałabyś tylko o sobie, bo łzy te przyniosłyby ulgę twemu sercu, a przeciwnie, gdybyś miała Manię na celu, zajęłabyś się tém przedewszystkiém, coby jęj ulgę przynieść mogło. — Ależ Pani nie można wstrzymać się od płaczu. — Rzeczywiście, moje dziecię, w niektórych okolicznościach nie można, ale można zawsze, ile razy zapominamy o sobie, aby zrobić dobrze drugim. — Ale cóż ja taka mała mogę zrobić dobrego? — Prawda, nie jesteś jeszcze powołana do oddawania wielkich przysług, ale sposobność stania się użyteczną może się w każdej chwili przedstawić; dowiódł tego dzień, w którym tak dobrze pomagałaś mi doglądać Bobusia. Potrafiłaś wtedy zapomnieć o sobie, aby tylko myśleć o drogiem dziecku. — Proszę Pani ja się jednak obawiam, czy go nie doglądałam *dla siebie*? — To *ja* wchodzi bezwątpienia do wszystkich naszych myśli i czynności, ale stosownie do tego, jak skierujemy nasze uczucia, możemy to „ja“ uczynić dobrém. Ilekroć czynimy dobrze bliźniemu, sprawiamy samym sobie słodką rozkosz, ale jest to rozkosz dozwolona, bo pochodzi z radości jaką nam sprawia spełnienie prawa Bożego. — To łatwo względem tych, których kochamy. Niezawodnie, jednak w tém także słuchamy rozkazu Boga, który nam zaleca miłość względem bliźnich w ogólności, a w szczególności względem tych, których nam Sam kochać pozwolił. — Wie Pani, mnie się zdaje, że Bóg Sam dał mi do kochania Manię, bo ją znalazłam w kościele obok siebie. — Otóż drogie dziecię, jeżeli znajdziesz sposobność uczynić tęj biedaczce coś dobrego, musisz spróbować uczy-

nić to inaczej jak łzami. Zresztą zostaje ci zawsze modlitwa, jestto środek, którego nigdy nam nie zbraknie. — O! Pani, doprawdy ja się za nią modłę, ale chciałabym bardzo zobaczyć ją! — My równie tego pragniemy. Wczoraj wieczorem rozmawiałyśmy z Mamą o twój małej przyjaciółce; żałujemy, że nie możemy otoczyć jej staraniem, albo przynajmniej że jej nie możesz uściskać, co by może było przyjemnym biednemu dziecku. Ale znajomość nasza jest zbyt świeża, byśmy się ośmieliły wejść tam teraz. — „Ach! jaka szkoda. — Mania ma zapewne przy sobie jaką przyjaciółkę lub krewną, której pomoc i obecność więcej jej jest potrzebna od naszej. — Ale Pani, wcale nie. Mania nie ma we Francyi krewnych ze strony matki, a powiedziała mi, że pan de Laval nie ma żadnej rodziny; to jedna przyczyna więcej dla której tak był zadowolony z przybycia wnuków, bo otoczyły go przywiązaniem. — No, moje dziecko zabierzemy, może nam się uda być użytecznymi tym drogiom dzieciom. Mama twoja bardzo tego pragnie i poleciła mi szukać sposobności zbliżenia się z niemi. — Ach! co za szczęście! jestem pewna, że Pani to potrafi!“ —

Przy końcu przechadzki byłam trochę weselsza, potem spotkałam Cesię Dufon, a ponieważ ona zawsze się śmieje, i ja się śmiałam z nią razem. Ale pomyślałam sobie później, że Mania śmiać się nie może, wstrzymałam się więc właśnie w tej chwili, gdy Cesia zegnała się z nami na rogu ulicy.

Wczoraj po summie Mama i Pani poszły zemną dowiedzieć się o zdrowie pana de Laval; odźwierny powiedział, że Mania kazała nam bardzo podzięko-

wać i dodał, że panienka jest ciągle bardzo smutna i niespokojna, chociaż zdaje się dużo mieć mężstwa. Wtedy Mama zadała mu kilka pytań, chcąc się dowiedzieć, czy Mania ma przy sobie kogo z rodziny; odźwierny powiedział, że dwóch czy trzech starych przyjaciół przychodzi odwiedzać pana de Laval, ale ponieważ nie ma nikogo z krewnych, musiano więc przyjąć do dozoru kobietę, ale że panna Marya ciągle jest przy dziadku i sama czuwa nad wszystkiemi i że zresztą pan de Laval chce, żeby ona doglądała go sama. — „Ta panienka, proszę Pani, to anioł!“ — Szczęśliwa byłam słysząc to o Mani i spytałam: — „A Joasia?“ — „O panna Joanna ma także bardzo dobre serce, jak mi się zdaje, ale to dziecko jeszcze.“

Gdyśmy jeszcze rozmawiali, zeszła stara Barbara; byłam bardzo kontenta, że ją widzę. Powiedziała Mamie, że Joasia zobaczyła nas przez okno i pobiegła zawiadomić o tém Manię, i że Mania kazała nam jeszcze powtórzyć jak jest naszą dobrocią wzruszona. Myślała zapewne o dobroci Mamy. Nie wiem jak się to zrobiło, że zrozumiałam doskonale Barbarę, również jak Mama i Pani. Mama odpowiedziała Barbarze, że nie wchodzimy na górę jedynie dla tego, aby Mani nie przeszkadzać, ale że wielką mamy ochotę ucałować ją. (Mama wszystko zgaduje, co myślę). Serce biło mi mocno, a Barbara powiedziała, że panna Marya równie tego pragnie, a ponieważ dziadunio śpi w tej chwili, a ona jest w przyległym pokoju, byłaby więc bardzo szczęśliwa, gdybyśmy weszły na chwilę, i gdyby ona mogła nam podziękować. Jak to było uprzej-

mie z jęj strony! Mama chętnie zezwoliła, i poszłyśmy za Barbarą, która wprowadziła nas do salonu.

Mania wyszła z małego gabinetu, który jest obok pokoju pana de Laval i przywitała się z nami. Mama ucałowała ją, jak gdyby Mania była mną, z czego ja byłam bardzo kontenta, a widać i Mania także, bo aż łzy miała w oczach. Biedna Mania jeszcze jest bledsza niż zwykle i wcale się już nie uśmiecha. Widziałam jednak, że mnie zobaczyła z przyjemnością, ale nie mogłyśmy mówić z sobą. Joasia także przyszła nas przywitać, była poważna. Mama powiedziała Mani: — „Nie śmiałyśmy żądać widzenia się z tobą, drogie dziecko, bo wiedziałyśmy że ciągle prawie jesteś przy dziadku. — O ile być mogę, odrzekła Mania, ale w tej chwili dziadunio śpi, i boję się go obudzić otwieraniem drzwi. — Tak, wiem o tém, mówiła Mama, z jakim poświęceniem i miłością spełniasz swe obowiązki względem niego. Bóg cię za to nagrodzi dziecicę moje, będziesz miała wkrótce szczęście widzieć pana de Laval powracającego do zdrowia. Ale chciałam ci powiedzieć, że gdyby ta choroba miała potrwać dłużej, a tybys potrzebowała pomocy, lub opieki, albo téż rady, jesteśmy gotowe dopomódz ci i szczęśliwe będziemy, jeżeli się do nas udasz. — Pani nam daje wielki dowód dobroci, odrzekła Mania, słodkim swym głosem i z pełnem wdzięczności spojrzeniem, w tej chwili nie potrzebujemy niczego, ale jest mi to pociechą, że pani ofiaruje mi swą pomoc. Tak smutno jest czuć się samą. — Czy nie masz nikogo przy panu de Laval? — Mam kobietę do dozoru, ale dziadzio nie bardzo ją lubi, a jednak ona daleko lepiej odemnie

wie, co trzeba zrobić przy takim chorym. Jest ona teraz przy nim. — A czy twój brat został uwiadomiony o chorobie pana de Laval? Może lepiejby było przywołać go tutaj? — Mój brat ma za dwa dni wyjść ze szkoły; napisałam mu, że dziadzio chory, ale nie śmiałam prosić, by przybył, bo nie wiem, czyby mu na to pozwolono, a potem dziadzio zdziwiłby się, zobaczywszy go. I tak już niepokoi się swym stanem! — Jakże jest dzisiaj? — Zdaje mi się, że cokolwiek lepiej, bo śpi, a w pierwszych dniach wcale nie mógł sypiać, ale tak jest osłabiony, że mię to bardzo niepokoi. A przytém boję się gorączki, bo dziadzio ciągle się na bok użala. — Cóż doktor mówi? — mówi że lepiej, ale on mi to ciągle powtarza, a jednak są dnie, gdy dziadunio ma się daleko gorzej. — I cóż przepisuje? — Nie chciałby dziadzi męczyć, ale stawiano mu w tych dniach pijawki i wizykatorye, które dotąd ma jeszcze. — Te wizykatorye pewno pomogą moje dziecicę, mam nadzieję; czy nie zbyt dziadzi dolegają? — O nie, pani, już się do nich przyzwyczaił, bo mówi, że wcale ich nie czuje.“

Biedna Mania. Mama powiada, że ta nieczułość na ból jest bardzo złym znakiem, ale nie mówiła jęj tego. Mama powiedziała jeszcze, że będziemy przychodziły na górę, aby mieć pewniejsze wiadomości i prosiła, żeby Joasia do nas przyszła, albo żeby Mania przysłała Barbarę, dając nam znać, co u nich słychać. Potém Mama i Pani dodały jeszcze kilka słów pociechy, zalecając obu siostróm aby miały ufność w Bogu i pytały Mani, czy dziadek ma dość siły, aby się modlić i czy dawno widziała

księdza Martin? Mania odpowiedziała, że ksiądz ten był łaskaw odwiedzić ich kilka razy, ale nie zawsze widywał się z dziadkiem, bo obawiała się, by to nie było zbyt utrudzającym dla chorego. Wtedy Mama radziła Mani, aby jak tylko ksiądz przyjdzie, zaprowadziła go do dziadka, gdyż to może być bardzo zbawiennym dla pana de Laval i jej samiej przyniesie wielką pociechę. Mania odpowiedziała, że postara się wymóć to na dziadku, ale jeszcze posmutniała; widziałam, że się domyśliła obaw Maminy o jego życie. Nic nie powiedziała jednak, nie płakała, uściśkała nas tylko, dziękując za współczucie i posłała Joasię, by nas odprowadziła do drzwi.

Dom w którym jest ktoś tak chory, do tego śpiący, wielkie sprawia wrażenie! Szłam na palcach i jeszcze mi się zdawało, że robię za wiele hałasu, bo buciki skrzypiały. Wszyscy mówią cicho i wszystko takie smutne, takie smutne! Jestem jednak bardzo kontenta, że ucałowałam Manię i że ona wie, iż Mama robi dla niej wszystko, co tylko będzie można. Stefka i Bercia bardzo są grzeczne, modliły się ze mną za pana de Laval.

Wtorek, 16 grudnia.

Pani i ja byliśmy wczoraj u Mani, ale nie widzieliśmy jej, bo dziadek był gorzej i cały dom był w największym nieładzie; drzwi były otwarte, stałyśmy jakiś czas w przedpokoju, nie widząc nikogo. Wreszcie spostrzegłam Joasię po coś biegnącą; zawołałam ją; przyszła tylko na chwilę, bo na nią

czekano. Powiedziała nam: — „Czuje, że dziadek bardzo jest źle!“ — I zaczęła płakać. Ja się do niej odezwałam: — „O Joasiu, nie płacz, bo trzeba ulżyć Mani, a łzy tego nie dokażą.“ — „Nie wiem jakim sposobem, rzekła, Mania dogląda dziadkę, wcale nie płacząc, a jednak jest tak samo jak i ja zmartwiona.“ — Pani jej powiedziała: — „Jesteś młodsza od niej, moje dziecię, nie więc dziwnego, że nie umiesz panować nad sobą. Ale idź już kiedy czekają na ciebie, otrzyj oczy i ukryj łzy. Nadewszystko módl się do Boga za dziadkę, my to także czynimy.“

Joasia otarła oczy i pobiegła. Spotkałyśmy na schodach księdza Martin; gdyśmy mu powiedziały, że pan de Laval jest gorzej pośpieszył na górę. Był już wczoraj u niego, bo zdaje mi się, Mama go o to prosiła. Biedna Mania! myślałam o niej przez cały czas spaceru, i Pani robiła to samo. Weszłyśmy do kościoła S-go Rocha, żeby się pomodlić za dziadka i za wnuczki. Wieczorem Mama posłała Franciszkę; strasznie się bałam nim wrócił. Szczęściem powiedział, że pan de Laval daleko jest lepiej i że po wielkich cierpieniach, jakich doznał, ciągle śpi. Byłam bardzo kontenta, chociaż Mama mówi, że niebezpieczeństwo trwa ciągle. Nawet Ojciec interesuje się Manią i Joasią; kazał mi opowiedzieć sobie całą ich historię. Gustaw śmieje się ze mnie, co jednak nie przeszkadza, że wróciwszy ze szkoły, pyta mnie zaraz: — No, jakże się ma twój dziadek?“ — I cieszy się, gdy mu odpowiadam: — „Lepiej.“

Środa, 17 grudnia.

Nie, jeszcze nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim i że Mania i Joasia nie mają dziadka; one co już także ojca, ani matki nie mają! Mój Boże, mój Boże, to za wiele dla nich nieszczęścia! Ach! jak mię to smuci! Myśląc o tém, ciągle płaczę i niema w tém nic złego, gdyż na nieszczęście nie mogę nic dla Mani uczynić. Ale muszę wszystko opowiedzieć porządkiem. Wczoraj zaraz po katechizmie miałyśmy iść dowiedzieć się o zdrowie pana de Laval, chociaż ja byłam spokojną, bo miał się lepiej. Aż tu przed zaczęciem ksiądz Martin powiada:—„Moje dzieci, jesteście tu wszystkie siostrami przed Bogiem, powinniście więc wzajemnie interesować się sobą i modlić się za siebie; polecam zatem modłom waszym dziadka waszych towarzyszek Maryi i Joanny de Laval. Dysponowałem go dziś rano na śmierć i skończył właśnie przed chwilą.“ — Zaledwie nie krzyknęłam i zerwałam się z miejsca, ale widząc, że wszyscy patrzą na mnie, padłam prędko na kolana wraz z drugimi. Zmówiono modlitwę za pana de Laval, ale ja tak płakałam, że nie mogłam się modlić, a jednak chciałam prosić Boga, by go u siebie umieścił; ale ciągle myślałam o Mani i Joasi, których miejsca były obok mnie niezajęte!... To mnie bolało najwięcej, bo było świadectwem ich nieszczęścia. Aglaé Buffart patrzyła na mnie przez cały czas, ale to nie mogło mię powstrzymać od płaczu. Uspokoiliam się wreszcie trochę, gdy zapytano o katechizm, bo bałam się, że go nie będę umiała. Mnie ostatnią pytano, ale gdy zaczęłam mówić i pomyślałam, że Mania zamiast wydawać katechizm pla-

cze przy swym dziadku, wybuchłam głośnym płaczem, dwa słowa zaledwie powiedziawszy. Szczęściem ksiądz Martin zgadł, dla czego jestem w takim stanie i rzekł do mnie z dobrocią: — „Jesteś zbyt wzruszona, by mówić dalej, usiądź moje dziecko i staraj się uspokoić, prosząc Boga za przyjaciółki twoje. Długo więc jeszcze płakałam po cichu i nie potrafię zrobić wyciągu, bo nie słyszałam nauki.“

Bałam się, czy jak wyjdziemy Pani nie będzie się gniewała, że nie umiałam się przewyciężyć, ale ona także była bardzo wzruszona. Była więc dla mnie bardzo dobra i pocieszyła mnie trochę, rozmawiając zemną o Mani. Przyszedszy do domu udzieliłyśmy smutnej wiadomości Mamie, która właśnie miała wychodzić. Bardzo się zmartwiła, ale się nie zdziwiła tak jak ja, bo była pewną, że pan de Laval nie wyjdzie z téj choroby. Obiecała mi, że będzie się starała zobaczyć Manię; z czego byłam bardzo kontenta. Przez resztę dnia słuchałam tylko, czy Mama nie wraca i nie dobrze zrobiłam lekcye, szczególniej tłumaczenie angielskie, z którego nie zrozumieć nie mogłam, tak byłam roztargniona. Jednakże Pani nie dała mi bardzo złych stopni, bo widziała, że to nie moja wina. Mama wróciła o szóstej i zaraz weszła do naszego pokoju. Właśnie składałam kajeta, ale biegnąc ucałować Mamę, zawołałam natychmiast:—„Czyś ją widziała Mamuniu?“—Gdy Mama powiedziała:—Tak,“ zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, jak gdybym ja także miała zobaczyć Manię. Błagałam Mamę, żeby mi wszystko opowiedziała szczegółowo, ale ponieważ

było już późno, Mama rzekła do mnie: — „Idź najprzód ubierz się, a potem przyjdź do mnie, gdy ja się będę ubierała.“ — Chciałam się już za to dąsać, że Mama nie natychmiast zadawała moje życzenia, ale powstrzymałam się i pospieszyłam do mego pokoju, gdy Mama tymczasem na dół zeszła. W dziesięć minut byłam już gotowa. Pobiełam do Mamy, która rzekła do mnie: — „Odgadłaś Manię moje dziecko, to anioł! Wzruszającym jest patrzeć na to biedactwo w takim smutku będące i obciążone tyloma obowiązkami. — O! Mamo, opowiedz nam wszystko, co było jakieś weszła, co potem.... — Przyszedszy, zastałam drzwi od mieszkania otwarte...: — To tak jak my przeszliśmy razem. — Wahałam się czy mam wejść, gdy podszedł ku mnie jakiś młody człowiek, pytając czego żądam. — O! Mamo, jestem pewna że to Alberyk! — Tak on to był, wygląda na pocziwego chłopca. — Czy podobny do Mani? — Daleko ma ciemniejszą cerę, prawdziwy Kreol, ale z postawy i twarzy podobny do siostry. — I cóż on Mamie powiedział? — Zapytał mnie o nazwisko, by je powtórzyć Mani i prosił, bym czekała chwilę, potem powrócił mówiąc, że Mani bardzo będzie miło zobaczyć mnie. — Byłam tego pewna. — Wtedy wprowadził mnie do małego gabinetu pana de Laval, gdzie znalazłam Manię i Joasię siedzące przy sobie i płaczące rzewnie. Biedne dzieci, serce się kraje, patrząc na nie. — O Mamo, cóż potem? — Wyciągnęłam do nich ręce, a one rzuciły mi się w objęcia, duszki drogie, jak gdyby znajdowały w nich schronienie i pociechę. Płakałam z nimi razem, ale potem starałam się

obudzić w nich odwagę i dowiedzieć się, co dla nich obmyślono, ale one same nic jeszcze nie wiedzą. — O! Mamo, nie im nie mówiłaś o mnie? — Owszem, moje dziecko, mówiłam i gdybym się nie obawiała o ciebie, zaprowadziłabym cię do nich, byś uściśkała Manię, bo widziałam, że to byłoby jej miło. — O! jaka ona dobra! Ale Mamo niepotrzebujesz obawiać się o mnie, potrafię być spokojną, przyrzekam, spróbuj tylko! — No, zobaczymy, pomówię o tym z Karoliną. Ale pozwólże mi powiedzieć resztę. Dowiedziałam się szczegółów o śmierci pana de Laval od księdza Martin, do którego poszłam, aby się z nim porozumieć co do sposobu, w jaki można by być użyteczną biednym dzieciom. Pan de Laval umarł po chrześcijańsku, to jest pełen uczuć wiary miłości ku Bogu i nadziei. Cierpiał wiele na myśl, że opuszcza drogie wnuczki, ale poleciwszy je Opatrzności, poddał się woli Bożej. Czy one były przy nim w chwili jego śmierci? — Tak byli wszystko troje; dziadek ich błogosławił. Ksiądz Martin mówił, że ten umierający starzec podobny był do patryarchy pierwszych czasów. — Ach! to musiało być pięknie! Ale to bardzo smutne. — Mania dziękowała mi, że ją namówiłam do wpuszczenia do dziadka księdza Martin, mówi, że byłaby może czekała za długo i pozbawiła drogiego dziadunia wielkiej pociechy, gdy tymczasem teraz może myśleć, że dziadzio jest w niebie i zamtąd nad nimi czuwa. — Czy Alberyk wszedł z Mamą do pokoju? — Wszedł, moje dziecko i z nim także rozmawiałam; wydaje się bardzo zasmucony śmiercią dziadka, a co mnie najwięcej wzruszyło to, że jest bardzo żywo za-

jęty losem sióstr, o których mówi z czułością i z zadziwiającym rozsądkiem. — A co mówi Joasia? — Zająłaby cię także bardzo, bo widać, że cierpi wiele. — A co Mama mówiła o obowiązkach, które ciążyą na Mani? — Podczas gdy ja tam byłam, przychodziło do niej kilka razy, to po bieliznę, to po srebro, to po rozkazy; bo ona wszystkiem zarządza; a Mania odpowiadała z prostotą, spokojem i odwagą zadziwiającą w dziecku tego wieku. Pytałam się, czy kto nie mógłby jęj pomódz; Alberyk ciągle był gotów ją wyręczać, ale ponieważ prawie wcale nie był w domu, nie zna jego zwyczajów, a co do Joasi, może oddawać tylko małe przysługi i wypełnia je chętnie. — Mamo, czy Mania nie chodzi od czasu do czasu pomodlić się przy dziadku. — Była tam po śmierci pana de Laval, którego opuścić nie chciała. Wytlómaczono jęj jednak, że musi odejść i usłuchała, ale teraz musi tam już być z Alberykiem. — A Joasia? — Joasia była tam także, ale Mania nie chce, żeby tam szła raz drugi, sądząc, że zbyt jest młoda, aby znieść mogła tyle wzruszeń. — Niema tam jakich przyjaciół? — Zdaje się, że był jakiś staruszek, przyjaciel pana de Laval i bardzo był wzruszony jego śmiercią, ale inni jak mówiła Mania, przysyłali tylko dowiadywać się o zdrowie, lub zostawiali bilety. Podług życzenia pana de Laval ksiądz Martin napisał do dalekiego krewnego biednych sierotek, aby mu je polecić; spodziewają się go na pogrzeb; mieszka w Orleanie.“

Na nieszczęście przerwano nam obiadem, ale rozmawialiśmy jeszcze wszyscy o Mani, Joasi i Alberyku. Mama chciałaby im dopomódz, zobaczy się

z księdzem Martin i rozmówi się z ich krewnym, gdy ten przybędzie. Do tego czasu nic zdecydować nie można.

Piątek, 18 grudnia.

We środę Mama jeszcze poszła do Mani i Joasi. Znalazła je tak smutnymi i tak jęj żal ich było, że chciała zabrać je do siebie, ale one na to nie przystały. Mania odpowiedziała, że nie opuści domu dziadka, póki on w nim leży, i że nie może iść do domu osób obcych, chociaż tak dla niej dobrych, ale że miło jęj bardzo widzieć Mamę i słyszeć od niej słowa pociechy. Mama mówi, że Joasia jest także bardzo uprzejma, a nawet serdeczniejsza od Mani, co mnie nie dziwi, bo Mania mi się przyznała, że nie umie wyrazić tego co czuje. Mama mówiła do Pani, że widać iż pierwsze chwile boleści czynią Manię tak wymowną, ale że wkrótce znów zamknie się w sobie, bo taka już jęj natura. Jednak myślę, że taką nie będzie dla mnie, bo Mania mię zapewnia, że zemną może mówić o swych smutkach, a ja to bardzo lubię.

Krewny przybył we środę bardzo późno wieczorem. Mania i o tém pomyślała, żeby mu kazać przygotować pokój, to jest gabinet Alberyka, który tymczasem sypiać ma w salonie. Ojciec dostał zaproszenie i był na pogrzebie; uczynił to dla mnie, bo powiedziałam, że byłabym z tego bardzo kontenta. Jaki Ojciec dobry! Mama, Pani i ja byłyśmy na mszy za duszę pana de Laval, a wychodząc z ko-

ściola Mama mi powiedziała, że jeżeli gotowa jestem dotrzymać obietnicy, jaką jej uczyniłam, że będę spokojną, to wraz z Panią zaprowadzą mnie do Mani, bo to chwila dla niej bardzo smutna; więc przyjemnie jej będzie mieć obok siebie życzliwych. Byłam z tego szczęśliwa, a jednak czułam wielkie wzruszenie na myśl, że wejdę do domu pana de Laval i zobaczę Manię. Idąc mimowoli ścisnęłam rękę Mamy, a serce biło mi bardzo mocno.

Mama poszła inną ulicą, żeby nie spotkać pogrzebu, ale właśnie gdy zawracałyśmy na przedmieście, spostrzegłyśmy powozy. Wtedy zaczęłam drżać cała, ale mimo to, patrzyłam i widziałam wielki wóz umarłych, to jest karawan z czarnymi draperiami i końmi czarnymi, a za nim ludzi w żałobie; a na wozie pod wielkim czarnym pokryciem, widać było zarysowaną się trumnę. O! to było dla mnie najboleśniej! Zdawało mi się, że widzę twarz dobrego dziadunia i myślałam:— „On już nigdy ztamtąd nie wstanie!... Położą go w ziemię i nią go przysypią. I zostanie potem sam na cmentarzu, gdy tymczasem wnuki jego będą w domu także same“...—Ach! płakałam bardzo! Za karawanem przed wszystkimi innymi szedł młody człowiek czarno ubrany i tak smutny, że patrząc na niego krajało się serce. Mama mi powiedziała, że to Alberik. Spostrzegłam także Ojca i miałam ochotę podziękować mu, że był tam. Weszłyśmy do sklepu poczekać aż pogrzeb przejdzie, ale widziałam wszystko przez szyby. Wreszcie gdy cały orszak przeciągnął, wyszłyśmy z magazynu, a ja starałam się nie płakać, gdy wejdę do Mani. Cały

dom był w nieładzie i nigdzie nie było nikogo oprócz żony odźwiernego, bo wszyscy poszli na pogrzeb pana de Laval. Ona z nami poszła na górę, żeby nam otworzyć drzwi, bo miała klucz od mieszkania. Powiedziała nam, że Manię i Joasię znajdziemy we łzach, co mnie zasmuciło. Ale Pani rzekła mi po cichu:— „Pamiętaj, że masz obudzić w Mani odwagę!“— Powstrzymałam więc łzy i weszłam do Mani dość spokojnie.

Siedziała na łóżku obok Joasi i obie płakały, zakrywając twarz rękoma. Zapomniałam wtedy, co przyrzekłam, pobiegłam ją ucałować i gdy zarzuciłam jej ręce na szyję, zaczęłam wraz z nią szlochać, nie próbując nawet pocieszyć jej. Ona też płakała tym więcej, ale zdaje mi się, że łzy te sprawiały jej ulgę, bo przyciskała mnie do siebie coraz serdeczniej. Wreszcie przyszło mi nagle na myśl, że postępuję bardzo źle i porzuciłam Manię, aby pójść uściskać Joasię, o której byłam zapomniała. Ona także płakała bardzo, za co ją więcej pokochałam, ale nie tyle jednak co Manię. Potem uspokoiliłam się trochę, ale nie śmiałam spojrzeć ani na Mamę ani na Panią. Spostrzegłam na koniec, że i one mają oczy pełne łez i to mi ulżyło trochę.

Mama usiadłszy obok Mani powiedziała jej, że przysłała ją odwiedzić, myśląc, że obecność nasza przyniesie jej ulgę w tak smutnej chwili; że każdy kto cierpi, potrzebuje współczucia, a my ją i Joasię kochamy bardzo. Mania patrzyła ze wzruszeniem na Mamę, potem odrzekła:— „O tak, Pani mi wprowadzi ulgę przynosi, ależ mimo to jesteśmy obie bardzo nieszczęśliwe.“— I znowu płakać zaczęła.

Mama mówiła dalej:—„Tak, biedaczki moje, bardzo jesteście nieszczęśliwe, ale Bóg was nie opuści, On jest Ojcem sierot!—A ty Maniu, tyle masz w Nim ufności! dodała Pani. Nie dasz się złamać tą nową i straszną próbą, nie prawdaż drogie dziecię?—O! pani, ja jeszcze i tym razem tak się modliłam!...—Niezbadane są wyroki Boskie, dodała Pani, i nie do nas należy je zgłębiać, ale jednak widzimy to zawsze, że dobroć Boga objawia się w nieszczęściach, które On nam zsyła. Oto wytroje, tak zupełnie osieroceni, jesteście na pozór opuszczeni bardzo, a przecież Bóg dał wam znaleźć serca, które otwierają się dla was serdecznym współczuciem, najżywszym zajęciem i najgłębszym pragnieniem stania się dla was użytecznymi? — Tak, niektóre osoby są dla nas bardzo dobre, rzekła Mania, patrząc z wdzięcznością na Mamę, będę zawsze pamiętała o tém.—A więc moje dziecię, dodała Mama, jeżeli pojmujesz, że to jest dowodem opieki Boskiej nad tobą, powinnaś wesprzeć dobre nasze chęci i nie odrzucać dowodów życzliwości, jakie okazać ci jest w naszej mocy.—O! Pani, ja nie odrzucam ich doprawdy. — A więc pozwolisz nam spróbować, czy nie będziemy mogły zrobić cokolwiek dla was?“

Mania zrobiła ruch taki, jakby chciała Mamę ucałować, ale zdaje mi się, że nie śmiała uczynić tego, a ja z téj nieśmiałości skorzystałam, bo uściśkała mnie z płaczem. Gdy Mama widziała do jakiego stopnia Mania jest wzruszona, poszeptowała coś przy kominku z Panią, a potem rzekła głośno:—„Jeżeli chcesz, kochana Maniu, zostawię ci na kil-

ka godzin Małgosię i pannę Valmy, które pragną zostać z tobą? Co do mnie, zmuszoną jestem odejść teraz, ale znowu do was przyjdę.—Wielką nam Pani obydwom robi przyjemność, odrzekła Mania, ale boję się, żeby tu nie było za smutno dla Małgosi.—O! nie zawołałam, przeciwnie! Daleko wolę być z panienką, niżeli iść gdziekolwiek indziej.“

Wszystko zostało więc ułożone; Mama odeszła uściskawszy obie siostrzyczki i mnie. Joasia była dla niej bardzo pieśczośliwa; doprawdy, ona jest bardzo miłutka. Pani i ja pozdziejowałyśmy kapełuszki, i usiadłyśmy, ale nikt nic nie mówił, szczególniej ja nie śmiałam rzec słowa. Wreszcie odezwała się Pani:—„Czy nie chcesz droga Maniu, abyśmy pomodliły się razem za pana de Laval, bo to jest jedyna pociecha, jaką ci przynieść możemy.“

Mania przyjęła natychmiast i uklękłyśmy wszystkie razem, Pani czytała modlitwy, które myśmy powtarzały; modlitwy te odbyły się rzewnie i przyniosły nam ulgę. Potem Pani zaproponowała Mani, aby przeczytać co z *Naśladowania*, i umyślnie dla Mani wybrała rozdział o *Krzyżu*. Mówią, że droga Krzyża to wielki gościniec do nieba. Ach! Mania jest na téj drodze! Pani tłumaczyła nam wszystko i Joasia nawet zrozumiała ten rozdział. Potem obie, ale szczególniej Joasia rozmawiały o dziadku, o swoim smutku i to także przyniosło im trochę ulgi.

Pani, która spostrzegła na stole dużo listów, zapytała Mani, czy nie mogłybyśmy jęj pomódz w tém zajęciu. Mania odparła, że są to listy do znajomych, zawiadamiające o śmierci pana de Laval,

że Alberyk zaczął już był pisać na nich adresa i że ona byłaby bardzo kontenta, gdyby panna Valmy zechciała na reszcie listów położyć adresa podług przygotowanej listy. Pani powiedziała więc Joasi, żeby dyktowała jej nazwiska i poszły zasiąść w salonie; tym sposobem została sama z Manią, bo Pani nie chciała: żebyśmy się my tém zajmowały. Mania rzekła do mnie:—„Panienko, usiądź tu przy mnie.“—Usiadłam obok niej śpiesznie, a ona dziękowała mi jeszcze, że zostałam z nią. Ja odpowiedziałam:—„Ale doprawdy nie rozumiem dla czego panna Marya tak nam dziękuje, kiedy to nam właśnie przyjemnie jest być tutaj.“ — Ona rzekła: — „Widzę, że to Bóg dobry zsyła nam tę pociechę i że panna Valmy ma słuszość. Jaka panienska szczęśliwa, że ma ją przy sobie, ona uczyni cię tak dobrą, jak jest sama.—O! zapewniam, że na nieszczęście wcale do niej nie jestem podobna, ani też do Mamy; panienska nie zna jeszcze wszystkich moich wad! Staram się wprowadzić poprawić, ale nie wiem kiedy to nastąpi.—Wtedy zapewne, gdy panienska przyjmie pierwszą Komunię.—O! jeszcze do tego daleko! A ciebie panno Maryo, kiedy spotka to szczęście? Cóż panienska robi teraz z katechizmem?“

Bardzo żałowałam, że jej zadała to pytanie, bo Mania ze zmienioną twarzą zawołała:—„Ach! ja jeszcze nie myślałam o tém! A już od tak dawna pragnę przyjąć Komunię! Biedny mój dziadunio, tak byłby w tym dniu szczęśliwy.“...—I znów płakać zaczęła. Powiedziałam sobie, że nieszczęśliwie postępuję, niszcząc dzieło Pani, bo Mania była się

już bardzo uspokoiła, wysłuchawszy pobożnego czytania. Uczułam się bardzo zmartwiona. Rzekłam wreszcie:—„Słuchaj panno Maryo, myślę, że Bóg tak samo rządzi tém jak i wszystkiém inném, bo Mama i Pani zapewniają, że On to wszystko czyni dla dobra panienki; On sam jest teraz twoim Ojcem; On będzie się panienką opiekował, A przytém pomyśl, że nie możesz opuścić pierwszej Komunii, nikt takich rzeczy nie widział: Zresztą ksiądz Martin wie, jak dobrze panienska jest przygotowana.—Tak, odpowiedziała Mania, może on będzie łaskaw uczyć nas dalej, bo jest dla nas tak dobry, że sobie panienska wyobrazić tego nie potrafi. Ileż on zrobił dobrego biednemu dziaduniowi, uczynił mu śmierć tak słodką!—O panno Maryo, czy śmierć może być słodka?—Zapewniam panienkę, że teraz nie boję się umrzeć. Kochana moja matka umarła tak spokojnie, jakby zasypiała, bo tak silnie kochała Boga, że nie bała się iść do Niego, chociaż nie przyjęła ostatnich Sakramentów, bo nie było na okręcie księdza, co ją bardzo martwiło... Dziadunio przyjął ŚŚ. Sakramenta, i gdyby panienska wiedziała, jak pięknie umierał!...—Tak, ksiądz Martin mówił Mamie, że to był piękny widok.—O! tak, panno Małgorzato, a jednak serce mi się kraje, gdy myślę o tém, bo zdaje mi się, że jeszcze tam jestem, a kochanego dziadzi już nie ma!—Ale panno Maryo, przecież to dla niego szczęściem, że jest już w niebie.—Tak, wierzę, że on tam jest i prosi go, aby się za nas modlił.—Ja go także proszę za pannę Maryę, ale czy panienska myśli, że on mnie słyszy? Tak mnie znał nie wiele.—Zdaje mi się, że je-

dnak kochał panienkę, bo znajdował cię bardzo miłutką, a przytém widząc cię obok mnie, musi być rad z tego. — O! dobrze, będę więc i dalej tak postępowała, ale także i za niego modlić się będę, bo może dziadunio panienki jest dopiero w czyscu. Szkoda, że nie jesteśmy tego pewne, nie prawdaż panno Maryo? Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedziały gdzie jest. — O! tak, rzeczywiście, wolałabym to, odrzekła Mania, ale ponieważ Bóg nie chce dać nam téj wiedzy, trzeba więc modlić się. Tak mi miło, że mogę jeszcze zrobić cośkolwiek dla drogiego dziadunia, kiedy nie mogę już doglądać go. Przed chwilą, gdyśmy klęczały, zdawało mi się, że patrzył na nas i dziękował nam. — To dziwne, panno Maryo, ale mnie zdawało się to samo. Czy brat panienki zostanie z wami jeszcze przez jakiś czas? — Tak sędzę, przybył on w porę, aby widzieć jeszcze dziadka przed śmiercią, a teraz nie chciałby rozstać się z nami, dopóki coś dla nas nie postanowi. — Rozumiem to. On musi być bardzo dobry, bo Mama mówi, że jęj się bardzo podobał. Ale on jest dla mnie za duży, będę się go wstydziła. — O! ręczę, że on jest jeszcze więcej od panienki nieśmiały, prawie dziki. — Czy bardzo kochał dziadunia? — O! bardzo, i tak jest jego śmiercią zasmucony, że gdyby go mimo jego woli nie rozrywały konieczne zajęcia, byłby złamany żalem i niespokojnością o nas. — Gdyby panna Marya mogła się zająć czémkolwiek, możeby to panience ulżyło? — Ma panienka słuszość, ale odkąd wyniesiono dziadunia, nie mam siły się zająć, nogi mi tak drżą, że nie mogę chodzić. — To niech mi panienka powie, co

masz do roboty, a ja robić będę, to zawsze trochę panienkę rozerwie. — O! nie, spodziewam się, że wkrótce będzie mi lepiej, ale teraz nie mogę...

Biedna Mania tak była blada, że się aż zlekła o nią. Powiedziałam jęj: — „Słuchaj panno Maryo, połącz się na chwilę, i zaśnij panienka trochę, a ja tu zostanę. — O! ja spać nie będę, odpowiedziała Mania.“ — Ale mimo to położyła się jednak. Głowa jęj była tak gorąca, że mi paliła ręce za dotknięciem i bardzo była biedna Mania osłabiona. Przykryłam ją i podniosłam poduszki, jak sobie życzyłam. Wyglądała jak dziecko, a ja byłam z tego bardzo kontenta! Kiedy zobaczyłam, że nie może spać, zaproponowałam jęj, żebyśmy razem zmówiły koronkę za duszę dziadka, a ona rzekła: — „Bóg natchnął panienkę tą myślą!“ — Zaczęłyśmy odmawiać koronkę, ale po chwili usłyszałam, że Mania nie odpowiada i zobaczyłam, że ma oczy zamknięte; siedziałam więc spokojnie i po cichu resztę zmówiłam. Gustaw zdziwiłby się, widząc mnie tak spokojną! Tak byłam kontenta, widząc Manię śpiącą, że zupełnie straciłam ochotę ruszyć się z miejsca. A dziadunio jak musiał patrzeć na mnie!

Na nieszczęście sen ten nie długo trwał. Mania zaczęła się rzucać!... Nie śmiałam odetchnąć. Wreszcie nagle otworzyła oczy i rzekła: — „Gdzie jest dziadzio?“ — Przestraszyłam się! Spojrzała w około, a potem zawołała: — „Ach mój Boże, już przypominam sobie!“ — I znów płakać zaczęła. Nachyliłam się i pocałowałam ją, mówiąc: — „Panno Maryo, panno Maryo, nie płacz, zaklinam cię! — Tak, odrzekła, wiem, że źle robię zasmucając panienkę,

która jesteś dla mnie aniołem. — O! nie panno Maryo, nikt mi nie powiedział jeszcze, że jestem aniołem, ale tak kocham panienkę, że mnie to bardzo martwi, gdy ją widzę smutną. — No, to będę się starała nie płakać, bo ja także kocham panienkę i mówię wszystko, co tylko czuję. — Ale dla czego panienka nie postępuje tak z innymi, z Mamą naprzykład? Mama mówi, że panienka nie jest dość otwarta. — Nie mogę tego wytłómaczyć, odpowiedziała Mania, to co mam w sercu nie może wyjść z niego, a jednak toby mi przyniosło ulgę... — O! panno Maryo, ze mną będziesz zawsze otwarta, nie prawdaż? — Tak, z pewnością tak, bardzo nawet chętnie, będzie mnie to cieszyć. — A mnie jeszcze więcej.“

Ale dziennik mój strasznie długi, trzeba go zakończyć. Jednakże bardzo lubię opowiadać wszystko, co powiedziała albo zrobiła Mania. Ale rękę mam zmęczoną, a przytém pisałam tak źle, że może sama nie potrafię przeczytać. Mama przysłała po nas i obeszła się z Manią bardzo życzliwie, mówiła także z księdzem Martin, z którym dziś jeszcze mówić będzie. Widziałam Alberyka, gdy wrócił z pogrzebu. Rozdzierająca to była scena, gdy całował siostrę. Widać, że ma bardzo dobre serce.

Sobota, 20 grudnia.

Postanowiono rzecz ważną dla Mani, ale bardzo smutną dla nas obu. Ją i Joasię chcą umieścić w klasztorze! Nie wiem jeszcze, jaki klasztor obiorą i czy Mania daleko będzie od nas. Ja pragnęłam,

żeby Manię i Joasię oddano do nas; tym sposobem Mania stałaby się moją siostrą i toby było bardzo dobrze, bo Stefka i Bercia są dla mnie za małe, a Gustaw jest przecie bratem i nie może być porównany z siostrą. Mówiłam o tém z Mamą, ale ona utrzymuje, że to niepodobieństwo, że to byłoby dla niej ogromną odpowiedzialnością, i że pomimo całego współczucia dla tych dzieci, nie może zrobić propozycji, której krewni Mani równieźby przyjąć nie mogli, że zresztą blizki nasz wyjazd staje temu na przeszkodzie. To są słowa Mamy. Ja znajduję, że możnaby wybornie zrobić taką propozycję, którą Mania przyjąłaby może, bo przecież kiedy ona nie ma matki, a ja chcę z nią podzielić się moją, porozumienie byłoby łatwe. Pani mi powiedziała, żeby już o tém nie mówić z Mamą, bo jęj przykro martwić mnie, odmawiając mojej prośbie; jak to jednak smutno. Jestem pewna, że Ojciec nie odmówiłby mi tego, bo Ojciec Mani był żeglarzem jak on, a wszyscy żeglarze powinni składać jedną rodzinę. Biedna Maniu! gdybym mogła niedopuszczyć ci pójść do klasztoru, nie bój się! nie poszłabyś tam wcale!

Ale muszę opisać dzień wczorajszy.

Po podwieczorku poszłam z Panią do Mani. Znalazłam ją daleko odważniejszą jak onegdaj, nie płakała prawie wcale. Ale jest zawsze bardzo poważna i blada. Joasia nie wyglądała bardzo smutna i uśmiechnęła się kilka razy, co mię zdziwiło. Jednak miała często łzy w oczach, ale takie z niej jeszcze dziecko, że razem prawie śmieje się i płacze. Mania była bardzo kontenta, zobaczywszy nas. Była zajęta porządkowaniem domu, ale powiedziała

mi, że jój przykro nie módz nie ruszyć z rzeczy dziadka, bo wszystko popieczętowano. Zebrano *radę familijną*. Zdaje mi się, że tak się to nazywa, ale nie wiele tam było familii, bo ów kuzyn był jedynym krewnym a reszta sami tylko przyjaciele. Kuzyna obrano *opiekunem* dzieci (we Francyi, bo prawdziwym opiekunem jest wuj Mani mieszkający na wyspie Burbon). Powiedział, że przyjmuje ten tytuł dla tegojedynie, aby zająć się interesami, ale że nie może opiekować się panienkami, ani zająć się ich edukacją, bo się na tém nie zna; że zresztą dosyć już będzie mieć kłopotu, zajmując się ich interesami. Wtedy ksiądz Martin, który także należy do rady, zaproponował, aby je oddać na pensyę i to się wszystkim podobało. Ale kuzyn odparł, że on pensyi szukać nie będzie, bo nie mieszka w Paryżu i nie zna żadnej. Ksiądz Martin powiedział, że jest ktoś, co się tém zajmie chętnie i wymienił Mamę. Potém postanowiono napisać natychmiast do pana de la Caze, wuja dzieci, co téż Alberyk uczynił niezwłocznie wspólnie z kiedzem Martin i kuzynem. Ach! jakżeż to smutno stracić rodziców.

Mania i Joasia mówią, że muszą pogodzić się z myślą pójścia na pensyę, zdaje mi się nawet, że myśl ta cieszy Joasię. Mnieby to nie bardzo cieszyło, a nawet wcale nie.

Poniedziałek, 22 grudnia.

Mam wiele rzeczy do opowiedzenia, ale nie wiem, czy będę miała dość cierpliwości, bo Mania

tu jest, haftuje przy mnie i wołałabym z nią rozmawiać, jak pisać. Ale ona mi mówi, że trzeba być pilną i pyta mnie, czy jój dam do przeczytania dziennik, który napiszę. Nie bardzo ja to lubię i ona się o tém dowie (piszę to naumyślnie), ale nie chcę jój niczego odmawiać, bo ona i tak ma tyle zmartwienia. A przytém tak ją kocham, że chciałabym zawsze zrobić jój przyjemność. Nie sędzę, żeby ona mnie tak jak ja ją kochała, bo ja ją kocham bardzo! bardzo! bardzo!

Ale zaczynam już: W sobotę Mama zaprowadziła mnie jeszcze do Mani podczas rekreacyi i zastaliśmy tam grubego kuzyna. (Spodziewam się, że to Mani nie będzie przykro, że ja tak nazywam tego pana, bo ona go niewiele zna i zresztą sama musi to widzieć, że pięć albo sześć razy jest grubszy od Alberyka). Nie znajduję również, aby ten kuzyn był bardzo przyjemny, bo na siebie jednego uważa; jestem pewna że i Mania spostrzegać to musi. Przez godzinę rozmawiał z Mamą o strasznym katarze, jakiego się nabawił podróżując wśród zimna. Mama mu niepowiedziała że bardzo kaszle, a on ani razu nie kaszlał i kichnął tylko dwa razy i to jeszcze dla tego, że zażywał tabakę. Ale w tém nie ma nic zajmującego. Mama była nadzwyczaj uprzedzającą dla tego grubego kuzyna, co nie bardzo mnie dziwiło (choć jój się pewno nie podobał), bo Mama jest zawsze uprzejmą dla każdego. Ale zrozumiałam potém że mając go o coś prosić, chciała go sobie ująć, tylko nie byłabym się nigdy domyśliła o co. Kiedy usłyszałam, że prosiła kuzyna, aby pozwolił Mani i Joasi przepędzić kilka dni u nas, a ona się przez

ten czas zajmie wyszukaniem dla nich pensyi, ucieszyłam się nadzwyczajnie, bo mi Mama zrobiła niespodziankę i zaczęłam drzeć z obawy, aby gruby kuzyn nie odmówił. Ale zdaje mi się, że był kontent z téj prośby, bo zaczął Mamie dziękować. — „Pani jesteś nadzwyczaj dobrą, powtarzał grubym swym głosem, to mi bardzo na rękę. Pojmuje pani, że nie mogę matkować, nie znam się na tém.“ — I śmiał się: ha! ha! ha!.. Aż się szyby trzęsły.

Mania wcale się nie śmiała, przeciwnie, miała łzy w oczach. To też po co taki gruby człowiek porównywa siebie z matką? To mnie gniewało, ale nie powiedziałam nic, bo przystał na żądanie Mamę, a ja tego tylko pragnęłam. Joasia ucieszyła się bardzo, dowiedziawszy się, że przyjdzie do nas i znajdowała kuzyna bardzo uprzejmym, że na to pozwolił. Alberyk mówił, że mu lżej na sercu, jak pomyśli, że siostry jego będą w tak dobrych rękach. Alberyk jest za duży dla mnie i mówi za mało; jestem z nim nieśmiała, ale lubię go za to, że tak kocha swoje siostry. A przytém Mama mówi, że on się wydaje bardzo zacnym młodzieńcem. Mama już się o wszystko ułożyła z grubym kuzynem i ze starą Barbarą, która miała przyjść do nas wraz z małemi swemi paniami, a potem Mama z Manią umówiła się, że zabierzemy je obie nazajutrz w niedzielę po mszy. Z początku nie chciały wyjść, bo jeszcze nie miały żałobnych kapeluszy, ale będą je miały na jutro, bo Mama obstałowała je sama. Zaczynały już nosić cienką żałobę, bo tak sobie życzył dziadek, a teraz muszą znowu ubrać się całkiem czarno. Nawet Joasia smutno będzie wyglą-

dała w czerni. Kiedyśmy przyszły po nie, Mania zaczęła płakać, że opuszcza dom dziadka, poszła do pokoju pana de Laval i ukłękła przy łóżku, na którym umarł, jak gdyby mu chciała powiedzieć: — „Żegnam cię dziaduniu!... — Poszłam z nią i bardzo mi było smutno, (nie dla tego że byłam z nią, ale widziałam to łóżko i patrzyłam na smutek Mani). Zmówiliśmy razem krótką modlitwę i poszliśmy. Barbara przyszła później z rzeczami Mani i Joasi. Mama dała dwóm siostrzyczkom mój pokój, a ja śpiam u Stefki i Berci. Nie wiem, jak Mania może myśleć, że mi to sprawia przykrość, owszem, tak mi przyjemnie widzieć ją w moim pokoiku, że z całego serca oddałabym ję go na zawsze, gdyby tylko Mama tego chciała. Ale nie powinnam o tém mówić, kiedy na nieszczęście to być nie może.

Bardzo przyjemnie wieczór przepędziłyśmy wczoraj razem, boję się tylko, czy Mania równie jest z niego kontenta, bo ma zawsze minę bardzo nieszczęśliwą, co jest zresztą naturalnem. Ojciec i Mama robili co mogli, aby je rozerwać i Joasia rozweseliła się trochę. Dziś rano Mania weszła ze mną do pokoju, gdzie się uczymy i słuchała jak brałam lekcye. Mówi, że więcej umiem od niej, ale mówi to pewno ze skromności, bo to jest niepodobieństwem. Teraz haftuje i robi to daleko lepiej odemnie. Pani zaproponowała ję, żeby się trochę uczyła. O! kochana panno Maryo! przyjmij tę propozycję, proszę; to i mnie do nauki zachęci.

Środa, 24 grudnia.

Byłam wczoraj na katechizmie, ale Joasia i Mania nie poszły; jeszcze to za wcześnie po śmierci dziadka. Tym razem nie było mi smutno patrzeć na próżne ich miejsca, bo wiedziałam, że siostrzyczki są u nas w domu i że je zobaczę za powrotem. Umiałam dobrze katechizm, uczyłam się go z Manią, która nie chce pozostać za innemi. Aglaé Buffart nudna jest, wygląda zawsze jakby sobie żartowała ze mnie i pełno ma pretensyi! Nie lubię jęj i miesza mnie to, gdy ona patrzy na mnie. Ksiądz Martin mógłby jęj powiedzieć, żeby nie robiła tego.

Jaki on dobry ten ksiądz! Wczoraj po południu przyszedł odwiedzić Manię i Joasię; Mamy nie było w domu, poproszono go więc do pokoju w którym się uczymy i gdzie byliśmy wszystkie przy Pani. Chwalił mnie za katechizm i za wyciągi, ale ja nie dla tego mówię, że dobry, (choć bardzo lubię odbierać pochwały, a szczególnie od niego, bo pochwały księdza to już muszą być prawdziwe); on mi się tak podoba za swoją dobroć dla Mani. Tak pięknie przemawiał do niej! jak ojciec, aż miło było go słuchać. Mówił bardzo piękne rzeczy o Mamie chciał pokazać Mani, że powinna ufać Opatrzności: *która postawiła na jęj drodze serce macierzyńskie, aby ją ogrzało i przytuliło.* — I dodał: — *I która zdaje się dawać ci jeszcze kochającą siostrę!*

Patrzył na mnie mówiąc to i spytał: — „Nie prawdaż moje dziecię?” — Odpowiedziałam mu: — „O! nie, księżu wcale nie; bo to się nie zdaje być, tylko jest tak na prawdę.” — Śmiał się, również i Mania; pierwszy to raz śmiała się od śmierci dziad-

ka; to też nie gniewałam się wcale, że ja byłam śmiechu przedmiotem. Pani wytłómaczyła mi potem, że *Nie* które powiedziałam tak ich wszystkich rozśmieszyło. Ksiądz mówił z Panią wiele o pensyi, on się dopytuje ze swojej strony, a Mama ze swojej. Chciałby był widzieć się z Mamą, ale opowiedział wszystko Pani.

Był to dzień dobrych księży. Trochę później sam ksiądz proboszcz przyszedł odwiedzić Manię. Wygląda jak ojciec ze swemi białemi włosami! Jestem pewna, że przypominał Mani dziadka, chociaż nie jest tak stary jak pan de Laval. Widać, że ksiądz Martin opowiedział mu całą historję Mani i Joasi, bo ksiądz proboszcz zdawał się wiedzieć wszystko, i mówił z niemi z wielkiem zajęciem. Ale ja okropnie się wstydziłam, kiedy Mama mnie zawołała aby przywitać się z księdzem proboszczem, który zna wszystkie moje grzechy, bo przed nim się spowiadam. Nie odważyłabym się nigdy pokazać przed nim, gdybym nie wiedziała, że ksiądz również jak i Pan Bóg zapomina błędów, z których się oskarżamy. Muszę iść niedługo do spowiedzi, między Bożem Narodzeniem i Nowym Rokiem, a Boże Narodzenie już jutro! Jakie to wielkie święto! Jestem pewna, że Pani dziś będzie mówiła mi o niem.

Wczoraj wieczorem była wielka sprzeczka między Joasią i Bercią; Stefka gniewała się nawet, widząc, że Joasia chciała Bercię przymusić do ustąpienia jęj i popchnęła ją tak mocno, że aż się Bercia rozplakała. Mania robiła co mogła, aby powstrzymać Joasię, ale to nie było łatwo. Szczęściem, że ja się już nie gniewałam dawno. Wieczór

Mania i ja szyłyśmy, bo ona mi pomaga do wykonczenia bielizny dziecinnęj, którą Pani każe mi szyć dla biednych. Pani czytała nam piękną powieść, Gustaw rysował, a Joasia bawiła się kartami ze Stefką i Bercią. Cały wieczór zszedł nam miło. Gustaw daleko jest teraz grzeczniejszy, prawie nic mi się nie sprzeciwia. Zdaje mi się, że przy Mani nie będzie śmiał tego robić. Zapomniałam powiedzieć, że Alberyk odjechał w niedzielę wieczorem. Szkoda, że Gustaw nie poznał się z nim.

Piątek, 26 grudnia.

Byliśmy wszyscy na mszy wczoraj jako w dzień Bożego Narodzenia, Ojciec towarzyszył nam, a z Manią i Joasią składaliśmy jedną wielką rodzinę. Tylko pan Bobuś został w domu. Stefka i Bercia sprawiały się bardzo dobrze, chociaż Bercia nie chciała zejść z klęcznika na którym stała i wspierała się na palce by lepiej ołtarz widzieć. Stefka wyglądała jak aniołek, Mania mi potem powiedziała, że ją to uderzyło, bo nie często zdarza się widzieć, żeby dziecko modliło się tak uważnie.

Bo też Pani tak dobrze wytłómaczyła nam we środę wieczorem, co to jest Święto Bożego Narodzenia. Nawet Bercia słuchała i od czasu do czasu powtarzała ze śliczną miną: — „O! jaki dobry ten małutki Pan Jezus, jakbym ja chciała Go widzieć.“ — I zadawała Pani tyle pytań! Między innemi na przykład takie: — „Proszę Pani, czy Pan Jezus jeszcze jest mały? Czy podobny do Bobusia? A gdzie

jest dobra Matka Boska? Ja bardzo Ją kocham, proszę Pani! I uklonię się Jęj!“ — To mówiąc pobiegła przed obraz Najświętszej Panny i ukloniła się kilka razy, ale nie na żart; nie, miała minę poważną, a Pani powiedziała, że ten hołd, jaki Bercia składała na swój sposób był pewno miłym Matce Najświętszej dla czystości intencji. To szczęście, że Bercia nie zrobiła tego samego w kościele, byłaby wszystkich rozśmieszyła. Stefka nie kłaniała się wprawdzie, ale była bardzo poważna i wzruszona i dla tego też Joasia także była spokojna, bo ona zawsze chce robić to samo, co Stefka. Mania i ja razem słuchałyśmy wyjaśnień, jakie nam Pani dawała i nigdy nie zapomnę, jak nas to zajmowało.

Najprzód opowiadała nam Pani, jak wszyscy oczekiwali z niecierpliwością przyścia Chrystusa, bo żydzi wiedzieli to dobrze od Bożych proroków, że przyjdzie Messyas, a inne ludy chociaż zapomniały o Bogu i czcily bałwany, miały jednak jak mówiłam przecucie, czy wspomnienie przyścia Zbawiciela, który ich wyzwoli z ciemności. Potrzebowali Go bardzo wszyscy ci bałwochwalczy, chociaż nie mieli pojęcia o złém ani o dobrem; a znali tylko złe i wszyscy byli bardzo źli; nawet nie byłaby chciała żyć w tamtych czasach, bo zanadto okrutnie obchodzili się ci ludzie z kobietami, gdy tymczasem teraz bardzo są dla nich grzeczni, więcej nawet jak dla mężczyzn, a ja to lubię. — „Tak więc świat cały, mówiła Pani, — potrzebował Zbawcy i oto On właśnie przyszedł w chwili przepowiedanej przez proroków, w chwili gdy obcy król panował nad żydami. Tym królem był zły Heród,

który kazał wytracić tyle dzieci dla tego, aby między niemi zabić Pana Jezusa, a jednak nie zabił Go, bo Bóg tak potrafi wszystko urządzić, jak Sam chce i spełni wolę Swoją wbrew woli wszystkich królów tego świata.

Pani opowiadała nam jeszcze jak Najświętsza Panna i Józef Św. poszli do Betleem i jak się to stało, że spełniło się proroctwo. I nie znaleźli nigdzie miejsca, tak że Pan Jezus przyszedł na świat w stajence. Gdy byłam mała martwiło mnie to i byłabym wolała widzieć Go w pięknym pałacu błyszczącym w złotój kolebce. Bercia teraz zrobiła tę samą uwagę. Ale Pani jój odpowiedziała, że pan Jezus mógł wybierać do woli, bo wszystko należy do Niego, a wybrał żłób jedynie dla tego, by nas nauczyć, że nie mamy się uganiać za przepychem i wygodą, ani się na ich brak uskarżać, ale żeśmy powinni myśleć o biednych i nigdy niemi nie pogardzać, owszem powinniśmy ich kochać, bo Bóg stał się podobnym do nich.

Wszystko to było wytłomaczone bardzo dobrze, ale ja to źle powtarzam. Co pewna, to że Bercia zrozumiała, że źle robi, dając się i gniewając, gdy jój nie dość prędko jeść podają, albo gdy jój zimno, albo gdy jój coś dolega, albo nadewszystko gdy ją myją; i powzięła dobre postanowienia, bo w końcu przyrzekła Pani: — „Już nigdy nie będę kaprysić w łóžeczku, a nawet jeżeli Pan Jezus tego chce, odstąpię Mu łóžeczka i pójdę spać do Pani.“

Mówiąc do nas, Pani tłumaczyła nam, jak powinniśmy być pokorne, posłuszne i dobre, patrząc na Syna Bożego, który stał się na to dziecięciem,

aby nam dać przykład cnot wszelkich. A nadewszystko jak powinniśmy kochać Go, za całą miłość, jaką nam okazuje. O! to wielka prawda! Boć On przecie porzucił niebo, gdzie nie czuł nigdy głodu, ani pragnienia, ani zimna, ani zmęczenia, gdzie miał wszystko co potrzeba, i przyszedł cierpieć, pracować a nadewszystko umrzeć za tych szkaradnych ludzi, a między nimi i za mnie, chociaż ja taka zła jestem. Ach! jaki On dobry! A cóż ja czynię, aby Mu zrobić przyjemność? Pani mnie o to zapytała; ja nie znalazłam odpowiedzi. Mania to co innego! Ona przeszła tyle smutków. Ale ja pytam się, co mi brakuje? Mam dobrych Rodziców, mam Panią i wszystko czego trzeba, nie sypiam w żłobie, a moje łóžko bardzo wygodne, jem ile chcę. A mimo to jestem bardzo często niegrzeczna. Ach! mój Boże! mój Boże! Co też to malutki Pan Jezus o mnie myśli. Modliłam się wczoraj gorąco; prosiłam Go, aby mnie uczynił grzeczną i jak On dobrą, żeby mnie ustrzegł od gniewu, próżności, łakomstwa. Myślę, że Najświętsza Panna ulituje się nademną, bo Jój powiedziałam, że musi być strapioną, widząc mnie niepodobną do swego Syna. Byłyśmy wieczorem na nabożeństwie, które było bardzo piękne. Cały ołtarz był oświecony; przywiodło mi to na myśl wielką światłość, jaką nagle ujrzeli pastarze i powiedziałam: — „Trzeba, żebym i ja razem z nimi uczciła małego Pana Jezusa.“ — Nie miałam też żadnej dystrykcji. Piękna muzyka w kościele przypominała mi śliczne pienia, jakie śpiewali aniołowie. Jakto musiało być cudownie. Wieczorem o mało się nie zniecierpliwiłam, bo Bercia sprzeci-

wiała mi się, ale na szczęście przypomniałam sobie moje dobre postanowienia i zapanowałam nad sobą. To Bóg mi dopomógł, jestem pewna, bo Go o to prosiłam w cichości.

Dziś są imieniny Stefci; kupiłam dla niej ładne pudełeczko; Gustaw dał jej parę nożyczek; od wszystkich dostała jakiś podarunek; była więc uszczęśliwiona. Dziś rano byliśmy z nią na Mszy. Jój Święty jest wielkim świętym, bo pierwszy umarł za Chrystusa. Spytałam Stefci:—„Zrobiłabyś to samo co on?”—Ona odparła:—„Wiesz dobrze, że byłoby niepodobieństwem zrobić inaczej, gdyż nie mogłabym wyrzec się Pana Boga.”—Ale Bercia zawołała:—„Jabym pozabijała tych wszystkich złych ludzi?”—Oni by ją prędzej zabili, biedną koteczkę.

Poniedziałek, 29 grudnia.

Jakam ja nieszczeniwa! Oto znowu byłam zła tak niedługo po Świętach Bożego Narodzenia i w obecności Mani. Ale na co się zdadzą wszystkie moje dobre postanowienia? Zdaje mi się, że ile razy je czynię, zły duch chce, żebym skłamała, ja, co jednak tak nienawidzę kłamstwa. Daje mi tyle złych rad, że zapominam o wszystkiém i słucham go. A co najgorsza, to że mi się to najczęściej zdarza w niedzielę w *dzień Pański*! To dla tego, że jestem razem z Gustawem. O szkaradny Gustawie! Nie martwię się wcale, że zostajesz we Francji! Ale to może jeszcze zły duch podburza mnie teraz przeciw Gustawowi. Idź sobie niezdolny szatanie, wi-

dzisz przecie, że cię nie lubię. Dla czego mi chcesz zawsze dokuczać? Zdaje ci się, że ponieważ mam dopiero lat dziesięć, możesz być moim panem; ale widzisz, że nie jestem twoją niewolnicą i tak się będę modliła, że cię pokonam, bo Bóg daleko jest mocniejszy od ciebie i mnie także silną uczyni, jeżeli zechcę, a ja chcę tego. Najprzód nie gniewam się już na brata, bo ja więcej byłam winną; Pani miała słusność, mówiąc mi to; przebaczam więc Gustawowi. Na nieszczęście nie mogę samęj sobie przebaczyć i to mnie tak smuci. Ale muszę opowiedzieć wszystko.

Najprzód nie dobrze modliłam się na Mszy i to było początkiem wszystkich moich nieszczęść. Spostrzegłam Aglaé Buffart z jakąś panią, która zdawała się być jój matką i to mi sprawiło roztargnienie, bo chciałam widzieć jak się Aglaé zachowuje. Daleko byłoby lepiej pamiętać to, co mi Pani powtarza zawsze:—„Że gdy idzie o dopatrzenie czegoś złego, lepiej zajmować się sobą niż drugimi. Ja zauważyłam wszystko złe, jakie jest w Aglaé Buffart, a niezawodnie postępuje gorzej od niej.

Gdyśmy wróciły, Mama uprzedziła Manię i Joasię, że zaprowadzi je do klasztoru, o którym jój mówił ksiądz Martin i który ona już zwiedziła, ale Mama nie chce nic postanowić ani pisać do ich krewnego, nie zaprowadziwszy ich tam wprzód. Natychmiast uczułam zły humor dla tego, że miałam zostać w domu, a jednak Pani obiecała mi, że pójdzie zemną na spacer. Gustaw, widząc moją minę, zaczął się zemnie naśmiewać; odpowiedziałam mu bardzo ostro, a ponieważ śmiał się ciągle, zaczęłam

tupać nogami. Wtedy on się zatrzymał i rzekł mi: — „Uciekam, bo cię napada gorączka, a ja nie chcę mieć tego napadu na swém sumieniu.“ — Poszedł, a ja zostałam zadasana i gniewna i powiedziałam Stefce i Berci, że są niezdolne, chcąc zawsze, żebym się z nimi bawiła i nie chciałam im pożyczyć kółka ani sznura do zabawy; nawet zdaje mi się, że to bardzo zadziwiło starą Barbarę. Jednakże Mania może nie zawsze pożycza Joasi swoich rzeczy, muszę na to uważać! I ona także ma niekiedy wielką ochotę niecierpliwić się, bo widziałam jak się onegdaj wieczorem zaczerwieniła, kiedy Joasia kazała jej powtarzać pięć razy jedną rzecz, a zrobiła to namyślnie, bo Joasia bardzo się sprzeciwiać lubi. Ale przynajmniej Mania umie się powstrzymać, a ja zawsze robię swoje; Pani zaś powiada, że właśnie zasługą jest nie uleść chęci do gniewu. Kiedyż ja mieć będę zasługę.

Właśnie gdy miałam wychodzić z Panią, przysłała Klara z panną Lérins. O! tego już doprawdy było za nadto! Miałam już na głowie kapelusz. Panna Lérins chciała zabrać Klarę, témbardziej, że widziała moją nieukontentowaną minę, ale Pani prosiła, żeby zostały, mówiąc, że zamiast spaceru pójdą się bawić w ogródku z Klarą, na co pewno uskarżać się nie będę. Nie uskarżałam się, bo nie śmiałam, ale mi się to bardzo niepodobało. Jednakże gdy mi Pani surowo zapowiedziała po angielsku, żebym panowała nad sobą, poszłam z Klarą do ogrodu, ale nie byłam dla niej bardzo uprzejmą, aż ona mnie spytała: — „Czy ci to bardzo przykro Małgosiu, że nie poszłaś na spacer? — O! wcale nie,

odpowiedziałam.“ — Ale ponieważ to było kłamstwem, dodałam więc: — „To jest, muszę się z tém pogodzić.“ — Klara odparła: — „Gdybym była wiedziała, nie byłabym przyszła tutaj, tylko poszłabym z Mamą na bulwary.“ — Wtedy rzekłam: — „Dobry mróz dzisiaj, byłabyś miała czas cudowny.“ — Zdawała się tém obrażoną i dodała: — „Pójdę poprosić Pani, żeby mnie tam zaprowadziła.“ — Złęklam się, żeby się moja Pani na mnie nie gniewała i zatrzymałam Klarę. Chodziłyśmy jeszcze z godzinę po ogrodzie i miałam dosyć już tego. Wreszcie panna Lérins zawołała Klarę, z którą się pożegnałam daleko uprzejmiej, niż ją powitałam. Spodziewałam się, że wyjdziemy nakoniec, ale było już za późno; Bercia i Stefka wrócili, a że Józefa miała coś do roboty, przysłała więc prosić Pani, żeby dojrzała dzieci; tym sposobem przepadł mi spacer. Co za dzień feralny! Czułam jakby potrzebę gniewania się, a ten szkaradny Gustaw wybrał złą chwilę do sprzeciwiania mi się; żartował sobie ze mnie, winszując mi pięknego spaceru w ogrodzie i pytając jakie tam odkryłam osobliwości. A przytém był jeszcze tak niedobry, że mi opowiadał wszystko co widział w Tuilleries. Wtedy gniew mój wybuchł, powiedziałam mu parę nieprzyjemnych rzeczy i w taką złość wpadłam, że się rzuciłam na niego, chcąc go bić. Właśnie gdy chciał mnie powstrzymać weszła Mama z Manią i Joasią. Tak krzyczałam, że nie słyszałam dzwonka.

O! jakże się wstydziłam, spostrzegłszy Manię! Mama niestety, często mnie już widziała w gniewie; ale Mania! Jestem pewna, że byłaby tego ni-

gdy nie przypuszczała. Wstrzymałam się natychmiast, ale cała byłam czerwona, a oczy błyszczały mi widać gniewem, bo Mama spytała mnie ze smutkiem: — „Co ci to?“ — Nie odpowiedziałam nic, bałam się tylko, żeby Gustaw nie opowiedział wszystkiego. Na moje szczęście on jest w gruncie dobry, rzekł więc tylko: — „Kłóciliśmy się na żart.“ — To było wspaniałomyślnie z jego strony, ale on skłamał, bo ja nie żartowałam. Wtedy zawołałam: — „Nie, Mamó, to ja znowu złościłam się. Bardzo się tego wstydzę przed Manią, ale to prawda.“ — Mama odparła: — „Twoja szczerość wynagradza choć w części twoją winę, moje biedne dziecko, ale kiedyż nauczysz się zwyciężać siebie?“ — Spuściłam głowę, a Mama poszła do swego pokoju. Mania i Joasia poszły zdjąć kapelusze, a ja nie wiedziałam gdzie iść. Wreszcie pomyślałam sobie, że najlepiej zrobię, gdy wszystko opowiem Pani i pobiegłam do niej. Powiedziałam jej jak od rana już byłam niegrzeczna i co w końcu zrobiłam. Pani napominała mnie łagodnie, mówiąc, że widziała mój zły humor, ale spodziewała się, że będę się starała pokonać go. — „Ach! proszę Pani, odpowiedziałam, ja bardzo chciałam prosić Boga, aby mi dopomógł, ale jak jestem taka zła, to nie mogę się modlić, nawet nie śmiem, bo zbyt jestem źle usposobiona, wszystko mnie niecierpliwi, ja sama i inni i zdaje mi się, że nie potrafię się nigdy przezwyciężyć.“ — Właśnie gdy jesteś w tym stanie osłabienia i pokusy, moje dziecko, mówiła Pani, więcej potrzebujesz pomocy Bożej, ale zły duch, który wie, że tam jest jedyna twoja ucieczka, poddaje ci myśli, że Bóg nie przyj-

mie twojej prośby i że Mu wyrządzisz zniewagę, zbliżając się do Niego w stanie takiego rozdrażnienia. Nie wierz mu, Bóg nigdy nie opuszcza największych nawet grzeszników. Owszem rzuć się do nóg Jego z tém większą ufnością, im więcej poznajesz swą nędzę i powiedz Mu z głębi serca te słowa: Panie mój litość nademną! Przypominasz sobie jak byłaś wzruszoną, widząc w historyi Boskiego Zbawcy, iż nigdy nie odmawiał zmiłowania tym, którzy do niego tę modlitwę zanieśli. A więc drogie dziecko i ty proś Go tak samo, a On ci pomoże. — Ach! Pani, bardzo tego potrzebuję, bo po każdym popełnionym błędzie czuję żal, ale dobre moje postanowienia nie zdały się na nic, bo zawsze robię to samo. — Dobre postanowienia zawsze się przydadzą Małgosiu, bo dowiodą Bogu żalu i doprowadzą cię przynajmniej do czynienia usiłowań. Ponawiając je nieustannie, a nigdy się nie zniechęcając niedostatecznym ich skutkiem, dojdiesz nakoniec do tego, że lepiej dotrzymywać ich będziesz. — Ach! jaka Pani dobra, że mnie pociesza, ale mnie ciągle bardzo smutno, bo nie wiem, czy się poprawię przed pierwszą Komunią i może nie będzie mi wolno przystąpić do niej? — Owszem moje dziecko, otrzymasz pozwolenie; aby tylko dobra chęć twoja była prawdziwa. Bóg doda ci to, czego ci braknie. Żądamy tylko od ciebie, abys starała się przezwyciężyć siebie i codziennie nad tém pracowała. — A więc zaczętnę znowu pracować nad sobą, przyrzekam to Pani, ale najprzód niech mię Pani uściska, aby mnie przekonać, że się na mnie Pani nie gniewa, a potem Pani się będzie modliła za mnie, nie prawdaż?“

Przyrzekła mi to i uściskała mnie szczerze, co mi dodało odwagi. Poszłam potem powiedzieć Mamie, że już nie jestem niegrzeczna, co wielką sprawiło Mamie przyjemność, pieściła mnie też bardzo. Ale najtrudniej mi było pokazać się Mani. Ona zdawała się tak wstydzić za mnie, że nie śmiała na mnie patrzeć, kiedym po nią poszła na obiad. Wtenczas pomyślałam sobie, że daleko lepiej pomówić z nią, niżeli wszystko chować w sercu i rzekłam: — „Jestem pewna że panna Marya nie kocha mnie już, kiedy wie jak jestem zła?” — Odpowiedziała mi: — „O! owszem, zawsze kocham panienkę...” — I przerwała. — „Słuchaj panno Maryo powiem ci wszystko, byłam w wielkiej złości, a na nieszczęście to mi się często przytrafia, ale chcę się poprawić i żałuję tego, a Pani mię zapewnia, że mi Pan Bóg przebaczy. Ona i Mama ucałowały mnie, a panienka czy będzie się na mnie gniewała? Toby mnie zanadto bolało!”

Ucałowała mnie natychmiast dobra Mania i rzekła: — „O! nie mam prawa gniewać się na panienkę, ja, która także mam tyle wad, a nie jestem tak szczerą, bo je ukrywam! — Jestem pewna, że ich panna Marya niema, tylko mi to mówi, chcąc mnie pocieszyć. — Nie, panno Małgorzato, to prawda i chciałam mówić z panienką o tém, aby ją przekonać, że nie jestem lepszą od panienki.” — Zaczerwieniła się bardzo i dodała po cichutku: — Jestem bardzo dumna! — O panno Maryo; a z czego? — Nie wiem, odpowiedziała czerwieniąc się jeszcze mocniej, ale nie moge znieść żadnej wymówki, ani żartu, ani nawet czasem prostej rady; to mię oburza

i gniewa, a biedna moja Mama często mi to wyrzucała. — Ale teraz już panienka przestała być dumną, zresztą któżby mógł panience wyrzucać cokolwiek.” — Odpowiedziała smutno: — „Może dla tego nie czuję już tak mojej dumy, że nie mam nikogo, coby mnie przestrzegał i upominał, to też nie wielką mam zasługę, że się nie gniewam. — O! nie mogę sobie wystawić, żeby się panna Marya gniewać kiedy mogła! Ale w klasztorze będzie komu napominać panienkę. — Zapewne, będę się też starała poprawiać. — Tém lepiej panno Maryo, ach! gdybyśmy też mogły stać się dobrymi, a w końcu obie świętymi. Ale to bardzo trudno, nie prawdaż? — O! tak, bardzo trudno, ale trzeba pracować. — A więc pracujmy, panno Maryo!”

Zadzwoniono na obiad i zeszliśmy na dół. Byłam trochę tém pocieszona, że Mania ma także wadę; to smutne! ale widzieć, że wszyscy mają wady.

Środa, 31 grudnia.

Byłam wczoraj z Manią i Joasią na katechizmie; obie siostry były bardzo wzruszone, bo poszły tam pierwszy raz po śmierci dziadka i razem ostatni, gdyż idą do klasztoru. Na nieszczęście to już zdecydowane. Mama radziła Mani, żeby sobie oszczędziła tego wzruszenia, ale Mania odpowiedziała, że pragnie bardzo pójść tam i że to jęj sprawi więcej przyjemności niż smutku, bo i tak dosyć już często opuszczała katechizm. Wszystkie dziewczynki spojrzały na Manię i Joasię, gdy weszły, byłam konten-

ta, że byłam z niemi, nie dla tego, że na nie patrzano, ale dla tego, że pewno inne panienki mają także wielką ochotę poznać je, a ja jedna mam to szczęście. Dobrze, że nie siedziałam koło Aglaé Buffart. Chociaż mi Pani powtarza, że to bardzo źle tak niecierpieć téj dziewczynki, jednakże to silniejsze odemnie, bo ona mnie niecierpliwi swemi minami. Powinniśmy jednak kochać bliźniego, ale nie każdy bliźni jest miłym.

Mania i Joasia wejdą do kasztoru w poniedziałek po Nowym Roku; ach! jak mi ich żal będzie, szczególnież Mani. Tak mi dobrze mieć ją przy sobie! Razem pracujemy, a ja tak to lubię! Ale to dziwne, Mania miała słusność, ja więcej od niej umiem... Nie mogę się temu wydziwić i nawet mi to nie miłe, bo to musi być przykre Mani, kiedy ona jest dumną. Kilka już razy pisałyśmy po dyktowaniu i zawsze mniej miałam od niej błędów; mogłaby ich téż Pani nie liczyć. Co do Joasi robi ona mnóstwo błędów i zdaje mi się, że nawet Stefcia lepiej od niej pisze. Mania jeszcze się nie uczyła greckiej historyi, umie tylko historyą świętą, a Joasia stanęła na *Jozuem*; gdy tymczasem Stefcia uczyła się już o *Salomonie* i doszła już do *odszczepieństwa Samaryi*. Bercia niedaleko jest Joasi, bo się teraz uczy historyi Józefa, na jój wiek to bardzo pięknie. A przytém Bercia czyta już dobrze. Ach! jakie my szczęśliwe jesteśmy, że Mamy Panią; inaczej możebyśmy także nic nie umiały.

Mania mówi, że w Koloniach nie wiele się zajmują wychowaniem dzieci, szczególnież na wsi i że pozwalają im robić prawie wszystko co same chcą;

że jednak teraz są już dobre pensye w stolicy Burbon, z których niewiele korzystają, bo dzieci nadto są psute, a może téż i dla tego, że klimat rozleniwia bardzo. Przytém biedna jój matka tyle przeszła smutków i tak była długo chora, że nie mogła robić dla dzieci tyle ile chciała i dla tego to Mania i Joasia są tak mało posunięte. Mania z przykrością mówiła o tém i zdaje mi się, że duma jój cierpiała wiele, ale jednak powiedziała mi wszystko; biedna Mania! ja jój mówię że to nie moja zasługa, jeżeli umiem cokolwiek więcej od niej, bo często byłam leniwą i bez Pani nicbym się nie była nauczyła. A zresztą najlepszy dowód; że Mania umiałaby więcej odemnie, gdyby była na mojem miejscu, to że prędzej odemnie wszystko pojmuje. I tak na przykład wczoraj Pani tłómaczyła nam regułę grammatyczną, a ja zamiast słuchać myślałam o czém inném, patrzyłam czy śnieg przestał padać i chuchałam w palce, by się rozgrzać. Wtém Pani pyta mi się o to, co tłómaczyła, a ja tylko usłyszałam wyrazy: *przymiotnik słowny, imiesłów czasu teraźniejszego* i t. d., ale nic nie wiedziałam, co Pani mówiła o tém, to było bardzo nieprzyjemne. A Mania zrozumiała wszystko i doskonale Pani odpowiedziała. Jak to źle z mojej strony, że jestem roztargnioną, gdy Pani męczy się, by mi coś wytłómaczyć. To téż na przyszły rok będę się uczyła wybornie. Dziś nie będę mogła pracować wiele, bo mamy iść do biednych i do kościoła; rano tylko piszę dziennik, a potem muszę kończyć pantofle dla Ojca, bo jeszcze ze dwanaście rzędów mam zrobić, jutro dam je Ojcu na kolendę. Na szczęście man-

kietki, które robiłam dla Mamy są gotowe od dawna. Skończyłam też onegdaj mały perełkowy woreczek dla Pani, która spodziewam się nie nie spostrzegła, bo robiłam go tylko w pokoju Mamy. Rodzice nie domyślają się także niespodzianki, co to będzie za szczęście jak ich wszystkich zadziwię.

Stefcia zapisała ładnie cały kajet, jeszcze ma jedną czy dwie stronki do końca, nauczyła się także pięknych wierszy, które mówi bardzo dobrze. Bercia ma opowiedzieć historią Józefa, zjeść ją można gdy mówi o *szkaradnych braciach* i o *dobrym* małym Józefie. Ale chciała koniecznie napisać co, i trzeba widzieć jej pismo, to ciekawe! Wielkie czarne litery a zmusiła Panią, żeby to jej pozwoliła napisać: *Moї drodzy rodzice dajcie mi kolendę!* Nie bardzo to jednak pięknie prosić o co. Stefcia będzie miała dziwną kolendę. Moja droga siostrzyczka jest trochę leniwa i co rano, szczególnie odkąd jest zimno, użala się że musi wstawać; niedawno więc błagała Mamę, żeby pozwoliła jej *przez cały dzień pozostać w łóżku*; Mama powiedziała, śmiejąc się, że da jej to pozwolenie na kolendę. Stefcia była uszczęśliwiona i od trzech tygodni czeka z niecierpliwością nowego roku, żeby pozostać w łóżku. Jaby był w rozpacz, gdybym miała leżeć, zwłaszcza w taki dzień. Prawda, że ciężko wstawać, gdy w łóżku ciepło i jeszcze się chce spać, ale potem jak się już wstanie, bardzo jest przyjemnie. No, zobaczymy, czy Stefcia będzie miała jutro ochotę iść przez cały dzień.

Nie wiem jak zrobimy, żeby tyle wycalować Mamę ile chcemy, bo Mania i Joasia nie mają matki,

coby je w tym dniu pieściła i pewna jestem, że Mania będzie płakała. Już dzisiaj bardzo jest smutna, widząc wszystko co przygotowujemy; takby była szczęśliwa, gdyby mogła uczynić to samo dla swojej matki, a nawet dla dziadunia!—Mama zmuszoną była zaprosić do mnie Klarę i Cesię, bo Klara prosiła mnie do siebie, ale ja nie mogę opuścić Mani. Gdyby nie Mania i Joasia, Mama byłaby zaprosiła jeszcze dwie albo trzy inne panienki i przyjaciół Gustawa, ale nie chce, żeby nasze zebranie było zbyt głośnie z powodu żałoby dwóch siostrzyczek.

Pani właśnie liczyła stopnie; zarobiłam tym razem czterdzieści soldów, bo też bardzo myślałam o kolendzie dla biednych. Złączywszy pieniądze które mi dadzą Gustaw, Stefka i Bercia mam sześć franków; Mama także obiecała mi coś dołożyć. Zaraz po śniadaniu pójde z Panią kupić dla biednych różnych rzeczy i potem pójdziemy do kościoła, żebym się wypowiadała. Pani kazała mi wczoraj wieczorem zrobić rachunek sumienia; ach! co za straszne grzechy mam znowu do wyznania! Bardzo mi smutno, że tak ciężko obraziłam Boga; w tym roku przynajmniej będę się starała poprawić, zanadto byłoby to złe, gdybym i teraz jeszcze nie dotrzymała obietnicy; byłoby to kłamstwem. A przytém jestto rok wielkiej naszej podróży, koniecznie więc potrzeba, żebym się odmieniła; coby o mnie powiedziano w Pondichery i Bóg by mnie już nie kochał; przestałby się mną opiekować; cóżby się wtedy ze mną stało!...

Piątek, 2 stycznia 18..

Jakto dziwnie pisać datę roku nowego. Pewna jestem że często będę się myliła i będę pisała jeszcze 18....

Jak miło spędziłam dzień wczorajszy! z wyjątkiem tego, że Mania była smutna, co mi przykrość sprawiało; przyjemnie jednak było mieć ją przy sobie, a ona powiedziała, że bardzo jest kontenta, iż jest u nas i że bez tego czułaby się daleko nieszczęśliwszą. Ale muszę wszystko opowiedzieć porządkiem, mam na to dosyć czasu, bo Mama była taka dobra i prosiła Pani, żeby mnie jeszcze na dziś uwolniła od lekcyi, a sama Pani powiedziała mi, że mogę rozdzielić dziennik na dwa razy, żeby się zbyt nie zmęczyć pisaniem. Najprzód muszę mówić o środzie wieczór, bo opisałam tylko poranek.

Poszłam więc z Panią po śniadaniu kupować dla biednych różne rzeczy w jednym z większych sklepów. Mama dała mi dziesięć franków, byłam więc bardzo bogata. Ale nie wiedziałam co kupić, bo wybór był za wielki. Pani mi dopomogła; wzięłyśmy ładnego bawełnianego materiału niebieskiego z czerwonym na suknię dla grubej Marysi i dla jej siostrzyczki; potem kupiłyśmy chustkę dla pocziwej Franciszki ich matki. Tylko mąż jej nie dostał nic, biedny Piotr! Ubrania męskie są za drogie. Poproszę Ojca, żeby mu dał co z siebie i wszystko będzie dobrze. Następnie kupiłyśmy wełniany kaftanik dla stariej Morand i wełniane pończochy dla jej wnuczki, która zawsze płacze, że jej zimno w nogi. Biedna dziecinka! Ona także straciła matkę, a ta pocziwa staruszka jej babka musi ją wycho-

wywać. Ojciec jej wyjechał nie wiedzieć dokąd. Mojem zdaniem to bardzo źle tak opuścić swoje dziecko. Szczęściem siostry miłosierdzia przyjęły małą do szkoły i niosą pomoc tak jej jak i babce. Jakie one są dobre! Gdy którą zobaczę zawsze mam ochotę ją uściskać; ale powstrzymuję się, boby się to może dziwnem wydawało. Bercia jest zabawna! Pytała mnie kiedyś czy zakonnice są rzeczywiście naszymi siostrami kiedy je tak nazywają. Wprawdzie są one naszymi siostrami przed Bogiem, bo wszyscyśmy Jego dziećmi, ale to nie takie pokrewieństwo jak między mną a Bercią i starałam się wytłómaczyć jej to.

Kupiłyśmy czarny fartuszek dla córeczki mularza, który przeszłego roku zabił się na naszej ulicy, spadłszy z rusztowania, i dwie czapeczki dla chłopców. Wreszcie poszłyśmy jeszcze kupić funt owsianego cukru do podziału między wszystkie dzieci. Nie zostało mi ani grosza, bo nawet Pani musiała trochę dołożyć do moich pieniędzy, żeby było czém zapłacić wszystko.

Zaczęłyśmy wizyty od stariej Morand, bo ona była nam najbliżej po drodze; przytém z jej kaftana był duży pakiet, trochę za ciężki; byłam jednakże bardzo kontenta że go dźwigam, bo mi Pani powiedziała:—„Pamiętaj Małgosiu, że idziemy odwiedzać Pana Jezusa i wspomagać Go w osobie biednych. On nas tak przyjmie, jakbyśmy dla Niego to czynili co robimy dla biednych; On bowiem powiedział, że kubek wody podany w Imię Jego nie zostanie bez nagrody.“—Byłam więc szczęśliwą, że mogę nieść ten kaftan dla Jezusa Chrystusa, który mi daje tyle rzeczy i który za mnie umarł. I kiedy

patrzę na biednych, ta myśl przejmuję mnie wielkiem dla nich uszanowaniem. Zdaje mi się, że Jezus jest tam niewidzialny, że ja do Niego mówię; a On do mnie przez ich usta przemawia; to też gdy pocziwa stara Morand powiedziała mi: „*Moje dziecię niech cię Bóg błogosławi*“, o mało nie uklękałam, bo to Sam Bóg błogosławił mię, ale nie uczyniłam tego, żeby nie zadziwić téj małej dziewczynki, która pewno nie wie, że zajmuje miejsce Chrystusa.

Franciszka była też kontenta z sukienek dla swych małych, płakała z radości; ale gruba Marysia śmiała się, wzięła sukienkę w ręce i całując ją mówiła:— „Moja śliczna sukienka!...“—Siostrzyczka ję śmiała się tylko do cukru owsianego. Bardzo tam u nich ubogo, ale zawsze czysto i Franciszka i jęj dzieci takie czyste. Obiadek właśnie się gotował; składał się z zupy kartoflanej i grochu. Nie było w zupie masła, jak mówiła Franciszka, bo jest za drogie, żeby mogła kupować je co dzień. Biedna Franciszka! Jakie to musi być niedobre! Pani dała jęj trochę pieniędzy, żeby sobie kupiła masła na nowy rok, Franciszka była też bardzo kontenta. Ach! gdy sobie pomyślę, że jadam takie dobre obiady, a biedni nawet masła w zupie nie mają, a może nawet nie zawsze mają chleb! Gdybym zawsze o tém myślała przy stole, odjęłoby mi to ochotę do jedzenia najlepszych potraw, szczęściem nie co dzień o tém myślę. Najmilęjby mi było módz wszystko z nimi dzielić.

Zakończyłyśmy naszą wycieczkę wstępując do biednej żony mularza; wzbudza ona litość, bo zawsze płacze, mówiąc o swym mężu, Mówiła:— „Ach!

gdyby on żył moje dzieci *mieliby* zawsze chleb, i nie potrzebowalibyśmy żyć z miłosierdzia dobrych ludzi!“—Pani starała się ją pocieszyć ale biedna kobieta mówiła, że dzień Nowego Roku czyni ją jeszcze nieszczęśliwszą, bo wszyscy się cieszą, a dla niej nie ma już żadnej radości. Była jednak bardzo kontenta z naszych podarunków i dzieci także. Co mi było przykre, to że dzieci te nigdy nie mają zabawek, bo każdy woli kupować im rzeczy użyteczne. Bardzo to dobre, ale one są małe i pewno lubią się bawić tak jak my, to też Stefcia i ja wynalazłyśmy sposób zrobienia im przyjemności, bez wydawania pieniędzy, wyszukałyśmy wieczorem starych zabawek i rozdzieliliśmy je dla każdego dziecka, odłożywszy najprzód co trzeba dla dzieci Józefy. Stefcia ma takie dobre serce, że chciała dać wszystko co ma, nawet najpiękniejszą ze swoich lalek, którą tak lubi, ale nie pozwoliłam na to, bo już odłożyłyśmy kilka lalek, a chociaż trochę popsute, nic to nie szkodzi, małe dzieci nie bardzo na to zważają. Bercia przyniosła nam dużo rzeczy, była bardzo grzeczna. Gustaw podarował nam bębenek i starą szabelkę dla małego synka mularza. Wreszcie Mania i Joasia, widząc jak jesteśmy zajęte powiedziały, że bardzo żałują iż nie mają z sobą wszystkiego, co by nam dać chciały, ale pragną przynajmniej posłać dla biednych matek trochę pieniędzy, dały nam obie razem siedm franków. Co za radość, nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Gdy wracałyśmy od naszych biednych, Pani zaprowadziła mnie do spowiedzi. Ksiądz proboszcz mówił do mnie słowami, które mnie wzruszyły

i wiele mi dobrego sprawiły. On jest prawdziwym Bogiem, bo w konfesjonale ksiądz zastępuje miejsce Boga; słuchałam go z głębokim uszanowaniem i przyrzekłam mu czynić wszystko, co będę mogła, żeby się wreszcie poprawić w tym roku. Ksiądz błogosławił Najświętszym Sakramentem, bo właśnie odprawiano nabożeństwo na podziękowanie Panu Bogu za łaski których nam udzielił w ubiegłym roku i na uproszenie błogosławieństwa na rok następny. Wspaniałe to nabożeństwo wzruszyło mnie do głębi.

Wieczorem idąc spać pytałam Mamę o której godzinie będziemy mogli wejść do niej nazajutrz; odpowiedziała mi: — „*Najwcześniej jak będziecie mogli.*“ — Stefcia powiedziała, że nie będzie mogła iść, bo w tym dniu ma zostać w łóżku. — „Jako Stefcu, rzekła Mama, wolisz spać w dzień Nowego Roku, niżeli przyjść uściskać Matkę!“ — Stefcia zakłopotana się, ale od tak dawna pragnie tej dziwnej przyjemności, że jej się nie chciała wyrzec i odpowiedziała: — „O! Mamunia kochana przyjdzie do mnie; a przyrzekła mi przecie, że będę mogła zostać w łóżku?“ — Mama rzekła: — „Nie cofam obietnicy, ale nie wiem, czy będziesz z niej miała tyle radości, ile się jej spodziewasz. Ale przyjdę cię uściskać.“ — Stefcia uspokoiła się i poszliśmy na górę. Byliśmy wszyscy ciekawi, co to będzie jutro. Stefcia nim się rozebrała przyniosła swój kajet i włożyła go pod poduszkę, żeby mieć go przy sobie, gdy Mama przyjdzie do niej. Pani kazała nam razem zmówić pacierz jak zawsze i przypomniała nam, że powinniśmy podziękować Bogu z głębi serca, za wszystko

dobre, które nam zesłał, przeprosić Go za nasze grzechy i błagać o łaskę kochania Go coraz więcej i służenia Mu coraz lepiej. Taka modlitwa stosowną była dla mnie więcej niż dla Mani, która doznała więcej smutku niż przyjemności, to też gdy skończyłam modlitwę powiedziałam to Pani po cichu.

Pani odparła: — „Mania teraz poznaje, że nawet próby są dowodem łaski Boga, który je zsyła zawsze dla dobra naszego; dla tego też powinniśmy błogosławić Go zarówno w smutku jak i radości; — nie prawdaż kochane dziecko? spytała Mani. — Tak Pani, wiem, że Bóg jest dobry we wszystkim co czyni.“ — Serce jej jednak było pełne smutku. Pani spostrzegłszy to, mówiła dalej: — „Bez wątpienia, to poddanie się woli Bożej nie usuwa smutku, ale osładza go, bo pozwala nam płakać u stóp Boga i w cieniu Jego opieki zamiast nas od Niego oddalać, i tym sposobem przynosi nam pociechę. Tak drogie moje dzieci, — i wzięła Joasię na kolana; — wy które nie macie rodziców, abyście ich mogły uściskać jutro, nie będziecie jednak szemrały, ale powiecie Bogu: — „Ty Panie jesteś teraz wszystkim dla nas; bądź więc z nami, błogosław nas i miej nas w Swojej opiece; naucz nas kochać nade wszystko Ciebie, który jesteś Ojcem sierot i umieść w chwale Swój wiekuistej drogich naszych Rodziców, których nam zabrałeś!“

Mania i Joasia płakały i ja z niemi. Wzruszający był widok Pani, mającej na kolanach Joasię, obok siebie Manię z twarzą taką łagodną i bladą. Pani przyciągnęła ją do siebie i słyszałam jak mó-

wiła do niej: — „Przyjdź do mnie, będziemy razem płakały. Ja również jak ty nie mam rodziców i zgaduję co cierpisz!... Mania całowała ją długo, ale mnie było przykro, że Pani nigdy się przedemną nie żali i nigdy nie opłakiwała zemną swoich rodziców a czyni to z Manią. Ja przecież daleko więcej kocham ją od Mani, chociaż odkąd dziewczynki są tutaj, Mania bardzo często jest z Panią, i miewa z nią długie rozmowy. — Pani wprawdzie straciła rodziców, ale czyż my nie jesteśmy teraz dla niej rodziną? Pewna jestem, że Mama ją kocha jak siostrę, a my ją wszyscy uważamy jak matkę i zaraz po Mamie ją kochamy. Jabym zrobiła wszystko, aby jej tylko sprawić przyjemność. A jednak Pani jest smutna... a ja myślałam, że się już zupełnie pocieszyła! Chciałabym z nią pomówić o tém, ale nie ośmielę się nigdy; dam jej chyba dziennik: żeby widziała co myślę i żeby wiedziała jak mi to jest przykro.

A przytem kochana Pani, proszę, nie mów z Manią więcej niż ze mną o twych rodzicach. Czyż Pani nie kocha już swój Małgosi, czy chce ją zasmucić? Czy Pani myśli, że dla tego iż jestem tak często zła, nie mogę już mieć dobrego serca? Zresztą nie trzeba być bardzo dobrą, żeby kochać Panią, bo to nie trudno, a chociaż jeszcze jestem małą, mogę to jednak zrobić, kiedy nawet Bobuś już Panią kocha. Proszę więc, niech mi Pani odpowie na to wszystko.

A teraz opiszę dzień Nowego Roku! Obudziłam się równo ze dniem, a nawet mi się zdaje, że słońce wcale tego dnia nie wstało, bo nie widziałam go

cały dzień. Zobaczyłam, że Stefcia śpi jeszcze, i po cichutku wstałam. Bercia nie zdawała się także pamiętać o nowym roku, bo spała jak zabita. Józefa nie była jeszcze zupełnie gotowa, co mnie już gniewać zaczynało, ale przypomniałam sobie spowiedź, i pomyślałam, że jeszcze nie zmówiłam pacierza. Ukłękłam więc by go zmówić, potem przypominałam sobie wszystko, co mi mówił ksiądz proboszcz. Modliłam się za Ojca, za Mamę i Panią, za braci i siostry, a potem za Manię i Joasię. Ach! nie chciałabym być na ich miejscu!

Czułam że mi przeszedł zły humor. Bóg jest bardzo dobry, że powstrzymał mnie od gniewu w pierwszy dzień nowego roku! Gdy już byłam na pół ubrana, Józefa obudziła Bercię, co nie bez trudności przyszło, bo Bercia grymasiła jak zwykle i tak hałasowała szczególnie przy myciu, że przebudziła Stefkę, którą zapytałam na dzień dobry, czy nie zechce wstać. — Odpowiedziała że nie, że łóżko jej takie ciepłe i że bardzo jest kontenta z pozwolenia pozostania w niém. — „No, powiedziałam jej, to zaśnij jeszcze!“ — Ale Bercia hałasowała, co dokuczało Stefci, wreszcie przecie ubrano djabłątko i wzięłam ją za rękę, żeby zejść razem do Mamy. Wtedy Stefcia zawołała: — „Masz tu mój kajet, wolę, żebyś go zaraz Mamie zaniósła, i uściskaj ode mnie Rodziców. — Przyrzekłam to uczynić, ale powiedziałam, że jej bardzo żałuję, widząc jak zostaje sama na górze. Pobiegłyśmy z Bercią do pokoju Mamy, ten brzydki Gustaw już nas tam wyprzedził! Bercia weszła przedemną; na żaden sposób nie chciała mi pozwolić wejść naprzód. Wskoczyła

na łóżko, wołając: — „Szczęśliwego roku! szczęśliwego roku! Mamuniu! Gdzie moje prezenta?“ — Wstydziłam się za nią, słysząc ją tak mówiącą; ale ona taka mała! A potem nie czekając odpowiedzi, podała Mamie swoją wielką kartę. Mama udawała że jest zachwycona podarkiem, ale wyciągnęła rękę do mnie, żebym z kolei przyszła do niej. Ucałowałam Mamę przynajmniej ze sto razy i życzyłam jej szczęśliwego roku, ale zasmuciłam się, bo zdawało mi się, że Mama płakała, a całując Gustawa spostrzegłam, że ma także oczy czerwone; odszedł zaraz, jakby nie chciał, żebym to widziała.

Oddałam Mamie mankietki, znalazła, że są bardzo ładne, a potem powiedziałam Berci, żeby opowiedziała historię Józefa; mówiła ją jak aniołek. Potem oddałam Mamie kajet Stefki; Mama znalazła go dobrze napisanym i spytała czy Stefcia śpi. Odpowiedziałam, że zdaje mi się, iż zasnęła znowu; ale pewna jestem, że Mamie było smutno nie widzieć jej z nami, głównie dla tego, że to było z przyczyny jej lenistwa. Bercia ciągle dopominała się o kolenkę; wtedy Mama wyjęła pakiecik, który oddała jej; było w nim ładne pudełko z gospodarstwem ze złoconej porcelany. Bercia uradowana zeskoczyła z łóżka tak prędko, że ledwo co nie potłukła wszystkiego, potem znowu wdrapała się na łóżko, żeby uściskać Mamę, wreszcie pobiegła jak szalona pokazać swoją kolendę Stefci i Józefie; zdaje mi się nawet, że upadła na schodach i stłukła jeden spodek, co było powodem strasznej rozpaczki, ale wypadek pochodził z jej własnej winy.

Co do mnie Mama dała mi znak, bym usiadła na jej łóżku, potem nie mówiąc patrzyła na mnie ze łzami w oczach. Pochyliłam się ku niej i cicho spytałam: — „Czego płaczesz Mamo?“ — Mama mnie uściśnęła i rzekła: — „Na przyszły rok ty mnie pocieszać będziesz.“ — Wtedy zrozumiałam wszystko; Mama płakała, bo na przyszły Nowy Rok nie będzie z nami Gustawa. Biedny Gustaw, ja o nim nie myślałam, ale matki pamiętają o wszystkim, jak widzę, bo Mama pamiętała, że ja jej przyrzekłam pocieszać ją w nieobecności Gustawa. Odpowiedziałam więc: — „Tak, Mamo najdroższa, będę cię pocieszała z pewnością; taka będę dobra, taka dobra i tak cię będę kochała! Będziemy razem mówiły o Gustawie. — Ale powiedziała Mama, uśmiechając się, może będziesz mi mówiła o nim za wiele złego, tak się często spieracie! — O! Mamo, za nadto mnie karzesz surowo, mówiąc mi o tym teraz. Klóciliśmy się, to prawda, bo Gustaw mi się sprzeciwia, a ja nie umiem znosić przeciwności, ale to było w przeszłym roku, widzi Mama, a w tym roku nie gniewałabym się już nigdy z Gustawem, przyrzekłam to Bogu. Nawet bardzo żałuję, że nie będziemy już z sobą; chciałabym, żeby Bóg widział, jak dotrzymam obietnicy. I bardzo mi żal Gustawa, bo Go kocham z całego serca.“

Mama uściśnęła mnie i rzekła: — „Będziemy go więc razem żałowały moje dziecko... Twój brat ma wady, ale ma też szlachetne przymioty. Miłość jego dla mnie jest wielka i biedny chłopiec wiele będzie cierpiał na rozłączeniu z nami wszystkimi. — Czy Mama myśli, że on i mnie żałować będzie? —

Bez wątpienia, rozmawialiśmy przed chwilą o smutku, jaki jego i mnie czeka i gdy wymówiłam twoje imię, widziałam jak był wzruszony. — O! Mamo, czyż myślisz, że on mnie kocha naprawdę? — On cię bardzo kocha, Małgosiu, a jeżeli ci tego nie okazuje, to może dla tego, że ty mu także nie pokazujesz swego przywiązania? — Jakże mam zrobić? Chciałabym, żeby wiedział, że ja go Kocham także, ale będzie się wyśmiewał ze mnie, gdy mu to powiem. — Karolina powiedziała, moja duszko, że lepiej czynem *dowieść* uczucia, niż *mówić* o nié... Gdybyś więc spróbowała nie niecierpliwić się, nie gniewać na Gustawa i przyjmować z uśmiechem jego sprzeciwianie, oddawać mu te małe przysługi, jakich on od ciebie żąda, gdybyś zawsze była czuła, serdeczną i dobrą dla niego, czy sądzisz, że to nie byłoby dla niego dostatecznym dowodem przywiązania, i że postępowanie jego względem ciebie nie zmieniloby się na lepsze? — O! Mamo będę próbowała, byłabym uczyniła to już od dawna, gdybym się była domyślała, że Gustaw kocha mnie na prawdę. Ale jak myślisz Mamo, czy nie byłoby dobrze, gdybym zaraz poszła mu za to podziękować? — Nie, moja duszko, on to tylko robi, co powinien, ale od dziś zacznij mu okazywać więcej słodyczy i cierpliwości, a zobaczysz dobre takiego postępowania skutki. Będzie to dla mnie najslodsza pociecha, gdy będę mogła sobie powtarzać: Dzieci moje mimo odległości, jaka ich rozdziela, złączone są sercem; rozstały się po przyjacielsku, i kiedyś spotkają się z radością.“ — O moja dobra Mamuniu, zobaczysz że tak będzie!“

(Dziwna rzecz, że ja czasem mówię *ty* do Mamy. Mania zwróciła na to moją uwagę. Zdaje się, że tylko wtedy mówię Mamie *ty*, kiedy się z nią pieszczę, albo kiedy ją widzę smutną. Taka dobra, że pozwała mi mówić jak chcę).

Przyrzekłam jej pracować nad sobą i gdy ją jeszcze całowałam zapukano do drzwi; była to niańka z Bobusiem. W nowém ubraniu białém z niebieskiem śliczny był jak aniołek. Jednak zawsze trochę jest blady, taką ma interesującą minę. Mama wzięła go do łóżka, a ja się z nim bawiłam. Gdy go Mama całowała, rzekła do mnie po cichu: — „Prośmy Boga, żeby go nam zachował! On zaudobny do aniołka...“ — Przełękłam się i całując Bobusia, mówiłam mu: — „Staraj się pieszczotko nie być aniołem!“ — Chciałam się śmiać, ale Mama była smutna; na szczęście niańka powiedziała, że Bobus rano doskonale wymówił *Mama* i właśnie w téj chwili powtórzył to pięć albo sześć razy, i wszystkich nas rozśmieszył.

Mama dała niańce na kolendę ładną suknię, mnie dała śliczny neseserek z naparstkiem, nożyczkami, igielnikiem, szydelkiem; wszystko z perłowój konchy i złota. Pragnęłam właśnie mieć neseserek i nie wiem jakim sposobem Mama to zgadła. Ojciec wszedł właśnie wtedy, gdy miałam biedz do niego, by go ucałować; ofiarowałam mu pantofle, z których był bardzo kontent. Dał mi ładną parasolkę, której rączka rzeźbiona pięknie jest z kości słoniowej. Co za szczęście! Przed miesiącem zgubiłam swoją i nie śmiałam prosić o inną, bo zaudobto jestem nieuważna.

Ale nie mogę już pisać więcej, mój dziennik jest za długi, żebym go dziś skończyć mogła, muszę go już pisać od kilku godzin. Poproszę Pani, żeby pozwoliła mi dokończyć go jutro, choćbym miała ująć sobie czasu od rekreacyi.

Sobota, 3 stycznia.

Kończę więc ten długi dziennik noworoczny. Podziękowawszy Ojcu serdecznie, pobiegłam do Pani. Czekala na mnie, bo taka dobra, że przygotowała dla mnie niespodziankę: śliczne pudełko napelnione rozmaitej wielkości listowym papierem z moją cyfrą. Na kilku kajecikach są bardzo piękne winiety, przytém mnóstwo kopert i laku. Jednym słowem jestto przesliczne. Pragnęłam nadzwyczajnie mieć to i nawet odłożyłam sobie trochę pieniędzy, żeby kupić papieru którego bardzo potrzebować będę, gdy przyjdzie mi pisać do Mani do klasztoru, a później, gdy już będę w Indyach i do niej i do Gustawa.

Dałam Pani mój woreczek, była bardzo zdziwiona i bardzo kontenta, co mi wielką zrobiło przyjemność. Posiedziałam u niej trochę, a potem poszłam do Mani, bo Pani prosiła, żebym je obie przyprowadziła do niej, nim będą mogły pójść do Mamy. Staralam się nie mieć wesołej miny, wchodząc do pokoju, wiedziałam bowiem, że Mania mieć jej nie musi. W samej rzeczy zdawała się być bardzo smutną. Zajęta była czytaniem pobożnej książki, którą jej Pani pożyczyła, a stara Barbara kończyła

ubierać Joasię. Pobiegłam uściskać Manię, potem Joasię i powiedziałam, że Pani prosi je do siebie; ale nie śmiałam rozmawiać z Manią, bo nie wiedziałam co jej powiedzieć. Dowiedziałam się od niej, że dostała od Alberyka list bardzo serdeczny.

Kiedy zaprowadziłam je do Pani, poszłam prędko zobaczyć czy Stefka ciągle śpi. Biedne dziecko kręciło się w łóżku, bo Bercia zanadto hałasowała; zawołała mnie do siebie, żebym jej opowiedziała wszystko, co robiłam u Mamy. Zdaje mi się, że jej się znudziło łóżko, ale wstydziła się przyznać do tego. Zaprowadziłam Bercię do pokoju naukowego, aby Stefcia naprawdę mogła korzystać ze swego pozwolenia, ale kiedy trochę później wróciłam po chustkę od nosa, widziałam, że jeszcze ma oczy otwarte; wtedy powiedziałam jej: — „Na twojem miejscu, jabym wstała.“ — Odparła mi: — O! nie, może to jedyny raz pozwolili mi leżeć.“ — „Ale czy cię to bawi, zapytałam jej?“ — Że ona jest bardzo szczerą, przeto odrzekła mi: — „Nie, nie tak bardzo jak myślałam.“ — To wstań! — Teraz już nie mogę, bo się śmiać będą ze mnie. — Jeszcze się więcej będą śmieli, jeżeli zostaniesz w łóżku. — O! nie, bo ty nie powiesz, że mnie to nudzi. — Nie powiem, ale dziwnie jednak przepędzasz dzień Nowego Roku.“ — Westchnęła ciężko i odwróciła się na drugą stronę, prosząc, żebym ją dobrze okryła, bo już jej nie bardzo było ciepło. — „A widzisz, mówiłam jej, mnie już ciepło teraz, w pokoju naukowym, gdzie się bawię z Bercią rozpalili duży ogień, a wkrótce będziemy się doskonale bawiły z Cesią i Klarą, czy nie

przyjdiesz zobaczyć się z niemi?“ — Nie odpowiedziała nic, bo udawała śpiącą, odeszłam więc.

Wychodząc do kościoła Mama poszła ucałować ją; byliśmy wszyscy razem w kościele z powodu Nowego Roku, dla tego że w ten dzień obchodzą także Obrzezanie Pana Jezusa. Mama zanosła Stefci kolendę od siebie i od Ojca; dostała bardzo ładną kuchnię ze wszystkiém co potrzeba i śliczny krzyżyk złoty, taki sam jaki ja dostałam od Ojca przeszłego roku. Stefcia była zachwycona kolendą i doskonale wydała swoje wiersze. Ale Mama mówiła przy śniadaniu, że zdaje jej się, że biedne dziecko bardzo żałuje nierozważnie wymówionej prośby. Zaniesiono jej śniadanie do łóżka. Po śniadaniu poszliśmy z Manią i Joasią do pokoju naukowego; one także dostały kolendę. Mania dostała od Mamy bardzo ładne książki, które zaraz czytać zaczęła, a Joasia śliczną lalkę, która ją bardzo bawi.

Gustaw cały dzień był z Ojcem. Nareszcie przysła Cesia Dufon i zaczęła zaraż wyprawiać hałasy z Joasią i z Bercią. Potém przysła Klara, która była bardzo ceremonialnie z Manią i takie robiła miny, jakby chciała wyżej się od niej postawić i mówiła do mnie w taki sposób, jakbym ja była z nią w większej przyjaźni niż z Manią. Prawda, że ją dawniej znam, ale wolę Manię. Zresztą Mania tyle doznała nieszczęść, że wszyscy powinni być dla niej dobrzy. Nie podobała mi się Klara i byłabym dla niej niegrzeczna, gdyby nie Pani, która dawała mi oczami znaki, albo mię po angielsku ostrzegała. A przytém tłusta Cesia była zbyt wesoła, co mię niecierpliwiło, bo Mani ciężko było na

sercu i gniewałam się sama na siebie, gdy się za nadto śmiałam.

Mama kazała nam przygotować w jadalnym pokoju doskonały podwieczorek i sama nam rozdawała, dopóki nie wezwano ją do salonu, do przyjęcia gości. Pani była przy Bobusiu, bo niania prosiła żeby jej pozwolono wyjść na chwilę, ja więc miałam wielki kłopot z temi wszystkimi dziewczynkami, które wszystkie razem zaczęły mówić, krzyczeć, że nie można się było zrozumieć. Klara nie bardzo krzyczała, ale była nieznośną ze swemi opowiadaniem o podarunkach, które dostała, od matki, ojca i wszystkich przyjaciół ojca. Mówiła to z taką przesadą, jakby chciała nam dać do zrozumienia, że my szczególnie *ta mała* de Laval, jak powiada Klara, nie dostałyśmy tyle co ona podarunków. Jednakże nie mogę wierzyć, żeby miała być do tego stopnia złą. Ale przykro mi było za Manię, i chciałam to powiedzieć Klarze, gdy więc po podwieczorku Pani poszła do Bobusia a Joasia pobiegła na górę do Stefci, żeby zobaczyć czy śpi i zanieść jej ciastek, powiedziałam Cesi i Klarze, że nie trzeba wiele mówić o rodzicach przy Mani, bo to ją zawsze pobudza do płaczu dla tego, że ona straciła rodziców.

— „Ale moja kochana,“ odpowiedziała mi Klara, o czémże mamy mówić? — Ja nie wiem, ale o czém inném.“ — Cesia zawołała: — „Ach! moja droga w dzień Nowego Roku nie można mówić o czém inném jak o kolendzie, a tę zawsze dają matki. — To mówmy o tém teraz, kiedy Mani tu niema. — O! twoja Mania, powiedziała Klara z miłą pogardliwą, wcale mi się nie podoba; to lalczka

wymuszona ze swoją twarzą sentymentalną i bladą. — Cesia wybuchła śmiechem, mówiąc: — „To wielka prawda!“ — Ale mnie to rozgniewało i zawołałam — „Bardzo źle mówisz Klaro, bo jeżeli Mania jest blada, to dla tego, że straciła matkę; chcę powiedzieć że z téj przyczyny jest smutna i z powodu śmierci dziadka także, a wy nie macie serca, jeżeli się z niej śmiać możecie. — Ach! u ciebie co słowo występuje *serce*, odezwała się Klara, mój Boże! moja droga, tylko u was słyszeć to można, co téż i mama powiada. Jesteś prawie tak przesadzona jak Mania. — Bardzo jesteś złośliwą Klaro, nie powinnabyś mówić o przesadzie, ale mi to wszystko jedno, co mówisz o mnie, i bardzo się cieszę, jeżeli jestem podobna do Mani; wy także powinnyście być podobnymi do niej. Zresztą to bardzo dobrze mówić o sercu i mieć je dobre, Pani zawsze mi o niem mówi. — Ja téż nie utrzymuję, żeby to było twoją winą, odrzekła Klara szyderskim tonem. — Ale to nie jest wcale winą, zawołałam, bo Pani by jęj nie popełniła. — Ach! mój Boże, rzekła Cesia, nie gniewaj się, jeżeli mówię coś przeciw pannie Valmy; na pensyi mówimy gorsze rzeczy o naszych nauczycielkach. — A to bardzo źle Cesi, nie powinnabyś robić tak. — Ja jednak robię tak, i nie znajduję, żeby to było złém, bo na to są nauczycielki, żeby nas nudzić, a my na to, żeby im dokuczać. — O! Cesi, nie myślałam, żebyś była tak złą! Owszem nauczycielki są bardzo dobre, że się zajmują nami; cóżbyś zrobiła, gdyby cię nie poprawiano z błędów? — Wyrosłabym z niemi, lepiej to jak być karaną za nie. — Ależ Cesi, a niebo? jakżebyś doń weszła po

śmierci? — O! ja nie myślę o śmierci. Jestem za małą na to! — Za to Małgosia ciągle o niej myśli, do dała Klara, to mała święta. Tylko o niebie słyszy, cały dzień się modli, co miesiąc chodzi do spowiedzi, co jednakże nie przeszkadza jęj gniewać się.“

Byłam gotowa rozgniewać się znowu, ale powstrzymałam się i powiedziałam tylko: — „Nie, ja wcale nie jestem święta, i gniewam się, to prawda, ale staram się poprawić właśnie dla tego, że mi o niebie mówią, bo chcę się tam dostać, a wy nie macie téj chęci? — Ja dzięki Bogu nie gniewam się, odparła Klara. — Ale masz inne wady, a jak się z nich nie poprawisz, nie pójdziesz do nieba. — Na szczęście nie ty moja droga będziesz o tém sądziła: Ale bądź spokojna, ja nie jestem tak zła, jak myślisz, powiedziałaaby ci mama. — A panna Lérins czy cię o twoich wadach nie ostrzega. — Często mi prawi kazania, bo na to nauczycielki są na świecie, ale ja wcale nie zwracam na to uwagi; zresztą mama nie znajduje żebym tak bardzo potrzebowała tego, bo wie, że mam dobre serce, chociaż nie powtarza mi tak często tych wszystkich pięknych słówek, które ci mówi twoja Mama. — Więc nawet na Mamę zaczynasz mówić? — Nie, wcale! Wszyscy znajdują, że twoja Mama jest śliczna i bardzo dystygowana. — Ale nie lubisz Pani, ani Mani? — Mój Boże; nie mam do tego tych samych, co ty moja droga, powodów. Ty wszystko znajdujesz cudowném. Panna Valmy mówi ci, że jesteś małym potworem, a ty temu wierzysz. Karze cię, a ty jęj dziękujesz! — Nie, ona mi nigdy nie mówi, że jestem potworem i nie karze mię, bo jest bardzo dobra, ale mi

wskazuje moje błędy, a ja bardzo się z tego cieszę, bo dla tego pracuję nad sobą i staram się poprawić.—Tém lepiej moja droga.—Nawet ty Klaro powinnaś bardzo szanować Panią, bo ona mnie uczy, że powinienam kochać wszystkich ludzi i ciebie także dla tego, że jesteś moim bliźnim.“ — Te słowa rozgniewały Klarę, odparła więc: — „Nie potrzebuję twojej przyjaźni, jeżeli mi ją tylko dla panny Valmy okazujesz.“—Starałam się uspokoić ją trochę, na szczęście rozmowę tę przerwało przyjscie Joasi, która zaczęła nam opowiadać o Stefci.

Ale doprawdy Klara wcale mi się nie podoba, ani tłusta Cesia także: Mania warta tysiąc razy więcej od nich, a nawet Joasia.

Kiedy Pani powróciła tak dobrze dopomogła nam do zabawy, że zdaje mi się, iż Klara nawet znalazła ją bardzo uprzejmą. Odeszły wreszcie, a ja udałam się do Stefci, której mi bardzo żal było, bo płakała. Mówiła mi, że jęj zimno w łóżku, że nie może spać i nudzi się strasznie. Starałam się namówić ją do wstania, ale odpowiadała mi ciągle, że nie może tego zrobić, boby się śmiano z niej. Nakoniec Pani przysła i wytłómaczyła jęj, że daleko lepiej robi, wyznając po prostu i szczerze, że jest leniuszek, że się sama mimo woli ukarała i postanawiając być odtąd czynniejszą i mieć odwagę wstawania, bo leżąc ciągle w łóżku nie jest *szczęściem*. Namawiała ją też Pani, aby dowiodła swoich dobrych chęci, wstając natychmiast. Stefcia wstała więc i ubrała się, ale wydawała się bardzo zawstydzoną, chociaż w samęj rzeczy była bardzo kontenta, jestem tego pewna.

Zjedliśmy doskonały obiad, nadewszystko mieliśmy dużo cukierków, bo prawie wszyscy przyjaciele i znajomi rodziców poprzysyłali nam je, co bardzo z ich strony grzecznie; odłożyliśmy sporo cukierków dla biednych.

Wieczorem bawiliśmy się w szarady, których nas nauczyła Pani, to śliczna gra; Ojciec nawet jest tego zdania. Jednym słowem bardzo dobrze przepędziłam cały dzień, z wyjątkiem sprzeczki z Klarą i Cesią.

Wczoraj w Piątek miałam rekreacyą jak już mówiłam, ale za to pisałam dziennik, który mi zabrał wiele czasu. Jedliśmy jeszcze cukierki, ale spostrzegłam, że bardzo łakoma, bo się nadzwyczajnie cieszę, kiedy mogę zjeść co dobrego, a to nie pięknie lubić łakocie, to też aby się ukarać, oddam Berci wszystkie cukierki, które mi zostały.

Stefcia przez te dwa dni wstawiała bardzo chętnie, zdaje mi się, że jęj się łóżka na długo odechciało.

Jesteśmy bardzo smutni, bo Mania opuszcza nas pojutrze. Nie wiem co robić będę bez niej.

Wtorek, 6 stycznia.

Ach! jakże my nieszczęśliwe jesteśmy! Tak jesteśmy osamotnione teraz, gdy Mania i Joasia weszły do klasztoru! Wczoraj miało to miejsce, Mama odprowadziła je i do Mamy też będą przychodziły gdy im wyjść pozwolą, ale to zaledwie raz na miesiąc być może; tak rzadko! Zresztą my będziemy

mogły je odwiedzać, ale to nie to samo. I pomyślać, że onegdaj jeszcze były tutaj i że się uczyłam razem z biedną moją Manią i rozmawiałam z nią, a teraz już jęj niema! Ach! co to za nieszczęście. Aż mi się chce płakać. Gdyby Mania miała matkę, któraby ją całowała i pieściła, cieszyłabym się z tego, ale klasztor! to przecie nie matka, a choćby też był do nięj podobny, (powiadają że siostry są bardzo dobre i że nawet uczennice mówią do nich „matko“) to zawsze jest matka taka, która za wiele ma dzieci. Ja wolę, że nasza Mama ma nas tylko pięcioro, daleko więcej jesteśmy dla tego pieszczone i dosyć nas jest.

Mania bardzo była odważna przy pożegnaniu, a jednak żal jęj było opuszczać nas, szczególnież mnie, jak mi się zdaje, bo gdyśmy były same powtarzała mi:—„Małgosiu, Bóg jest bardzo dobry, że mi dał taką jak ty przyjaciółkę. — O! Maniu odparłam, nazywaj mnie lepiej *siostrzyczką*, bo się będzie zdawać, że moja Mama jest także twoją matką, a wiesz, jak ona cię kocha. — Tak, Małgosiu, odpowiedziała mi Mania, będziesz moją *drogą siostrzyczką*. Nigdy nie zapomnę dobroci twojej Mamy. Nie umiem jęj powiedzieć wszystkiego co czuję, ale ty jęj powiesz, że nie jesteśmy niewdzięczne...—O! Mama nigdy tego nie pomyśli, Maniu, jednak powiem jęj wszystko!—Powiedz jęj także, że nie śmiem mówić do nięj i że dla tego nie umiem jęj lepiej podziękować, ani też Ojcu twojemu.—Tak, ale mię to dziwi, że jesteś tak nieśmiała względem Mamy.“

Ale ona z natury tak nieśmiała, że trzeba jęj to wybaczyć. Mama mi mówiła, że gdy oddała prze-

łożonej Manię i Joasię, Mania tak na nią patrzyła, jakby jęj coś chciała powiedzieć, ale rzekła tylko:—„Dziękuję...“—widać jednak było ile czuła, Joasia skoczyła Mamie na szyję i ucałowała ją z płaczem kilka razy. Ona także jest dobra ta Joasia i bardzo jęj braknie Stefcy i Berci.

Stara Barbara zostanie u nas dopóki nie powróci do Burbon, bardzo jest z tego kontenta, ale aż mnie litość bierze patrzeć, jak płacze za swemi panienkami. Mania poleciła mi, żebym ją pocieszała, ale ja sama jestem tak smutna, że trudno mi to będzie. Postaram się jednak dogadzać starowince.

Zapomniałam powiedzieć, że Mania jest w *klasztorze Wizytek*; leży on na drugim końcu Paryża, co jednak nie przeszkadza, że poszłabym pieszo zobaczyć ją, gdybym знаła drogę, i gdyby mi na to pozwolono. Powróciłam teraz do mego pokoiku, to dziwne, jak mi smutno, że niema już tam Mani, a przytęm czuję przyjemność na myśl, że ona tam była. O! biedna moja Maniu, jak ja się modlę za ciebie! Przysięgła mi donieść, czy jęj tam nie będzie bardzo źle i opisać wszystkie szczegóły. Joasia przysięgła to samo Stefcy. Bardzo mi przykro wzięść się do roboty, jednak Pani powiada, że to mnie najlepiej rozerwie; zajmuje mnie tylko mój dziennik, bo mogę w nim mówić o Mani.

Ale dałam też pani do czytania mój dziennik z ostatnich dni; tymczasem pisałam kaligrafię, ale co chwila spoglądałam z pod oka, jaką minę Pani robi; chciałam wiedzieć, kiedy Pani dojdzie do owego ważnego miejsca. Zdaje mi się, że odgadłam, gdy je czytała, bo twarz jęj zmieniła się, a ja sobie

liczyłam karty, jak je Pani przewracała. Sądziłam, że mi co powie, i prędko spuściłam oczy, ale nie powiedziała nic.

Wynagrodziła mi to w godzinę rekreacji, zbyt było brzydko na dworze, by wyjść można, zawołała mnie więc Pani do swego pokoju i powiedziała do mnie: — „Czy nam tu nie dobrze rozmawiać, kiedy to lubisz? — O! bardzo dobrze, odparłam, — ale byłam trochę zakłopotana. — Pani usiadła w swoim wielkim fotelu, który ja tak lubię, bo jeżeli chcę zawsze tam obok niej usiąść mogę i wskazała mi miejsce na swoich kolanach; wskoczyłam na nie, a Pani mnie uściskała. Ja ją też serdecznie ucałowałam, poczem rzekła: — „Czy moja mała Małgosia może się obawiać, że nie jest dosyć kochana? Czy jęj nie daję ciągłych dowodów mego przywiązania? — O! owszem Pani kochana, zawołałam, wiem ja dobrze, że mię Pani kocha bardzo, ale ja Panią jeszcze więcej kocham.“ — Pani się uśmiechnęła, i spytała: — „O cóż ci więc chodzi? — O! Pani wie, bo ja naumyślnie napisałam to w dzienniku. — Szalona jesteś, drogie dziecię, czy możesz przypuszczać, że moje współczucie dla Mani może się równać z macierzyńskim prawie uczuciem, jakie mam dla ciebie? — O! jabym chciała, żeby Pani Manię także kochała, ale dla czego Pani z nią a nie ze mną mówi o swoich smutkach? — Dla wielu przyczyn, drogie dziecię; naprzód dla tego, że ona jest nieszczęśliwą, a ci którzy cierpią zawsze się rozumieją.

Pani powiedziała te słowa z tak smutnym wyrazem twarzy, że mi się przykro zrobiło. Zawoła-

łam: — O! niech Pani nie mówi że jest nieszczęśliwą, ja tego znieść nie mogę. — Widzisz więc moja Małgosiu, odrzekła Pani, ten rodzaj uczucia, jaki masz dla mnie, nie pozwala mi rozmawiać z tobą o tém, co mię zasmuca, jesteś zanadto wrażliwą, za żywą i zarazem zbyt czułą. — Ale proszę Pani, czyż to złe być czułą? — Nie, z pewnością drogie dziecię i daleko wolę, że taką jesteś, niż gdybyś miała być podobną do tych samolubnych i zimnych dzieci, które nigdy nie wyrazić nie umieją, dla tego może, że nie nie czują. — Jak Klara?“

O! jakże żałowałam, że to powiedziała! Twarz Pani nabrała wyrazu surowego.

— „Otóż to złe bardzo, rzekła; kiedy słyszysz, że mówię o rzeczach, które trzeba ci wystawić jako złe, bo rzeczywiście są takimi, nie powinnaś zaraz robić porównań, upatrując podobieństwo w twoich przyjaciółkach. Jestto grzech przeciwko miłości bliźniego. A zresztą jak możesz wiedzieć, że się nie mylisz w sądzie, ty która tak często błądzisz w wielu rzeczach. W téj nawet chwili, nietylko nie okazujesz miłości bliźniego, ale mijasz się z prawdą. — O! niech mi Pani wybaczy! — Nie gniewam się na ciebie moje dziecię, ale chcę cię oświecić. Utrzymujesz, że Klara jest egoistką, ona wcale nie jest taką; to nawet dobre dziecko i matka jęj wcale nie przesadza, mówiąc, że Klara ma bardzo dobre serce; przypomnij sobie, co sama mówiłaś o niej, widząc, że oddała biednej kobiecie pieniądze przeznaczone na kupienie ciastek. Na nieszczęście ten dobry charakter Klary nie jest uprawiany tak starannie jakby nim być powinien; usiłowania panny Lé-

rins nie są wspierane, a biedną Klarę psuje nietylko matka, która robi to mimowiednie, ale jeszcze świat, którego to mało obchodzi, że wyrządza dziecku krzywdę.—O! szkaradny świat! Pani znowu powie, że ja jestem bardzo zła, ale ja nie mogę ukryć przed Panią tego, co myślę, więc jeżeli Klara nie ze swojej winy jest niedobra, to zapewne z winy swojej matki? — Moje dziecko, jeżeli ci nie wolno sądzić twoich towarzyszek, tembardziej nie powinnaś sądzić osób starszych. Pani de Baldi nie wychowuje Klary tak, jak twoja Matka chowa ciebie, to prawda; jednakże nie potępiajmy ję, bo ona mieć może wymówkę przed Bogiem zawsze miłosierniejszym od ludzi. Klara jest jedynaczką, co w oczach ję matki jest dostateczną przyczyną do psucia dziecka. Przytém nawyknięcia Pani de Baldi przeszkadzają ję widzieć błędy Klary. Ona żyje ciągle w świecie, do czego mąż ję z powodu stanowiska, jakie zajmuje, sam ją zachęca, a kiedy jest z córką nie myśli o ję wadach, których istnienia może nawet nie przypuszcza. — A więc dla czego nie pozwala pannie Lérins zająć się tęp. — Bo na nieszczęście nie ma do nię takiego zaufania, jakie mnie okazuje droga wasza Matka; a przytém moje dziecko, trzeba ci o tęp wiedzieć, że osoby żyjące w świecie tracą to światło, jakie Bóg daje tym, którzy jedynie dobra szukają. Nie widzą oni jasno prawdziwych powinności swoich i kończą na tęp, że stwarzają sobie osobną religię i osobne zasady. Jestto nieszczęście, dla którego powinniśmy ich żałować, zamiast ich potępiać.—O! ja bywać nie będę w świecie jak dorosnę i nienawidzę świata, kiedy

z jego przyczyny zapominamy o Bogu. Ale pani de Baldi i Klara chodzą na mszę i Klara przyjęła przeszłego roku pierwszą Komunię, a jednak śmieje się ze mnie, gdy ja o niebie mówię. Powiada, że ja chcę zostać świętą, czyż ona nie powinna tak samo jak ja chcieć tego? — Bezwątpienia moje dziecko taki jest rozkaz Boga: „*Bądźcie świętymi tak jako Pan i Bóg wasz świętym jest*”. Na nieszczęście są ludzie, którzy w religii widzą tylko zewnętrzne formy i sądzą, że uczynili już wszystko, co powinni, gdy w niedzielę pójdą na mszę.—Ależ proszę Pani, byłoby to bardzo wygodnie, gdyby to było jedynym warunkiem wejścia do nieba, to tak miło być w kościele! Najtrudniej jest poprawiać się z błędów.—Tak moje dziecko i w tęp właśnie leży zasługa. Zresztą, jeżeli ci mówię to wszystko, to dla tego jedynie, żeby ci dać poznać nieskończone łaski, jakimi cię Bóg obdarzył, pozwalając ci urodzić się w rodzinie chrześcijańskiej i dając ci taką matkę....—I Panią! Chcę, żeby Pani mówiła o sobie.—Tak! moje dziecko, jeżeli chcesz, jestto jedna więcej łaska, którą ci Bóg daje, używa On mnie jako narzędzie Swojęj woli w tęp, co się ciebie dotyczy... Ile razy cię łaję, albo nauczam cię, czynię to w Jego Imieniu, z Jego polecenia, jakże więc powinnaś Mu dziękować za to szczególnie, że uczęszczasz na katechizm i słuchasz wykładu religii z ust samychże namiestników Boga i Jego zastępców na ziemi! Małgosiu, Bóg kiedyś zażąda od ciebie rachunku za te wszystkie łaski; On bowiem wiele wymaga od tych, którzy wiele otrzymali i będziesz kiedyś musiała okazać, co uczyniłaś, żeby się

wywdzięczyc za łask tyle... Cóż się z tobą stanie jeżeli się nie poprawisz i zamiast być wdzięczną i pokorną, okażesz się dumną, wynoszącą się nad innych i jeżeli się ośmielisz sądzić tych, którzy mniej byli od ciebie obdarzeni? Ach moje dziecię, nie szukaj nigdy złego, ale gdy je widzisz, powiedz sobie: — „Czy ja nie robiłabym gorzej, gdyby mnie Bóg tysiącem łask nie wspierał? A zresztą spytaj sumienia, czyż sądzisz, że nie obrażałaś często Boga, częściej może niż Klara?“

Mój Boże, mój Boże, jakże byłam zawstydzona i nieszczęśliwa! Rzuciłam się Pani w objęcia i zaklinałam ją, aby mi przebaczyła; przyrzekłam, że nigdy już nie będę myślała źle o Klarze, ani o Pani de Baldi i zapytałam jej czy źle robię, kochając więcej Manię od innych dziewczynek? Na szczęście, Pani powiedziała, że to bardzo naturalne i zupełnie dozwolone. Wreszcie chcąc mnie cokolwiek pocieszyć, powróciła do początku naszej rozmowy. Wytłómaczyła mi, że nigdy nie mówiła ze mną o swoich drogich rodzicach dla tego, żeby mnie nie zasmucać i że wreszcie stara się poddać woli Bożej i nie trapić się zbytecznie, a z Manią dla tego o tém mówiła, aby skłonić ją do wynurzeń i przez to pocieszyć ją trochę. A potem powiedziała, że jest tak szczęśliwą z nami, jak tylko nią być może i że codziennie dziękuje Bogu, iż jest u nas. Wreszcie przyrzekła mi, że po pierwszej Komunii, jak będę trochę starsza rozmawiać ze mną będzie jak z przyjaciółką, a nawet że pierwój jeszcze będzie ze mną czasami mówiła o swoich Rodzicach. Ach! jakże ich żałuję, że nie mogą już być ze swoją cór-

ką. Gdyby Mama miała taką córkę jak Pani, sądzę, że byłaby zawsze szczęśliwa. Ale mieć córeczkę Małgosię z tyloma wadami! Postaram się jednak być dobrą. Doprawdy myślę, że gdyby Klara wiedziała z jakim pobłażaniem Pani mówi o niej, byłoby jej przykro, że cokolwiek złego powiedziała na nią.

Piątek, 9 stycznia.

Bardzo byłam wczoraj szczęśliwa! Mama nie mówiąc mi nic, prosiła pani Przełożoną, żeby mi pozwoliła przyjść razem z Mamą do parlatorium; Przełożona przystała na to. Poszłyśmy więc do klasztoru, Mama, Pani, Stefka i ja. Bercia krzyczała i płakała, żeby iść także z nami, ale Mama nie chciała jej zabrać, bo panna Berta była bardzo niegrzeczna dziś rano. Tak było jednak Mamie przykro słyszeć łkania Berci, że zdaje mi się byłaby jej przebaczyła, gdyby nie Pani, która prosiła, żeby Mama nie robiła tego, bo Bercia za często się gniewa, ufając w to, że nikt nie będzie miał odwagi ukarać jej. Mama uciekła, aby nie widzieć jak biedna mała płacze, a Pani starała się wytłómaczyć Berci, że dla swego dobra jest karana i że zamiast zasmucać Mamę płaczem, powinna dziękować tym, którzy starają się poprawić ją z błędów: Bercia poddała się wreszcie karze, i pobiegła pokazać Mamie, że już nie płacze, ale miała serce pełne żalu. Szczęściem nie widziała, jakieśmy odchodziły, bo Pani poleciła Józefie, żeby z nią wcześniej wyszła na spacer. Zre-

szta nie prosiła się więcéj, bo wszystkie dobrze wiemy, że kiedy Pani powie *nie*, to rzecz skończona, że słowa nie zmieni, bo jéj *nie* jest zawsze sprawiedliwe.

Droga do klasztoru wydawała mi się bardzo długa, to dowód, jak Mania jest od nas daleko. A przytém bałam się ciągle, że ją zastanę smutną. Ale wcale nie, twarz miała weselszą, na niéj wyraz zadowolenia, może to dla tego że mnie zobaczyła. Więcéj jak zwykle rozmawiała z Mamą i Panią i z radością usłyszałyśmy od niéj, że jéj *bardzo dobrze* w klasztorze, chociaż to mnie trochę dziwi, bo te wielkie mury, te wielkie drzwi, te czarne kraty, a nawet te zakonnice zasłonięte długimi welonami, wszystko to bardzo surowo wygląda. Ale Mania powiada, że to na niéj nie czyni wielkiego wrażenia, że przeciwnie klasztor wydaje jéj się domem Boga, w którym On raczy jej dawać przytulek; w klasztorze jest kaplica, a Mania powiada, że miło jéj módz wejść tam często i pomodlić się! Bardzo temu wierzę; to wielkie szczęście mieć tak Pana Jezusa przy sobie. Wprawdzie jest On wszędzie, ale w kaplicy istotniéj jest obecnym niż gdzieindziéj. Niema także powodów do roztargnienia jak w pokoju, w którym w oczy nam się cisną zabawki albo książki rozrzucone tu i tam, albo suknia którą się ma włożyć, albo śniadanie które już przyniesli i t. d. Jak urosnę i pójdę za kogoś bardzo, bardzo bogatego, powiem mu, żeby mi wystawił w domu kaplicę; tam co rano i co wieczór będę prowadziła moje dzieci na modlitwę. Ale nim nadejdzie ta chwila, która jeszcze bardzo jest daleka, muszę w moim pokoiku

urządzić kącik cichutki, żeby w nim mieć rodzaj oratorium i módz się modlić bez roztargnienia. Pani radziła mi to samo.

Teraz wracam do Mani. Zapewniała mnie, że jéj się w klasztorze podoba i sądzi, że jéj tam będzie dobrze; ale teraz jeszcze jest tak smutną po śmierci dziadka i po rozstaniu się z nami, że nie może ocenić swego szczęścia od razu. Zadałam jéj tysiące pytań o siostry, o dziewczynki, o jedzenie, spanie, klasy. Odpowiadała mi na wszystko. Siostry są dla panienek prawdziwemi matkami i dla tego wołają na nie matko. Szczególniéj jedna siostra Franciszka Salezya podoba się Mani, jest bardzo dobra i bardzo łagodna! Mania znajduje, że ta dobra siostra ma taką twarz, jak na obrazach malują Najświętszą Pannę; jaka szkoda że jéj nie mogłam widzieć, ja co tak kocham Najświętszą Pannę.

Jest tam bardzo wiele małych panienek, a nawet i dużych, ale Mania powiada, że jeszcze nie wie jak się nazywają; szkoda, bawiłoby mnie znać te wszystkie nazwiska. Widać że uczennice trzymane są bardzo ostro i że im nie wolno rozmawiać w klasie, czego pewno nie lubią, ale podczas rekreacji wynagradzają to sobie. Mania powiada, że wtedy robi się hałas nie do wytrzymania, że w przepysznym wielkim ogrodzie bawią się, skaczą, biegają ile chcą. Pytałam się Mani co ona robi przez ten czas, bo pewna jestem, że nie biega. Odpowiedziała mi: — „Pierwszego dnia chodziłam sobie z Joasią, która nie śmiała zbliżyć się do tych dzieci, ciekawie patrzących na nas; ale jedna z panienek przyszła zaprosić nas do zabawy, i Joasia zdecydowała

się pójść z niemi. — A ty Maryniu sama zostałas? — Na chwilę; kilka większych panienek przyszło rozmawiać ze mną, były bardzo dobre dla mnie. — Czy one ci się bardzo podobają? — Tak, to ładnie z ich strony, że się do mnie zbliżyły, widząc mnie smutną. — Ale Maniu tak być powinno, jabym bardzo chciała być na ich miejscu. Ale ty ich nie więcej kochasz odemnie, prawda? — Mania zaczęła się śmiać tak serdecznie, że mnie to uspokoiło i odpowiedziała: — „Jakże możesz obawiać się tego? Zaledwie je znam, a choćym się nawet z niemi zaprzyjaźniła, ty zawsze więcej będziesz u mnie znaczyła, bo jesteś moją drogą siostrzyczką.“

Jak to było pięknie ze strony Mani, że mi to powiedział! Na nieszczęście z łaski téj szkaradnej wielkiej kraty która nas rozdzielała nie mogłam jej ucałować; ale podziękowałam jej serdecznie. Zdaje się, że Joasia nie tak kontenta z pobytu w klasztorze co mnie dziwi, bo ona się przecież bawi, a Mania tylko spaceruje, Joasia mówi, że gdyby ciągle były rekreacye, byłoby tam zabawnie, ale że za wiele jest do roboty, że jedzenie mają gorsze jak u dziadka i w domu, że trzeba rano wstawać, że wreszcie kiedy te siostry chodzą wieczorem po ogrodzie, wyglądają jak duchy z długimi welonami swojemi. — „Jak ona może to mówić? powiedziała mi Mania po cichu, mnie przeciwnie wydają się one aniołami, jakby miały do nieba ulecieć...“ — Mama powiada, że te same rzeczy mogą być różnie uważane i sądzone, stosownie do sposobu zapatrywania się na nie.

Krótko bardzo byliśmy z Manią i Joasią, ale mimo to ta wizyta im i nam zrobiła wielką przyjemność. Biedna Mania! to ona jest podobna do anioła z tym białym welonem, który każą im kłaść, gdy idą do parlatorium, tak jój w nim ładnie! — Mama zaniósła im pastylek czekoladowych i cukierków, co bardzo ucieszyło Joasię, powiedziała, że je rozda dziewczynkom, które dla niej i dla Mani będą grzeczne. Nareszcie pożegnałyśmy się z niemi przyrzekając, że odwiedzimy je raz jeszcze, zanim one będą mogły wyjść. Prosiły, żeby od nich uściśkać Bercię i Bobusia i kłaniać się Gustawowi, który był, jak mi się zdaje bardzo z tego kontent, bo jemu ich także żal. Mania podziękowała Mamie i za te odwiedziny i za te wszystkie dowody serca, jakie Mama jój dała, prosiła także, żeby ją i Joasię polecić pamięci Ojca. Podałyśmy im jeszcze ręce przez kratę i odeszłyśmy.

Pomodliliśmy się chwilę w kaplicy, chciałybyśmy wiedzieć, gdzie jest miejsce Mani. Błagałam Boga, aby jej błogosławił i uczynił Joasię bardzo grzeczną, myślałam o ich pierwszej Kommunii, bo w téj kaplicy przyjmować ją będą. Zakonnice mówiły Mamie, że to nastąpi w tym roku, bo ksiądz Martin i proboszcz od S-go Filipa ręczą za ich przygotowanie religijne, szczególnież za Manię a przygotowaniem Joasi zajmą się szczerze. Tak, że ta uroczystość nastąpi wkrótce. Jaki to będzie piękny dzień dla Mani, wyznała mi, że to ją pocieszy we wszystkich jój smutkach, bo kto ma Boga w sercu nie potrzebuje już niczego i niczego nie żałuje, to jest poddaje się woli Bożej! Ale tymczasem Mania

będzie jeszcze miała smutne chwile. Co mnie cieszy, to, że jęj tak dobrze u tych zacnych sióstr, a nadewszystko że nie zapomina o mnie. Widać że Bóg chciał, aby ją i Joasię oddano do klasztoru, bo one właśnie nie mają matki, a tam tak dużo matek znalazły. Ale jak się ma matkę a nadewszystko tak dobrą jak moja, i jeszcze Panią, która uczy, to lepiej zostać wśród rodziny, niżeli być w jakimkolwiek klasztorze.

Mama obiecała Barbarze, że ją z sobą na drugi raz weźmiemy, co bardzo ucieszyło biedną staruszkę, która jest smutna; staram się jak mogę pocieszać ją, ale to trudno wszystkich zadowolnić. I tak Barbara prosiła mnie żebym jęj pozwoliła ubierać się i usługiwać sobie i tym sposobem zastąpiła jęj Manię i Joasię. Ja naturalnie chciałam jęj zrobić tę przyjemność, zresztą i mnie to także było miło. Ale Józefa była z tego niekontenta, chociaż to ją uwalnia od mojej usługi, a mówiła mi tyle razy, żeby chciała być od nięj wolną. Powiedziała mi z obrażoną miną: — „To tak panienka dla nowo przybyłej porzuca dawną bonę! — Nie, moja droga, odparłam, weale cię nie porzucam, ale przyrzekłam Mani zająć się Barbarą. — Ale panienka tego nie robi, bo to właśnie Barbara zajmuje się panienką! — Cóż chcesz Józefo? Muszę przecie pocieszać tę biedną kobietę. — Więc panienka myśli, że to wielkie szczęście zajmować się panienką? — Jęj mina rozgniewała mnie, rzekłam więc: — „To ty sama podajesz mi tę myśl, skarżąc się, że już nie jesteś przy mnie.“

Józefa w gniewie zawołała, że weale się nie uskarża, że owszem bardzo jest kontenta mając mniej do roboty z taką roztrzępaną waryatką, która nigdy nic nie ułoży porządnie; która wszystko gubi, rozrzuca swoje rzeczy po wszystkich kątach i staje się prawdziwą furyą, gdy jęj kto wyrzuca jęj błędy. Czułam że i we mnie gniew powstaje, ale nie chciałam tego pokazać, bo widząc gniewającą się Józefę, zobaczyłam jak to szkaradnie; odpowiedziałam więc spokojnie: — „Już ci nigdy nie nie powiem, bo sama widzę dobrze, że to bardzo brzydko gniewać się.“

Pobiegłam do Pani i opowiedziałam jęj wszystko, chcąc, żeby mi tym razem przynajmniej przyznała słusność, ale Pani potrafiła mi dowieść, że tak nie jest i wytłómaczyć Józefę, mówiąc, że ona się gniewała przez przywiązanie do mnie, że ja powinnam była odpowiedzieć jęj przychylnie i być zręczniejszą w rozmowie. — Pani powiada: więcej po chrześcijańsku z nią mówić tak, aby jęj nie obrazić, a że zamiast tego ja jęj memi słowami zrobiłam przykrość; że jeżeli Józefa czasem się niecierpliwi, to można ją łatwiej niż mnie uniewinnić, bo ona nie ma tyle duchowej pomocy, ile ja, ani tyle łask rozmaitych; że ona jest bardzo dobra, chociaż taka żywa, że nieraz głowę traci tyle ma do roboty; że trzeba wybaczyć jęj wybryki i udawać, że się ich nie widzi i że nie do mnie należy sądzić je. — „Ale proszę Pani przecież ja właśnie chcę jęj ująć roboty! — Moje dziecko czy to robisz dla nięj, czy tylko przez zyczliwość dla Barbary? Czy myślisz, że Józefa dostrzegłszy twoje dobre chęci nie byłaby ci

za nie wdzięczną? — Ale ja nie mogę powiedzieć, że robię to dla niej, bo tak nie jest. — Zapewne, ale z trochę rozsądku i miłości bliźniego, byłabyś bardzo łatwo osłodziła jej przykrość jakiejś doznaje z powodu tego chwilowego odsunięcia od ciebie. Nie powinnaś więc była pokazywać jej, że jesteś kontenta z nowego urzędnika. — Ale ja byłam kontenta, bo robiłam przyjemność Barbarze; a to także i Mani jest przyjemne. — Ja cię też drogie dziecko nie ganię za to, że byłaś kontenta, ale nawet dobrze czyniąc, trzeba umieć zachować właściwą miarę, żeby robiąc przyjemność jednemu, nie robić drugiemu przykrości. — Ach! mój Boże! jakże to trudno robić dobrze. Jakże to robić potrzeba? — Nie zniechęcać się nigdy, ale według możności próbować i prosić Boga o pomoc. Teraz już nic o tym nie mów z Józefą, pozwól jej się uspokoić; bądź dla niej dobrą, uprzejmą, a jeżeli zdarzy ci się do tego sposobność, powiedz jej kilka słów, któreby jej wytłumaczyły twoje powody; ona ma dobre serce i potrafi je ocenić.“

Serdecznie podziękowałam Pani, że mnie oświeciła, będę się teraz starała być bardzo dobrą dla Józefy i dla Barbary. Bóg może pozwoli, że wszystko dobrze pójdzie i że się poprawię z moich błędów przed naszą wielką podróżą; mam jeszcze na to dosyć czasu, bo zdaje mi się, że wyjedziemy dopiero za sześć miesięcy.

.....

Czwartek, 1 lipca.

Dziś więc zaczyna się ostatni miesiąc naszego pobytu we Francji! Jakie to wrażenie na mnie czyni. Jestem kontenta i razem smutna, bo ta podróż, której pragnęłam od tak dawna, już się zbliża, a ja myślę o osobach, które tu zostawić mamy. Wiele jest takich, których mi żal, najbardziej Gustawa i Mani, bo ich najlepiej kocham. Biedny Gustaw! odkąd z woli Ojca wszedł do liceum na pensyonarza, aby się trochę przygotował do tak długiego z nami rozłączenia, odtąd smutno mi, że się z nim rozstaje; teraz się już nie kłócimy, tylko się kochamy. Manię kocham więcej jak dawniej, ale na nieszczęście bardzo się mało widzimy. Pisujemy tylko często do siebie i to mnie trochę pociesza. Przrzekła mi, że częściej pisywać będzie jak już będę w Pondichery; ale wolałabym móżdż ją widzieć od czasu do czasu, albo jak teraz mieć ją u siebie raz w miesiąc. Jak ona płakać będzie, gdy się puścimy na morze. Wczoraj jeszcze mi przrzekła, że się będzie gorąco za nas modliła.

Przepędziłyśmy dzień bardzo miło! Ach! gdyby wszystkie były do tego podobne. O dziewiątej rano Mama wyjechała powozem, żeby sama przywieźć Manię i Joasię, jak to zwykle robi. Ja się spieszyłam z lekcjami, żeby potem zupełnie zająć się niemi, bo po obiedzie miałam czas wolny, pod warunkiem jednak, że za to dziś, to jest we czwartek pracować będę. Starałam się zasłużyć na dobre stopnie, bo właśnie Pani miała je liczyć za cały miesiąc; na szczęście dostałam dla biednych trzy franki, a Stefka i Bercia czterdzieści soldów. Do-

piero w ostatnich dniach przed wyjazdem pójdziemy rozdać biednym te pieniądze, żeby jeszcze dołączyć do nich to, co będziemy mogły. Biedni ubodzy! Jak sobie pomyślę, że już ich nie zobaczymy. Ale spodziewam się, że i tam są także ubodzy, którym będziemy mogły rozdawać pieniądze, otrzymane w nagrodę pilności.

Mania z Joasią przybyły o w pół do jedenastej, a Ojciec, który ich już od miesiąca nie widział, znalazł, że urosły. Ojciec mówi, że Mania staje się coraz milsza, a Joasia bardzo ładnie; ja uważam, że jest teraz lepsza. Naprawdę od czasu pierwszej komunii daleko jest łagodniejsza i grzeczniejsza. O! jak sobie pomyślę, że ona ją przyjęła pierwiej niż ja, i że ja jeszcze muszę rok przynajmniej czekać!... Ale to dla tego tylko, że pani de Laval pragnęła, aby obie siostry razem tego szczęścia dostąpiły i dało się to zrobić z Joasią, gdyż istotnie bardzo pracowała, aby na takie szczęście zasłużyć. Co do Mani, ta pierwiej była aniołem, témbardziej więc jest nim teraz po komunii. Mówiła mi wczoraj, że już się nie czuje nieszczęśliwą, że wszystko się dla niej zmieniło od dnia pierwszej Komunii. Ach! mój Boże, mój Boże, kiedyż także i dla mnie wszystko się zmieni, to jest kiedy ja się odmienię? Mam jeszcze tyle wad, chociaż już nie tak często wpadam w gniew.

Klara była wczoraj u nas, zdaje mi się, że wiedziała, że jest u nas Mania, i była ciekawa zobaczyć ją, bo teraz rzadko do nas przychodzi. Matka jej często ją z sobą bierze, wychodząc, tak, że nawet lekcye przerywa. A przytém Klara często bywa w teatrze i gdy się późno spać położy, nie może

wstać wczesnie. Nie jesteśmy z sobą w wielkiej przyjaźni, ale robię co mogę, aby być posłuszną Mamie i Pani, a szczególnie Panu Bogu i staram się być z nią w zgodzie. Zresztą Klara była wczoraj bardzo miła i bardzo uprzejma dla Mani. Pani de Baldi powiedziała Mamie, że Mania jest prześliczna, że swoją kreolską twarzą i kibicią do palmy podobną. To mnie trochę pogodziło z tą panią, bo zapewne chciała powiedzieć Mani coś grzecznego, ale to dziwne, żeby ktoś był podobny do drzewa! Jak już tam będę, zobaczę czy to prawda. Dzień przeszedł za nadto prędko, tyle miałyśmy sobie z Manią do powiedzenia. Upał był tak wielki, żeśmy nie mogły pójść na spacer, Mama pozwoliła mi więc razem z Panią odwiedzić wieczorem Manię i Joasię. Bardzo było przyjemnie użyć trochę świeżego powietrza i aż do ostatniej chwili być z Manią.

Piątek, 2 lipca.

Bardzo pilnie wczoraj pracowałam, ale nie miałam bardzo dobrych stopni, bo pani powiada, że w miarę jak będę rosła, ona będzie się stawała więcej wymagającą. A przecież zadania, które robię teraz, są już od dawnych trudniejsze; dawniej Pani mi bardzo mało zadawała. Ale jeżeli Pani tak mówi, musi mieć słuszość, bo ona jest zawsze sprawiedliwą. Rzeczywiście ja sama widzę, że jeżeli więcej pracuję, to też i większa już jestem i lepij jak przed kilku laty pojmuję teraz wszystko. Ale mimo to wolałabym dostawać bez trudu dobre sto-

pnie, boby na tém skorzystali biedni. Niech też droga moja Pani pamięta o tém, zaklinam! Wczoraj skończyłam przepisywać na czysto historię Grecką i skończyłam rysować wielką mapę Francyi z departamentami; ale Pani znajduje, że ją nie dobrze zrobiłam, że pomieszałam wiele rzeczy. I tak napisałam *Côtes du Nord* zamiast *Côtes d'Or*, (zawsze mieszam z sobą te dwie nazwy, bo nie zastanawiam się jak należy), i zamiast *l'Aisne*, którego miastem głównem jest *Laon*, napisałam *l'Ain*, który ma miasto główne *Bourg*; Pani mówi, że to są wielkie omyłki i nie mam w dzienniku *bardzo dobrze*, co mnie zmartwiło, bo się tego stopnia spodziewałam.

Za kilka dni skończę historię rzymską, ale dopiero na okęcie zacznę historię wieków średnich, bo już nie warto rozpoczynać jęj przed wyjazdem, za nadto jestem roztargniona. Ach! ci szkaradni cesarze rzymscy, jak ja ich nie nawidzę! A Pani jeszcze powiada, że mi nie mówiła o wszystkich okrucieństwach, ale dosyć mi tego, co wiem. Daleko więcej lubiłam Rzeczpospolitą; przynajmniej wtedy Rzymianie byli wielkimi ludźmi. Kiedy Pani mi opowiadała historię Kamilla, który nie szukał zemsty nad niewdzięczną ojczyzną i historią Fabyuszów, którzy wszyscy za Rzym zginęli, z wyjątkiem jednego chłopaczka zbyt małego, aby mógł pójść na wojnę, a potem historię wielkiego Scypiona i jego brata i historię Pompejusza i Cezara i jeszcze mnóstwo innych, ach! jak mnie to zajmowało! A jednakże już za Pompejusza i Cezara wszystko zaczynało się psuć, bo oni się między sobą kłócili,

co jest bardzo złe, a przytém byli bardzo dumni. Scypion nie był takim, a przecież go oskarżono. A Katon jaki był poważny! jabym go się bała. Ja wolę, żeby ludzi napominano ze słodyczą, jak to Pan Jezus czynił. To On był prawdziwie dobrym. Ale On też nie był takim jak inni człowiekiem, był Bogiem. Gdyby wszyscy ci szkaradni cesarze byli w Niego wierzyli, nie byliby tak okrutni i nie trzeba by było uczyć się o tych wszystkich zbrodniach jak na przykład o Neronie, który kazał zabić swoją matkę... O co za potwór! A jego biedny brat Germanikus, którego ja tak lubiłam! I tylu innych, których pozabijać kazał! Wielki też to wstyd dla niego i kara, że wszystkich złych królów nazywają Neronami. Szczęściem, że król francuski nie jest podobny do tego cesarza, toby było straszne!

A ten szkaradny Domicjan, ze swoją ponurą twarzą i tego jeszcze nienawidzę! Jak on mógł być tak okrutnym, mając tak dobrego ojca, a nade wszystko tak dobrego brata Tytusa, którego ja tak lubię za to, że był podobny do chrześcijanina, to też spodziewam się, że poszedł do nieba.

Nigdybym nie skończyła, gdybym chciała mówić o wszystkich cesarzach i Pani mnie w wielki kłopot wprowadza, każąc mi spisywać wrażenia z rzymskiej historii; doznaję ich tyle, że nie wiem jak je opowiedzieć. To pewno, że bardzo lubię Konstantyna i Bóg kochać go musiał, kiedy go wybrał na pierwszego cesarza chrześcijanina. Jak Konstantyn musiał być szczęśliwy, kiedy ujrzał na niebie ten piękny krzyż. Pamiętać będę zawsze nazwisko chorągwi, którą potem kazał zrobić, nazy-

wała się *Labarum*. Ja, gdybym była żołnierzem, a ujrzała na czele wojska *Labarum*, biłabym się tak jak ci waleczni rycerze chrześcijańscy, którzy byli z pomiędzy wszystkich najodważniejsi.

A męczennicy! To oni byli prawdziwymi żołnierzami Bożemi! To też wspaniałą brali nagrodę, bo wchodzili prosto do nieba i byli sowicie wynagradzani za cierpienia, za śmierć. Ach! piękne to były czasy, ale straszne. Bóg wreszcie zmienił to wszystko i na szczęście możemy teraz uwielbiać Go, nie będąc zmuszonymi ukrywać się w katakumbach, ale nie mamy już takiej zasługi i powinniśmy przynajmniej żyć cnotliwie dla Boga, gdy nie możemy umrzeć dla Niego. Będę się starała tak robić.

Jedyna była Bercia wczoraj, gdy Pani zaczęła z nią historję Nowego Testamentu! Z taką uwagą słuchała i takie zabawne robiła pytania! Pani jęj przypomniwała wielki błąd Adama i karę jaką on i wszystkie jego dzieci ponieśli i spytała Berci, jakim się to dzieje sposobem, że gdy się oczyścimy z grzechów, gdy się staniemy dobrymi, będziemy mogli wejść do nieba? Pani jęj dla tego zadała to pytanie, aby jęj potem wytłómaczyć, że niebo znowu jest dla nas otwarte, bo Jezus Chrystus Pan nasz uczynił za nas dosyć sprawiedliwości Bożej; ale Bercia po długim namysle powiedziała z poważną minką: — „*Może dla tego proszę Pani, że my już nie jesteśmy krewnymi Adama?*“ — Ach jakżeśmy się śmiały wszystkiele! — Stefcia uczy się teraz historyi Grecyi, która ją bardzo zajmuje, ale nie bardzo wielkie robi postępy, bo zawsze jest trochę leniwa.

Dziś jest Nawiedzenie Najświętszej Panny. Pani mówiła nam o tém.

Środa, 7 lipca.

Dostałam wczoraj najlepszy stopień za ćwiczenia religijne; to już tak czwarty raz; jestem więc bardzo kontenta! Aglaé Buffart nie miała go jeszcze ani razu, pomimo wszystkiego co czyni, żeby go dostać; nawet matka robi jęj długie notatki, żeby pomódz córce. Pani wcale dla mnie nie robi notatek i teraz mi już nic nie pomaga; ale nie powinnam się pysznić z dobrych stopni, bo gdyby Pani nie była mię przyzwyczaiła do pisania dużo samęj, może byłabym jeszcze w większym kłopotcie jak Aglaé. A przytém nie tak już nie lubię Aglaé od czasu jak mi podpowiadała katechizm, gdydym się myliła; ja też jęj zawsze pożyczam ołówka, gdy ona swój złamie, to jęj robi przyjemność.

Pani ma słusność, że można ludzi pokochać, gdy się o to prosi Boga i gdy się ich lepij poznaje. Zawsze znajdzie się w nich jakaś dobra strona. Ja myślałam, że nigdy się do tego nie przyzwyczaję, żeby Aglaé Buffart przy mnie siedziała; a teraz przeciwnie witamy się bardzo uprzejmie, a nawet czasem za wiele z sobą mówimy, bo Aglaé zawsze mnie o coś pyta, ale niedługo tego będzie, bo wkrótce przestane chodzić na katechizm. Ach jak go żałować będę! Tak kocham księdza Martin i księdza Giroux, który nam każe śpiewać takie piękne pieśni, a przytém ksiądz Proboszcz wygląda jak prawdziwy

ojciec, gdy do nas przyjdzie. I tam przecież znajdę księży, którzy będą dobrzy, jestem tego pewna, ale mi jednak przykro porzucać tych. Na okręcie Pani mię będzie uczyła katechizmu, żebym nie tylko nie zapomniała tego, co umiem, ale jeszcze postąpiła trochę.

Wczoraj Barbara była słaba, co mię bardzo zmartwiło, bo gdyby to Mania wiedziała, byłaby bardzo o nią niespokojna. Na szczęście pocziwa staruszka lepiej się dziś rano czuje. Józefa doglądała jęj bardzo troskliwie i widzę, że ona doprawdy lubi Barbarę i że już teraz nie jest zazdrosna o nią. Jak ja dobrze zrobiłam, że usłuchałam Pani i że w kilka dni po tym wielkim gniewie powiedziałam Józefie: — „Słuchaj moja droga, musimy obie psuć tę pocziwą staruszkę, bo ona jest sama i smutna, a będąc na jęj miejscu byłybyśmy bardzo kontente; gdyby nam kto dogadzał. Przrzeknij mi, że ją kochać będziesz; a ja ci przrzekam, że cię zawsze będę kochała więcej jak ją.“ — Od tego czasu Józefa była zawsze bardzo uprzejma dla Barbary i wszystko idzie dobrze.

Piątek, 9 lipca.

Wczoraj były Mamy imieniny; zwykle dzień Świętej Elżbiety jest dla nas dniem radosnym, ale w tym roku przepędziliśmy go smutnie z powodu ważnej wiadomości, jaka nas doszła onegdaj wieczorem. Siedzieliśmy właśnie u stołu, gdy przyniesiono list do Ojca; zaraz poznałam, że musi pocho-

dzić z ministeryum, bo widać było, że to nie list zwyczajny. Co dzień już oczekujemy na rozkaz wyjazdu, Mama więc zbladła, gdy Ojciec złamał pieczętkę i czytać zaczął, ale nic nam nie mówił. Mama oczyma go pytała, co jest w tym liście, ale nie śmiała pytać inaczej, lękając się dowiedzieć prawdy. Ja kręciłam się niecierpliwie na krześle, tak mi już pilno było dowiedzieć się czy prędko wyjedziemy. Na szczęście był to już koniec obiadu, nikt nawet nie miał już ochoty jeść prócz jednej Berci, która dopominała się o deser. Wstaliśmy wreszcie od stołu i gdy Ojciec odprowadzał Panią do salonu, ja która szłam tuż za nim, słyszałam, że mówił: — „Prędzej niż myślałam.“ — Aż mi serce zabiło, spojrzałam na Mamę, aby się przekonać czy i ona słyszała także, i zdaje mi się, że się już domyślała wszystkiego. Ojciec ją wziął do siebie i na czas długi zamknęli się oboje w pokoju. Ja się nudziłam i gniewałam na Bercię, która koniecznie chciała bawić się zemną. Jak tylko Ojciec wrócił, pobiegłam do niego, pytając co się stało, ale powiedział mi, żeby mu dała pokój i poprosił Panią, żeby z nim na chwilę poszła do ogrodu. Mnie wszyscy opuścili aż miałam ochotę płakać.

Wreszcie Pani wracając weszła na ganek, a że ja stałam przy oknie i wyglądałam w ogród, usłyszałam więc jak Ojciec mówił: — „Tak więc postarasz się Pani uczynić ją rozsądniejszą?“ — Myślałam, że to o mnie mowa i schowałam się za firankę, ale to nie o mnie, to była o Mamie mowa, bo Pani odpowiedziała: — „Trzeba przeczekać pierwsze chwile, a zobaczysz Pan, że jęj nie będzie brakowało

odwagi.“—Nie mogli tego mówić o mnie, bo ja nie potrzebuję, aby mi dodawano odwagi do wyjazdu, mimo mojej woli bowiem czuję, że mi myśl wyjazdu robi przyjemność. Pani przeszła, nie widząc mnie wcale i poszła do Mamy. Ojciec sam zostawszy, przechadzał się przed gankiem; nie śmiałam pójść do niego i widziałam, że Stefcia także nie śmie się do niego zbliżyć. Szczęściem nadbiegła Bercia, ona nie boi się niczego, a chociaż Ojciec nie bardzo dobrze przyjął ją z początku, póty jednak wołała: — „Ojczuniu, chodź tu do mnie, ojczuniu, aż w końcu Ojciec zaczął się śmiać do niej. Zobaczywszy to już się uczułam śmielsza i odważyłam się zejść ze schodków, ale nie poszłam dalej, udając, że wacham kwiaty i nie wiedząc, co mam z sobą zrobić.

W końcu Ojciec zawołał mnie, tego właśnie chciałam; to też gdy mnie zapytał: — „Na co tam czekasz?“ — Odpowiedziałam: — „Na ciebie Ojczcie.“ — A po co? — zapytał mnie Ojciec uśmiechając się z tą filuterną miną, którą czasem przybiera: — Żeby Ojciec i zemną także porozmawiał; Ojciec rozmawia z Manią, z Panią, nawet z Bercią, a mnie zostawia samą i wcale o mnie nie myśli. — A o czymże chcesz, żebym mówił z tobą? — Ach! Ojciec wie dobrze; o tym wielkim liście. — Nie darmo jesteś kobietą — odrzekł mi Ojciec jeszcze się uśmiechając — masz już w sobie ciekawość córek Ewy. — O! Ojczcie, to bardzo źle, że mężczyźni tak mówią, bo jestem pewna, że oni ciekawsi od nas! Ale wreszcie wszystko mi to jedno, choćby mnie nawet Ojciec posądził o ciekawość, byłem wiedziała wszystko. Zresztą to

jest rzecz tak ważna, że nie można tego nazwać ciekawością, gdy się o to pytam. — Przewybornie rozumujesz, moja córko, widzę, że podobnym argumentem nie odmówić nie można!... Zgadłś więc, ten list jest bardzo ważny, donoszą mi w nim, że najpóźniej 21-go musimy się udać do Brestu. — O! Ojczcie 21-go... Jak to prędko! Myśmy myśleli, że dopiero 31-go. I cóż Mama na to mówi? — Ojciec przybrał minę surową i odpowiedział: — „To już rzecz inna, Mama sama opowie ci swoje wrażenia.“ —

Zmieszało mnie to trochę, że się niepotrzebnie spytałam, szłam więc obok Ojca, nie śmiejąc już nic mówić, chociaż myślałam o bardzo wielu rzeczach. Z Ojcem nie mogę mówić o wszystkiém co mi przejdzie przez głowę tak jak mówię z Mamą i z Panią, potrzebuję przynajmniej widzieć go w dobrém usposobieniu. Wreszcie Ojciec popatrzył na mnie z miną którą przybiera wtedy, gdy nie wiem, czy sobie ze mnie żartuje, czy nie i rzekł mi: — „O czém myślisz z taką powagą? — O wielu rzeczach, Ojczcie, a najpierw o Mamie. — A! cóż więc myślisz o niej? — Myślę, że jęć musi być bardzo smutno i chciałabym być przy niej. — Panna Valmy jest już u niej, ty zaś lepiej zrobisz, gdy poczekasz aż będzie miała czas uspokoić się. Zresztą czy ci z Ojcem nie dobrze? — O! i owszem, ty wiesz Ojczcie, że lubię być z tobą, ale wtedy kiedy nie wyglądasz tak surowo. — Czy się mnie boisz tak bardzo. — Niezawsze, ale dzisiaj się boję.“ — Ojciec pogłaskał mnie po głowie i powiedział: — „No, no, uspokój się i rozmawiajmy, kiedy tak bardzo rozmawiać lubisz.“ —

Zaraz też przybrał minę wesołą, co mnie tak ucieszyło, że schwyciłam go za rękę i już jej nie puściłam.

Biedna Mania, ona nigdy nie może chodzić ze swoim ojcem, nie wie, jak to przyjemnie. Zaczęliśmy więc rozmawiać i opowiedziałam Ojcu jak mnie to cieszy i smuci razem, że wyjeżdżam, bo zostawiam Gustawa, Manię i katechizm i widzę, że Mama jest tak zmartwiona; ale z drugiej strony uszczęśliwiona jestem nadzieją podróży. Potem korzystając ze sposobności, zadałam Ojcu rozmaite pytania, na które oddawna odpowiedź mieć chciałam i Ojciec mi prawie na wszystkie odpowiedział. Powiedział mi, że nasz statek nazywa się *Izera*, że jest bardzo piękną korwetą i że spodziewa się, iż nam na niej będzie bardzo dobrze; potem, że wylądujemy w Rio de Janeiro i w Burbon. Jakie to szczęście! Zobaczymy mego wuja Henryka i wuja Mani Adryana. A w Brest zobaczę galerników, ale nadewszystko morze! O to się najwięcej wypytywałam Ojca i o burzę i t. d. Ja córka marynarza nie znam morza! To za wiele... To też Bóg pozwoli, że je wkrótce zobaczę.—Co za szkoda! rzekłam do Ojca, że Mama tak się martwi. Inaczey wszyscy bylibyśmy szczęśliwi; czy ty nim nie jesteś Ojciec?“—Ojciec odpowiedział:—„Nie mogę być szczęśliwym, widząc twoją Matkę zasmuconą.—I dodał:—„Ale mam nadzieję, że Mama się uspokoi.—O! tak Ojciec, ty wiesz, że gdy wyjeżdżałaś w podróż Mama płakała tak, że potem aż chorowała. A później uspokoiła się trochę. Tym razem pocieszysz się prędzej, kiedy jedzie razem z tobą. Tylko ją Gustaw nie-

pokoii.—Wiem, wiem, odrzekł Ojciec, biedna Matka!... Ale słuchaj Małgosiu, póki jesteś młoda, ucz się miarkować wrażenia; bez tego nigdy nie znajdziesz później siły do zniesienia trosk życia.—Ale Mama będzie odważna, zobaczysz Ojciec.—Bez wątpienia, ja też o tobie mówię. Staraj się być kobietą silną i energiczną, dobrze ci z tém będzie na świecie.—O! z pewnością będę silną, odpowiedziałam, bo Pani robi co może, aby tak było, a wiesz Ojciec, że wszystko jej się udaje, co tylko przedsięweźmie.“

W tej właśnie chwili oznajmiono Ojcu, że ktoś chce z nim mówić i nie mogłam przedłużyć naszej rozmowy, czego żałowałam bardzo. Kiedy poszłam powiedzieć dobranoc Mamie, która nie wychodziła ze swego pokoju, znalazłam ją leżącą i bardzo słabą, to mnie zmartwiło. Nazajutrz tak cierpiała na głowę, że nie wstała z łóżka, a że było dużo do czynienia, bo trzeba było pisać listy, wydawać rozkazy, Mama musiała więc zatrzymać Panią u siebie, a mnie z Józefą odesłała do Klary, gdzie przepędziłam cały dzień i nie mogłam pisać dziennika. Dziś Mama jest lepiej, ale bardzo jeszcze smutna. O ile mogę proszę Boga, aby jej dodał odwagi i mam nadzieję, że mnie wysłucha.

Gdyśmy jej wczoraj rano, winszując imienin, przynieśli nasze małe podarunki, płakała bardzo z wielkim naszym smutkiem. Spodziewam się, że nim staniemy w Pondichery, Mama się trochę rozweseli, bo wcale bym nie chciała tam jechać, gdyby rzeczy miały zostać w takim stanie jak teraz. Zresztą dobry Bóg wszystko urządzi...

Poniedziałek, 12 lipca.

Dziwnie zaczyna się tydzień dla mnie! Jeszcze nigdy nie miałam takiego. Nie będę się wcale uczyła, tylko mam pisać dziennik, a nawet nie wiem, czy będę go mogła pisać, bo wcale nie jestem usposobiona do tego. Ale Pani kazała, będę się więc starała spełnić jej życzenie. Wszyscy jesteśmy zajęci odjazdem, przygotowaniami; nie mówimy o niczym innym. To przychodzą przymierzać nam suknie, kapelusze, to buciki, to znowu przynoszą wielką ilość bielizny. A przytém tyle mamy w różnych stronach interesów, że nie możemy nastarczyć. Gustaw przybył wczoraj, aby przepędzić z nami ten ostatni tydzień. Z początku Ojciec nie chciał na to pozwolić, bojąc się, aby Mamie nie było potem jeszcze przykrzej rozstawać się z nim; ale tak Mama prosiła, że Ojciec zezwolił w końcu. Zresztą Gustaw bardzo nam jest użyteczny i dopomaga wiele. Dzisiaj zaczynają pakować wszystko, tylko nasze suknie i to co jeszcze nie wykonane zostanie na ostatni dzień, bo jeszcze nie wszystko gotowe, chociaż obstalowane oddawna. Jestem uszczęśliwiona, bo Mama daje mi kufer dla mnie samój, żebym w nim pochowała moje książki i zabawki i ja sama pakować go będę. Ale nie wiem jak się do tego wezmę, tyle mam rzeczy. Barbara obiecała mi pomóc, bo ona umie pakować.

Zapomniałam także powiedzieć, że ta poczciwa Barbara jedzie z nami, bo dotychczas nie miała zręczności powrócenia do kraju; zostawimy ją w Burbon. Bardzo to dla niej szczęśliwie, jeszcze więcej dla nas; przyda się ona wszystkim, a szczególnie

Bobusiowi, którego mamka nie jedzie, bo byłoby jej zbyt smutno opuszczać męża i dzieci. Mama nie chce brać niańki i woli sama doglądać aniołka. Józefa także nie może zdecydować się pojechać z nami, zdaje mi się, że się boi morza, a przytém ona ma także dzieci. Bardzo mi przykro, że ją zostawiamy, takie zawsze miała o nas staranie. Stefcia aż płacze i Bercia także bardzo jest z tego powodu smutna. Wszyscy damy jakiś podarunek Józefie, a przytém wiele rzeczy dla jej dzieci. Mama mówi, że to zrządzenie Opatrzności, że aż do Burbon będziemy z sobą mieli poczciwą murzynkę, która tak dobrze umie doglądać dzieci. Tak trudno znaleźć kogo coby chciał pojechać! A potem możnaby zrobić zły wybór. Przynajmniej gdy już stanimy w Burbon, będzie to większa część drogi, już się przyzwyczaimy do morza, a może tam znajdziemy jaką kobietę, która zechce pojechać do Indyi. Ale to nieszczęście, że Mania i Joasia nie będą tu miały nikogo, ktoby ich kochał; zostaną im tylko zakonnice. Ach! jak mi to przykro!

Środa, 14 lipca.

Doznałam wczoraj wielkiego wzruszenia; Pani zaprowadziła mnie ostatni raz na katechizm... Cały czas prawie płakałam i zdaje mi się, że gdyby kto mi w téj chwili powiedział, że nie pojedę, nie gniewałabym się bardzo. Jak tu pomyśleć; że już nie będę słyszała księdza Martin! że już nie zobaczę moich towarzyszek. Nie znam ich wprawdzie, ale

je kocham, bo to moje koleżanki. A przytém niektóre z nich bardzo mi się podobają. A ten drogi mi kościół S-go Filipa! Zdawało mi się, że Najświętsza Panna smuci się z mego wyjazdu. Mam jednak nadzieję, że wszędzie będzie na mnie patrzyła, jak tu patrzy z obrazu. Kiedy przed rozejściem się śpiewano zwykłą pieśń, zaczęłam tak szlochać, że wstać nie mogłam. Ach! jak jabym chciała wiedzieć, czy Bóg pozwoli mi wrócić do tego kościoła! Ale kto wie, co się stanie ze mną? Może umrę na morzu, może nasz okręt burza rozbije, a tymczasem moje towarzyszki spokojnie siedzieć będą na miejscu, powtarzając katechizm... Straszno o tём pomyśleć. Ależ źle mówię; czyż Bóg nie będzie czuwał nad nami? Nie chcę więc bać się; czyż On nie jest Panem morza i wszystkich rzeczy stworzonych i czyż nie kazał chodzić po morzu Świętemu Piotrowi? A dla okrętu to przecie dużo łatwiej, bo okręt pewniéj się trzyma.

Zawsze pamiętać będę naukę, którą słyszałam podczas téj ostatniéj bytności, ksiądz uczył jak można poznać, czy w saméj rzeczy kochamy Boga nad wszystko; trzeba się przekonać, czy jesteśmy gotowi wszystko dla Niego wycierpieć.

Ksiądz Martin tłumaczył nam, że cierpienie jest dowodem naszej miłości ku Bogu, bo gdybyśmy Boga nie kochali nie chcielibyśmy godzić się z cierpieniem i użalalibyśmy się na nie; ale kto kocha, ten chce czynem dowieść miłości, a ponieważ Bóg zsyła na nas cierpienia, okazujemy Mu miłość przyjmując je chętnie, nie oburzając się na Jego świętą wolę i mówiąc:—„Mój Boże, Tyś to zesłał na mnie

tę troskę, tę chorobę, tę przeciwność, bo nic się nie dzieje bez Twojéj woli i bez Twego rozkazu, musi to więc być z mojm dobrem, bo Ty kochasz mnie jak dobry Ojciec dzieci kocha i pragniesz mego szczęścia jedynie. A więc przyjmuję cierpienie bez szemrania, chcąc Ci okazać, że Cię także kocham i tego chcę co Ty chcesz. Zresztą Tyś Panie cierpiał dla mnie, słuszną jest, abym ja także cierpiała dla Ciebie. Wy moje dzieci, mówił dalej ksiądz Martin jesteście bez wątpienia za młode jeszcze, aby już wiedzieć co to cierpienie, niektóre z was jednak już je poznały, a śmiało powiedzieć mogę, że prędzej czy później wszystkie doznacie go z pewnością, bo taki jest na ziemi los wszystkich ludzi. A więc drogie dzieci kochajcie Boga. To jedyne, ale niezawodne lekarstwo; doświadczenie przekona was o tём. Kochajcie, a przyjmiecie cierpienie... Kochajcie, a będziecie pocieszone.“—Słowa te bardzo mnie wzruszyły, szczególniej w téj chwili, gdy mam zmartwienie a przytém myślałam téż o Mani. O! tak, chcę kochać Boga, to takie wielkie szczęście.

Po katechizmie Pani poszła zemną pożegnać księdza Martin. Pobłogosławił mnie i obiecał, modlić się za nas; to mnie uspokoiło. Darował mi prześliczny obrazek Matki Boskiej, który całe życie zachowam, jako pamiątkę po nim. Pani także ze smutkiem żegnała zacnego kapłana, który zawsze tak był dla nas dobrym; ale ona jest we wszystkim odważna i nie tak jak ja płakała. Zapomniałam powiedzieć, że Aglaé Buffart ścisnęła mnie za rękę na znak pożegnania i zdawała się smutną na

myśl, że już się więcej nie zobaczymy. Rozstajemy się przynajmniej w zgodzie.

Piątek, 16 lipca.

Wczoraj nie miałam czasu pisać, bo nie było mnie w domu, i zaraz powiem, gdzie byłam. We Środę nie zaszło nic nadzwyczajnego; skończywszy dziennik, pakowałam się cały dzień. O mało co nie pogniewałam się na Bercię, która chcąc mi pomagać stłukła mi filiżankę z mojego ślicznego porcelanowego serwisu do herbaty; na szczęście Pani usłyszawszy hałas weszła i to mój gniew powstrzymało, bo sobie przypominałam moje postanowienia.

Wczoraj wychodziłam, bo pani de Baldi wyjeżdża właśnie na wieś, a że nie zobaczę już Klary, Mamę pozwoliła mi przepędzić z nią cały dzień; byłam tam na śniadaniu i na obiedzie. Postanowiłam sobie być bardzo uprzejmą, bo trzeba być dobrą dla bliźniego, a przytém od tak dawna znam Klarę, więc żał mi ją żegnać. Ale to nad moje siły; my się nigdy nie zgodzimy z sobą, bo nie jednakowe mamy zdania. Nie rozumiem, jak mogłyśmy być przyjaciółkami, gdyśmy były mniejsze, może dla tego, żeśmy nic jeszcze nie myślały. Muszę więc opisać cały dzień, żebym go zapamiętała, bo to był ostatni dzień, który przepędziłam z nią, a w gruncie ja ją zawsze kocham.

O jedenastej rano Józefa odprowadziła mnie na ulicę de la Paix. Klara pysznie się wystroiła na moje przyjęcie, co doprawdy nie było potrzebne,

bo ja już zaczynam nosić podróżne suknie i wyglądałam przy niej bardzo skromnie. Ale starałam się pokryć moje z tego powodu nieukontentowanie i poszłam do jej pokoju. Pokazywała mi wszystko, co z sobą na wieś zabiera; nakupiła wstążek, szarf, chusteczek, rycin do naklejania w albumie; kart, domino; całe pudełko perełek. A matka posprawiła jej suknie różnych kolorów i rozmaite hafty. Ale Klara mówi, że jest pewną, że się będzie nudziła, bo nienawidzi wsi i czuje się *chorą* gdy nie odbędzie zwykłej przechadzki na bulwarach i na Polach Elizejskich; starała się namówić matkę, żeby wyjechać jak najpóźniej, na co matka się zgodziła, bo więcej jeszcze od Klary nudzi się za obrębem Paryża, ale że raz przecie trzeba jechać, a wyjazd jest rzeczą straszną!

— „Ale Klaro rzekłam jej, cóż was zmusza do wyjazdu jeżeli jest przykrym dla mamy i dla ciebie? — Taki już zwyczaj, wszyscy wyjeżdżają; pojmujesz, że mama ze swoim majątkiem i ze swoim w świecie znaczeniem musi robić tak, jak robią drudzy. Zresztą nikogo już nie ma w Paryżu. — Ale Klaro, musisz się mylić, bo przed chwilą jeszcze widziałam na ulicy wiele osób. — O! moja droga, jakaś ty dziecinna, ja chce przez to powiedzieć, że niema już nikogo z naszego towarzystwa, z naszego świata! — Czy wasz pałac na wsi nieładny, że nie chcesz tam pojechać? — Owszem, przepyszny jest, zupełnie po królewsku urządzony i nawet wygląda bardzo wesoło, bo okolica jest śliczna; ale ledwo tam dwa tygodnie przesiedziemy zaraz nas spleen napada. — Czy nie przyjmujecie nikogo? — Owszem, ciągle ma-

my gości, ale są to osoby, które także mają pałace i muszą w nich czasem mieszkać, chociaż z pewnością robią to niechętnie tak jak my. Zresztą ci goście tacy są nudni, że wcale ich nie żałuję. — Ale twój ojciec jest z wami? Myśmy tacy szczęśliwi, gdy nasz Ojciec jest w domu. — O! moja kochana, ojciec nas z pewnością niebardzo rozerwie; cały dzień, jeżeli nie czyta, to śpi, albo idzie na polowanie, a nas zostawia same. — A ty nie chodzisz do biednych, żeby im zanieść pieniędzy i dać co potrzeba? To musi być tak wielkie szczęście. Mama powiada, że dla tego tylko chciały mieć własność na wsi, żeby móc czynić dobrze wszystkim w okolicy. — Sądzę, że mama czyni tyle dobrego, ile pani Guyon zrobiłby go mogła, corocznie daje merowi ogromną sumę pieniędzy dla biednych, jacy się w okolicy znajdują, ale pojmujesz, że nie może sama do nich chodzić, za wiele ich jest, a potem to byłby szczególny rodzaj rozrywki! — Zapewniam cię Klaro, że to wielka przyjemność, gdybyś ty wiedziała, jak ja jestem szczęśliwa w dniu, w którym z Mamą albo z Panią idę do biednych! — Och! moja kochana u nich tak brudno. Ale ty nie zwracasz na to uwagi... — Nie, bo my idąc do nich Pana Boga odwiedzamy. A przytém to nie racya, żeby mieli zaraz być brudni dla tego, że są biedni, owszem dużo jest między nimi bardzo porządných. — O! mój Boże, może to być, ale nie mówmy już o tém. To ci tylko powiem, że nie nauczono mnie bawić się w podobny sposób. — Przynajmniej uczysz się na wsi, nieprawdaż? Czy panna Lerins, nie dostarcza ci téj przynajmniej rozrywki. Ja zawsze i wszędzie

dobrze się bawię z Panią. — Moja kochana nie mów mi o pannie Lérins, to są nudy uosobione, gdy ona wchodzi zaraz widzę przed sobą pracę, a na nie-szczęście ja pracy nienawidzę. To też powiem ci pod sekretem, że mam nadzieję być od niéj uwolnioną przed odjazdem. — Jakto?... — No, tak, nie miej miny tak przestraszónéj. Mama nie może znieść jéj widoku, a że ja mam ochotę wypocząć tego lata, więc też robię co mogę, żeby z nami nie pojechała. — Ale cóż ona z sobą robi? — Ma rodzinę, ręczę ci, że jéj tam będzie lepiej jak u nas. — O! wierzę temu, ale pewna jestem, że jéj to będzie przykro. — Bez wątpienia, u nas bierze bardzo dobrą pensyą, a zdaje mi się, że jéj rodzice są w potrzebie, ale to nie moja wina. — Ale Klaro, czy ona zechce powrócić do was potem? — O! moja kochana, jakaś ty dziwna! Czyż nie widzisz że my nie chcemy tego. Mama powiada, że to jest przyzwoity sposób wydalenia jéj z domu. — Ach! Klaro ja znajduję, że to bardzo źle i nigdybym temu nie uwierzyła, bo panna Lérins kocha cię naprawdę i robiła co tylko mogła, aby cię wychować dobrze. A ty jéj nie kochasz i chcesz ją odprawić! — My nie wyrażamy się w ten sposób, odparła mi Klara z urazą, to ty moja droga wyrażasz się niegrzecznie. Zresztą nie pytamy się ciebie o zdanie, mama wie dobrze, co ma czynić i wszystko urządzi bez ciebie. — „Ja się też nie chcę do tego mieszać, tylko ty sama mówisz mi o tém, więc też powiadam, co myślę. — To dobrze, ale nie mówmy już o tém, a otóż i twoja protegowana.

Panna Lérins wchodziła właśnie w tej chwili, pobieglam przywitać się z nią, a ona serdecznie mnie ucałowała. Chciała rozmawiać ze mną, ale byłam tak smutna, że nie mówić nie mogłam. Na szczęście ona myślała, że to z powodu naszego wyjazdu i zaczęła o nim mówić. Klara spytała: — „Musisz być bardzo kontenta; tak pragnęłaś wyjechać. — O! tak, odpowiedziałam, ale teraz, gdy tyle osób opuszczam, bardzo mi smutno. — Ach! moja kochana, zabierasz przecie z sobą pannę Valmy, jestem pewna, że nikogo więcej nie żałujesz? — Prawda, to nas pociesza, Mamę i mnie, ale zostawiamy Gustawa... — I pannę Maryę de Laval, przerwała Klara szydąc. — Tak smutno mi bardzo rozłączać się z Manią, ale ciebie Klaro nie powinno by to dziwić, bo mnie i ciebie żal żegnać. — A, doprawdy, nawet ci i mnie żal! Gdybym była tego pewna, podziękowałabym ci pięknie. — Ale Klaro, możesz być pewna, kiedy ja ci to mówię. Kocham Manię więcej od ciebie, bo ona jest nieszczęśliwa, a przytém rozumiemy się lepiej, ale to nie przeszkadza mi kochać ciebie; znamy się od tak dawna! — Klara cię także bardzo kocha, moje dziecię, rzekła panna Lérins i żałuje cię więcej, jak myślisz, bo nie zawsze trzeba ją sądzić z jej słów.“

Klara zdawała się być przez pół rozgniewana, a przez pół kontenta. Ale ja się ucieszyłam, słysząc to i powiedziałam Klarze: — „No to przyrzecz mi, że będziesz do mnie pisywała, ja będę odpisywała i tym sposobem nie zapomnimy o sobie. — Z całego serca na to przystaję, zawołała; zabawnie będzie czytywać twoje listy. Opisziesz mi wszystko, co wi-

dzieć będziesz? — Jak tylko będę mogła najlepiej, ale ponieważ muszę dużo pisywać, nie wiem, czy znajdę dość czasu na bardzo długie listy. — Czy ty uczyć się będziesz na okręcie? — O! z pewnością, inaczej nudziłabym się. — Masz słuszość, moje dziecię, powiedziała panna Lérins i powinnaś wytłómaczyć Klarze, że praca jest doskonałym lekarstwem na nudy. — O! pani mi to aż nadto często powtarza, nie potrzebuję nowych kazań. — Jednakże bardzo przydałyby ci się, odrzekła panna Lérins. Ale ponieważ mówimy o pracy, chciałabym koniecznie wiedzieć, czy mamy zabrać książki i kajeta. Pani de Baldi nic nie odpowiada mi, gdy ją o to pytam, i koniecznie przy tém obstaje, żebyś przez całe lato odpoczywała, a ja ci powiadam moje dziecię, że jeżeli ma tak być, to niema potrzeby, żebym ja z wami jechała.“

Klara zmieszała się bardzo, a ja nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Panna Lérins dopytywała się Klary, ale ponieważ nic się od niej nie mogła dowiedzieć, domyśliła się więc wszystkiego, jak mi się zdaje i posłała ją do pani de Baldi, prosząc o chwilkę rozmowy.

Klara powróciła mocno zarumieniona, mówiąc, że matka czeka na pannę Lérius, a potem, gdy biedna pani wyszła z pokoju: — „Bardzo się to prędko skończy, rzekła, bo mama jest na nią rozgniewana. Mówi, że to zanadto nudne być zmuszoną do zdawania przed czasem rachunku ze swoich zamiarów; że chce być u siebie panią i że już nigdy nie przyjmie guwernantki i da mnie profesorów. — Ale Klaro, czy ci to nie przykro, widząc, że panna Lé-

rins ma zmartwienie? — Nie chciała mi nic odpowiedzieć, widziałam tylko, że ma łzy w oczach; wtedy ja jej powiedziałam: — „Moja kochana Klaro, jeżeli istotnie masz dobre serce, staraj się przynajmniej pocieszyć tę biedną panią! — Cóż chcesz żebyś zrobiła? Nie mogę jej prosić, żeby została, ale trochę mi smutno, że odchodzi. — To jej przynajmniej powiedz to, żeby jej ulżyło trochę.“

Tak rozmawiając, nie wiedziałyśmy same co robić i słuchałyśmy czy panna Lérins nie wychodzi już od pani de Baldi. Co mnie najwięcej przestraszyło, to że słyszałam kogoś, bardzo głośno mówiącego, a Klara mi powiedziała, że to głos jej matki. Nareszcie panna Lérins wyszła z pokoju pani de Baldi. Klara schowała się za drzwi, a ja patrząc z boku, widziałam, że biedna Pani bardzo była blada. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Klary, jakby się wahała, czy wejść; wreszcie weszła. Nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Panna Lérins podeszła ku Klarze i patrząc na nią wzrokiem, który mnie do łez poruszył: — „Biedne dziecko, rzekła, stało się to czego pragnęłaś; będziesz uwolnioną od władzy która ci ciążyła, chociaż to było ledwo cieniem władzy, obys nigdy tego nie żałowała. Będę o to prosiła Boga z całego serca.“ — Ja serdecznie płakałam; Klara okazała w tej chwili bardzo dobre serce, bo rzuciła się pannie Lérins na szyję i płacząc zawołała: — „Daruj mi pani!“ — Panna Lérins uściskała ją ze łzami w oczach i rzekła: — „Zanadto cię żałuję drogie dziecko, żebyś się na ciebie gniewać miała. Niech cię Bóg ma w Swojej opiece i uczyni cię szczęśliwą, to najgorętsze moje życze-

nie.“ — Potém zbliżyła się do mnie, ucałowała mnie serdecznie i wyszła z pokoju.

Klara była smutna, a mnie jej żal było, starałam się więc pocieszyć ją; w tém murzynek przyszedł powiedzieć, że ją matka woła. Klara bawiła tam długo, a ja się bardzo nudziłam. Wreszcie wróciła, mówiąc, że matka sądziła, że jej oddalenie panny Lérins będzie przyjemne, ale widząc jej smutek, pozwoliła jej prosić panny Lérins o pojechanie z niemi na miesiąc lub dwa, co jej zostawi czas potrzebny, by uprzedzić rodzinę o zmianie miejsca, przy czém Klara także oswoi się z myślą rozstania. Ale panna Lérins nie przyjęła propozycji, mówiąc, że woli zostać w Paryżu. Zdaje mi się, że Klarę to uraziło i że zaprzestała się smucić, bo rzekła do mnie: — „Nierozsądnie robię, smucąc się i mama utrzymuje to samo, bo przecież sama pragnęłam tego co się stało. Będę się starała więcej o tém nie myśleć, tak mi mama radziła.“

Panna Lérins nie siadła z nami do śniadania, bo ją bolała głowa. Około trzeciej pani de Baldi z Klarą i ze mną wyjechała powozem na długi spacer po bulwarach, mówiąc, że to pewno będzie dla mnie pożegnaniem tych pięknych miejsc. Przypatrywałam się pilnie wszystkim powozom i magazynom i całemu temu tłumowi, który się szczególnie na bulwarach Paryża spotyka; przyglądałam się pięknym strojom, różnokolorowym mundurkom i tym tak ładnie poubieranym dzieciom. Sliczny to był widok. A pani de Baldi kłaniała się znajomym, których spotykała jadących powozami, konno, lub idących pieszo, (Klara mówiła przecież, że nikogo

z ich towarzystwa niema w Paryżu) i mówiła do mnie tymczasem: — „Biedne dziecię! Jak tu pomyśleć, że ona porzuca to wszystko! I że jej matka wyjeżdża do tego dzikiego kraju, który nazywają koloniami! Aż litość bierze!...”—I tak dalej w tymże samym rodzaju. A potem pytała mnie, czy mnie to nie martwi i czy będę mogła żyć zdala od Paryża?—Ja odpowiedziałam, że spodziewam się, iż tak będzie, bo przecież tyle jest ludzi, którzy nie mieszkają w Paryżu, a jednak dla tego żyją.—„Co to za ludzie“...—odrzekła z miną pogardliwą. Ale któż Matkę twoją zmusza do tak strasznej podróży?—Ależ pani, nikt Mamę nie zmusza, tylko ponieważ Ojciec wyjeżdża na lat kilka, Mama chce z nim jechać.—To bohaterstwo! Jabym nie była zdolną do takiego poświęcenia. Co za ofiar!...“—

Bardzo mnie ta rozmowa nudziła, a Klara dodała jeszcze:—„O Małgosia płacze z żalu za kościołem (nie wiem jakim sposobem to zgadła), ale za bulwarami znajduje, że płakać nie warto!—Płakałabym, Klaro, z pewnością, ale zobaczę wiele krajów i rzeczy wiele i cieszę się tą myślą, bo przecie morze musi być daleko piękniejsze.—To szczęście, odrzekła pani de Baldi, że cię wychowano w tak oryginalny sposób. Pewno cię nauczą lubić morze i nie nudzić się na okręcie; to wielkie szczęście dla ciebie.

Ja także znajduję, że to szczęście! bo jak urośnię, nie będę się tak nudziła jak pani de Baldi, ale nie śmiałam powiedzieć jej tego, i doprawdy starałam się więcej żalu okazywać za Paryżem, który jest taki ładny. Pani de Baldi zawiozła mnie na

Pola Elizejskie i do Tuilleries, gdzieśmy wysiadły i tam smutno mi było, gdy pomyślałam sobie, że Stefka, Bercia, Gustaw, ja i mały Bobuś przechadzaliśmy się tu tak często, a teraz nie będziemy tu już nigdy może. Nie płakałam jednak, bo sobie powiedziałam, że wszędzie jest gdzie chodzić na spacer, a pewno w Indyach ładniej jak tutaj.

Kiedysmy wróciły Klara poszła ubierać się na wieczór i włożyła jeszcze bogatszą tualetę niż rano, bo kilka osób miało przyjść. Obiad był przepyszny; panna Lérins przyszła do stołu, a pani de Baldi była dla niej dość uprzejma, co mnie zdziwiło. Klara prosiła mnie, żebym zagrała sonatę, a potem sama grała jakąś sztukę, ale nie szczególnie gra. A przeto to nieznośne, że robi takie miny, ale może ona temu niewinna, bo tyle jej prawią grzeczności! Ona wierzy wszystkiemu i odpowiada jak dorosła osoba, we wszystkiem naśladując matkę. A chociaż jej w oczy pochlebiają, widząc, że pani de Baldi temu rada; jednak za oczami źle o niej mówią; słyszałam jak jeden pan jej powiedział:—„Panno Klaro, kiedyż będziemy mieli szczęście ujrzeć panią w świat wchodzącą?“—A potem patrząc na Klarę mówił do jednej pani:—„Czy pani widziała kiedy śmieszniejszą lalkę?“—Mojem zdaniem to niegodziwie kłamać w ten sposób, i udawać, że się pragnie ukazania Klary w świecie dla tego tylko, aby się módz z niej wyśmiewać! Miałam wielką ochotę powtórzyć to Klarze, ale byłyby się z tego plotki porobiły. O dziesiątej odwieziono mnie, bardzo byłam kontenta, powróciwszy do domu; zdawało mi się, że już od wieków w nim nie była! Pani de Baldi była

bardzo dla mnie uprzejma i doprawdy żałuję, że nie kocham jej więcej. Przysięgła mi, że raz jeszcze przyprowadzi mi Klarę, gdy przyjdzie żegnać się z Mamą, nie byłam więc smutna, żegnając się z Klarą.

Jaki długi dzisiejszy dziennik!...

Sobota, 17 lipca.

Wyjeżdżamy z pewnością w przyszły Wtorek *dwudziestego lipca*, w sam dzień moich imienin. Ojciec uzyskał od ministra marynarki pozwolenie przybycia do Brestu dopiero *dwudziestego trzeciego*, bo jak mówią okręt puści się na morze nie prędzej aż w końcu miesiąca, a Mama tak pragnęła zyskać chociażby dwa dni, że Ojciec co mógł robił, aby wyjazd odwlec. Ja się także cieszę z tych dwóch dni zyskanych, bo będziemy tu mieli Manię, a potem pójdziemy do niej z pożegnaniem i dłużej też będziemy z Gustawem.

Nasz dom jest w największym nieporządku. Same wszędzie kufry i pakunki! Dosyć mi się to podoba, a jednak jestem zmęczona i nudziłabym się czasem, gdybym nie miała dziennika do pisania; trudno mi znaleźć co mi potrzeba i gdyby nie ładna angielska teczka, którą mi dał Ojciec przed dwoma laty, pogubiłabym wkrótce i papier i ołówek i pióra, a tak mam wszystko, co mi do pisania potrzeba; do mnie się też po wszystko udają, nikt zatem nie śmie nazywać mnie już teraz: *roztrzępaną Małgosią*.

Pani de Baldi przyszła wczoraj pożegnać Mamę, ale ja właśnie wyszłam była z Józefą i z dziećmi. Klary nie było, pani de Baldi powiedziała, że jej córka za nadto jest wrażliwa i że niedobrze jest doznawać wzruszeń w tym wieku. Nie sędzę, żeby Klara miała z tego powodu chorować, gdyby mnie była raz jeszcze uściskała, ale kiedy matka boi się tego dla niej, mniejsza o to, nie będę się tém martwiła. Mieliliśmy jeszcze inne wizyty; Cesia Duffon przyszła właśnie wtedy, gdy wróciłam do domu. Żegnając się ze mną płakała również jak i ja, bo to bardzo dobra dziewczynka.

Kiedy już nie było nikogo, Pani mnie zawołała do swego pokoju i powiedziała mi coś, co mi wielką sprawiło przyjemność, chociaż to rzecz smutna. Jaka ona dobra, że na to przystała; o co ją rano prosiłam, to jest, żeby mnie z sobą wzięła, gdy pójdzie ostatni raz na grób swoich rodziców; wiedziałam bowiem, że ma iść na cmentarz i na wszystko ją prosiłam, żeby i mnie iść z sobą pozwoliła, jeżeli chce mi dać dowód, że wierzy, jak bardzo ją kocham. Odpowiedziała mi, że pomówi o tém z Mamą i widać, że Mama zezwoliła. Pójdziemy więc tam zaraz po południu, a potem do kościoła, do spowiedzi. Mama tam do nas przyjdzie, bo chce przed wyjazdem przyjąć Komunię świętą i Gustaw także razem z nią komunikować będzie, bo Mama chce tym sposobem polecić go opiece Bożej.

Pani przygotowała mnie wczoraj do tej spowiedzi, zrobiłam z nią rachunek sumienia; znaleźliśmy jeszcze mnóstwo grzechów. Na szczęście jest trochę mniej gniewu, ale nie byłam jeszcze ani

bardzo łagodna, ani też bardzo dobra, co mnie wielce smuci i zawstydza. Po tylu łaskach jakie Bóg codziennie zsyła na mnie! Jestem już większa i mimo to jeszcze obrażam Pana Boga! Ach! to wielkie nieszczęście! I nie wiem doprawdy co mam przyrzekać na spowiedzi, bo nawet połowy dotrzymać nie umiem. Jednakże nie mam zamiaru zmieniać się, bo tego robić nie wolno i chcę ponowić moje postanowienie; może też tym razem dotrzymam ich lepiej, bo na morzu będę więcej o tém wszystkiém myślała, ze względu na nieszczęścia, które mogą się przytrafić. O! święta Matko Boża, módl się usilnie za Twoją biedną Małgosię!

Poniedziałek, 19 lipca.

Mój Boże, więc to już jutro! Ostatni już raz piszę mój dziennik we Francyi?... Mnóstwo rzeczy mam do powiedzenia, bo wczoraj nie mogłam pisać; a jeszcze muszę się spieszyć, bo Józefa woła o teczkę, którą chce schować do kufra Mamy; wszystkie inne kufry już są wysłane. Nie będziemy ich już mieli aż na okręcie albo w Brest, jeżeli zabawimy tam dłużej. Na szczęście Pani darowała mi prześliczną książeczkę do notatek, w której zapisywać będę przez drogę wszystko co zechce zapamiętać, inaczej wszystkiego bym zapomniała, tak jestem wzruszona.

Ale pisząc ostatni raz w Paryżu, muszę uspokoić się trochę. Najprzód w Sobotę o trzeciej pojechaliśmy na cmentarz Père Lachaise... Ach! jakie

on na mnie zrobił wrażenie! Takie smutne to miejsce, ulice z samych grobów, jakby miasto umarłych! Można powiedzieć, że każdy ma tam swój domek, który czeka na niego, ta myśl wzruszyła mnie bardzo. Ale pomyślałam sobie, że przy Pani, która jest tak smutna, powinnam być bardzo spokojna i starałam się pokonać wzruszenie.

Uklękłyśmy w milczeniu przy grobie jęj rodziców, Pani zakryła twarz rękoma i modliła się z głębi duszy. Ja także modliłam się gorąco, ale patrząc na te dwa groby, jeden obok drugiego leżące, pokryte płytami czarnego marmuru z krzyżem, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Jako smutno pomyśleć, że Ojciec i Matka ukochanej mojej Pani leżą tam i nie mogą ani jęj widzieć, ani do niej mówić, ani jęj uściskać. A ja taka mała, szczęśliwszą jestem jednak od nich! Ale jeżeli oni są w niebie, to tam im lepiej; jednak to smutno patrzeć na groby. Ale widok kwiatów rozwesela oko, a przytém niebo było tak niebieskie i ja pocieszając się, myślałam, że ich dusze są w niebie, jestem nawet pewna, że tam są, bo rodzice Pani musieli być bardzo dobrzy, kiedy ich córka jest tak dobra.

Bawiłyśmy tam długo, bo Pani zdaje mi się zapomniała, że ja tam byłam, ale to bardzo naturalne. Wreszcie spojrziała na mnie i rzekła:—„Chodźmy drogie dziecię!”—Oczy jęj były pełne łez, gdy to zobaczyłam, zrobiło mi się bardzo przykro i zaczęłam całować ją, jak gdybyśmy w domu były. Pani mnie serdecznie uściskała i rzekła, patrząc w niebo:—„Oni ci błogosławić będą z nieba za to, że kochasz ich córkę!...—Ach! tak, ja Panią kocham,

zawołałam i przyrzekam im, że zawsze będę dobrą, żeby tém Pani radość sprawić! — Bardzo mi było miło, że mówiłyśmy tak do siebie wobec Boga i jój rodziców. Poczém Pani ucałowawszy kilkakrotnie groby rodziców powstała, ale gdyśmy odchodzili ze smutkiem, Pani odwróciła się nagle i jeszcze raz padła na kolana; nie mogła powstrzymać łez i szlochać zaczęła. Wtenczas zaczęłam ją zaklinać, żeby odzyskała odwagę, co też zrobiła, widząc mój smutek. Podczas gdy Pani się modliła, urwałam kilka kwiatków koło grobu rosnących, a gdyśmy wsiadły do powozu, dałam je Pani aby miała pamiątkę odemnie i z grobu rodziców. Zdaje mi się, że była z tego rada. Gustaw któremu opowiadałam o téj bytności na cmentarzu, przyrzekł Pani chodzić tam czasem i doglądać, żeby groby były zawsze porządnie utrzymane; bardzo to Panią ujęło, bo też to bardzo uprzejmie ze strony Gustawa.

Odbyłam dobrze spowiedź, to jest wszystko, com powiedziała było bardzo złem, ale tak szczerze przyrzekałam Bogu, że nie będę już nadal błdzić, że spodziewam się, iż mi tym razem przebaczyć jeszcze raczy. Ksiądz proboszcz był tak łaskaw, że przyrzekł mi modlić się za mnie; za nas wszystkich; to mię uspokaja! Poszliśmy wczoraj wszyscy, by go uściskać, nawet Ojciec był z nami. Ksiądz proboszcz błogosławił moje siostrzyczki i mnie, bo go Mama prosiła o to. Bercia uważała to za coś bardzo niezwyčajnego, i opowiadała wszystkim, że się spowiadała, chociaż błogosławieństwo wcale nie było podobném do spowiedzi.

Kochana moja Mania przepędziła cały dzień ze mną, pozwolili jój łaskawie wyjść z powodu naszego wyjazdu. Ach! jaka ona była smutna! A ja! Joasia płakała także, widząc przygotowania nasze do podróży. Napiszą przez nas do swoich krewnych w Burbon i oddadzą nam listy jak pójdziemy do klasztoru, by się raz jeszcze z niemi pożegnać; z łaski bowiem Mamę będę miała raz jeszcze tę uciechę. Mania i Joasia już się pożegnały z Mamą; smutne było pożegnanie i Mama także żałuje ich bardzo i tak się zmieniła skutkiem tych wszystkich wzruszeń, że aż przykro patrzeć na nią. Mania nie mogła nic mówić przy pożegnaniu, tylko całowała Mamę, która ją trzymała w objęciach. Joasia wołała: — „Cóż się z nami stanie teraz. Wszyscy nas opuszczają. I płakała rzewnie. Mama mówiła im: — „Moje biedne dzieci! moje kochane! Bóg jeden wie, jakbym była szczęśliwa, gdybym mogła zastąpić wam matkę“... I wiele innych miłych chociaż smutnych rzeczy. Ja nie mogłam bez łez patrzeć na Manię, a jednak ciągle patrzyłam na nią. Ach! spodziewam się, że nie zapomnę jój twarzy. Opiszę tu jak wygląda, żebym zawsze pamiętała o niej, bo kiedy Ojciec wyjeżdżał w podróż myślałam, że nigdy nie zapomnę twarzy jego, a jednak zapominałam jak tylko długo był nieobecny, chociaż poznawałam go zaraz, jak wracał.

Mania jest już prawie wzrostu Mamę, sięga jój do ramienia, a figurę ma tak wysmukłą i tak zgrabną, że aż miło na nią patrzeć, kiedy stoi zawsze jest trochę pochylona jakby szukała oparcia. Twarz jój ściągała, ale niebardzo, taka jaką zowią *owalną*;

cerę ma więcéj bladą niż ciemną; wszyscy mówią, że jéj z tém bardzo ładnie. Ma duże oczy, podobne do oczów Stefci, ale jeszcze piękniejsze, chociaż niezupełnie czarne, za to pełne wyrazu! Są one jakby książką, bo ja w nich czytam wszystko co Mania myśli. Lubię także bardzo jéj włosy, taki mają śliczny kolor ciemny i zarazem złotawy, jakby się na nich promienie słońca odbijały. Ale najpiękniejsza jest, gdy się uśmiecha, bo ten uśmiech taki smutny, wywołuje jednak uśmiech na wszystkie usta. Mnie się zdaje, że Mania jest przesłiczna, bo jest aniołem, a aniołowie muszą być zawsze bardzo piękni. Jeszcze ją raz zobaczę i to wkrótce, kochaną moją Manię, dzisiaj jestto jedyną moją pociechą, ale co zrobię potem?

Prosiła mnie wczoraj o jedną rzecz, która nam obydwom sprawiła przyjemność: przed obiadem chodziliśmy razem po ogrodzie, układając, że będziemy dla siebie pisały rodzaj dziennika. Mania mi powiedziała:—„Gdybym śmiała, prosiłabym cię o ten dziennik, który piszesz codziennie, byłoby to dla mnie tak wielkiem szczęściem! Wiem, że może jestem niedelikatną, prosząc o opis całego twojego życia, ale czyż mię nie nazywasz swoją siostrą? A siostry nie mogą mieć tajemnic dla siebie, nieprawdaż?—O! moja kochana, ręczę ci, że nigdy nie będę miała tajemnic dla ciebie i chętnie ci pokażę mój dziennik. Nie zrobiłabym tego dla nikogo, bo to tak, jakbym pokazywała moją spowiedź, ale z tobą Maniu, to co innego.—O! Małgosiu, ja nie chcę wymagać od ciebie zbyt wielkiego poświęcenia...—Nie, Maniu, to nie jest poświęcenie, bo my-

ślę, że gdy poznasz moje wady, będziesz się więcéj jeszcze modliła za mnie. Tylko schowaj mi moje kajeta, żebym je kiedyś odczytać mogła, jak już będę duża.—Zachowam je jak najstaranniej i dziękuję ci stokrotnie za tę obietnicę, która jest dla mnie pociechą.“—Mania obiecała mi, że często komunikować będzie na moją intencję i że będzie się za mnie modliła codziennie. Jak to miło pomyśleć sobie co rano i co wieczór, że siostra moja Mania mówi o mnie do Boga. Prawie mi się będzie zdawało, że razem będziemy, bo i ja także w tym samym czasie będę o nią Bogu mówiła w modlitwach moich. Biedna Barbara, jak ona płacze!...

Ach! mój Boże, otóż Józefa mi przerywa, bo chce schować moją teczkę. Ja jeszcze tyle miałam do pisania, o tylu osobach, a szczególnie o Alberku, który przyszedł nas pożegnać i który jest taki dobry! Ale trzeba dać temu pokój, bo słyszę jak Józefa woła jeszcze. Żegnam cię we Francyi mój biedny dzienniku... Już cię tu więcéj pisać nie będę... Ach! jaki to ważny wypadek, tak wielka podróż!...

Czwartek, 29 lipca 18... Brest (w Bretanii).

Skorzystałam z tego, że Mama musiała otworzyć skrzynię i prosiłam ją żeby mi pozwoliła wziąć moją teczkę; będę trochę pisała, bo tak się nudzę, że nie wiem co robić, a potem mam do zapisania tyle ważnych rzeczy, że wytrzymać nie mogę.

Opowiem najpierw to, co najważniejsze, najmilsze mi i najbardziej zadziwiające. Jaki Bóg dobry! o! jaki dobry! chcę tu napisać jak Mu wdzięczną jestem! A razem tak jest Wszechmocny, że na to zdarzenie pozwolił! Nigdy nie zapomnę tej łaski i będę się starała być bardzo grzeczną, bardzo łagodną, aby Bogu mą wdzięczność okazać! Ach! jak pomyślę, że Mania, moja siostra Mania pojedzie z nami!... Zdaje mi się, że to sen, albo że jestem szalona... I pytam się siebie ciągle, czy to prawda? Ale to prawda, zupełna prawda, bo ona jutro przyjeżdża z Joasią; tak, z pewnością jutro o szóstej rano. Co za szczęście Mania będzie z nami!... Ach! nie mogę być spokojną, gdy o tym myślę. Jeszcze tak długo trzeba czekać! A jeżeli okręt rozwinie żagle, albo coś wyjazd Mani opóźni? Musimy być wszyscy na okręcie jutro wieczorem bez zawodu, to naprawdę straszne...

Widziałam nasze przyszłe mieszkanie, które jest bardzo brzydkie. I niedobrze mi było, gdy wracałam z okrętu, jadąc tam nic jednak nie czułam, ale na okręcie jest powietrze, które mi ledwo nie spowodowało morskiej choroby; Stefka ją miała, to wcale nie ładna rzecz. Bercia śmiała się przez cały czas tej przejażdżki. Pani była trochę blada, ale nie chorowała; zresztą powiadają, że to nic jeszcze płynąć w przystani; dopiero jak okręt się zakolysze to i serce poruszy się także; musi to być bardzo niemiłe.

Mama nie chciała zwiedzać *Izery*, powiada; że i tak zobaczy ją dość prędko, a przytém taka jest smutna i cierpiąca! Bardzo mi przykro, że widzę

ją tak znękaną, ale chociaż ją co chwila całuję, choć staram się ją rozweselić, albo mówię z nią o Gustawie, Mama jest ciągle niepokieszona. Patrzy na mnie oczami pełnymi łez i zawsze mi powtarza: — „Mój Gustaw! mój Gustaw! Nie znajdę nigdy dość siły, żeby żyć bez niego“... — Jakże więc zrobić? Trzeba przecież, żeby Mama żyła. Ojciec jest niespokojny, widzę to i stara się rozweselić Mamę i dodać jej odwagi. Ach! gdyby Gustaw był z nami, jakbyśmy wszyscy byli teraz szczęśliwi, kiedy Mania przyjeżdża! Ale nie opowiedziałam jeszcze, jak się to stało, że one z nami jadą. Bo też jestem tak wzruszona; co chwila biegnę do okna, jak gdybyśmy dziś oczekiwali ich przybycia; postępuję więc nierozsądnie i nie słucham Pani, która mi zaleca, żebym się uspokoiła i pisała przez czas, gdy ona będzie u Mamy.

W przeszły Poniedziałek żegnałam się z Manią i tak płakałyśmy obiedwie, że ja aż z tego zasłabłam i ona pewno także. Pani wołała mnie już, żeby odejść, a ja nie mogłam się na to odważyć i ciągle wołałam: — „Żegnam cię Maniu, żegnam cię!“ — Chciałam wrócić do niej, tupałam nogami z żalu, byłam jak w złości. Mania sama dawała mi znaki, żebym się uspokoiła, ale to było nad moje siły. I nie mogłam jej ucałować przez kratę!... Wreszcie na moje wielkie szczęście wszystkie te smutki już się teraz skończyły.

Mieliśmy jeszcze inną smutną scenę z Gustawem, a na nieszczęście nie możemy się po niej pocieszyć. Ostatni wieczór z nim spędzony był bardzo smutny. Ojciec pragnął, żeby Gustaw wrócił do szkoły

z panem Guer, przyjacielem Ojca, który się podjął czuwać nad Gustawem, ale Mama nie chciała przystać na to, mówiąc, że Gustaw pojedzie z nami na pocztę, bo on tego pragnął również jak i Mama. Całą noc nie spałam; przynajmniej nie spałam ciągle, bo trzeba było wstać bardzo rano i to mnie niepokoiło. A prócz tego myślałam ciągle o Mani, o Gustawie i o Józefie, którą tu zostawiamy. Nianka wyjechała jeszcze rano, a Pani wzięła do swego pokoju Bobusia z Barbarą, która starała się oswoić z sobą biedne maleństwo; ale Bobuś płakał często, wołając niani.

O czwartęj byliśmy ubrani wśród straszego zamieszania i nieładu. Ledwo co nie spóźniliśmy się. Wreszcie o wpół do szóstęj wsiedliśmy do dwóch powozów, ucałowawszy Józefę, która zalewała się łzami. Mama, Pani, Gustaw i Barbara z Bobusiem wsiedli do dużego powozu i z niemi Bercia; Ojciec, pan Guer, Stefcia i ja pojechaliśmy drugim. Byłabym wolała być z Gustawem do ostatniej chwili, ale Mama chciała mieć przy sobie Bercię.

Kiedysmy przybyli na dziedziniec pocztowy uczułam się odurzona, widząc ten ruch i słysząc ten hałas; przerażał on Stefkę i Bercię, ale Bobuś śmiał się tylko. Ojciec z Panią zajęli się rzeczami, a my wszyscy z Mamą weszliśmy do salonu, gdzieśmy usiedli w kącie. Mama znowu zaczęła płakać, ściskając Gustawa i dając mu rozmaite polecenia. Gustaw także płakał, a my cisnęłyśmy się do niego, patrząc nań ze smutkiem. Ach! to doprawdy okropnie rozstawać się z bratem. Kiedy kazano wsiadać

podróżnym, Mama tak zbladła, że myślałam iż zemdleje; Ojciec wziął ją pod rękę, z drugiej strony prowadził ją Gustaw. Wszyscy patrzyliśmy na nią ze smutkiem. Uściskawszy po tysiąc razy Gustawa, wsiedliśmy wszyscy do karety; on stał na stopniach trzymając jeszcze rękę Mamy i mówiąc:— „Żegnam cię, droga Matko! Odwagi!... Żegnam cię Ojcze, bądź spokojny, nigdy o mnie nic złego nie usłyszysz.“ — Wreszcie konduktor przyszedł zamykać drzwiczki. Mama schwyciła rękę pana Guer, wołając:— „Mój syn! mój syn! Czuwaj pan nad nim! Wychowaj go!...“ — Potem uścisnęła Gustawa po raz ostatni i łkając padła w głęb powozu, na pół zemdlona. Tak się wtedy przeleżałam, że już nie widziałam Gustawa; powóz odjechał, a kiedy się rzuciłam do drzwiczek, spostrzegłam tylko rękę biednego brata, który powiewał chustką na znak pożegnania. Ach! jeszcze płaczę, myśląc o tém; ale Bóg dobry czuwać będzie nad nim, bo Go o to bardzo prosimy.

Dziś jeszcze o czwartęj.

Musiałam przerwać pisanie z powodu wizyt. Ojciec zna tutaj wiele rodzin marynarzy. Nadeszły i panienki, więc mnie zawołano. Dotąd widziałam w Brest same osoby dobrze wychowane, ale te panienki wcale nie są takimi. Co za dziwne dziew-

czynki! Zdaje mi się, że większa z nich jeszcze więcej przesadzona niż Klara. Są to dwie siostry, mniejsza także jest w wielkich pretensjach. Starsza mówiła do mnie: — „Musi panienska bardzo żałować Paryża, a nasz biedny Brest jestem przekonana wydaje się panience okropnym?” — A chociaż powtarzałam jej, że wcale nie znajduję, aby to miasto było brzydkie, ona odpowiadała: — „O! zapewniam panienkę, że nie jesteśmy takie parafianki, aby nie wiedzieć, czego brak naszemu miastu! Zresztą przed dwoma laty jeździłyśmy do Paryża, gdzie znajdowano, że zupełnie jesteśmy podobne do Paryżanek.

To mi było obojętne, ale ponieważ podług mego zdania wcale nie są podobne do Paryżanek, powiedziałam: — „Bo panienki miały pewno paryżkie kapelusze, tu w Breście nie ma ładnych kapeluszy.” — Nie wiem dla czego, wszyscy się obrażają, ile razy mówię to co myślę; ta panienska zdawała się tém bardzo zmartwiona również jak i jej siostra i koniecznie chciały, żebym im pokazała mój kapelusz dla zobaczenia różnicy; ale mój zapakowany i miałam tylko codzienną kapotkę, powiedziałam więc, że nie warto jej pokazywać. Nareszcie poszły sobie, a ja znowu rozpoczynam mój dziennik, bo za wielki deszcz pada, ażebyśmy mogły wyjść. Przed chwilą grzmiało, Stefka i Bercia przelekły się, ale nie na długo, bo Pani im wytłumaczyła, że Bóg jest Panem grzmotów i że modląc się do Niego, najłatwiej się uspokoimy. Skutkiem burzy Bobuś był cierpiący, jest przy Mamie i przy Pani. Ja siedzę

sama, a dzieci bawią się na korytarzu, nic więc lepszego nie mam do roboty jak pisać dziennik.

Nie mogę szczegółowo opisywać naszej podróży, boby to było za długo; zapisałam tylko w pugilaresie, że Rennes jest bardzo pięknym miastem, jedliśmy tam obiad i nocowaliśmy, a Ojciec wyszedł ze mną wieczorem na miasto; mam więc o niem wyobrażenie. Przedtem przejeżdżaliśmy przez Laval, który mi się wydał bardzo ładnym, a potem przez wiele innych miast i wsi; ale wszędzie bawiliśmy krótko, bo poczta zatrzymuje się tylko dla zmiany koni, na obiad lub śniadanie i to na niedługą chwilę.

O! jakież to piękny kraj Normandia! Jakie ładne ubrania noszą wieśniaczki! W okolicach Mortagne, zdaje mi się, widzieliśmy wesele wychodzące z kościoła; był to widok bardzo wesoły. Bretania, którą zawsze miałam taką ochotę poznać, wydała mi się bardzo piękną; ale wieśniacy nie są tak porządni jak w Normandyi i wcale mi się nie podobały ich długie źle uczesane włosy. Widziałam przytém to sławne z dobroci masło bretońskie, wystawione na kurz i zdaje mi się, że mogliby się z niem staranniej obchodzić. Mimo to wszystko szanuję Bretonów, bo tacy są wierni i tacy pobożni i mają tyle poczucia honoru! Są przytém doskonałymi marynarzami! Du Guesclin był Bretończykiem, Gustaw i ja lubimy go bardzo, również jak Duguay-Trouin.

Bardzo to zabawnie podróżować, ale noce spędzane w powozie są bardzo męczące, a przytém zdarzają się czasem przerażające wypadki, i tak na-

przykład czasami konie biegły tak prędko, że bałam się aby nie poniosły; czasami znowu powóz tak się pochylał, że już tylko co miał się przewrócić. Wtedy krzyczałyśmy, témbardziej, że Mama nie bardzo jest odważna. Ojciec gniewał się na nas, a Pani starała się nas uspokoić.

Raz w nocy przestraszyłam się téż bardzo; wjeżdżaliśmy wolno na wysoki pagórek (jest ich mnóstwo na téj drodze i kiedy się ich widzi zdaleka, przychodzi na myśl pytanie, jakim sposobem konie potrafią wejść na górę. Bardzo byłam kontenta, gdy pozwolono podróżnym wysiąść i wejść pieszo na pagórek, tak potrzebowaliśmy wyprostować trochę nogi. Stefka, Bercia i ja szukałyśmy kwiatów pod płotami, cudowna zabawa! Ale Pani powiedziała, że mój nawias za długi, wracam więc do pagórka).

Było to więc w nocy przejeżdżaliśmy między dwoma lasami, wszędzie było tak czarno, tak czarno!... Nagle spostrzegam coś białego poruszającego się przy drodze, wychyliłam się przez okno otwarte w karecie z powodu gorąca i widzę leżącego człowieka. To mi się wydało dziwne, żeby ktoś kładł się na drodze o téj godzinie i zaraz pomyślałam sobie, że to pewno złodziej, że jego towarzysze są ukryci w lesie, jak to ma miejsce we wszystkich historyach, które czytałam o złodziejach i że na dane hasło otoczą nasz powóz; nadeptałam więc ostrożnie na nogę Ojca, żeby się obudził i obronił nas. Ale to go nie przebudziło; okropny mi strach przejął i właśnie gdy dyliżans mijał tego człowieka,

usłyszałam gwizdnięcie... Wtedy zaczęłam krzyczeć z całych sił:—„Złodzieje! złodzieje. Ojciec się obudził, Mama się przelekła; Stefcia i Bercia płaczą; Pani i Barbara patrzą na wszystkie strony, wszyscy pytają mnie:—„Co ci jest? Co się stało?“— Ale tymczasem dojechaliśmy do końca pagórka, konie puściły się kłusem, nie można już było dojrzyć tego człowieka, a ja utrzymywałam ciągle, że niezawodnie biegnie za nami i płakałam i śmiałam się razem, myśląc, że nie będzie mógł nas dogonić. Ojciec bardzo mnie łajał, że zrobiłam taką scenę; powiedział mi, że jestem głupia i że mi się coś przywidziało. Ale ja jestem pewna, że to doprawdy był złodziej i że Pan Bóg nas ocalił, bośmy szczerze wszyscy razem zmówili pacierz i błagaliśmy Go, aby czuwał nad nami.

Mieliśmy jeszcze inny dziwny powód do strachu, nie wiem już w jakim miejscu, ale było to rano. Dyliżans zatrzymał się dla przeprzeżenia koni, a jakiś biedny człowiek z długą siwą brodą przyszedł prosić o jałmużnę. Stefka, Bercia i ja szukamy naszych pieniędzy, żeby mu co dać, a Mama zbiera resztki śniadania, ale tymczasem nadchodzi kobieta z trojgiem małych dzieci tak nędznych, że litość brała na nie patrzeć; ja téż chciałam cofnąć pieniądza, który już kładłam w rękę staremu, aby go dać kobiecie. On się gniewa, ona mu wymyśla i zaczynają klócić się okropnie. Ojciec im powiada, żeby sobie poszli, ale oni nie chcą; inni ubodzy przybiegają i w jednej chwili jesteśmy otoczeni pięcioma czy sześcioma kobietami, bandą

dzieci i mnóstwem mężczyzn. A wszyscy krzyśleli: — „Litości, wsparcia, na miłość Bożą, panienczko, choć grosik! — Mnie także! mnie także!“ — Otworzyli drzwiczki z obu stron, stanęli na stopniach; cisnąc się, popychając, klóćąc. Zaczęło nam być duszno, mnie okropny strach przejął na widok tych wszystkich twarzy, które patrzyły na nas i wszystkich tych rąk do nas wyciągniętych. Zdawało mi się, że nam gwałtem zabiorą wszystko co mamy. Ojciec odpychał ich, oni mu grubijańsko odpowiadali, aż strach brał słuchać. Na szczęście nadszedł nam na pomoc konduktor i zamknął drzwiczki. Nie śmieliśmy już patrzeć na tych nieszczęśliwych. Bobuś krzyczał i płakał. Gdyśmy odjechali mówiliśmy wiele o tém zdarzeniu; Ojciec utrzymywał, że ci ludzie to są złoczyńcy, których należy się bać więcej jak mego złodzieja, ale mnie ich jednak żal było, bo przecież to nędza zmusza ich do proszenia. Powinniby tylko być grzeczniejsi.

Przybyliśmy do Brestu 23 wieczorem. Gdyśmy weszli pod te czarne sklepienia, doznałam silnego wrażenia; te wysokie mury i fortyfikacye wydają jak więzienie. Na szczęście to miejsce wydaje się później weselszém, nawet chodziłam już na spacer, które mnie bardzo bawiły. Ale czego nie nawidzę to spotkania z galernikami w ich strasznych ubiorach i z okrutném spojrzeniem; dreszcz po mnie przechodzi. Jest ich w porcie mnóstwo, pracują przy rozmaitych robotach; nawet tu w domu admirała, (zapomniałam powiedzieć, że mieszkamy w domu zarządu marynarki, bo pan Admiral*** zna Oj-

ca i zaprosił nas do siebie na mieszkanie, póki nie wyruszymy w podróż. Bardzo to z jego strony łaśkawie i uprzejmie i daleko nam lepiej w domu zarządu jak w hotelu; to też bardzo lubimy pana admirała i jego żonę. Galernicy są tu używani do robót w ogrodzie i zawsze chcą rozmawiać z nami; jeden młody podobał się Berci, mówiła więc do Mamy: — „Jacy oni mili, ci poczciwi galernicy, Mamuniu!“ — A nas to bawi. Ale mnie oni się nie wydają mili, bo wiem, że popełniali straszne występki, więc się ich boję. Pani mi przypomina, że Zbawiciel nasz umarł za nich tak samo jak za mnie i że powinnam ich żałować, bo oni tego nie wiedzą, lub o tém zapomnieli i narazili się na niebezpieczeństwo odrzucenia na zawsze od Niego; to też odkąd tu jestem co wieczór mówię małą za galerników modlitewkę.

Ale nie powiedziałam jeszcze dotąd, jak się to stało, że Mania przyjeżdża; to doprawdy dziwne! — Oto na drugi dzień po naszym przyjeździe do Brestu oddano nam list od naszego biednego Gustawa, (już i ja raz pisałam do niego), a przytém paczkę dla Mamy. W téj paczce był list od grubego kuzyna, który przysyłał nam zarazem list odebrany z Burbon od wuja Mani Adryana. Była to odpowiedź na wiadomość o śmierci ich dziadunia. Pan de la Caze pisał do kuzyna, dziękując mu za trudy, jakie poniósł z powodu opieki nad dziećmi, *że całém sercem chciałby znowu mieć przy sobie nieszczęśliwe, drogie swoje siostrzenice*; że żona jego będzie im matką, a on ojcem; że potrafią dać im dobre wy-

chowanie w Burbon; że nawet interesa majątkowe wymagają ich powrotu, że trzeba zatem korzystać z pierwszej zrzeczności jaka się nadarzy i że dla tego odpisuje jak najspieszniej, aby jeżeli czas jeszcze po temu powierzono Manię i Joasię *tęj dobrej i zadowolonej* pani Guyon o której siostrzenice pana de la Caze piszą z takim uczuciem, donosząc mu o jej bliskim wyjeździe do Indyj; że to byłaby najlepsza dla dziewczynek opieka; że zapłaconoby za nie kosztą podróży, a spodziewa się pan de la Caze, że Ojciec i Mama nie odmówią mu tak wielkiej przysługi i tym sposobem uśmierzą niespokojność, jaką krewni i przyjaciele biednych sierotek czują z powodu ich nieszczęść. Co do Alberyka pan de la Caze chciał, żeby ten został we Francyi, obiecując przysyłać corocznie potrzebną mu sumę pieniędzy. Gruby kuzyn pisał, że odebrawszy ten list, zaraz pojechał do Paryża, bo spodziewał się jeszcze nas tam znaleźć; że bardzo się zmartwił, dowiedziawszy się o naszym wyjeździe do Brestu, że Mania i Joasia, które bardzo pragną połączyć się z nami zapewniały, że zastaną nas jeszcze w porcie, jeżeli natychmiast puszcza się w drogę; ale gruby kuzyn obawiał się niepotrzebnej podróży, pragnął też dowiedzieć się, czy na okręcie znajdzie się dla nich miejsce i czy moi rodzice zechcą opiekować się dziewczynkami. Prosił więc o *jak najrychlejszą* odpowiedź, dodając, że tymczasem naprędce przygotowują wszystko co może być potrzebnem do wyjazdu Mani i Joasi. Mama *tego samego dnia* odpisała zapewniając, że wszyscy jesteście uradowani

z układu proponowanego przez pana de la Caze, że Ojciec łatwo znajdzie sposób umieszczenia Mani i Joasi na okręcie i że trzeba je tu przywieźć natychmiast.

Gruby kuzyn pewno już puścił się w drogę, bo taką ma ochotę pozbyć się swoich pupilek, że chętnie odbędzie podróż do Brestu, témbardziej, — to jego słowa, — *że mu kosztą będą zwrócone*. Rachując dni, sądzimy, że Mania powinna tu być jutro rano; gdyby nie przybyła, byłoby już za późno!... Mój Boże! mój Boże! błagam cię, spraw, niech przybędą!...

CZĘŚĆ DRUGA.

Małgosia na morzu.

Niedziela, 15 sierpnia 18...

(na okręcie Izery).

Dziś w święto Matki Boskiej chciałam na nowo rozpocząć dziennik pod Jój opieką, to mi może przyniesie szczęście. Ach niełatwo to pisać na morzu. Mój Boże jakie kołysanie! Moja teczka co chwila zmienia pozycyą swoją, a ja się boję, aby atrament nie przelał się przez wierzch kałamarza i nie splamił mi sukni. Dziś właśnie włożyłam po raz pierwszy odkąd jesteśmy na okręcie bardzo ładną sukienkę z białego muślinu w niebieskie kwiateczki; bardzo by mi jój żal było.

Ale mam ważniejsze rzeczy do opowiadania, chciałabym tylko móżd pisać. Jak zabawnie piszę

z przyczyny tego kołysania! I tak nie bardzo piszę dobrze, zdaje mi się, że tego nigdy nie potrafię przeczytać. Jednakże czas już nareszcie spróbować, bo oto od *dni szesnastu* jesteśmy na okręcie, a ja nie nie zrobiłam, dla tego głównie, że byłam bardzo chora. Ach! jaki szpital był u nas! Szkaradna to rzecz ta morska choroba; mdło mi się robi, gdy nawet o tém pomyślę. Jeden tylko Bobuś był tak szczęśliwy, że nie cierpiał wcale. Ojciec także nie chorował, ale Ojciec nie liczy się bo jest marynarzem. Nawet Ojciec czuje się tak dobrze, iż zdaje mi się iż zupełnie teraz inaczej wygląda; taki wesół i kontent, że rozwesela nas wszystkich. Co do Mamy, to rzecz inna; dopiero teraz zaczyna trochę przychodzić do siebie; wczoraj wstała pierwszy raz i szczęściem mogła dziś rano pójść na Mszę. To jeszcze szczęście, że miewamy Mszę na okręcie! Widać, że to się rzadko zdarza, ale że Mamy na okręcie trzech księży, którzy jako misyonarze jadą do Chin, komendant pozwolił im co niedziela odprawiać Mszę świętą w swoim salonie, w którym przygotowują rodzaj ołtarza. Gorąco bardzo modliłam się o zdrowie dla Mamy, a potem za Manię, której Imieniny są dziś właśnie. Ale przelekleśmy się bardzo, bo silne wstrząśnienie okrętu przewróciło nagle Bercię wraz z krzesłem na którym klęczała podczas *Sanctus*. Potoczyła się aż w drugi koniec pokoju, chociaż usiłowaliśmy wstrzymać ją. Zrobił się okropny hałas, bo jedno z nich upadło na drugie, to jest naprzód Bercia, krzesło na nią i Bercia krzyczeć zaczęła. Mama podniosła biedne maleństwo i trzymała na ręku, ale tak się chwiała, że nie

mogła powrócić na swoje miejsce. Bardzo się to źle stało, że mieliśmy tyle roztargnienia w tak ważnej chwili. Na szczęście ja prędzej od innych przyzwyczaiłam się do kołysania i teraz lepiej się trzymam, to też zaczynam...

Poniedziałek, 16 sierpnia.

Ach! jak to niedobrze się chwalić! Moja biedna niebieska sukienka! Przepadła, stracona... już jej nie będzie można wyprać. To też dzisiaj włożyłam już brzydką, ażeby nie potrzebowała obawiać się plam. Wczoraj właśnie kiedy pisałam ostatnie zdanie, okręt wstrząsnął się silnie i krzesło moje poleciało wraz ze mną na drugi koniec baterii. Bałam się wpaść w przedział między dwoma pomostami i chwyciłam się drzwi od pokoju siostr; tym sposobem teczka, której nie trzymałam, zsunęła się i nie wiem już jakim sposobem cały atrament wylał mi się na suknię. Obawiałam się połajania, bo Mama mnie ostrzegala, żebym była ostrożna, ale nic mi już nie powiedziała, widząc, jak byłam przerażona. Dziś morze jest spokojniejsze i spodziewam się, że będę mogła pisać lepiej. A przytém dziś byłam przezorniejsza, wlałam w kałamarz małą tylko kropelkę atramentu i nogi mego krzeselka przywiązałam sznurem do drzwi naszego pokoiku, które z powodu gorąca zostały otwarte. Usiadłam zewnątrz, by mieć więcej powietrza.

Mieszkamy w baterii. Miejsce to znajduje się na okręcie zaraz przy zejściu z mostu i ciągnie się

przez całą długość okrętu; urządzono tam ładne pokoiki umyślnie dla nas, naprzeciw nas jeden dla Sióstr i kilka innych dla reszty podróżnych. Mówię, że to są ładne pokoiki, bo tak wszyscy utrzymują; są one jednak bardzo małe i bardzo brzydkie. Pan komendant, który jest bardzo dla nas uprzejmy, ofiarował Mamie swój salon, w którym byłoby jej bardzo wygodnie, ale Mama odmówiła, bo nie mogłybyśmy być tam razem z nią i byłaby niespokojną o nas. Komendant był więc łaskaw dać przynajmniej dla Ojca swój własny pokój, który się znajduje na górze w tyle okrętu na pomoście, podczas gdy my mieszkamy na dole, ale to blisko nas i tym sposobem nie jesteśmy zbyt oddaleni jedni od drugich. W jednym z naszych pokoiów Mama sypia ze Stefką, z Bercią, z Barbarą i z Bobusiem; ja sypiam w pokoiku Pani z Manią i Joasią. Bardzo nam jest ciasno, ale nic to nie szkodzi, wolę ciasnotę, byleśmy tylko byli razem z Manią i Joasią.

Wtorek, 17 sierpnia.

Jeszcze nie opowiedziałam przybycia Mani i Joasi, a jednak zawsze będę pamiętała ten dzień. Łatwo zrozumieć, że nie mogłam wytrzymać z niecierpliwości i niepokoju. W wilią tego dnia wieczorem tak Mamę prosiłam, że pozwoliła, by mnie obudzono nazajutrz o piątej rano i żebym poszła z Ojcem na pocztę na spotkanie dwóch sióstr.

Zdawało mi się, że ten szkaradny pocztowy powóz nie przyjedzie już nigdy; tak byłam zniecierpliwiona, że miałam ochotę płakać i krzyczeć. Wreszcie zawołano:—„*Oto jedzie!*“—Jakie to śliczne wyrażenie. Odpowiedziałam:—„Dziękuję panu,“—temu który to powiedział. Ale zaczęłam drżeć z obawy czy Mania i Joasia w samej rzeczy są w dyliżansie. Aż zbladłam, gdy powóz wjechał, a ja nie zobaczyłam ich w oknach karety. Jednak Bóg dobry ulitował się nademną, bo usłyszałam nagle głos znany, który wołał:—„Małgosiu, Małgosiu! oto jesteśmy!“—Była to Mania, która z Joasią i z grubym kuzynem siedziała w rotundzie dyliżansu, bo gdzieindziej nie mogli już dostać miejsca. A ja ich szukałam w głębi powozu!

Co to było za szczęście, kiedy je zobaczyłam obie wysiadające, bo byłam już odtąd zupełnie pewną, że one są i że razem pojedziemy... One także były szczęśliwe, że zastały nas jeszcze, jednakże bardzo im smutno, że się rozstały z Albertykiem i zostawiły go samego we Francji. Mania mi powiedziała, ile to ją martwi i opowiadała mi jak wszyscy płakali przy pożegnaniu; Albertyk był najmężniejszym ze wszystkich; uspakajała go myśl, że siostry odzyskają rodzinę, a nadewszystko, że jadą z nami; pojmowali wszystko troje, jaką to jest dla dziewczynki dogodnością. Przyrzekli często do siebie pisać. Mania toż samo przyrzekła zakonnikom z którym Joasia i ona rozstały się z żalem i do których wielkie czują przywiązanie.

To szczególne, że Mania i ja jesteśmy teraz w jednakowym położeniu, obie płaczemy po naszych

braciach. Doprawdy Bóg wszystko urządza cudownie; kiedy żegnałam się z Manią, nie myślałyśmy wcale, że tak prędko zobaczymy się znowu i że nie było warto tak się bardzo smucić; kto wie, czy los Gustawa i Alberyka nie zmieni się także? My nie znamy wcale zamiarów Bożych i może teraz, gdy wszyscy płaczemy, On przygotowuje nam niespodzianą radość. Ach! gdyby tak Bóg rozrządził, cieszyłabym się bardzo, szczególnie dla Mamy, która się tak martwi! Trzeba mieć nadzieję...

Gdy powróciliśmy do mieszkania z Manią, z Joasią i z grubym kuzynem, który wraz z Ojcem szedł za nami, dopiero to było krzyku i radości! Stefka i Bercia które wyglądały przez okno, rzuciły się na schody, skacząc ze czterech razem, byle prędzej dobiec do nas. Biedna Barbara nie mogła iść na pocztę, bo musiała pomagać w pakowaniu i pilnować Bobusia, ledwo nie zwały się z radości, zobaczywszy nas wracających. Śmiała się i płakała razem, całując Manię i Joasię, które ją także serdecznie witały. Ach! śliczny to był widok! Twarz Pani jaśniała radością, a Mama była cokolwiek weselszą; zdaje mi się, że jej na chwilę przyniosło to ulgę; a przytém, gdy Mama płacze, Mania ją wraz z nami pociesza i rozumieją się doskonale; to też codziennie dziękuję Bogu. Mania jest szczęśliwa mając w Mamie jakby drugą matkę, a Mama więcej ma dzieci do zastąpienia jej Gustawa, przynajmniej o tyle, o ile to jest możebnem. Na nieszczęście będziemy musieli w Burbon rozłączyć się z niemi; ale to jeszcze tak daleko, że nie chcę o tém myśleć, nie mogłabym być wesolą. Zresztą kiedy

nie mogę być zawsze z Manią, wolę, żeby była w Burbon, niż we Francyi, to nie tak od Indyi daleko i częściej można miewać wiadomości. A przytém wśród rodziny Mania prędzej się może pocieszy po swych nieszczęściach, a tym sposobem i ja będę spokojniejszą, wiedząc, że ona jest szczęśliwa.

Środa, 18 sierpnia.

Byłam zmuszona przestać pisać wczoraj, nim jeszcze opowiedziałam wszystko, bo Pani zawołała mnie do katechizmu; postanowiła, że będziemy go powtarzały co wtorek, w zastępstwie nauki słyszanej w kościele Ś-go Filipa, a której bez tego brakłoby mi w podróży. Mania i Joasia chcą raz jeszcze wszystko ze mną powtarzać, ażeby nie zapomnieć niczego i korzystać z nauk Pani; przychodzimy więc do niej jakby do kaplicy i przed zaczęciem śpiewamy pobożną pieśń, również jak i po skończeniu lekcji. Pani mówiła do nas w sposób bardzo wzruszający! Poleciała nam, żebyśmy więcej jak kiedykolwiek oddawały się w opiekę Pannie Przenajświętszej i modliły się do Boga z większą niż zawsze gorącością. Oto co nam powiedziała:

— „Jakżebyście moje dzieci mogły żyć ustawicznie w obecności Boga i nie wznosić nieustannie serc waszych do Niego? Czyż wszystko wokoło nie przypomina nam dobroci Jego i wielkości, a zarazem słabości waszej? Bezwątpienia, każda rzecz na ziemi wskazuje nam Boga i zachęca nas do modlitwy, ale na morzu jakież inne myśli zajmowałyby

nas mogły? Rzućcie okiem wokoło siebie, cóż ujrzycie? Ogrom wody, ogrom nieba... A my między temi dwoma przestworami umieszczeni, czémże jesteśmy? Biedne i słabe stworzenia, nie możemy istnieć inaczej, jak tylko z łaski Tego, Który zapełnia przestrzenie! Gdybyśmy nie ufali bez granic Jego łasce, czyż mielibyśmy odwagę, życie nasze i wszystkich drogich nam istot narażać na tysiące niebezpieczeństw? Czémże jest w rzeczywistości trwałość okrętu, zręczność manewrów, odwaga i zdolności dowódcy, jeżeli nad tém wszystkiém nie czuwa ręka Opatrzności, która błogosławi usiłowaniom człowieka? Niech się zerwie nawałnica, czyż nas te względy uspokoją? Ale kto polega na Bogu, kto Jego wzywa pomocy, kto błaga Matki Najświętszej, Która jest nazwana *Gwiazdą morza*, ten jest spokojny i wpośród niebezpieczeństwa nawet ufa. Często, gdy najsilniejsze umysły są zaniepokojone, dusza pokornego dziecięcia może pozostać odważną i silną, bo Bóg ją wspiera. Ona wie, że Bóg rozkazuje żywiołom i że jest równie dobrym jak potężnym. On może i chce ją zbawić, czegóż więc ma się obawiać?

Módlcie się więc moje dzieci, módlmy się wszyscy, aby Bóg czuwał nad nami, bo On żąda, abyśmy Go o opiekę prosili; wiecie, że On nam zalecił modlitwę, jako święty obowiązek. Myślcie o Nim nieustannie, podziwiając jedno z najwspanialszych dzieł Jego. Lubicie to morze, w którym odbija się niebo tak czyste, tak błękitne, a wpatrując się w nie, czyż nic więcej nad piękność nieba odkryć w niem nie możecie! Nie znajdujecie, że ono jest

jakby zwierciadłem, w którym ujrzeć można część wielkości Bożej? Kiedy wodzicie okiem po jego przestrzeni, przypominacie sobie, że Ten który je stworzył jest nieskończony, wieczny, bez początku i końca i że On Sam tylko mógł nadać morzu niezmierzoność, która nas w podziwienie wprawia. Kiedy widzicie jak się wznoszą te szumiące bałwany, których przerażającej piękności nie znamy jeszcze całój na szczęście; gdy słyszycie szelest wiatru, który wzdyma żagle i niesie nas szybko po nad przepaściami morskiej toni, czyż nie możecie zawołać: — „Jakże potężny jest Ten, który rozkazuje wiatrom i morzu, jak musi być straszny gniew Jego, gdy wstanie przeciw człowiekowi!“ — Ale nadewszystko o moje dzieci, kiedy patrzycie na to morze tak spokojne i błękitne jak dzisiaj, kiedy widzicie te wysokie bałwany uciszone, jakby uspione, spokojnie i łagodnie szemrzące, jakoby przyrzekały nam radość i bezpieczeństwo, czy nie powinniście zawołać: — „Oto obraz dobroci Boga! Mógłby karać, a przebacza. Może zgubić, a wspiera. Mógłby nakazywać bojaźń, woli nakazywać miłość.“ — Kochajmy Go więc moje dzieci i dowiedzmy Mu téj miłości, czyniąc wszystko, co tylko jest w naszej mocy, aby Mu się podobać.“

O! dziękuję ci droga moja Maniu, żeś mi pomogła napisać to wszystko. Byłoby mi przykro zapomnieć cokolwiek, bo słowa Pani zrobiły na nas silne wrażenie! Pani sama była bardzo wzruszona, gdy mówiła do nas, a głos jój szedł tak prosto w nasze serca, jak gdyby widziała Boga, jakby On Sam dyktował jój te słowa. Wtedy przez otwarte okien-

ko spojrzalam, szukajac Go na morzu i istotnie zdawalo sie, ze Go widze, bo morze tak bylo pieknel. Ach! jak ja lubie to wielkie morze, mimo to wszystko coby powiedziala Pani de Baldi. Mania i ja jesteśmy niem zachwycone, chociaż Mania często płacze, patrząc nań... wiem dobrze dla czego...

Ale to szczególne, pierwszy raz, gdym je ujrzała, powiedziałam:—„No, proszę, ja myślałam, że morze daleko piękniejsze!...” — Bo też w porcie Brest nie widać całej jego szerokości, ani tych bałwanów które pienia się zewsząd, a nawet tam nie miało morze takiego koloru jak tutaj. W pierwszych dniach naszej podróży nic także nie podziwiałam, bo byłam tak chora, że wszystko mi się zdawało szkaradne z tym obrzydłym zapachem smoły, który wszędzie czuć i z tém kołysaniem, które co chwila sprawia mdłości. Ale to już teraz przeszło, już nawykłam do wszystkiego i mogę biegać i skakać po pomoście z Stefką, Bercią i Joasią. Nawet teraz wołają mnie one, a ponieważ Mania poszła siedzieć przy Mamie, pójdę tymczasem pobawić się z małemi. Pani jest na pomoście z Bobusiem; wychodzi z nim na powietrze, bo od dwóch dni malec bardzo blado wygląda.

Piątek, 20 sierpnia.

Ostatni raz napisałam, że mam iść się bawić, otóż muszę teraz opowiedzieć co się stało, bo to wcale nie było dobrze z méj strony; byłam znowu złą i rozkazującą względem dzieci, a bardzo źle za-

pomnieć, że Bóg na mnie patrzy, właśnie w téj chwili gdy wysłuchałam nauk Pani. Kiedyż pamiętać będę o dobrych moich postanowieniach, wtedy właśnie gdy mi to najwięcej potrzebne? Codziennie czynię dobre przedsięwzięcia, zdaje mi się, że będą trwałe, a tymczasem wcale inaczej postępuję. W chwilę potem nie już sobie nie przypominam i dopiero przychodzą mi na myśl, gdy głupstwo już zrobione. Wtedy smucę się, żaluję, płaczę, czynię nowe obietnice i znowu za kwadrans to samo. Ach! bardzo się wstydzę, bardzo się boję, aby Bóg nie przestał nareszcie kochać mnie; ale to byłoby tak wielkiem nieszczęściem, że może nie zechce zesłać go na mnie, kiedy jest tak dobry! Chcę jeszcze spróbować być lepszą i teraz rzecz jest pewniejsza, bo Mania obiecała ostrzedz mnie, gdy zobaczy, że zaczynam być złą i przypominać mi moje postanowienia.

Onegdaj poszłam więc na pokład z Joasią, Stefką i Bercią i kiedy wchodziłyśmy na drabinę, która służy za schody, małe Bontems zaczęły wołać za nami, że przyjdą bawić się razem. Ale zdaje mi się, zapomniałam powiedzieć, że one są na okręcie, winnam przecież zapisać imiona podróżnych, żeby je zawsze pamiętać. Oprócz nas jest osób czternaście. Najprzód księża: Verrier, Laurent i Bertrand; potem dobre Siostry Józefinki: siostra Aleksa, siostra Honorata, siostra Rozalia, siostra Marcella i siostra Stefania. Następnie stary pan z białemi włosami, który się nazywa pan Leblond; wreszcie pani Bontems z czworgiem dzieci: dziesięcioletnia dziewczynka moja rówieśnica jest najstarsza, nazywa

się Adela; druga siedmioletnia Laura; chłopczyk czteroletni Julek i malutka dziewczynka imieniem Zuzia. Pani Bontems jest wdową, a że jej mąż miał przyjaciół w Burbon, gdzie długi czas zajmował małe jakieś miejsce, udaje się więc ona do tego kraju, aby zapewnić los dzieciom i zdaje mi się będzie miała jakiś magazyn. Przez pamięć męża zabrano ją na okręt. Pani Bontems i Adela nie podobają mi się wcale, a jednak to źle, bo one są nieszczęśliwe; to też nie będę już uważała na to, że są plotkarki i chcę się do nich przyzwyczaić. Ale Adela ma tyle pretensyi, że ja tego znieść nie mogę. A przytem ona to jest panią domu wraz z siostrą swoją i bratem! Matka pozwala jej robić wszystko co tylko chce, a ona tej wolności nadużywa. Jużesmy się nieraz sprzeczały, ale opowiem tylko onegdajsze zajście, bo wtedy rzeczywiście ja byłam winną, chociaż nie widziałam tego z początku.

Skakałyśmy przez sznur; Adela i Joasia trzymały sznur za końce, a Stefcia i ja przeskakiwałyśmy go w środku. Majtkowie nam się przypatrywali, co mi robiło przyjemność, bo lubię wszystkich marynarzy, są oni rodziną mego Ojca. Chciałam przeskoczyć sto razy raz po razie, nie potknąwszy się, ale Adela koniecznie się domagała zająć moje miejsce; a chociaż ją prosiłam, żeby jeszcze chwilę poczekała, zaczęła się gniewać i bardzo źle trzymała sznurek. Joasia jednak trzymała go dobrze. Rozgniewałam się więc na Adelę i powiedziałam jej bardzo nieprzyjemne rzeczy; ona odpowiadała mi tak samo i gdyby Pani nie była nadeszła, nie wiem na czémby się było skończyło. Pani powiedziała

mi tylko, żebym zeszła na dół do Mamy, aby z kolei Mania mogła wyjść na świeże powietrze. Dobrze ja zrozumiałam, po co Pani posyła mnie na dół, a co mi było najbardziej nieprzyjemne, to że Adela widziała to równie dobrze, bo zawołała za mną: — „Tak, tak, idź się uspokój!“ — Odwróciłam się i powiedziałam jej, że jest głupia. Było to bardzo niegrzecznie, ale też byłam okropnie rozgniewana. Zawołałam po angielsku na Stefcie i Bercie, że zabraniam im bawić się z Adelą i Laurą, a jeżeli będą się bawiły, nie pożyczę im kart wieczorem. One też nie śmiały mnie nie usłuchać, odsunęły się od małych Bontems i bawiły się same z Joasią, która do nich poszła. Pani była z tego wszystkiego niekontenta i kiedy przyszła na dół przedstawiła mi w czém zblądziłam, chociaż ja to sama czułam dobrze, bo już wszystko byłam wyznała Mamie, ale teraz lepiej jeszcze poznałam złe które popełniłam i żałowałam za nie szczerze. Wiem więc, ile błędów popełniłam w tym jednym. Najprzód nie myślałam o Bogu, (a przecież powinnam była popatrzeć tylko na morze...). Potem zawsze ten szkaradny gniew wybucha, gdy mi kto nie ustąpi, a przytém byłam próżna, bo chciałam, żeby widziano jak dobrze skaczę, nawet to mi przeszkadzało być zupełnie szczerą, bo byłam zmęczona, a nie chciałam się do tego przyznać. Potem starałam się zemścić, co jest rzecz okropna i aby dojść do tego byłam tyranką, zmuszając małe do słuchania mego rozkazu i do czynienia tego co było złem. — A co jest przyczyną tych wszystkich grzechów? Pani mi to wskazała: *oto zanadto kocham siebie...* Powinnabym jednak nienawi-

dzic się, mając tyle wad; ja to sama uznaję, ale mimo to wszystko *kocham siebie*, bo chcę być zawsze pierwszą, chcę rozkazywać i mieć górę we wszystkim a gniewam się jeżeli kto zrobi coś, co mnie się nie podoba, albo sprzeciwi mi się w czym... Ach! jaki to wstyd! A co jeszcze najstraszniejsze, to że ja robię to wszystko, a nie mogę ścierpieć, żeby to inni robili. I tak, ja skakałam, a nie chciałam, żeby Adelcia także poskakała; mówiłam jej słowa złosliwe, a gniewałam się, że ona mi powiedziała to samo; przytém rozkazywałam małym, a gdy Adela to robi, znajduję, że to bardzo źle. Jednym słowem jestem bardzo niesprawiedliwą. Pani mówi, że gdybym miała więcej miłości, nie kochałabym siebie, ale w zamian kochałabym Boga i bliźniego. Ach! to byłoby daleko lepiej!

Dziś miesiąc temu jak pożegnaliśmy Gustawa. Mama bardzo płakała dziś rano, staram się ją pocieszyć, ale trudno mi to idzie.

Poniedziałek, 23 sierpnia.

Wczoraj po mszy Mania i ja zajęłyśmy się dla rozrywki uporządkowaniem naszego pokoiku i porobiłyśmy zmiany, które się bardzo Pani podobały. I tak, wielka skrzynia z książkami była za blisko okna; kiedy uderzył wielki bałwan woda morską spływała na nią i już się było dostało trochę wilgoci wewnątrz; to też Mania i ja przestawiłyśmy nasze dwa kuferki gdzieindziej i postawiłyśmy obok wielką skrzynię; teraz mi nawet wygodniej włożyć do

łóżka, bo skrzynia jest płaska, więc nie zsuwam się z niej tak jak z mego kuferka, a przytém jest wyższa i tworzy jakby schód: zaczynam od kuferka potém wchodzę na skrzynię, a wreszcie na łóżko. Dziwnie to mieć łóżko w powietrzu! Ale to mię bawi i Joasię także; ona tak samo jak ja śpi na górze po drugiej stronie. Teraz opiszę nasz pokoik.

Najprzód wchodzi się przez ciasne drzwiczki naprzeciw okna, które jest dziwne, z drzewa, bez szyb, wcale nie podobne do zwyczajnego okna. Kiedy je zamkniemy, żeby woda nie wpływała, gdy morze jest wzburzone, wtedy światło wchodzi tylko przez drzwi, co bardzo jest nieprzyjemne. Szczęściem mamy kołyszącą się lampę, która wisi w środku pokoiku i od której mamy światło nie potrzebując się lękać jej przewrócenia. Pod lampą jest mały stolik, który się także kołysze, to jest nie ma nóg i trzyma się na trzech łańcuszkach, zawieszonych obok łańcuszka od lampy, ale dłuższych, żeby stół był niżej od lampy. Kiedy kołysanie okrętu chwieje wszystkiém, wtedy stół i lampa przechylają się w tę samą stronę i zawsze jest widno na naszym stoliku, który ma naokoło listewkę, ażeby nic z niego nie spadało. Do tualety mamy inny stół, na którym są wgłębienia na dzbanek, na miednicę, szklanki i t. d. Można go do woli podnosić, bo składa go deska ruchoma, przytwierdzona do muru, żeby nie wiele miejsca zajmowała. Są także stoliczki na rzeczy z wysokimi brzegami.

Wszyscy podziwiają, jak nasz pokoik jest dobrze urządzony; to dobry pan Faure inżynier marynarki w Brest, który bardzo lubi Ojca, tak wszystko przy-

gotował. Jaki on był dla nas uprzejmy! Przy pożegnaniu dał każdej z nas pudełko czekoladek. Ja co za niemi przepadam, byłam uszczęśliwiona z daru, ale nie mogłam ich jeść z powodu morskiej choroby. Z początku miałam nadzieję, że to przejdzie, a ponieważ Mania, Joasia i Stefcia miały takie mdłości, że nawet patrzeć nie mogły na swoje pudełka, ja więc powiedziałam im, żeby mnie je oddały. Tymczasem nawet miły zapach czekolady sprawiał mi obrzydzenie; nie mogłam się przymusić do zjedzenia chociażby jednej pastylki. Takeśmy się wszystkie bały spojrzeć na te nieszczęśliwe pudełka, że w końcu wrzuciłam je w morze, gdyż nawet nasz mały chłopak okrętowy jeść ich nie chciał. Wielka szkoda! zdaje mi się, że je jeszcze widzę.

Ale opisuję dalej pokój. Wszystkie pulki są naprzeciw drzwi z każdej strony okna, a pod niemi dwa krzesła i nasze tabureciki; przytém są haki do wieszania sukien. W końcu pokoju, po tej stronie, gdzie łóżka Mani i moje, stoją nasze kufry, a w drugim końcu jest kufer Pani, obok małych drzwiczek, które tam umieszczono, aby można niemi wchodzić do pokoju Mamy. Nasze łóżka są umieszczone po obu stronach drzwi wchodowych pod przepięrzeniem które nas dzieli od bateryi. Wyglądają one jak dwie duże szafy bez drzwi z jedną deską u góry, a drugą na dole, obie z podniesionemi brzegami; te deski, to nasze łóżka; żebyśmy nie zleciały porobiono rodzaj kratek, które sięgają aż do połowy wysokości i które się podług woli zdejmują lub zakładają. W tych łózkach są materace bardzo wąskie i poduszki, dosyć nam tam wygodnie.

Pani śpi na dole obok pokoju Mamy, a Joasia nad nią. Mania śpi po drugiej stronie na dole, a ja nad nią na górze. W wieczór kiedy tam włączymy, Joasia i ja, dopiero to śmiechów bez końca. Pani nam wejść pomaga, jeżeli morze jest niespokojne, bo wtedy trudno jest wdrapać się na łóżko. Na szczęście nie bardzo tam wysoko, bo i sufit jest niski. Ponieważ Mama zostawia drzwi od swojego pokoju otwarte na noc, widzimy więc także bardzo zabawne sceny, które się dzieją ze Stefką i Bercią, gdy Barbara kładzie je do łóżka; Stefka sypia nad Mamą, która ma przy sobie Bobusia, a Bercia nad Barbarą po naszej stronie. Biedna malutka boi się, gdy okręt kołysze się zbyt mocno, i parę razy Pani musiała brać ją do siebie. Pokój Mamy jest trochę większy i ładniejszy od naszego, mimo to jest bardzo mały. Jednak gdy drzwi są otwarte, dwa te pokoiki razem dobrze wyglądają i lubię na nie patrzeć.

Biedne Siostry mieszkają wszystkie trzy w jednym pokoiku, który nie jest większy od Maminego. Doprawdy to źle, że ich nie lepij umieszczono. Ale podobno majtkowie byli niekontenci, że zabrano im tyle miejsca z bateryi, która jest przeznaczona dla nich, jak tylko nie są na pomoście i gdzie wieczorem zawieszają ich hamaki. Spodziewam się jednak, że nie narzekają na nas, bo my należymy do ich rodziny. Ale może nie narzekali też i na zakonnice, bo oni wiedzą, że one są ich siostrami, równie jak i naszymi i że je także kochać powinni. Te biedne Siostry nie mają pułek takich jakie są u nas i wielu pożytecznych rzeczy. Jestem pewna,

że gdyby pan Faure mógł się domysleć, że im tam będzie tak niewygodnie; byłby urządził pokój dla nich. One są takie dobre! Przychodziły doglądać nas, gdyśmy wszystkie chorowały, chociaż same nie były zupełnie zdrowe i wiele pomagały Pani. Pierwszego i drugiego dnia siostra Honorata mnie ubierała. Jakto było z jej strony uprzejmie! To też kocham ją, ma ona taką miłą uśmiechniętą twarzyczkę. Jest bardzo dobrą dla Pani Bontems, która nie ma nikogo do pomocy; co rano idzie ubierać dzieci i gospodarować z Adelą. A jak to trudno utrzymać tam porządek, ich mieszkanie tak jest małe; nie można się ruszyć przy tej wielkiej armacie, która zajmuje cały pokój i któraby mnie bardzo straszyla. Pan Leblond ma także w swoim pokoju armatę; to bardzo niewygodnie. Szczęście, że u Sióstr ani u nas nie ma armaty. One mieszkają naprzeciwko nas na prawej stronie okrętu, a my jesteśmy na lewej.

Ale już pisałam dosyć, nie mogę już więcej. Zresztą pójdę posiedzieć z Manią przy Mamie, która jest dziś niezdrowa. Pani jest z małemi na pomoście, a Barbara nosi Bobusia.

Wtorek, 24 sierpnia.

Trzeba teraz opisać jak przepędzamy dzień, bo wszystkie te szczegóły zajmować mnie będą później. Wstajemy o siódmiej; ubieramy się i gdy jesteśmy gotowe, mówimy razem pacierz, (ale już pochwaliliśmy Boga każda z osobna po przebudzeniu, to

jest pierwsza rzecz, którą czynimy, również jak ostatnia, bo pierwsza i ostatnia myśl nasza powinna być o Bogu).

Potem urządzamy pokoik, który chłopiec okrętowy zamiata, gdy my tymczasem idziemy na kwadrans przejść się po pomoście. Mama każe później sprzątać swój pokój, bo z łaski Bobusia, który się z nią pieści i bawi nie może być wcześniej gotowa; sama idzie wtedy do Ojca, który wstaje o piątej rano i którego pokój taki ładny i czysty, że aż miło patrzeć.

O w pół do dziewiątej schodzimy znowu i zasiadamy w pokoiku na taburetach z pulpitemi na kolanach; piszemy po dyktowaniu, uczymy się historii i geografii. Pani zaczęła Mani i mnie wykładać historię wieków średnich, bo Mania tak pracowała przez siedm miesięcy, które przepędziła w klasztorze, że prawie we wszystkiem dogoniła mnie. Pracowała nawet w godzinach rekreacji i wieczorami. Joasia także zrobiła postępy, ale nie tyle ile siostra i jest teraz na równi ze Stefcia, która nie jest tak posuniętą jakby nią być mogła, gdyby chciała. Gdy my z Manią robimy wyciągi z historii, Pani im opowiada historię Grecji. Bercia pracuje tylko w dzień i to nie wiele.

O w pół do jedenastej służący pana Komendanta przychodzi prosić nas na śniadanie, idziemy więc na górę, do pięknego jadalnego pokoju, który jest po drugiej stronie salonu, naprzeciw pokoju Ojca. Pan Komendant jest dla nas bardzo uprzejmy, śniadania jego są bardzo dobre, również jak i obiady; jest tam zawsze pełno przysmaczków i ła-

koci. Kucharz jego jest rzeczywiście doskonały; powiedziałam mu to raz przy spotkaniu.

Po śniadaniu Mama zostaje trochę u Komentanta, Ojciec także i my, a Pani schodzi do swego pokoju, aby wypocząć i mieć dla siebie wolną chwilę. Czasami gdy niezbyt gorąco, albo gdy namiot rozpięty, przechadzamy się wszyscy na dunecie, to jest na wzniesieniu z tyłu okrętu. O pierwszej znów rozpoczynamy pracować z Panią, albo ja sama piszę dziennik. Mania tymczasem siedząc obok mnie pisze także rodzaj dziennika, który ma przesłać Alberikowi. Dziś robimy to trochę wcześniej, bo Pani zawoła nas na Katechizm. W tych popołudniowych godzinach pracy, przeznaczone jest dobre pół godziny na język angielski, to jest na zrobienie zadań i na wiersze. Co do samego języka, potrzebujemy nań więcej czasu, bo Pani chce, żebyśmy odtąd nie mówiły między sobą ani do niej, ani słowa po francuzku, aż do czwartej godziny, gdy wszystkie nasze lekcye się kończą; potem idziemy przechadzać się, albo bawić na pomoście, a o piątej jemy obiad. Potem chodzimy i bawimy się znowu. Wreszcie o w pół do dziewiątej mówiący wspólnie pacierz kładziemy się spać, przynajmniej my dzieci; Mama i Pani kładą się później i słyszę jak długo jeszcze rozmawiają i czytają. Nie pracuję tutaj tak wiele jak na łodzi, na okręcie daleko trudniej pisać, nie jest nam wcale wygodnie i plecy nas bołą, gdy się nachylamy pisać na kolanach.

Pan Komendant pozwolił nam wprawdzie pracować przy stole w jadalnym pokoju, ale byłoby to niewygodnie dla nas i dla niego. Tak jak ci pa-

nowie oficerowie, oni są istotnie wszyscy zbyt dobrzy! Chcieli, żebyśmy odrabiali lekcye w ich dużej sali położonej w baterji na dunecie w tyle okrętu; tam oni się zbierają, tam jedzą i wszystkie drzwi od ich pokojów wychodzą do tej sali. Spróbowałyśmy raz zasiąść tam, ale Pani powiedziała, że nie robi już tego nigdy. Co chwila przeszkadzano nam; niektórzy oficerowie pozostali tam grając w karty na drugim końcu stołu, inni zaglądali przez drzwi. To nas mieszało i sprawiało nam roz-targnienie.

Co mnie najwięcej bawi, to gdy zajrzę do tej sali, idąc na obiad lub śniadanie, bo oni zaczynają jeść pierwsi niż my i widzę ich wszystkich, gdy drzwi są otwarte. Ten wielki stół cały jest otoczony. Na czele siedzi kapitan okrętu pan Suze, bo on tam dowodzi; po prawej stronie ma księdza Verrier, po lewej księdza Laurent; dalej trochę siedzi ksiądz Bertrand przy pani Bontems, potem dobre Siostry, które wyglądają tak skromnie! I dwaj podporucznicy, panowie de Vère i Patu; Doktor, Komisarz i dwaj oficerowie infanterji marynarki, którzy są na okręcie. Dalej Adela i Laura; Julek siedzi przy matce, a mała Zuzia pozostaje tymczasem z którym z pocziwych marynarzy. O! co to za ogromny stół. Byłabym bardzo zmieszana, gdybym tam miała jadać i daleko wolę jeść obiad z Komendantem, który nas zaprosił do siebie ze względu na stopień i tytuł Ojca. Czasami zaprasza z nami oficerów lub księży, ale nie wszystkich razem, bo nie możnaby się pomieścić w jego sali jadalnej.

Są jeszcze aspiranci marynarki, którzy mają bardzo ładny ubiór z akselbantami na ramionach i ochotnicy także; ci jedzą osobno; słyszę ich zdaleka jak śpiewają i śmieją się jak szaleni, ale my nie chodzimy w tę stronę.

Bawi mnie także widzieć jedzących majtków, żołnierzy i chłopców. Podają im, albo raczej oni sami sobie przynoszą (w wielkich drewnianych miskach, które się nazywają *gamelle*) zupę ze słoniną, albo groch szablasty, który się tu nazywa *fayaux*, albo też kartofle i siada ich nie wiem ilu wokół każdej misy, biorąc z niej łyżką albo widelcem. I nie siadają przy stole, nie; siedzą na ziemi przy misach; dziwnie patrzeć na tych ludzi, jedzących i śmiejących się z nogami założonemi na krzyż i z twarzami ogorzałemi. Chciałabym bardzo wiedzieć, czy to co im dają jest dobre, kosztowałam sucharów i gdyby nie były tak twarde i mdłe, byłyby niezłe. Ale nie mogę skosztować ich zupy, zresztą niemam wielkiej ochoty; pytałam się naszego chłopca Jerzego, jaka ona jest, powiada, że niepodobna wcale do tej, jaką przygotowują dla Komendanta. Biedny chłopiec ma dopiero lat dwanaście, a już opuścił swoją matkę i swoją wieś. A jeszcze taki delikatny; jestem pewna, że potrzeba mu dobrego pożywienia. Mania i ja chowamy mu zawsze trochę deseru, to mu wielką robi przyjemność.

Środa, 25 sierpnia.

Niedobrze umiałam wczoraj Katechizm, co by na to powiedział ksiądz Martin? Bo też zanadto spuszczałam się na to, że go umiem. Pani nie była kontenta zemnie, ale przyrzekłam jej, że staranniej wyuczę się na następną lekcję. Uczyła nas o *miłości jaką mieć powinniśmy dla bliźnich*; bo widzi, że nie lubię Adeli, że Mania nawet znajduje ją nieprzyjemną i że Joasia ciągle się z nią sprzecza. Przypomniła nam, że Jezus Chrystus wszystkie przykazania zamknął w tém jednym, przeciwko któremu gdy wykraczamy, wykraczamy jednocześnie przeciwko wszystkim innym.

„Moje dzieci, mówiła nam Pani, oto są słowa Boskiego Mistrza:—*„Świat pozna, że jesteście uczniami moimi po miłości, jaką mieć będziecie jedni dla drugich”*... Jest ona więc powinnością dla was, które chcecie się liczyć do uczniów Zbawiciela; powinnością jest waszą okazywać się miłosiernymi, wyrozumiałymi, serdecznymi dla tych, z którymi żyjecie, a szczególnie dla młodej waszej towarzyski. Przypuszczam, że się wam ona niepodoba, że nie czujecie dla niej żadnej sympatii, że ona ze swój strony nie ma pociągu do was i że różnica charakterów utrudnia wzajemny wasz stosunek. Ale to właśnie stanowi zasługę:—*„Jeżeli kochacie tych tylko, którzy wam dobrze czynią,—pyta Chrystus,—cóż lepszego czynicie niżeli poganie.”*—Czyż sądzicie moje drogie dzieci, że można nazwać cnotą przywiązanie Małgosi do Mani, albo Mani do Małgosi? Bez wątpienia jestto przyjaźń święta, bo wzajemnie zachęca

was do dobrego i mam nadzieję, że Bóg zawsze błogosławić jęj będzie.

(Mania i ja spojrzaliśmy na siebie z wielką radością).

Ale czyż tu są jakiekolwiek *usiłowania*, a zatem czy jest *zasługa*? — Niema jęj wcale. Ale jeżeli Mania i Małgosia, albo Joasia spotkają dziecko, które nie ma ani ich charakteru, ani ich wychowania, ani ich upodobań, jeżeli zamiast odpychać je i trzymać zdala od siebie, nie robiąc mu żadnego ustępstwa, żadnej grzeczności, nie odzywając się nawet miłym słówkiem, bo nie chcę przypuszczać ważniejszych przewinień, które zależą na zasmuceniu, zranieniu, odepchnięciu tego obcego dziecka; jeżeli więc okażą one temu dziecku słodycz i dobroć, jaką nakazuje miłość bliźniego; jeżeli będą wyrozumiałe na błędy; a ocenić zechcą dobre jego przymioty; jeżeli zachowają się tak, jak się powinny zachować młode chrześcijanki względem siostry, którą w Bogu i dla Boga kochają; czyż sądziecie moje dzieci, że to nie będzie zasługą i że Bóg nie policzy wam kiedyś waszych usiłowań? On przecie powiedział, że to co uczynimy dla najmniejszego z naszych braci dla Niego Samego uczynimy!“...

Achl byliśmy bardzo wzruszone i przyrzekliśmy Pani, że będziemy uprzejmiejsze dla Adeli, szczególnie ję, która byłam dotąd dla nięj najprzekręjszą; Mania jest już za duża, żeby się bawić z tą małą, ale ja powinnam to robić z miłości bliźniego. Mania utrzymuje, że zawiniła także i cała się zarumieniła przy tém wyznaniu, bo nigdy prawie nie rozmawia z Adelą, a pani Bontemis znaj-

duje nawet, że Mania jest zbyt dumną. To też wczoraj wieczorem po Katechizmie poprosiliśmy do siebie Adelę i Laure, a Mania i ja pomagałyśmy małym w zabawie, chociaż byłybyśmy wołały rozmawiać. A dziś rano, Mania mi to poradziła, poszliśmy do pani Bontems dowiedzieć się o zdrowie Zuzi, która była trochę niezdrową. Wszystko to wiele nas kosztowało, ale tak jesteśmy z tego kontente, że aż nam lżej na sercu. A przytém dziś jest Ś-go Ludwika, który nam zostawił tyle przykładów miłości bliźniego, że powinniśmy starać się naśladować go, tak Pani powiada.

Czwartek, 26 sierpnia.

Ponieważ dziś mamy Czwartek, mam więc rekreacyą tak samo jak w Paryżu (biedny Paryżu, tak jesteś od nas daleko!...) i mam więcej wolnego czasu do pisania dziennika niż w inne dni.

Wczoraj nie zaszło nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że morze było trochę wzburzone i dla tego było nam trochę słabo. To dziwne, że zawsze na nowo się rozchorowujemy, jakby w pierwszych dniach, gdy tylko więcej trochę jak zwykle czujemy wstrząśnienia. Szczególniej rano czujemy zbliżającą się chorobę morską i najwięcej się jęj obawiamy; zdaje mi się, że najwięcej mdli ten szkaradny odór wody morskiej, którą wszystko zmywają; nie mogłabym wytrzymać, gdybyśmy nie wychodziły na powietrze. Bo też zanadto czyszczą wszystko na rządowym okręcie. Jeżeli kropla atramentu

upadnie, jeżeli się co rozleje, często nawet bez żadnego powodu, rozlega się wołanie: *Bierzcie fauberty!* (Jestto rodzaj mioteł zrobionych ze sznurów). I nie wiem wielu majtków zaczyna myć ze wszystkich stron; to musi ich okropnie nudzić. Komendant od czasu do czasu schodzi, aby się przekonać czy wszystko jest w porządku, czy okręt jest wyszorowany, wymyty, świecący od mostu aż do dna. To mnie bardzo bawi, bo zachowane są przytém pewne ceremonie. Druga osoba po Komendancie pan Suze jest przy nim, prócz tego dowódca załogi, a jeżeli wszystko nie jest dostatecznie czyste, o! strach! O! gdyby się zemną obchodzono tak surowo, bardzo bym się bała. Ale Ojciec mi wytłómaczył, że mając tylu ludzi w tak małym miejscu zgromadzonych, potrzeba utrzymywać nadzwyczajną czystość, bo mogłyby z tego wyniknąć choroby i zresztą biedna *Izera* zabrukałaby się bardzo. A przytém są widać ludzie, których trzeba przymuszać do porządku, a jednak to rzecz tak miła.

Chcę teraz opisać dzisiejszy poranek. Ponieważ duszno było w naszym pokoiku, a na dworze bardzo było ładnie, Pani więc wstawszy wcześniej, otworzyła okno, a potém zaczęła pisać. Ja budzę się i spostrzegam, że coś czerwonego wisi nad morzem; wołam więc przestraszona: — „Ach! mój Boże! nasza flaga wpada do morza. Wtedy Pani patrzy i mówi: — „Okręt!“ — Okrywam się więc kołdrą i co prędzej wyłażę z łóżka, wołając: — „Maniu! Maniu! — Mania budzi się, Joasia także, w jednej chwili jesteśmy ubrane w szlafroczy i patrzymy przez okno na ten piękny okręt tuż obok naszego będący, jego

to flagę spostrzegłam. Ach! co za radość widzieć znowu ludzi. Boć na morzu spotyka się tylko ryby i to jeszcze nie tyle jakby przypuszczać można. Była tam w oknie mała dziewczynka, która także na nas patrzyła, zawołałam więc do niej: — „Dzień dobry paniencel!“ z całej siły, tak byłam kontenta! Dawła nam rękami znaki i mówiła także do nas, ale nie słyszałyśmy nic, bo za wiele było hałasu na obu okrętach. Jak to przykro! Tak byłabym chciała wiedzieć, jak ona się nazywa.

Pani poszła na pomost, gdy tymczasem Mania wyglądała z nami przez okno i powróciła powiedzieć nam bardzo dobrą wiadomość, że ten okręt, który nazywa się *Leonie*, płynie do Francyi, że powraca z Indyi i przejeżdżał około Burbon i że *podjeżdża się zabrać nasze listy*. Mama schwyciła więc czémprędzej za pióro, żeby napisać do Gustawa; ja zrobiłam toż samo. Joasia i Mania zapieczętowały rozpoczęte do Alberyka listy. O! doprawdy Opatrzność zesłała nam to spotkanie, aby nasi bracia mieli niespodziankę z listów. Ojciec napisał także do Gustawa, ale wszystko to było naprędce, bo okręt tylko pół godziny czekał. Nasi dwaj kapitanowie rozmawiali z sobą przez tubę; kapitan *Leonii* powiedział, że stali na miejscu trzynaście dni, bo ich zatrzymała cisza. To musi być bardzo nudne, wszyscy sądzą, że i nas to spotka. Gdy ten piękny statek odjechał, serca się nam ścisnęły; tak przyjemnie było mieć towarzyszy! Widzieliśmy już wiele innych statków, ale z tak daleka, że nic nie było można rozemnać, były to tylko czarne punkta. Ach!

gdybyśmy też jeszcze spotkali jakie okręty, to taka przyjemna rozrywka!

Piątek, 27 sierpnia.

Morze jeszcze jest dzisiaj niespokojne, z tego to powodu stało się coś, co mnie bardzo wzruszyło i z czego jestem tak szczęśliwa, tak dumna, że nie wiem czy potrafię to wyrazić. Mój dobry Ojciec!... Ach! jestem bardzo szczęśliwa, że mam swoją córkę!...

Dziś rano cierpiałam trochę na morską chorobę i nie mogłam pisać wyciągu, kiedy zaczęto mówić o obiedzie, zrobiło mi się jeszcze bardziej mdło, pozwolono mi więc nie jeść i pozostać na moście z Barbarą i Bobusiem. Zdaje mi się, że z łaski małenstwa zrobiło mi się lepiej, taki był milutki. Barbara i ja trzymałyśmy go za ręce; gdy okręt się pochylał i ukazywało się morze, które zdawało się podnosić nad nami jak niebieska ściana; Bobus śmiał się tak głośno i tak słicznie i otwierał wielkie oczy niebieskie jak błękit, a przytem minę miał tak słicznie zadziwioną, że wszystkich bawił. Chwilami wpatrywał się w niebo z dziwnym wyrazem; zdawałoby się, że spostrzega tam coś w obłokach, tak był poważny i spokojny. Może małe dzieci naprawdę widzą Pana Boga, bo to są jeszcze anioły. Nic zresztą nie wiem, ale to pewna, że Bobus jest aniołkiem.

Kiedyśmy tak chodzili, stary jeden majtek siedzący na stosie lin u stóp wielkiego masztu, przypatrywał nam się cały czas; a nawet kiedyśmy się

do niego zbliżali, zdawało się, że miał ochotę przemówić do nas; ale ponieważ Mama nie chce, żebym zaczynała rozmowę z marynarzami, boby może myśleli, że nadto śmiała, nie mówiłam więc nic. Zresztą muszę wyznać prawdę, sprawiał mi trochę obrzydzenia, bo widziałam, że z brudnego pudełeczka rógowego wyjmował tytoń, a potem żuł go: to było szkaradne. Ale teraz nie brzydzę się już nim, chociaż zawsze znajduję, że nie bardzo jest czysty.

Za chwilę znowu przechodząc tamtędy, nie widziałam starego, ale następnym razem zobaczyłam go znowu; trzymał wtedy w ręku coś, co pokazywał Bobusiowi, gdyśmy się do masztu zbliżyli. Była to zabawka zrobiona z ości rekina i dobry majtek dając ją Bobusiowi, który wyciągał po nią rączki, powiedział nam, że to jego robota. Wielka to rzeczność doprawdy; dodał jeszcze do tej zabawki małe brzękadelka, które dzwonią; to najwięcej Bobusia bawiło. Powiedziałam mu:—„Dziękuję panu, bardzo pan jesteś dobry, że dajesz mojemu braciszkowi tę zabawkę, czyś pan ją umyślnie dla niego zrobił?—Tak jest bez wątpienia i bardzo bym chciał zrobić jeszcze co dla niego i dla wszystkich państwa.—Ach! pan jesteś bardzo uprzejmy! Bo też Bobus jest przesłiczny, nie prawdaż?—Spodziewam się, że on jest przesłiczny, ten malutki!... Królewskie dziecko nie mogłoby być ładniejsze! To też on będzie kiedyś admirałem; wszyscy go tu nie nazywamy inaczej tylko *mały admirał*“...

Zabawiło mnie to, gdy sobie wyobraziłam Bobusia admirałem i rzekłam:—„Ale on nie może

mieć większego stopnia, jak jego Ojciec?—To też Ojciec panienki będzie admirałem; jużby nim być powinien, gdyby stopnie dawano według zasług.—Pan znasz mego Ojca?—Ach! to dobre, ja miałbym go nie znać, ja stary Mario?... Niech go się panienka spyta, czy on mnie zna? Czy nigdy o mnie nie mówi przypadkiem?—O panu, nie, nigdy.—Ach! pocziwy! Po tém go poznaję! Te stare wilki morskie, już niema teraz takich!... Jednemu uratuje życie, drugiemu każe dać dwadzieścia pletni i nie więcej mówi o jedném jak o drugim.—Panie, powiedziałam, ja nie rozumiem tego, co pan mówi, bo najprzód Ojciec wcale nie jest podobny do wilka, a przytém czy Ojciec uratował komu życie? I nie zdaje mi się także, żeby kazał bić kogokolwiek.—A co do tego to rzecz inna, odpowiedział Mario, śmiejąc się, owszem, owszem, Komendant bardzo często kazał dawać pletnie swoim ludziom, ale zawsze ma słuszość. Kiedy się jest na okręcie, trzeba iść prosto; wszystkim z tém dobrze i okrętowi także.—Ależ, powiedz mi pan przynajmniej co dobrego Ojciec zrobił?—Uratował życie komuś z naszych znajomych, mówił Mario i ten ktoś nie zapomniał tego nigdy. Jeżeli panna Małgorzata pozwoli, to ja jęj to opowiem.—Ach! naturalnie, ja tak lubię historye, a szczególnie takie jak ta!

— Otóż było to tak: 20 stycznia będzie temu lat piętnaście, Ojciec panienki był jeszcze podporucznikiem okrętu, a już doskonale kierował łodzią; wszyscy mieliśmy dla niego wielki szacunek; a widzi panna Małgorzata my marynarze nie wszystkich szanujemy, trzeba zasłużyć na to! Trzeba go było

widzieć, kiedy odbywał straż! Niech Bóg broni tego, który nie dopełnił swego obowiązku! Ale też pierwszy dawał przykład i nie mogliśmy się użalać na zbytnią jego surowość, bo był jeszcze surowszym dla siebie jak dla nas; wszyscy wiedzieli o tém. To też dalibóg bano go się, ale kochano go jeszcze więcej. On też był taki dobry! Kiedy kto chorował, albo miał jakie zmartwienie, on zawsze znalazł słówko, które dodało serca:—„No, mój stary, dziś ci jakoś nie idzie?“—Albo.—„No, dzieci, odwagi! Kto pełni swoją powinność, ten zawsze jest zadowolony.“—Nigdy nie był dumny z nami. To też wcale nie był podobny do tych terażniejszych, którzy sądzą, że od razu zostaną wielkimi, gdy nigdy nie przemówią do swoich podwładnych. Dowodem tego tutejszy Komendant, trzeba zobaczyć, czy on zna swoich ludzi! Ach! wszystko to nie warto czterech liardów!“

Mario zatrzymał się dla nabrania tytoniu, a ja powiedziałam:—Ale panie Mario, zdaje mi się, że pan się mylisz, Komendant musi być wart więcej, bo zapewniam pana, że bardzo jest uprzejmy.—Ach! to dobre, dalibóg, żeby nie miał być jeszcze uprzejmym dla takiej miłutkiej pani jak Mama panienki! tego by już było za wiele!...—Ale on jest uprzejmym i dla mnie...—A tak, bo nie pochlebiam, panienka jest także miłutka. (Zmieszało mnie to, że ten dobry pan Mario tak mówił i spytałam):—A historia Ojca? mnie to tak zajmuje!—O! opowiadam, opowiadam dalej! Uwaga!

„Mówiłem więc, że nasz szanowny Komendant niepodoba mi się wcale, bo gdyby nie on, dawno

byłbym już odnowił znajomość z Komendantem Guyon. Ale gdy widzę, jak obaj razem przechadzają się i gdy z boku przypatruję się temu drugiemu, mówię sobie: Mario, mój przyjacielu, nie masz co robić z wielkimi tego świata, nie szukaj afrontu. Lepiej zrobisz mój chłopcze, wstrzymując okręt, niż wpędzając go na rafa!... No cierpliwości! Wracam do historyi. Otóż więc 20 stycznia o ósmej wieczór, nie zgoła nie widząc, przy miłym powiewie wiatru, ubiegaliśmy dziewięć mil morskich na godzinę i możeby pannie Małgorzacie zdawało się, że to za ostro, bo *Virginia* podskakiwała jak ryba, co się rzuca, ale dla nas marynarzy to przyjemność. Ojciec panienki właśnie co skończył był straż, na szczęście biedaka, który w téj chwili wpadł w morze, z wysokości nie wiem wielu stóp. Puścił on linę i dalibóg jeszcze nie rozumiem, jak się to stało, ale puścił ją od razu i uderzył głową w słoną wodę, nie wyrzekłszy ani słowa. Jednakże ten zuch umie dobrze pływać! Ale trzeba wiedziéć, że był odurzony, może miał jeszcze w żołądku groch i suchary; zaczął więc kręcić młynka w wodzie, jak gdyby tego tylko uczył się przez całe życie. Ach! byłoby już po nim, gdyby nie młody odważny oficer! bo *Virginia* wcale nie zwracała na to uwagi, że straciła człowieka, jak gdyby ten człowiek był starą beczką. Dodać jeszcze trzeba, że Komendant nie chciał się zatrzymywać, bojąc się nocy i wiatru, chociaż nie było niebezpieczeństwa dla tych, którzy byli na okręcie. Ale Ojciec panienki, który byłby pozwolił zatonać całej załodze okrętowej nie ruszając się ze swego stanowiska, gdy był na służbie,



*A Komendant któryby się nie był zatrzymał dla
biednego majtka, zmuszony jest zwinąć żagle dla oficera.*

teraz zrzuca z siebie mundur, wdrapuje się na parapet i dalibóg już jest w wodzie... Natychmiast wszyscy ludzie zaczynają krzyczeć:—„Pan Guyon w morzu! pan Guyon w morzu!“—A Komendant, któryby się nie był zatrzymał dla biednego majtka, zmuszony jest zwinąć żagle dla oficera, témbardziej, że cała załoga byłaby się zbuntowała, gdyby był temu jednemu utonąć pozwolił.

„Tymczasem Ojciec panienki torował sobie drogę w wodzie jak prawdziwa ryba i schwytał za włosy człowieka, który z przeproszeniem kopał go silnie nogami, bo nie tego wszystkiego nie rozumiał. Ale odważny oficer nie puścił go, bo ma silną dłoń, ręczę za to. Spuszczają łódź na morze, a że Bóg dobry dopomógł, wydobyto więc obu i oddano ich na okręt!... Kiedy przybyli na pokład *Virginii*, dopiero to było okrzyków bez końca... A na drugi dzień Ojciec panienki wychodzi ze swego pokoiku o godzinie przeznaczonéj na śniadanie; wszyscyśmy tam byli, jedząc zupę i widzi panna Małgorzata nie było na to rozkazu, ale otóż wszyscy chłopcy powstają razem, jakby jeden człowiek... To było pięknie!... Jeszcze dreszcz przechodzi, gdy o tém pomyśle! To téż Ojciec panienki, który nie zbłądził nigdy przed niebezpieczeństwem, zbłądził teraz jak chusta i spostrześliśmy łzę w jego oku... Ale dalibóg widać, że panienka jego córka, bo pobladła także. No, no! nie trzeba, żeby to panience sprawiało przykrość!—O! zawołałam, to mi owszem radość sprawia, ale potem?...—A więc potem przechodząc podał mi rękę, a ja mu powiedziałem; Dziękuję... Bo widzi panna Małgorzata, ten wielki

niezgrabiasz majtek, który spadł w wodę ni mniej ni więcej jak nowicyusz, to był stary Mario, to byłem ja“...

Mówiąc to powstał i wykreślił się do mnie plecami, ale to nie było przez niegrzeczność; on miał łzy w oczach, a nie chciał, żebym je widziała, bo obcierał je swą czarną, szeroką dłoń. Ja stałam tam jeszcze, myśląc o moim dobrym Ojcu, gdy wszyscy wracali z obiadu. Mama mnie zawołała, pytając, jak się mam; zapomniałam, że byłam chora. Ale opiszę jutro resztę, tak jestem zmęczona, że już nie mogę utrzymać pióra. O! mój dobry Ojczel! jakże cię kocham!...

Sobota, 28 sierpnia.

A więc Mama wołała mnie, a ja na to nie uważałam, widziałam tylko Ojca i pobiegłam do niego żeby go przywitać. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, zaczęłam płakać, bom się nie mogła powstrzymać. Ojciec mnie pytał: — „Ale cóż ci jest? Czyś chora? — A ja odpowiadałam: — O! nie, przeciwnie, to... I płakałam jeszcze bardziej. — „To stary Mario, zawołałam wreszcie łkając. — Czyś zwaryowała? pytał Ojciec. — Nie, nie, ale ty, Ojczu, jesteś niedobry, odpowiedziałam, śmiejąc się i płacząc razem; dla czego nie mówiłeś mi nigdy o tém, coś zrobił? — Ja!... wytłómaczże mi co to wszystko znaczy? — Tak, Ojczu, stary Mario opowiedział mi wszystko. — Ale któż jest ten stary Mario? — O! Ojczu tego już za wiele! udajesz, że nie znasz starego Maria! Oto on

stoi tam przy przednim maszcie, udaje, że rozmawia z tym małym majtkiem, który się teraz śmieje, ale jestem pewna, że patrzy na nas z boku. — Podbiłaś sobie starego zrzęde? — Nie, to ty, Ojczu. Czy nie przypominasz sobie *Virginii* i jak Mario wpadł w morze, a tyś się za nim rzucił, żeby go uratować? — Ach! tak, prawda, to on jest biedak! Nie byłbym go poznał, prawda, że to już piętnaście lat od tego upłynęło. Ale dla czego ty płaczesz moje dziecko?“

Mówiąc to Ojciec głaskał mnie po głowie. Powiedziała mu: — „Bo tak jestem szczęśliwa, żeś to uczynił mój Ojczu i tak dumna! To było słicznie, nieprawdaż Mamo?“ — Mama nic nie odpowiedziała, ale widziałam łzy w jej oczach. Potém wyciągnęła rękę do Ojca mówiąc: — „Bardzo źle z twój strony Edwardzie, żeś mi nigdy nic o tém nie mówił... — Ach! widzisz Ojczu, zawołałam, Mama tak samo myśli jak ja! — Ta, ta, ta, rzekł Ojciec z swoją miną rozsądną i dobrą, wy kobiety wielkie rzeczy robicie ze wszystkiego. Żaden chłopiec okrętowy nie dziwiłby się temu. Na okręcie takie rzeczy co dzień się przytrafiają i tak się do nich przywyka, że za chwilę już się o tém nie myśli. — Jednak, to się jeszcze nie zdarzyło na naszym okręcie i nie wiem czy wszyscy oficerowie, którzy tu są uratowali już komu życie; zapytam się komendanta. — Dobrze moje dziecko, niech cię ogłoszą gadułą, nie bardzo się omyła. — Nie dobry Ojczel! ja mówię ci komplementa, a ty mi tak za nie płacisz! No, ale już się nie gniewam, bo muszę jeszcze mówić o Mariu; czy wiesz Ojczu, że on byłby bardzo szczęśliwy, gdybyś

go przywitał? Nie śmie tego zrobić przez wzgląd na komendanta. — No, to zaprowadź mnie do niego. — I Ojciec puścił rękę Mamy, która mi powiedziała po cichu: — „Ja schodzę na dół, przyprowadzisz mi tego pocziwca do mego pokoju.“

— „No cóż mój stary, rzekł Ojciec do Maria, znowu płyniemy na tym samym statku. — Dalibóg tak, komendancie i to mię cieszy, że pana tu znajduję i śliczną panią i ładne pańskie dzieci; témbardziej, że nie są dumniejsze od pana; dowodem tego ta kochana panienka, niech ją Bóg błogosławi, która słuchała wszystkich moich historii. — A tyś ję głowę zawrócił Mario, możesz się tém pochlubić. Zawsze mój stary podróżujesz po morzu? — Dalibóg tak komendancie, nic innego robić nie można, kiedy się raz tego skosztowało. Jestem pewny, że pan tak samo jak ja, nie mógłbyś żyć na *krowiej podłodze*. (Widać, że marynarze tak nazywają ziemię.) — Trzeba będzie jednak spróbować, odpowiedział Ojciec, uśmiechając się; ale dla ciebie mój stary, trzeba baby trochę awansu. — Ach! tak, toby było nie do odrzucenia. — A więc Mario, pomówimy o tém; może ci będę mógł być użytecznym. — Toby mnie nie dziwiło komendancie, widać, że Bóg dobry oddał mię panu w opiekę, kiedy posłał pana po mnie tak daleko do wody... Ale téż widzi pan, stary Mario jest panu duszą i ciałem oddany i jeżeli kiedy będzie mógł cokolwiek dla pana, albo dla jego rodziny uczynić, — niech ją Bóg błogosławi, — niech sam diabeł nie staje mi na przeszkodzie, boby to mogło wyjść na złe staremu niegodziwcowi!“

Nie podobało mi się to, że Mario zdawał się żartować z diabła, który mi zawsze sprawia tyle strachu, ale to było z wdzięczności i Ojciec to rozumiał, bo wyciągnął rękę do niego. Mario ścisnął ją z całej siły i widziałam jeszcze łzy w jego oczach. Zanim odeszliśmy ztamtąd, podczas gdy ojciec oglądał liny i rozmawiał z innymi majtkami, odezwałam się po cichu do Maria: — „Mama chciałaby mówić z panem, czy pan możesz zejść?“ — On odpowiedział: — „Za godzinę dopiero, ale zejść, chociaż na jeden dzień, to będzie za wiele szczęścia.“ — Ojciec zapytał mię odchodząc: — „Już widzę masz sekreta z moim starym Mariem? — Widział Ojciec? Ale to nie mój sekret, to Mamy; ona chce Maria zobaczyć. — Poznaję ją po tém! Ach kobiety, kobiety!“

Tymczasem Stefka i Bercia przyszły po mnie, żeby się pobawić przed lekcją i kiedy rozpoczął im zabawę, poszłam sama porozmawiać z Mamą, z Panią i z Manią. Były bardzo wzruszone, gdy opowiedziałam im wszystko. Stary Mario przyszedł do Mamy; na nieszczęście byłam wtedy przy lekcji; słyszałam tylko jego gruby głos ochrypły, który mi sprawiał roztargnienie. Mama powiada, że ten człowiek ma bardzo szlachetne serce i że chciałaby coś dla niego uczynić. Dawała mu pieniądze w sposób bardzo delikatny, ale nie chciał nic przyjąć i to jest bardzo pięknie z jego strony. Ach! jak nam wszystkim żal Gustawa! On byłby tak szczęśliwy, gdyby się dowiedział o tym pięknym czynie naszego Ojca, i gdyby mógł go uściskać; a przytém widzieć Maria i rozmawiać z nim. Mama mu opíše całą tę

historię. Mama poleciła Barbarze, żeby zawsze gdy wyjdzie na pomost prowadziła Bobusia do Maria na dzień dobry, bo to będzie robiło pocziwcowi przyjemność.

Wczoraj morze było jeszcze trochę wzburzone, ale dziś wiatr ustał, morze jest spokojne i gładkie jak zwierciadło; Mania i ja widziałyśmy w niem dobrego Boga, jak nam Pani mówi, bośmy o Nim myślały i mówiły o Nim, podziwiając razem po śniadaniu to wspaniałe morze. Co za upał!

Niedziela, 29 sierpnia.

Oto zaczynają się nudy! Tyle mówiono o tych *szkaradnych spokojnych płaszczyznach*, jak je nazywają, że dla tego widać nastąpiły. Od wczoraj nie ruszamy się z miejsca, my, cośmy tak dobrze płynęli! Napróżno rozpinają wszystkie żagle, gdy pocujemy najlżejszy powiew wiatru, nie zupełnie! Żagle opadają wzdłuż masztów brzydkie i płaskie jak wielki balon Gustawa, kiedy go Bercia zgmiotła na drugi dzień po nowym roku. Ci panowie mają bardzo smutne miny, powiadają, że możemy postać na miejscu ze dwa tygodnie. Komendant jest zachmurzony, co mię przestrasza, bom nigdy jeszcze u niego nie widział takiej twarzy. Nawet Ojciec już nie żartuje. Jednym słowem wszyscy są w rozpacz, ale Mama powiada, że jęj wszystko jedno, że kiedy pomimo tak strasznego upału wszyscy jesteśmy zdrowi, więc ona się nie skarży; że zresztą

to przymusowe zatrzymanie się sprawia, że nie tak prędko oddalamy się od Gustawa.

Mieliśmy dziś rano mszę, ksiądz Bertrand ją odprawiał; ach! jak on się modli gorąco, jak święty, powiedzieliby można... W bardzo tkliwy sposób przemówił też do nas o *ufności w Bogu*. Ojciec był z nami, komendant także. Ale nie wszyscy oficerowie przyszli; byli tylko panowie de Vère i Patu. Znajduję, że oni przecież powinni dać przykład majtkom. Mama pytała komendanta dla czego nie pozwala odprawiać Mszy na pomoście, ażeby cała załoga mogła być obecna. On odpowiedział; że na nieszczęście obawia się, czy wszyscy zachowaliby się przyzwoicie, bo nie wszyscy na okręcie są pobożni. Jestto bardzo smutne, ale gdyby próbowano nauczyć tych biednych majtków modlić się, możeby oni lepiej to od nas potrafili. Nasz biedny Mario naprzykład zachowałby się dobrze, bo mi przecie powiedział, że to Bóg dopomógł Ojcu do uratowania mu życia.

Poniedziałek, 30 sierpnia.

Ciągle takie same morze jak oliwa. Przytém gorąco strasznie, nie mogę już wytrzymać. Pomyśleć sobie, że już nam tak mało zostaje drogi do przepłynięcia linii Równika! Gdybyśmy tam przynajmniej byli, obchodziliby wielką uroczystość *Chrztu na Linii*, co by nas zabawiło. Jakie ci marynarze mają dziwne pomysły! Pytam się dla czego chrzczą wszystkich, którzy pierwszy raz przepływa-

ją przez równik? Może dla tego, że to tak jakby się wchodziło w świat inny; i rzeczywiście gdy patrzę na mapkę i widzę jak płyniemy ku drugiej połowie kuli ziemskiej, to mi się to wydaje bardzo dziwne. Już dawno oddaliliśmy się z okolic Europy, płyniemy teraz między Ameryką po prawej, a Afryką po lewej stronie. Na nieszczęście nie widzimy ich, szczególnie Ameryki; bo co do Afryki spostrzegliśmy kilka jej wysp, a nawet ląd stały, gdyśmy kiedyś zbliżyli się do niej; była to jak mi się zdaje *Pustynia*. Ale ja nie rozeznac nie mogłam, bo ziemia z takiej odległości widziana, wydaje się jakby zasłona z chmur; a ta szkaradna pustynia, która ma zupełnie biały piasek, podobną była do mgły.

Przedtém jeszcze widzieliśmy Madejrę, gdzieśmy wypoczęli dwadzieścia cztery godzin, a potem wyspy Kanaryjskie. Nie pisałam o tém w dzienniku, bo byłam jeszcze wtedy zbyt cierpiąca, skutkiem morskiej choroby; ale mam ochotę opisać to dzisiaj, aby zachować na zawsze wspomnienie tej wielkiej podróży. Przypominam sobie jak byliśmy szczęśliwi, kiedy zawołano, że ziemię widać; tak miło słyszeć ten wyraz, nawet gdy się nie oddawna jest na morzu! To wszystkich cieszy!

Zdaje mi się, że zatrzymaliśmy się w Madejrze jakoś dwunastego dnia po wyjeździe naszym z Francji, mieliśmy wiatr bardzo dobry i dla tego byliśmy tak chorzy, bo się okręt mocno kołysał. Mama nie chciała wsiadać na ląd, tak była cierpiąca, a przytém zbyt wiele myślała o Gustawie. Pani została więc przy niej. Ale ja umierałam z chęci widzenia ziemi; byłam pewna, że mi to przyniesie ul-

gę i Ojciec zabrał mnie z sobą; prosił Mamy, żeby pozwoliła także iść Mani i Joasi; Stefka zbyt była słabą, żeby mogła iść; a Bercia na to za mała. Byliśmy bardzo kontente, Mania, Joasia i ja; znaleźliśmy Madejrę bardzo piękną, przynajmniej wieś. Tylko byłoby za długo wszystko ze szczegółami opowiadać.

Jeździliśmy z Ojcem konno na wyżyny, aby obejrzeć kraj i zwiedzić oddalony kościół, z kądem prześliczny jest widok. Mania i Joasia umieją doskonale jeździć konno, bo nawykły do tego w Burbon; ja nie bardzo dobrze jeżdżę, bo trzy razy tylko próbowałam przeszłego roku kiedy byliśmy na wsi. Ale chciałam się odważyć: najprzód, że byłam z Ojcem, a potem miałam przewodnika dla siebie samej. O! jaki zabawny człowieczek ze swoją spiczastą czapką! Nie wiem doprawdy dla czego mieszkancy Madejry noszą ten rodzaj kocich ogonków na głowach, może, żeby się obronić od słońca, ale to im nadaje bardzo dziwaczną postać. Przytém są tacy brzydecy! Wcale mi się nie podobają. Prócz tego ten szkaradny przewodnik, kiedy dawałam mu znaki, że mój koń idzie za prędko i że się boję, ciągnął go za ogon, żeby go powstrzymać. Myślałam za każdym razem, że koń zacznie wierzgać, na szczęście biedne zwierzę przyzwyczajone widać do takiego obejścia.

Pomimo tych małych nieprzyjemności znajdowałam naszą przejażdżkę cudowną. Ze wszystkich stron widać było pyszne winogrona i kwiaty i owoce rozmaitego rodzaju. Kosztowaliśmy bananów i innych nieznanych mi owoców, ale że miałam je-

sze trochę młodości z powodu konnej jazdy, nie wydały mi się one zbyt dobre. Wolałam owoce francuskie, bo i tych było dosyć i przynieśliśmy ich Mamie i Pani.

Co za widok mieliśmy z wysokości tego kościoła! Te wszystkie piękne wsie i miasta, a nadewszystko morze, które się w dali rozciąga, tak spokojne i błękitne! Zdaje mi się, że dopiero wtedy zaczęłam poznawać jego piękność. Co nas nudziło na Madejrze, to żebracy; daleko oni jeszcze gorsi od tych, którzy nas napadli w dyliżansie. Nie można kroku zrobić, żeby ich nie napotkać; są nawet przy bramach. Gdyśmy jedli obiad w małej oberży przed powrotem na okręt przyszło ich wielu zaglądać do nas przez okna, czyniąc nam różne znaki błagalne i czekając, żebyśmy im co dali. To było straszne, bo ich było za wielu, abyśmy ich mogli wszystkich wspomóc. Byli tam mężczyźni, kobiety, dzieci brudne w łachmanach, aż litość brała. Podaliśmy im chleba i wszystkie nasze drobne pieniądze; rzucili się na nie z chciwością. Ach! doprawdy to okropne! Ale już dosyć o Madejrze.

Kiedyśmy się zbliżyli do wysp Kanaryjskich i gdy mnie zawołano, aby mi pokazać sławny wierzchołek Teneryfy, patrzyłam na wszystkie strony, nie widząc nic zupełnie; to mnie dziwiło, bo wyobrażałam sobie, że góra taka jak ta, powinna być bardzo wysoka i piękna! Wreszcie gdy mi dobrze oznaczono miejsce, odkryłam w końcu, że góra ta zamiast być czarna była zupełnie biała i podobna do głowy cukru, a cała linia biała, którą widziałam u stóp góry i którą brałam za obłoki, były to już

wyspy Kanaryjskie. Chciałabym była bardzo wyjść tam, na nieszczęście nie mogłam tego uczynić, bo *Izera* nie zatrzymywała się wcale. Nudno to tak podróżować! Jabym była chciała zwiedzić wszystkie ziemie, bo przejeżdżaliśmy około miejsc, o których uczyłam się w geografii, a nie możnaby się nawet tego domyśleć, gdyby oficerowie nie mówili: *To tam...* Oni są bardzo szczęśliwi; mają duże perspektywy, widzą daleko dalej jak my, to bardzo dla nich zabawnie. A przytém tyle rzeczy umieją! Co jest naprzykład dziwne, to że muszą patrzeć w górę, chcąc znaleźć drogę i co dzień stają ze swemi sekstantami, obserwując gwiazdy, mierząc wysokość słońca, zajęci rozmaitemi naukowemi rzeczami i tym sposobem poznają w jakim jesteśmy miejscu. To bardzo szczęśliwie, bo pytam się, co by nam mogło wskazać drogę na morzu, kiedy ona nie jest jak każda inna, ale wszędzie jednakowa. Na szczęście także mamy te kochaną bussolę, która jest zawsze obrócona na północ. Jest nam ona bardzo użyteczna i dla tego też dają jej honorowe miejsce, bo jest umieszczona przy sterze i majtek, który jest na straży uważa ciągle na igłę. To mnie bawi i często na nią zaglądam.

Wczoraj jeszcze łowiliśmy galery jak poprzednio, bawiliśmy się doskonale. Jak to ślicznie patrzeć w wodę na te dziwne zwierzęta, które wcale nie zdają się być żyjącymi i które są raczej podobne do miniaturowych okrętów z pięknym żaglem różowym, białym, albo niebieskim! Ale zbliżka nie są ładne, a nawet bardzo brzydkie, bo nie mają za-

dnego kształtu i ciągną się jak włókno. Zdaje mi się, że zwierzęta te należą do rodzaju tych, które nazywają *mięczakami*, ale mocno parzą, gdy się ich dotknąć, co jest bardzo nieprzyjemne. Bercia bardzo wczoraj krzyczała, ona się chce wtrącać do wszystkiego; nikogo nie słucha i dotknęła ręką galerii, mówiąc stanowczo: — „Jeżeli to nie gorące, to mię nie sparzy.“ — A potem tryumfowała, bo nie uczuła gorąca; ale wkrótce ręka zaczęła ją tak boleć, że biedaczka długo płakała i przyrzekła, że nigdy już nie dotknie się tych *szkaradnych małych okrętów*. Gdyśmy się przypatrzyli galerze, puszczałyśmy ją w morze zawsze z tém samém wiaderkiem w któreśmy ją złowili i udało nam się schwycić kilka w ten sposób. Mania mi powiedziała, że ona i Joasia bawiły się tém także, jadąc do Francji i że biedna ich matka często im łowiła galery.

Co jeszcze ładne, to *winogrona zwrotnikowe*. Jerzy zebrał dla mnie te, które mu dali majtkowie. Te morskie rośliny mają istotnie podobieństwo do jagód winnych. Ileż ciekawych rzeczy jest w morzu! Ryby muszą je znać daleko lepiej od nas; jaka szkoda, że nie umieją mówić. Niekiedy gdy widzimy ławy swin morskich, to jest ogromne masy tych ryb, które płyną około nas i od których morze wydaje się czarne w miejscu gdzie przepływają, tyle ich jest i tak ściśnięte, zdaje mi się, że to byłoby zabawne zapytać ich z kąd płyną, dokąd dążą i dla czego zdają się być tak zajęte? Majtkowie mówią, że te zwierzęta dobrze znają czas, wiatr i gdyby komendant miał rozum, radziłby się ich. To wygo-

dnie powiedzieć, ale jak się wziąć do tego? Chciałabym to wiedzieć.

O! jak jestem zmęczona!

Wtorek, 31 sierpnia.

Zaczynam się nudzić, widząc morze tak spokojne. To musi niecierpliwie także to biedne morze, które tak się lubi ruszać! Przytém straszny jest upał, nie wiemy już co robić. Jestem pewna, że to bardzo niezdrowo, bo wszyscy jesteśmy cierpiący; ja miewam ból głowy, Mania miewa bicie serca, które jęj sprawia wielkie cierpienia. Mówi, że miewała je często, będąc dzieckiem i to trapiło jęj matkę. Mówiliśmy obszernie o tęg biednęg ich matce, gdy przechadzałyśmy się na dunecie, przy piękném świetle księżyca wczoraj wieczór; nasza rozmowa była bardzo tkliwa.

Mama siedziała na końcu dunety z Panią, z Ojcem i z komendantem. Stefka, Joasia, Bercia, Adela i Laura słuchały historyi, którą dobry ksiądz Bertrand był łaskaw im opowiadać, siedząc na ostatnim stopniu drabiny z lewego brzegu okrętu. Siostrzyczki siedziały trochę dalej z panią Bontems, która im opowiadała nie wiem już ile rzeczy, usypiając przytém Zuzię i bawiąc Julka. Księża Laurent i Verrier chodzili wzdłuż i wszerz pomostu, rozmawiając.

To nas bawiło Manię i mnie patrzeć z góry na te wszystkie przechadzki, które się odbywały na dole po obu stronach, po prawęg i lewęg stronie dune-

ty aż do wielkiego masztu; bo cały przód okrętu przeznaczony jest dla majtków, którzy się tam trzymają gromadą, siedząc albo stojąc, śmiejąc się, rozmawiając, śpiewając. Żołnierze marynarki, podróżujący na okręcie, połączeni są z majtkami; to tworzy znaczną liczbę ludzi i doprawdy pięknie jest na nich patrzeć. Ale co mnie śmieszyło, to przechadzaający się doktor z porucznikiem, pan Patu z komisarzem i panem Leblond, a potem aspiranci i ochotnicy, oficerowie infanteryi marynarki, spotykali się co chwila i nie wiem jakim sposobem nie potracali się, bo tak mało jest miejsca. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Pan de Vère był sam, bo trzymał straż. Przechadzał się, śpiewając, albo też stawał na ławce i patrzył na niebo, szukając chmury, lub wiatru. Śmiałyśmy się z Manią, że chciał się rozerwać wydaniem jakiego rozkazu, ale nie mógł nic wynaleźć... Miał minę niezadowoloną. Nagle poczułyśmy lekki powiew wiatru, który nam przyjemnie owiał czoła, biegniemy ku pomostowi; aby zobaczyć co robi pan de Vère. Zdawał się zachwyconym! Bierze więc tubę wołając:—„Rozpuście *papugi*!”—Co znaczy rozwiniecie żagle, które tak nazywają i które schowano, to jest zwinięto, nie wiem dla czego. Wszyscy majtkowie biegną, bo to ich także bawiło, że się mieli czém zająć i rozwijają żagle. Patrzymy, czy wiatr je będzie popychał; biedny żagiel poruszał się z początku trochę, nadał się lekko. Spodziewałyśmy się, że się utrzyma; wcale nie, opada i nie czujemy najłżejszego powiewu. I wszystkie

żagle rozwinięto bezużytecznie. Trzeba było widzieć minę pana de Vère!

Ale myśmy już potem nie zwracały na to uwagi Mania i ja, tak byłyśmy zajęte podziwianiem morza; tak było piękne, tak piękne!... Miałymy łzy w oczach. W Paryżu nie domyślają się wcale co to jest morze. Nawet gdy się jedzie do Dieppe, albo do innego małego portu, nie można mieć o niem wyobrażenia, bo ja w Brest nie zachwycałam się wcale morzem. Jestem pewna, że gdyby pani de Baldi znajdowała się wczoraj wieczorem z nami na pomoście byłaby zmuszoną przyznać, że widok morza nieskończenie jest wyższym od widoku bulwarów lub Tuilleries; tego nawet porównać nie można. Niebo było tak czyste, tak niebieskie! Gwiazdy tak błyszczące pomimo pysznego światła księżyca. Ale ja znajdowałam szczególniej przesłizcznym księżyc. Wszystko oświecał swoim łagodnym światłem, a fale morza zdawały się być srebrne tak błyszczła ich powierzchnia. Mania i ja oparłyśmy się na balustradzie dunety i patrzyłyśmy na to nic nie mówiąc. Nagle spojrzałam na Manię i uderzona zostałam wyrazem jęj twarzy. Tak była piękna jak anioł z odbłyskiem jasności na czole, a oczy jęj zdawały się widzieć Samego Boga. Powiedziałam jęj:—„O! Maniu, jakie to piękne nieprawdaz?”—Odpowiedziała ze wzruszeniem:—„Tak, bardzo piękne... A przytém dla mnie to jest tak słodkie i tak smutne zarazem...”—Zrozumiałam, że myśli o matce i rzekłam:—„O! ja widzę dobrze co cię zajmuje...”—Czy wiesz Małgosiu, rzekła prawie zupełnie cicho, zdaje mi się, jakbym czuła duszę

matki przy sobie... Morze! to jej grób... — O! Maniu, śliczny to grób, bo jeszcze żywieliśmy nam przypomina, że ona poszła do Boga. Ziemia nie jest podobna do nieba, ale morze!... Patrz jak ono się w wodzie odbija... — O! tak, to też myśląc o Mamie, myślę zawsze o niebie tu w obec jej grobu, w obec tego wspaniałego widoku, który mi mówi o Bogu, myślę, że ona jest blisko mnie! — Bardzo jestem z tego kontenta Maniu, bo ona i mnie też widzi. — Tak, i pewno cię kocha, Małgosiu siostrzyczko moja.“

Mówiąc to objęła mnie w pół ręką, a ja byłam szczęśliwa na myśl, że dobra jej matka patrzyła na nas. Stałyśmy tak czas jakiś, nie mówiąc słowa, ale ja myślałam o tylu rzeczach, że aż mnie to dusiło, bo nie wiedziałam jak je wyrazić. Wreszcie powiedziałam: — „Maniu to musi być miło iść do nieba, prawda?“ — Mania ze swoim anielskim wyrazem podniosła oczy i odpowiedziała: — „O Małgosiu! kiedyż, kiedyż my tam pójdziemy?“ — To mnie trochę przeraziło i odpowiedziałam: — „Ależ Maniu, czyżbyś tam zaraz iść chciała?“ — Małgosiu, gdyby to odemnie zależało, czy myślisz, że wahałabym się pójść do mojej matki? — Ale zostawiłaśbyś tu mnie i Joasię i Alberyka? I Mamę która cię tak kocha? I naszą kochaną Panią, która teraz do nas obydwóch należy?“ — Mania uśmiechnęła się i odparła. — „Może nie tak prędko was porzucę... Ale droga Małgosiu, czy sądzisz, że będąc w niebie nie modliłabym się za was i nie kochałabym was zawsze? — Ale jabym cię już widzieć nie mogła... — Czułabyś mnie przy sobie tak samo jak ja czuję moją ukochaną matkę, bo sądzę, że Bóg pozwoli mi czuwać nad tobą razem

z twym Aniołem stróżem. — Słuchaj Maniu, ja daleko lepiej wolę, abyś zbliska nademną czuwała, wolę widzieć cię, bo nie mogłabym nigdy obejść się bez ciebie; nigdy, czy słyszysz? A więc jeżeli mnie kochasz, nie prosz Boga, abyś umarła przedemną, to byłoby źle z twojej strony, byłoby dowodem niewdzięczności.“

Miałam łzy w oczach i mocno ścisnęłam Manię, jak gdybym się bała ją utracić. Na szczęście odpowiedziała: — „Bądź spokojną, nie jestem tak dobrą, aby Bóg zrobił mi łaskę, powołując mnie prędko do siebie, trzeba długo jeszcze pracować na to szczęście. — Tém lepiej Maniu, ja także dużo jeszcze pracować muszę, aby na to szczęście zasłużyć, będziemy więc razem pracowały. — Razem! odrzekła Mania; ach! żeby to razem! — To prawda; mój Boże! odrzekłam; ja zawsze zapominam, że mamy się wkrótce rozłączyć! O! Maniu, to jest niepodobieństwem wiesz, że ja nie mogę temu uwierzyć. Bóg w dobroci swojej zesłał jaki wypadek i sprawi, że się nie rozłączymy. — Nie widzę, co mogłoby przeszkodzić temu rozłączeniu, ale Małgosiu zdaleka i zbliska możemy pracować wspólnie, szkoda, że pierwój nie myślałam o tém. Czyż nie będziemy połączone przez modlitwę? A przytém będziemy pisywały do siebie; ty donosić mi będziesz o swych postępach w dobrém, ja ci także powiem o moich, jeżeli będę jakie robiła. — Co za szczęście, bardzo nam to dopomoże. O! Maniu, jak to dobrze, że my się tak kochamy. Ale czy myślisz, że w niebie będziemy mogły rozmawiać z sobą i zbliżać się do siebie? — Spodziewam się, że tak, ale będziemy tak kochały Boga, że może jedna drugiej

nie będziemy tak potrzebne.—O! Maniu, ja zawsze będę ciebie potrzebowała, ale nie dziwiłoby mnie to, gdybyś ty się mogła obejść bezemnie, bo ja ci nie mogę zrobić nic dobrego, ale zawsze martwiłoby mnie to bardzo.—Ale Małgosiu, ponieważ nie można być nieszczęśliwą w niebie, a zatem to nie nastąpi.—Masz słuszość, to mię uspokaja. Ale Maniu jakiego to rodzaju jest szczęście w niebie? Ach! gdybyśmy to odgadnąć mogli!—Ja nie wiem, odrzekła Mania, ale wiem, że się widzi Boga... O! Małgosiu, czy ty pomyślałaś o tém? My co tak podziwiamy niebo i morze, my widzieć będziemy Tego, Który je utworzył i Który nam samym dał życie. A przytém będziemy Go tak kochały, to nam będzie nieustanną radością. Zobaczymy Jezusa Chrystusa, Który cierpiał dla nas i umarł... Gdybyś już była odbyła pierwszą Komunię, wiedziałabyś jaka to rozkosz być z Nim! A przecież Komunia, to jeszcze nie jest niebo... Przytém będziemy widziały Najświętszą Maryję Pannę, naszą dobrą Matkę i wszystkich Świętych, naszych braci i aniołów. Znajdziemy téż tam wszystkich, którychśmy stracili; ojca, drogą matkę, dziadzie. O! Małgosiu!...

Mania nie mogła mówić więcej; ja także byłam zanadto wzruszoną, żeby odpowiedzieć. Wreszcie Mania wzięła obie moje ręce w swoje rączki złożone i rzekła głosem który sprawił na mnie niesłychane wrażenie:—„Mój Boże! mój Boże! W Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa błagam Cię! Daj, abysmy Cię kiedyś razem w niebie wielbiły!“...—Ach! spodziewam się, że Bóg usłyszał tę prośbę.

Kiedyśmy jeszcze były zatopione w modlitwie; uczułyśmy czyjaś rękę na naszych ramionach, była to ręka Pani. Zapytała nas:—„Dzieci, o czém tak rozmawiacie?“—Opowiedziałam jej naszą rozmowę, a ona rzekła, że Bóg zśłał tak dobre myśli i przedstawia duszom naszym tak piękne widoki, aby nas zachęcić do zbliżania się do Niego coraz więcej. Dla tego to więcej staram się być dobrą i dwa razy dzisiaj uniknęłam zniecierpliwienia, a raz, chociaż chciałam nie być usłużną, jednak się przezwyciężyłam.

Środa, 1 września.

Mam wiele rzeczy do opowiadania, a jednak jestem tak zaniepokojona hałasem około siebie, że nie wiem, czy będę mogła pisać. A przytém okręt kołysze się trochę i to się wydaje dziwne po téj kilkodniowej ciszy, jaka panowała. Ale ja się pewno na to nie użalam; tak przyjemnie posuwać się naprzód! Wczoraj więc rano, (nie rozumiem jak mogłam zapomnieć napisać to w dzienniku, bo to było ważne zdarzenie), lekki wietrzyk powiewać zaczął nie było to nic wielkiego, a jednak wszyscy pobiegli na pomost, albo stanęli w oknach, aby go użyć i słyszeliśmy rozkazy i manewra, które wykonywano na górze, aby skorzystać z tego ukochanego wietrzyku. Po upływie godziny zarzucono łańcuch, aby się dowiedzieć ileśmy upłynęli, zrobiliśmy węzeł... To jeszcze było mało, bo trzeba upłynąć trzy

na jedną milę, jednak dodało to nam nadziei. Ale wkrótce wiatr znowu ustał i myśmy się posuwali przestali. Zaczęto więc mówić, że już po wszystkim, że z miesiąc stać będziemy na tém samym miejscu, że nigdy nie dopłyniemy, że przytém nasz okręt jest ciężki, wprawdzie trwały, ale powolny i nie umie korzystać z pomyślnego wiatru. Jednem słowem zaczęto nas zniechęcać, chociaż ja to lubię, że płyniemy na okręcie silnie zbudowanym, to bezpieczniej.

Ale nagle podczas obiadu przyszedł znowu upragniony powiew wiatru! Na ten można już było rachować. Po wyciągnięciu łańcucha pokazało się, że upłynęliśmy trzy węzły na godzinę. To aż miło! To też Komendant powiedział nam, że na drugi dzień rano przyrzeka przebyć równik. Co za radość!

Zaraz wymyślono bajkę o téj sławnej *linii*, myślano, że ja nie wiem co to jest; na szczęście Pani mi to już oddawna wytłómaczyła, ucząc mnie geografii, wtedy nie myślałam, że kiedykolwiek będę równik przepływać i powiedziałam to panu Suze, który zdawał się żartować ze mnie. Ale to źle, że stanęłam po jego stronie, aby się sprzeciwić Adeli, która wierzyła, że w samej rzeczy zobaczymy na niebie wielki pas czarny i mówiła ze swą pretensjonalną miną, że to musi być bardzo ładne. Pozwoliliśmy jej wierzyć, że tak jest, a ja udawałam, że myślę tak samo. Wtedy Laura zaczęła wołać, żeby i jej to pokazano.

Bercia nadeszła wtedy ze Stefką i Joasią; to mi nie było na rękę, bo nie chciałam, żeby one nale-

żały do tego głupstwa, ale trzeba było nie uwiadomić Adeli, a pan Suze obiecał mi po cichu, że nazajutrz włoży coś w lunetę i powie Adeli, że to jest linia, którą widać na niebie. Cała ta historia spowodowała smutne zajście z Manią, które zaraz opowiem. Otóż kiedy po obiedzie byliśmy na pomoście wszyscy, w chwili gdy bawiłam się z Bobusiem, który był milutki jak aniołek, słyszemy nagle wystrzał z fuzji zdający się pochodzić z wysokości wielkiego masztu. Tak się zlekłam, że aż nogi zatrzęsły się podemną. Bobus zaczął krzyczeć, Bercia płakała; Stefka pobiegła ukryć się przy Mamie. Joasia drżała także, ale Mania domyśliła się zaraz co to jest. Natychmiast spostrzegliśmy dziwnego pocztyliona, który jak kot schodził z wielkiego masztu. Miał w ręku długi bicz, bardzo świecące buty i pyszny kaftan czerwony, miał perukę jasną, upudrowaną zebraną w warkocz, który mu spadał na kołnierz i osypywał mu plecy pudrem. Zaczęliśmy śmiać się bardzo.

On się zbliżył do Komendanta, który z poważną miną oczekiwał na niego i ukloniwszy się prawie do ziemi, powiedział bardzo ostrym głosem: — „Panie Komendancie, Jego Królewska Mość Linia, Król zwrotników, równika i innych napowietrznych krajów, przysyła mnie do waszej Ekscelencyi, aby zapytać jakim prawem śmiesz pan, nie oddawszy mu poprzednio holdu, wstępować w głąb jego państwa i uskarża się na zgwałcenie jego terytorium. W dowód czego składam tu pismo, które lepiej wytłómaczy panu jego urazę, niżby to potrafił uczynić najpokorniejszy Pański sługa.“ — To mówiąc ukło-

nił się jeszcze, potem wyjmując z kieszeni wielki list zapieczętowany oddał go Komendantowi.

Ten wziął go i przeczytał poważnie; następnie powiedział do pocztyliona:—„Mój przyjacielu posłańcze stref wysokich, żałuję, że pan twój każe ci odbywać tak niebezpieczną podróż, aby użalać się na mnie o krzywdy, które żadnej nie mają zasady. Wiem bardzo dobrze, jakie są powinności moje względem króla zwrotników, ale my prości nizin mieszkańcy nie wiemy drogi, która prowadzi do nadpowietrznych krajów, a możemy jedynie próbować podróżowania na tych oddalonych morzach, ufając życzliwości, jaką twój dostojny pan okazuje zawsze mnie podobnym. Wróc więc do niego, posłańcze wyżyn i powiedz mu, że nie mogąc mu złożyć mego hołdu; spodziewam się od królewskiej jego powolności, że raczy, zniżając się do nas, sam przybyć w odwiedziny; przyjmujemy go z wspaniałością odpowiednią jego godności.

Kończąc te słowa Komendant wsunął w rękę pocztyliona pieniądz pięciofrankowy. Pocztylion uklonił się głęboko i powiedział:—„Podobne argumenty usprawiedliwiają najzupełniej pana Komendanta i słowem honoru zapewniam pana wobec całego szanownego zgromadzenia, że mój dostojny pan *Linja* jutro pana odwiedzi.“—Potem kłaniając się jeszcze i trzaskając z bicia wlaź na maszt napowrót. Gdyśmy się z Komendantem śmieli z tej komedyi i pytaliśmy go co robią ci wszyscy majtkowie na drągach żaglowych i gdzie poszedł ów posłaniec, Komendant zawołał nagle:—„Zabierzcie małego admirała!“ (Bo wszyscy tak nazywają Bobusia.

Mama uciekła z aniołkiem, gdy wtém grad fasoli, bobu i nie wiem jeszcze czego spadł na dunetę, na pomost, wszędzie. Aż głowa od tego bolała, więc téż pobieglśmy wszyscy do Komendanta. Pani Bontems i Siostry weszły tam także z nami. Śmiałam się patrzeć jak oficerowie przyjmowali to, a majtkowie biegali i bawili się. Adela wszystkich pytała, dla czego pozwalają na takie głupstwa. Pan Suze jój odpowiedział, że to jest *starożytny zwyczaj*, mający na celu zatajenie przed biednymi ludźmi drogi, którą dojść można na dwór króla zwrotników i równika.—Ona mówiła:—„Ale to wcale nie mądre, bo już wiem teraz, że najprzód trzeba wejść na duży maszt.“—Tak, ale potem, mówił dalej pan Suze szydząc, w tém cała tajemnica!“—Ja śmiałam się, bo zdawało mi się, że Adela była zła, że tego nie rozumie, a gdy Joasia przyszła mnie spytać po cichu co to wszystko miało znaczyć, odpowiedziałam jój:—„Spytaj się pana Suze.“

Wtedy pan Suze opowiadał jój także różne bajki, widziałam, że Mania nie była z tego kontenta, a kiedyśmy zeszły do siebie na noc, zawołała Joasi i rozbierając ją tłómaczyła, dla czego to miejsce nazywają *linią* i że to jest tylko linia urojona, aby łatwiej było wyobrazić sobie, jak ziemia dzieli się na dwie równe części, że majtkowie wymyślają to wszystko, aby się zabawić i że powinnyby sobie przypomnieć jak na ich okręcie urządzano także jakieś zabawy, chociaż w mniejszym stopniu, najprzód dla tego, że to nie był duży okręt, a potem, że okręta które wracają do Francji już przebywały równik.—„Tak Maniu, ja przypominam to sobie dobrze, ale ponie-

waż to co robią tutaj jest daleko ładniejsze, myślałam więc, że to nie to samo. I do tego oficerowie mówią, że istotnie jest linia na niebie! I Małgosia temu wierzy! Jakże chcesz, żebym ja nie wierzyła?”

Gniewałam się widząc, że Mania psuje to, co pan Suze przygotował na drugi dzień, bo z pewnością Joasia wszystko rozpowie Adeli, powiedziałam więc:— „Nie, ja temu nie wierzę, ale mówię tak dla zabawy i gniewa mnie to, że całą zabawę popsuje jeden mały głupiec.”— Joasia zawołała:— „Ty sama jesteś głupia, nie prawdaż Maniu?”— Cicho bądź, odpowiedziała Mania, bardzo źle używać takich wyrazów:— Chcesz powiedzieć, że ja jestem zła? rzekłam do Mani, to bardzo pięknie z twój strony! A to wszystko dla tej szkaradnej dziewczyny.

Joasia chciała coś odpowiedzieć, ale ją Mania powstrzymała, co mnie rozgniewało jeszcze bardziej i dalej mówiłam Joasi rzeczy bardzo nieprzyjemne; Pani przez cały ten czas była u Mamy. Joasia płakała, Mania starała się ją pocieszać. Czulałam dobrze, że postąpiłam źle i to względem Mani... ale nie chciałam się zastanawiać nad tem, bom się za nadto za siebie wstydziła.

Pani weszła; powiedziałam jej dobranoc i nie odrzekłam nic, gdy mnie spytała dla czego mam taką minę; położyłam się prędko do łóżka nie śmiać pocałować Mani, bo się bałam, czy ona nie gniewa się na mnie. Joasia przyszła powiedzieć mi dobranoc, bo ją siostra namówiła do tego i przyjęłam ją dobrze; tak już żałowałam tego, com zrobiła! Pierwszy to raz zdarzyło mi się coś podobnego z Manią,

to też nie mogłam zasnąć pomimo całej skruchy, jaką byłam przejęta. Kręciłam się w łóżku nie mogąc znaleźć spokojnego miejsca. Gdybym była pewna, że Mania nie śpi także, byłabym zagadała do niej, tak byłam nieszczęśliwa! Nie wiem jak to długo trwało. Ale doprawdy nie mogłam już wytrzymać.

Zakaszlałam lekko, aby wiadano, że nie śpię i usłyszałam; że Mania odkaslnęła także, jakby na odpowiedź dla mnie. Usiadłam na łóżku i wychyliłam głowę przez poręcz, żeby zobaczyć Manię wreszcie rzekłam po cichu:— „Maniu, czy ty śpisz?”— Czyż mogę spać, odpowiedziała Mania, wychylając także głowę, kiedyśmy sobie nie powiedziały dobranoc?— Ach! ty jesteś zbyt dobra!... Zaczekaj tylko.— Odsunęłam więc balustradę i zesłam po cichutku; Mania mi otworzyła swoją i weszłam do jej łóżka. Objęłam ją za szyję i rzekłam:— „Czy chcesz mi przebaczyć?”— Ucałowała mnie kilka razy i odpowiedziała:— „Tak, moja siostrzyczko, tak, z całego serca!”— Ach! ty mnie nazywasz *swoją siostrą*, ale więcej kochasz Joasię jak mnie?...— A jakżeby inaczej być mogło? Zastanów się; czy ona ma matkę? czyż ja nie powinnam być jej matką i siostrą razem?— Tak, Maniu, ty masz słuszość, to ja jestem złą, bom zrobiła przykrość Joasi, mówiąc jej, że jest głupia.— Co mi najwięcej przykro, to, że nie umiesz się jeszcze powstrzymać od gniewu, gdy kto ci się sprzeciwia. Czy zapominasz, że postanowiliśmy razem pracować na pozyskanie nieba?— Ale Maniu, dla czego nie ostrzegłaś mnie? Przyrzekałaś mi to. Zamiast tego zdawało się, jakbyś przyzna-

wała słuszość Joasi, a to mnie jeszcze więcej gniewało.—To prawda, odpowiedziała Mania; ja także zbłądziłam, bo się czułam trochę rozgniewaną na ciebie, muszę to wyznać.—O! Maniu, czy to już teraz przeszło? Powiedz mi, że mię jeszcze kochasz.—Tak, moja siostro, moja droga siostrzyczko, kocham cię i proszę abys mi także przebaczyła.—Ach! chciałabym bardzo mieć co do przebaczenia, bo przynajmniej cała wina nie ciążyłaby na mnie.“

Śmiała się, a ja powiedziałam:—„Kontenta jestem, żeś nie zasnęła! Teraz już mi nie ciężko na sercu, ale przed chwilą okropnie mi było.—Ja także, odrzekła Mania, byłam nieszczęśliwa, ale nie śmiałam iść do ciebie, ażeby się nie przekonać, że jesteś zimna dla mnie.—O! Maniu, nigdy już nie będziemy z sobą na zimno, nie prawdaż? to za nadto smutne!“...

Ucałowałyśmy się jeszcze serdecznie i Mania znowu mi przyrzekła, że będzie mi pomagała poprawiać się z błędów. Tak mi tam było dobrze, że nie mogłam zdecydować się odejść, aż w końcu zasnęłam obok Mani. Dziś gdy się obudziłam przy niej, przypomniałam sobie wszystko; pobięłam więc ucałować Joasię, mówiąc jej, że nie jest głupia i opowiedziałam Pani, co zaszło.

Dziś rano obchodzono wielką uroczystość Chrztu Liniowego, ale opiszę to jutro; upadam ze zmęczenia tak wiele pisałam.

Czwartek, 2 września.

Dobry wietrze! lubię cię pomimo kołysań jakie sprawiasz! Bo zapewniają nas, że za kilka dni stanimy w Rio de Janeiro, które tak pragnę zobaczyć dla tego, że tam mieszka mój wujaszek Henryk. Aby tylko nie był na morzu! To byłoby za wielkie nieszczęście! W ostatnim liście który Mama miała od niego donosił, że jest Komendantem na okręcie zwanym *Don Pedro* i że na kilka miesięcy wyjeżdża w podróż ale już najmniej sześć miesięcy jest temu, powinien by więc być już z powrotem.

Komendant pytał się wczoraj Mamy, jak to się stało, że mój wujaszek będąc Francuzem służy w Brezylji, Mama mu opowiedziała, że wujaszek zaprzyjaźnił się w szkołach z młodym jednym Brezyljaninem i że ten przyjaciel, który miał zostać marynarzem za powrotem do swego kraju, namówił wujaszka do tego samego zawodu, żeby się nie potrzebowali rozłączać. Wuj nieraz żałował, że opuścił Francję i nawet kilka razy gotów był porzucić wysokie swoje stanowisko, a wstąpić jako prosty ochotnik do marynarki francuskiej. Ale w końcu tak się przywiązał do Brezylji, że kraj ten stał się dla niego drugą ojczyzną. Już sześć lat jak Mama nie widziała tego brata, to też jaka będzie szczęśliwa, jeżeli go spotkamy!

Ale muszę opisać nasz chrzest liniowy, chociaż znajduję, że to źle nazywać ten żart *Chrztem*, bo nie godzi się nadawać zabawom imion Sakramentu, Jednak muszę mówić jak wszyscy.

Otóż wczoraj o ósmej wyszliśmy wszyscy na pomost, a o trzy kwadranse na dziewiątą przepły-

waliśmy sławną linię. Wszyscy majtkowie byli weseli, a wszyscy oficerowie patrzyli na niebo, potem chciano nam jeszcze wmówić; że widzimy linię i pan Suze zawołał Adeli, żeby jej to pokazać! Postanowiłam sobie ostrzedz ją, żeby samą siebie ukarać za wczorajszą złośliwość; ale nie mogłam tego uczynić, bo gdy się do niej zbliżyłam, żeby jej to po cichu powiedzieć, ona nie chciała słuchać i odpowiedziała, że *ma tylko z panem Suze do czynienia*. Ja też odpowiedziałam:— „Tém gorzej dla ciebie!“— I patrzyłam z boku co się stanie.

Najprzód z wielkimi ceremoniami przeproszała pana Suze, że się fatyguje, trzymając jej perspektywę, potem zawołała bardzo głośno (bo ma zwyczaj zawsze mówić nadzwyczaj głośno), jak gdyby chciała, żeby zwracano na nią uwagę:— „Ale tak, widzę ją! Ach! mój Boże, jakież to prześliczne. Doprawdy to pyszne!... Ta linia musi być bardzo szeroka i bardzo czarna, kiedy tak dobrze widać ją ztąd“...— I wiele innych rzeczy, które wszystkich do śmiechu pobudzały. Im więcej się śmiano, tém więcej ona mówiła, może myślała, że ją podziwiają. Ale mnie to było przykro, bo czułam, że ja po części jestem przyczyną tego i mrugałam na nią, żeby przestała, ale ona nie spojrzała nawet na mnie, tak była dumna z tego, że pan Suze zajmuje się nią i ciągle z nowemi okrzykami zaglądała w lunetę. Pan Patu i pan de Vère nie mogli już wytrzymać tak się śmieli. Mania i ja miałyśmy bardzo poważne miny, jednak nie chciałyśmy przy wszystkich dawać Adeli nauki, ale nam to było bardzo nieprzyjemne.

Wreszcie gdy z kolei Laura patrzyła, powiedziałam Adeli do ucha:— „Ale Adelciu, żartują z ciebie, czyż nie widzisz jak się śmieją?“—Zaczerwieniła się bardzo i spytała mnie, co ja przez to chcę powiedzieć; odrzekłam, że niema żadnej linii na niebie.—Ale kiedy ja ją widzę!—W tém właśnie jest żart, włożono coś w lunetę.—Ach! jeżeli myślisz, że mi to wmówisz! Ja nie mam guwernantki, nie uczę się po angielsku i nie robię tyle co ty zachodu z mojemi książkami i lekcyami, ale wiem co widzę i mam tak dobre jak ty oczy!—Ale Adelciu, nie krzycz tak, bo się jeszcze więcej śmieją, słysząc cię; zresztą, cóż mój język angielski ma za związek z linią równika?—To się z ciebie śmieją, bo wszyscy wiedzą, że chcesz udawać uczoną.—Nie, Adelciu, ja nic nie chcę udawać, ale lubię się uczyć i widzisz sama, że dobrze coś umiść, bo się przez to nie dam złapać na żart.“

Adela gniewała się jeszcze bardziej, a pan Suze chcąc jej dowieść, że mam słuszość, otworzył koniec lunety i pokazał Adeli nitkę pajęczyny, którą włożył pomiędzy dwa szkła. Chciał, żeby potem spojrzała jeszcze na niebo i przekonała się, że niema tam żadnej czarnej linii, ale rozgniewała się na niego i powiedziała, że pójdzie poskarżyć się przed mamą; że wszyscy ci panowie byli dla niej bardzo niegrzeczni i że gdyby była córką gubernatora, postępowano by z nią inaczej. Pan Patu jej odpowiedział:— „Gdybyś panienka była dobrze wychowana i dobra, obchodzono by się tu z nią jak z królewską córką.“—Wszyscy się śmieli, a Adela ze

łzami pobiegła do matki. Przykro mi było widzieć ją płaczącą, ale dla czegoż zawsze taka jest krzykliwa i zadąsana?

Kiedy uważnie patrzyłam na Panią, żeby odgadnąć czy widziała tę scenę, usłyszeliśmy ze wszystkich stron wystrzały i rodzaj wozu bardzo niskiego zajechał na tył okrętu. Otaczało go mnóstwo majtków i chłopców poprzebieranych; jedni bili w bęben, inni trąbili. Na wozie siedziało dwoje staruszków: mężczyzna i kobieta i młoda dziewczyna. Zawołano: — „Ojciec Linja! Ojciec Linja!“ — I wszyscy mężczyźni pozdejmowali kapelusze.

Jaki ten Ojciec Linja śmieszny! Długa broda z wełny spadała mu na kolana; ubrany był w skórę baranią, a na sędziwém ogorzałem czole, pokrytem zmarszczkami miał rodzaj diademu ze złoczonego papieru. Jego żona staruszka cała była zgięta we dwoje i tak dziwnie ubrana! Pełno na nią było wstążek rozmaitej długości i wszelkich kolorów. Ale córka była bardzo milutka; twarzyczka jej ujmująca wyrazem słodczy, otoczona była słicznymi lokami. Szeroką wstążkę różową miała zawiązaną około głowy i bardzo jej z tém było ładnie. Do przedstawienia téj dziewczyny wzięto najstarszego chłopca okrętowego, który istotnie podobny jest do kobiety. Wóz pchało dwóch bardzo silnych ludzi, pierwszych ministrów Ojca Linii; zatrzymał on się u stóp dunety, gdzie Komendant w uroczystym mundurze przyjął ich Królewskie Moście. Ojciec Linii miał do niego przemowę bardzo rozumną, jak wszyscy znajdowali; chciał otrzymać *przywileje*

dła całego dworu i otoczenia swego, aby pamiętali na zawsze ich przejazd przez jego kraje.

Komendant odpowiedział dając Ojcu Linii małą sumę pieniędzy dla niego i jego ludzi, potem obiecując im rozdać po jednej racyi świeżego mięsa i wódki dla wszystkich składających orszak a zarazem zupełną wolność obchodzenia podług zwyczaju marynarzy tego dnia pamiętnego. Wszyscy zawołali: — „*niech żyje Komendant!*“ A Ojciec Linja powiedział, że mu daje swoje błogosławieństwo.

Pocém oddalił się, to jest zawieziono go na środek mostu przed windę, gdzie zrobiono rodzaj namiotu z żagli i gdzie był przygotowany ceber z wodą. Dwór Ojca Linii rozstawił się po obu stronach wozu, aby patrzeć na chrzest tych wszystkich, którzy jeszcze nie przepłynęli równika. Ponieważ Ojciec przebywał już tę ceremonię, był więc wolny od niej, również jak i Komendant pan Suze i kilka innych osób. Mamę najpierw przywołano; nie podobał jej się ten zwyczaj, ale musiała mu się poddać. Ojciec jej poradził, żeby wsunęła pieniądź w rękę mistrza ceremonii, to nie wiele wyleje na nią wody. Zrobiła to i tylko polano ją trochę wodą kolońską, co było bardzo uprzejmie z ich strony; zrobiono to samo z nami, to jest z Panią, Stefką, Bercią i zemną. Mania, Joasia i Barbara były już chrzczone. Chcieli, żeby i Bobuś przyszedł, bo majtkowie wołali, że mały admirał powinien także poddać się wspólnemu losowi i chcąc go przywabić dano mu cukru, który Bobuś zjadł, ale w żaden sposób nie mógł się odważyć pójść do Ojca Linii, który go wołał; a kiedy Barbara wzięła go za rękę,

żeby go tam zaprowadzić, zaczął tak głośno krzyczeć i płakać, że była zmuszona wynieść go czémprędzej.

Patrzyłam czy Ojciec Linii nie rozgniewa się czasem i została mocno zdziwiona, gdy ujrzałam, że daje mi znaki, żebym się zbliżyła. Nie miałam do tego wielkiej ochoty; bo mimowolnie bałam się go troszkę. Wtedy rzekł do swjej córki drżącym głosem:—„Moja córko naucz się naśladować przykład twego dostojnego ojca; porzucił on swoje Królestwo, aby odwiedzić biednych ludzi, ty także porzuć swą dumę i przyprowadź mi to piękne dziecko.“—Córka jego przysłała po mnie; nie śmiałam uciekać, boby się śmieli ze mnie, ale nie wiedziałam jak się zachować. Ta zabawna Księżniczka powiedziała mi:—„Proszę niech panienska pójdzie do mego ojca, Króla.“—I wzięła mnie za rękę; ręka jej była czarna i szorstka; zaprowadziła mnie do swego ojca. Ten mnie zapytał:—„Moje piękne dziecko cóż myślisz o mnie i o mojej rodzinie? Jakie o nas zachowasz wspomnienie?“—Nie śmiałam nic odpowiedzieć, śmiałam się tylko.—„Jesteś zmieszana moje dziecko? mówił dalej. Nie trzeba jednak, żeby cię niepokoiło znajdowanie się wobec méj wielkości. Nie zawsze jesteśmy na tym świecie tak wysoko, jak się niemi być zdajemy, a ten który się dziś znajduje na wozie Fortuny, może się jutro zanurzyć w gorzkich nurtach. Kto wie nawet czy nie uczynił już tego?—Ach! zawołałam, teraz pana poznaję! Zapomniałeś pan zmienić głosu!—Cicho dziecko, odpowiedział Mario, śmiejąc się nieznacznie szanuj moje inkognito.“—Mama zawołała mnie do siebie, młoda Księżniczka powiedziała mi więc, żebym się

pokłoniła ojcu i odeszłam. Ale Adelcia która powróciła na most niecierpliwiła mię bardzo, bo widziałam, że przez ten cały czas szydziła z mojej miny. Nie wiem czy ona zrobiła coś majtkom, czy też dla tego, że matka jej nie dała im nic, ale jej tak obleli wodą głowę i szyję, że znowu odeszła z gniewem. Ona bo jest nieznosna. nikt jej nie kocha, za wiele robi hałasu i takie miny.

Nie chrzczono zakonnic zapewne przez uszanowanie, ale oblano księży, którzy się z tego śmieli. Co do pana Leblond przez żart wrzucono go w ceber. Wszyscy majtkowie krzyczeli, śmieli się, tańczyli; wtedy Mama kazała nam zejść na dół, bo zaczęli już być zanadto weseli i robili straszny nieporządek na pomoście, lejąc z wierzchołka masztów konewki wody morskiej na wszystkich będących na pomoście, aby chrzcić ich gromadnie. Wszędzie w baterji płynęła woda, przeciekała nawet do naszych pokoików i to było nieznosne. Na szczęście wyschła prędko. Wieczorem majtkowie bawili się i śpiewali chórem; pysznie było słyszeć te wszystkie męskie głosy wśród morza w tak pięknym czasie i przy blasku księżyca.

Piątek, 3 września.

Jaki strach mieliśmy wczoraj! ja szczególnie, bo to się stało przy mnie... Skończyłam właśnie pisać dziennik i chowałam kajet do teczki, siedząc jak zwykle na swoim miejscu obok drzwi pokoju, kiedy nagle posłyszałam krzyk i zobaczyłam, że

coś czarnego i białego spada z mostu przez baterye prosto w przedział między pomostami. Ta rzecz była wielkości człowieka, a krzyk który słyszałam dowodził w samą rzecz, że to był jakiś człowiek! Ale on nie krzyczał i wszyscy obawiali się czy się nie zabił. Pobiegli wszyscy na brzeg międzymostu, który jest jakby piętnem okrętu pod baterią na spodzie. Nogi tak mi drżały, że się nie mogłam ruszyć. Mama, Pani i Mania przestraszone wybiegły z pokoju, myśląc, że się co stało dzieciom, które były na pomoście z Ojcem i Barbarą. Zawołałam: — „Nie, to nie dziecko, to coś dużego i czarnego.“ — I pobiegłam z niemi do spustu.

Jak też to było niebezpiecznie zabierać drabiny do reperacyi! Uprowadzono wprawdzie o tym wszystkich, ale pan Patu zapomniał o tym i gdy skończył swą służbę i miał już schodzić na dół, szedł przed siebie odwróciwszy się, aby rozmawiać z Księdzem Verrier. Zawołano na niego, by się zatrzymał, ale już było za późno! Stracił równowagę i spadł aż na sam dół. Na szczęście nie zabił się, ani się nie zranił; mówił nawet, że mu się nic nie stało, ale to nie podobna. Gdyśmy go zobaczyły już się był podniósł, twarz miał bardzo bladą, a mundur podarty i zwalany. Doktor radził, żeby się czego napił, chciał nawet puścić mu krew, żeby zapobiedz złym skutkom takiego wstrząśnienia, ale pan Patu na żaden sposób nie chciał na to przystać i poszedł czém prędzej do swego pokoju, dziękując tym co go pytali o zdrowie i utrzymując, że nie warto dłużej mówić o takim wypadku.

Mama była bardzo wzruszona, rzekła więc doktorowi, że powinien *zmusić* pana Patu do wypicia przynajmniej szklanki wody z cukrem i kwiatem pomarańczowym, ale doktor odpowiedział, że zna dobrze pana Patu i że nic nie potrafi odwieść go od tego co raz postanowił. Wtedy prosiłam Mamę, żeby sama spróbowała bo może nie będzie śmiał jej odmówić tego o co go ona poprosi. Uczyniła tak, ale pan Patu podziękował bardzo stanowczo, chociaż bardzo grzecznie! Był jednakże tak blady, tak bardzo blady, że aż przykro było patrzeć na niego. Mama poszła więc do siebie przygotowała wody z cukrem i kwiatem pomarańczowym i powróciła z tem do pana Patu który zasiadł do pisania. Powiedziała mu tylko: — *W imieniu matki pańskiej proszę, nie odmawiaj mi panie Patu...* — Popatrzył na Mamę, łza zabłysła mu w oku; wypił całą szklankę wody, potem odpowiedział: *W imieniu matki mojej dziękuję pani!*... Jakie to dobre te matki! Mają zawsze doskonałe pomysły, a potem robią wszystko co chcą nawet gdy są nieobecne. Dziś pan Patu ma się dobrze, przynajmniej tak utrzymuje, ale obawiamy się czy nie uczuwa jeszcze skutków wstrząśnienia. Bardzo się nim interesujemy, szczególnie od tego upadku, gdy dowiedzieliśmy się, że tak bardzo kocha swoją matkę. Komendant opowiedział Mamie, że pani Patu ma tylko tego jednego syna i że jest zawsze w rozpacz, gdy on się oddala. Pan Patu który jest bardzo nieśmiały, zbliżył się trochę więcej do nas wczoraj wieczorem i Mama rozmawiała z nim o jego matce. Mama powiada, że zdaje

jéj się, iż on jest bardzo szlachetny, co mnie wcale nie dziwi, bo wszyscy marynarze są dobrzy. Pan de Vère jest bardzo dobry; Komendant jest bardzo uprzejmy; Pan Suze trochę lubi szydzić, ale w gruncie jest także bardzo dobry. Nawet wczoraj mówił nam grzeczności Mani i mnie, powiedział nam, że kiedy się obie przechadzamy na dunecie jesteśmy podobne do Sylfid i że patrzącym z pomostu wydajemy się jakby zawieszone między niebem i wodą. Nie zupełnie to prawda, ale to dowodzi jak on jest grzeczny.

Poniedziałek, 6 września.

Smutnie wczoraj przepędziliśmy Niedzielę; biedna siostra Stefania była tak chora, że sądzono, iż umrze, ale Bóg dobry zlitował się nad nią i już jéj lepiej. Ach! bo téż byłoby okropnie mieć taki wypadek na okręcie, szczególnie dla nas, bo co do siostrzyczki, to ta poszłaby prosto do nieba, jestem pewna, taka jest dobra! Ach! cóżby to był za smutek! Od jakiegoś czasu była cierpiąca, widać to było po jéj twarzy, pełnej wyrazu; siostrzyczka jest bardzo młoda i bardzo ładna. Mania mówi, że przypomina jéj siostrę Franciszkę Salezę, to téż często chodzi ją odwiedzać i kocha ją bardzo. Ja ją także kocham biedną siostrzyczkę, szczególnie od czasu jak jest tak chora, ale dobra siostra Aleksa podoba mi się najwięcej chociaż one wszystkie są doskonałościami. Mój Boże cóż to za dobroć. Nigdy nie potrafię być taką. Jestem kontenta, gdy ona ze mną

mówi o Bogu, o biednych i o wszystkiém co trzeba czynić, żeby zasłużyć na niebo. Chciałabym bardzo znać całe jéj życie, boć one wszystkie mają rodziny; tak by było zajmujące wiedzieć jak one je opuściły, żeby zostać zakonnicami, gdzie potem przebywały, co robiły; ale one nigdy nie chcą mówić o sobie i dobra siostra Aleksa odpowiada mi zawsze ze swoim słodkim uśmiechem:—„Zrobiłyśmy co nam było nakazane przez nasze przełożone; jedziemy gdzie nas Bóg posyła; staramy się Jego wolę wypełnić“... Ona jest przełożoną czterech innych, a taka skromna i miła, że nie widać wcale, iż to ona rozkazuje. Drugie mają wielki dla niej szacunek. Ale wracam do siostry Stefanii, od dwóch dni była bardziej chora, a w nocy z Soboty na Niedzielę między dwunastą i pierwszą była już tak źle, że siostry pobiegły obudzić doktora i księdza Bertranda, o którego sama prosiła. Miała jeszcze siłę wyśpowiadać się i błagała o Komunię i oleje święte. Wtedy ksiądz Bertrand udzielił jéj Sakramentów. Inne siostry płakały, siostra Honorata opowiadała nam to wszystko; ale chora przeciwnie mówiła, że Bóg zsyła jéj wielką łaskę powołując ją tak prędko i że będzie się w niebie modliła za swoje towarzyszy. To było tak uroczyste, że aż doktor się tém rozrzewnił.

Mówił o tém z Mamą, która go pytała, jak znajduje siostrę Stefanię; powiedział, że już widział dużo umierających, ale nigdy jeszcze nie był obecny widokowi takiemu, jaki przedstawia ta młoda kobieta, tak słodka i tak pośród cierpień spokojna i patrząca z radością na zbliżającą się śmierć. Dodał, że to

obudziłyby wiarę w zmysłach największych niedowiarków, bo wszystkie napaści na religię nie są wcale pomocne w godzinę śmierci i że owszem w takiej chwili ci nawet, którzy zdawali się najpewniejsi, że w nic nie wierzą są zaniepokojeni i przejęci trwogą. I w istocie opowiadał Mamie przerażające rzeczy o ludziach, których widział konających wśród najstraszniejszej trwogi. Mówi on, że zbliżająca się śmierć jest straszliwa dla tych co nie wierzą w nic; że zauważył to tysiąc razy i dla tego przejął się myślami religijnymi, które może inaczej nie przyszłyby mu do głowy. Przysłuchiwałam się tej rozmowie, która bardzo mię zajmowała. Zresztą lubię bardzo tego doktora; on musi być podobny do doktora Filipa, taki ma dobry wyraz twarzy! A twarz Filipa musiała być bardzo dobra, kiedy Aleksander spojrzawszy na nią wypił natychmiast z zaufaniem lekarstwo, w którym jak go zapewniano miała być trucizna. Ale ja pragnę, żeby nasz doktor nie był poganinem jak Filip, a obawiałam się tego, bo nigdy go nie widzę na mszy. To co mówił uspokajało mnie, a jednak widziałam potem, że na nieszczęście niezupełnie jest chrześcijaninem.

I tak, mówiąc o religii, dodał, że obrzędy są niepotrzebne, że kto wierzy w Boga i w przyszłe życie nie koniecznie jest obowiązany iść na mszę, albo dopełniać zewnętrznych obrządków, że można się bez tego wszystkiego obejść, aby tylko być uczciwym człowiekiem. (A ja myślałam, że on dla tego nie idzie z nami na mszę, że musi w tej chwili doglądać chorych!...).

Mama odpowiedziała:—„Ależ doktorze od kogoż mamy nakazane, abyśmy jeden dzień oddawali Panu i święcili go? Jeżeli pan wierzysz w Boga i w przyszłe życie, musisz przyznać, że Bóg ma prawo nadawać przykazania i uczyć tego co mamy czynić, aby dojść do Niego? Czy i pan, jak wielu innych utrzymujesz, że Bóg na to nas stworzył jedynie, aby się nami więcej nie zajmować? — Nie, pani, ja nie utrzymuję tego, bo gdybyśmy nie mieli żadnych obowiązków względem Boga, gdyby nie istniały żadne przepisy, których wypełnieniem zasługuje się na nagrodę, a zaniedbaniem na karę, wtedy jedni nie czuliby takiej obawy, a drudzy takiej radości w obec śmierci. Tylko przyznając, że Bóg mógł nadawać prawa, trzeba jeszcze wiedzieć jakie one są.—Bez wątpienia doktorze, ale nie jest łatwiejszego jak zwrócić się do źródła tych praw które nas obowiązują. Pismo święte zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania tego rodzaju.—O! źródło pani, odrzekł doktor śmiejąc się, jest od nas daleko i niektórzy ludzie w dziwny sposób korzystają z naszych niepewności i narzucają nam to co im się podoba; otóż i msza jest jednym z takich wymysłów, które nam dowolnie nadano.“

Słyszając to nie mogłam się powstrzymać i zawołałam:—„Ależ, panie, jeżeli msza jest wymysłem, to bardzo piękny pomysł! I któż go powziął?—Doktor zaczął się śmiać i spytał mię, dla czego ja znajduję, że to jest piękny pomysł? — Odpowiedziałam:—„Czyni on ludzi lepszymi, przez to że modlą się do Boga i żałują za grzechy, przyrzekając nie popełniać ich więcej. — Ależ rzekł doktor,

można to wszystko uczynić nie chodząc na mszę? — Ale nie, we mszy jest jeszcze coś więcej, we mszy Jezus Chrystus ofiarowany jest Bogu Ojcu i w Imię Jego Bóg nam przebacza. Czy pan jesteś pewny, że Bóg daruje panu wszystkie popełnione grzechy, gdy Go pan o to prosi sam w swoim pokoju, nie mając nic do ofiarowania Mu i gdy pan przekraczasz rozkazy Boga nie chodząc na mszę jak wszyscy? Cóż panu dowodzi, że pan dobrze czyni? — O panno Małgorzato, odpowiedział doktor, śmiejąc się jeszcze, widzę, że panienska umiesz mówić doskonale kazania! A więc wytłómacz mi panienska rzecz główną; daj dowód że msza nie jest ludzkim wymysłem. — Pan chce żartować ze mnie, bo jestem za mała, żeby mówić o tém wszystkiém, ale to nie nie szkodzi! Chociaż jestem tak mała i nie jeszcze nie umiem, wiem jednak dobrze, że Bóg chce, żebyśmy na mszę chodzili. Sam Chrystus powiedział przecie do Apostołów swoich ustanawiając Eucharystyę: *Czyńcie to na pamiątkę moją*. A dla czegoż miałby to nakazać, jeżeli nie dla tego, abyśmy uczestniczyli w tym obrzędzie i żeby on pożytek nam przynosił? Apostołowie usłuchali rozkazu Bożego i odtąd wszyscy chrześcijanie zaczęli bywać na mszy. Dawali się raczej zabić, niżeliby mieli ją opuścić; dla pana przecież nie jest to tak trudném, jak dla nich. Od czasu Apostołów nie zaprzestano odprawiać mszy i słuchać jęj; widzi pan więc że ją Sam Pan Jezus ustanowił. Zresztą były proroctwa, że ta ofiara zastąpi wszystkie inne. A potem... Nie pamiętam już dobrze, ale spytaj się pan Mamy. — Nie, nie pani Guyon pozwoli, żebyś panienska mię nawróciła, mo-

że się to paniencie uda, jeżeli będzie tak szło dalej jak z początku. — Widzę, że pan się chce naśmiewać ze mnie, bo mała dziewczynka nie może nawrócić nikogo, ale ja mam inny sposób, co niedziela podczas mszy odmówię za pana modlitewkę. — No, daj mi panienska rękę, powiedział doktor wyciągając do mnie swoją; ponieważ się panienska tak mną interesuje, pójdę może sam na mszę, żeby moja obecność przypomniła paniencie zobowiązanie. — To dobrze, zawołała Mama uśmiechając się; to już krok pierwszy.

Doktor mówi, że siostra Stefania chora bardzo na piersi, ale jeżeli przetrzyma, jak się tego spodziewa ten atak i dojedzie do Burbon, zmiana klimatu jęj pomoże. Wczoraj i dziś rano Mania i ja pilnowaliśmy, żeby dzieci nie bawiły się w tyle okrętu, bo kiedy biegają na górze, słysząc ich kroki w pokoiach, co niepokoiłoby pewno siostrę Stefanię. Na nieszczęście nie można powstrzymać manewrów, a tyle ich wczoraj robiono. Wiatr jest bardzo dobry i bardzo silny, robiliśmy wieczór sześć węzłów na godzinę, co znaczy *dwie mile*. To też spodziewamy się w końcu tygodnia przybyć do Rio. Ach! co za szczęście! szczególnie jeżeli siostrze Stefanii będzie coraz lepiej.

Środa, 8 września.

Dziś jest święto Narodzenia Najświętszej Panny, ksiądz Bertrand otrzymał od komendanta pozwolenie odprawienia mszy, bo siostra Stefania tego pra-

gnęła, a wszyscy tak są kontenci, że jęć lepij, że jęć we wszystkiem dogadzają. I tak komendant posyła jęć ze swego stołu jedzenie; Mama dostarcza jęć syropów i konfitur. Wszyscy staramy się zrobić jęć jaką przyjemność. Mówi, że ją wzrusza taka dobroć, a jednak to bardzo naturalne. Prosiła zatem, żeby mogła słuchać mszy świętej. Posadzono ją w fotelu, bo już zaczęła od wczoraj podnosić się, chociaż bardzo jest osłabiona; zaniesiono ją do pokoju komendanta, gdzie ksiądz Bertrand odprawiał świętą ofiarę. Byliśmy wszyscy obecni na niej i doktor przyszedł także pod pozorem czuwania nad chora, ale myślę, że miał inny powód, bo patrzył na mnie. Spuściłam więc głowę i prosiłam Boga o sprawienie swoją łaską, żeby doktor wysłuchał pobożnie mszy świętej i żeby wierzył w to wszystko, w co wierzyć potrzeba.

Siostra Stefania nie była zbyt zmęczona, mimo szczupłości swęj i bladości, wydawała się tak szczęśliwą że aż miło było na nią patrzeć. Pani mówiła nam właśnie o Najświętszej Pannie i tłumaczyła, że chociaż nie wiemy z pewnością dnia urodzin Najświętszej Panny, kościół wyznaczył jednak dzień dla obchodzenia święta Narodzenia, bo dzień w którym się urodziła ta, która miała zostać Matką Zbawiciela jest błogosławiony. Potem Pani przedstawiła nam, jak powinniśmy być pokornymi, my którzy tak mało znaczymy, kiedy Panna Najświętsza dała nam przykład pokory, rodząc się, żyjąc i umierając w ukryciu, chociaż była Matką Boga. Powinniśmy więc być podobnymi jęć i nie ubiegać się za tém co świeci, co nam pochlebia, co nas

podnosi; ale przeciwnie powinniśmy czynić tak, jak Marya Panna, która była tylko zajęta zachowywaniem i rozważaniem w sercu słów Boskiego Swego Syna, rozmyślaniem nad niemi i wprowadzaniem ich w życie. Prosiłam gorąco Najświętszej Panny, żeby mi w tém dopomogła; Mania zrobiła to samo.

Sobota, 11 września.

Jaka to szczęśliwa data! to wilia jutra, a zapewniamy nas, że jutro niezawodnie będziemy w Rio. Waryuję z radości! Mój Boże pozwól, żebyśmy zastali naszego wujaszka Henryka!... Zaczynam się obawiać, ach! gdyby był w podróży! Mama napisała wprawdzie, że będziemy przejeżdżali przez Rio; ale toby go nie zwróciło z drogi w razie, jeżeli wyjechał i kto wie nawet czy odebrał ten list? Zresztą w każdym razie zobaczymy Rio, wysiadziemy na ląd, co będzie bardzo przyjemnie, ale jaka różnica! Mama byłaby taka szczęśliwa widząc swego brata, którego tak kocha. Ciągłe mi o nim mówi, ja go sobie nie przypominam dobrze, bo miałam dopiero cztery lata, gdy był ostatni raz we Francyi. Pamiętam tylko, że był bardzo wysoki i bardzo wesoły i że wskakiwałam na jego kolana. Wujaszek nie zna Bobusia, nawet Berci, a Stefka była wtedy tak malutka, że wuj jęć nie pozna. Uczymy wszyscy Bobusia wymawiać *Ojcie chrzestny*, bo wujaszek Henryk jest jego prawdziwym ojcem chrzestnym, chociaż zastąpił go był pan Guer i dla tego Bobus nazywa się Henryk. Stefka i Bercia waryują jak ja

i wszystkie bardzo niechętnie pracowałyśmy dziś, co wcale nie jest dobrze; ale dobra Pani była wyrozumiała. Zdaje mi się, że nie będę mogła spać tak jestem wzburzona. Zresztą wszyscy są kontenci. Prosiłam komendanta, żeby rozwinął wszystkie żagle, powtórzył mi, że przybędziemy jutro.

Niedziela, 12 września.

(w przystani Rio de Janeiro).

Otóż Bóg pozwolił, że komendant prawdę powiedział i piszę już z przystani Rio.

Nie mogę wierzyć moim oczom, że widzę Amerykę i Brezylję i to piękne miasto Rio de Janeiro, gdzie tak pragnęłam być. Taka mała dziewczynka jak ja Małgosia odbyłam tak wielką podróż! Ach! doprawdy Pan Bóg nas strzegł, bo gdyby nie On byłibyśmy jeszcze wśród tej szkaradnej ciszy pod równikiem, nudząc się; albo też wależylibyśmy z jaką straszną burzą. A zamiast tego jesteśmy oto spokojni i szczęśliwi, niema już kołysania ani przechylania okrętu, ani nic nieprzyjemnego; a może też Ojciec znajdzie na lądzie wuja Henryka. Ale długo trzeba czekać, a że nie wiedziałam co robić, wzięłam dziennik; tym sposobem będę miała mniej do pisania później, bo go pewno z sobą nie wezmę na ląd; będzie wypoczywał. Usiadłam teraz w pokoiu naprzeciw okna, żeby przez cały ten czas, gdy będę pisała, móżdż patrzeć na kochaną ziemię. Mój Boże jakaż ona piękna! Z początku nie byłam kontenta, że zarzucono kotwicę tak daleko od brze-

gu, ale Pani zwróciła moją uwagę, że tym sposobem możemy daleko lepiej widzieć całą przystań. Pani mówi i ja to samo znajduję, że widok ten tak jest wspaniały, że szczęściem jest dobrze użyć go i radzi mi, żebym go opisała w dzienniku i tym sposobem zachowała na zawsze jego wspomnienie. Trochę to trudno, ale spróbuję i zrobię jak będę mogła. Tylko trzeba zacząć od początku, to jest od naszego przybycia.

Dziś więc rano o szóstej rozpoznano ziemię, to jest ujrzano ją z wysokości masztów; ja jej jeszcze nie widziałam wtedy. Ale o siódmej Mania i ja wypytawszy się z której strony ma być ląd, spostrzegliśmy na horyzoncie wielką masę chmur; była to ziemia. Płynęliśmy prosto ku niej, bo mieliśmy wiatr wyborny i nasz okręt wspaniale wyglądał z wszystkimi rozpiętymi i nadętymi żaglami z całą załogą w paradnych mundurach i z twarzami tak wesołymi. Odświeżono też cały okręt na przybycie do lądu, od dwóch dni kazano ludziom wyjść z okrętu i zawieszeni na jakichś stołeczkach dowolnie podnoszących się i spuszcanych za pomocą lin odmalowali oni całą powierzchnię Izery; wszyscy byliśmy zachwyceni widząc ją tak piękną. Ale dziś rano to dało Berci powód do gniewu, bo chciała włożyć najpiękniejszą ze swoich sukienek i wołała:— „Ale Mamo, kiedy nawet nasz okręt tak się wystroił, ja także chcę się pięknie ubrać.“

Kiedysmy poszli o dziesiątej na mszę miałam bardzo złe myśli, i muszę je wyznać, chociaż to wstyd wielki: żał mi było odejść z pomostu, bo ba-
wilo mię, że widziałam ziemię coraz wyraźniej,

i bałam się, żeby okręt nie przybił do Rio podczas gdy nas tam nie będzie, aby widzieć wjazd. Ale było to bardzo z mojej strony niewdzięczne, że nie śpieszyłam dziękować Bogu właśnie w chwili, gdy nas tak łaskawie przywoził do lądu; a Mania, której powiedziałam: — „Jaka szkoda, że właśnie w tej chwili jest msza!“ — odpowiedziała: — „Przeciwnie to bardzo dobrze, prędzej będziemy mogły podziękować Bogu za łaskę, którą nam uczynił.“ — Uznałam wtenczas mój błąd i ukłękłam. Modliłyśmy się gorąco. Ach! jak słodko było pomyśleć, że kiedy my dziękujemy Bogu, On popycha nasz okręt i wiedzie go do portu, a tym sposobem, gdy On nam czyni dobrze, my wypełniamy naszą powinność względem Niego.

Kiedy się msza skończyła, chciałam wstać w tej chwili i wyjrzyć na świat, ale Mama i Pani tak były jeszcze w modlitwie zatopione, że mię to powstrzymało. Szczęściem, że Bercia nie mogła usiedzieć spokojnie, Mama więc pośpieszyła się trochę. To mnie tylko uspokajało, że nie słyszałam na moście hałasu, jaki byliby robili zarzucając kotwicę. A przytém tak się okręt kołysał, że widoczném było, iż ciągle płyniemy.

Nigdy nie zapomnę wrażenia jakiego doznałam, gdyśmy wyszli z salonu! Ziemia zdawała się być bardzo blisko, chociaż mieliśmy jeszcze spory do niej kawał, i tak piękną widać było zieloność, drzewa, pagórki i doliny! Ach! jaka radość jaśniała w naszych oczach, jakie okrzyki wesole dały się słyszeć! Stefcia i Joasia były zachwycone, widziały odnogi, przylądki, wszystko o czém się uczą w geo-

grafii i chciały tłómaczyć to Berci, ale mała łakotnisia odpowiadała: — „To wszystko nic, jabym chciała widzieć piękne owoce!“ — Bobuś nic nie rozumiał z tego całego ruchu, ale śmiał się widząc ogólną radość i skakał na rękach Maria, który mu pokazywał ziemię. Chwilami wszyscy razem rozmawiali; w innych znowu chwilach nie słyszano najmniejszego szmeru bo wszyscy tylko patrzyli. Nawet dobra siostra Stefania była kontenta; przyjemność mi robiło patrzeć na nią, siedzącą w fotelu, który dla niej stawiają na pomoście i patrzącą łagodnie na ziemię temi oczyma, które zawsze tak są smutne, a dziś były nieco weselsze. Jestem pewna, że modliła się wewnętrznie, bo niepodobna jest widzieć rzeczy tak piękne tak wielkie a nie wielbić Boga.

Przybliżaliśmy się ciągle, ciągle, chociaż nie tak szybko jakbym tego była pragnęła i po kilku godzinach, które mi się wydały bardzo długie, mimo przyjemności jaką nam sprawiał ten przesłiczny widok, dopłynęliśmy wreszcie do zatoki i wpłynęliśmy w nią. Wejście to podobne jest do wielkiej bramy, utworzyło je naturalne wgłębienie w urwiskach skały. Przebyliśmy je omijając groźną fortecę, która się nazywa *Santa-Cruz* i ujrzelśmy przed sobą ogromną zatokę która zaokrąglą się z obu stron; naprzeciwko jest ląd, na lewo miasto *Rio de Janeiro*, na prawo miasto *Nytherohy*, naokoło góry i lasy, ze wszystkich stron zieloność. Widać klasztory, kościoły, liczne domy wiejskie, jednym słowem jestto *przesłiczna i wspaniała panorama*, jak

Mama mówi. Ci panowie zapewniają, że ta zatoka jest najpiękniejsza w świecie.

Co mnie się wydaje może jeszcze piękniejszym od wszystkiego, to otaczające nas mnóstwo okrętów z chorągwiami wszystkich narodowości, z marynarzami na pomostach i krzyżujące się na wszystkie strony barki, łodzie i pirogi napelnione wojakiem w mundurach; łodzie z owocami, z murzynami, którzy wołają nie wiem już w jakim języku (zdaje mi się że w portugalskim); ach co za ruch, co za hałas, nadewszystko gdy zaczęto strzelać z armat! Opiszę jak to było.

Przestałam pisać by zjeść podwieczorek, a przytém rękę zmęczyłam pisanem. Gdyśmy jedli, ze wszystkich stron przybywały do naszego okrętu łodzie, przywożąc nam owoce. Były tam banany, kokosy, gujawy, mnóstwo dobrych rzeczy, ale nadewszystko wielka ilość pomarańcz! Leżały ich stęsy na łodziach większe odemnie. A morze! ciekawe to i prześliczne; pokryte ono było całe skórkami pomarańczowemi. Można by powiedzieć, że to złote pierścienie, zewsząd błyszczące; a ponieważ morze ma tu pyszny kolor zielony z powodu, zdaje mi się, roślin morskich, których zwykle pełno jest przy brzegach, prześliczny więc jest widok tych złotych pierścieni rozsianych na zieloném tle. Ile to musiało być pomarańcz! Ale ja to pojmuję, bo są doskonałe. Na nieszczęście Mama nie pozwalała nam jeść ich zbyt wiele, żeby nam nie zaszkodziły. Ale wracam do mego opowiadania.

Wywiesiliśmy naszą flagę trójkolorową zawsze tak dumną i tak sławną, a nasi marynarze pokłonili

się jój; ta chwila sprawiła na mnie takie wrażenie, że miałam łzy w oczach. A przytém nasza piękna *Izera*, która jest bardzo grzeczna zaczęła witać ziemię wystrzałami z armat. Drżeliśmy, tak blisko nas strzelano, a Bercia szukała kącika, żeby się w nim ukryć; to samo robiła Laura i Julek, którzy krzyczeli strasznie. Ale daleko było gorzej, gdy ziemia nam odpowiadała, bo zdawało się, że strzela do nas, a Bercia wołała, że chce uciec i że wszyscy ci ludzie są niedobrzy. Nie słuchano jój i zaczęto także witać admirałski okręt *brezylijski*, który nam bardzo grzecznie odpowiedział. Odurzona byłam tym hałasem, ale jednak nie chciałam odejść; wtedy wśród wszystkich tych okrętów flag i wśród dymu, zobaczyłam wpływający do przystani wspaniały okręt wojenny ze wszystkimi rozwiniętymi żaglami. Był to okręt francuzki!

Kiedyśmy spostrzegli drogą naszą chorągiew niebieską, białą i czerwoną, Mania, Joasia, Stefka i ja zawołałyśmy:—„Co za szczęście! Co za szczęście! oto Francuzi!“ — Mama i Pani były tём również wzruszone, patrzyły na chorągiew ze łzami w oczach i dumne byłyśmy widząc, że ten okręt taki piękny. W porcie jest wiele angielskich okrętów bardzo pięknych, nie mogę ich dosyć napodziwiać, chociaż nie lubię ich flagi czerwonej, ale chciałabym żeby nasze były wszystkie lepsze. Mielśmy okręta handlowe, które nie bardzo się pięknie przedstawiają. Ale byłam wynagrodzona, bo ten piękny okręt wojenny i nasz mogą z angielskimi iść w porównanie. Zaczął on również jak i my strzelać z armat, aż cały okrył się dymem. Ziemia mu odpo-

wiedziała; potem zaczęła się taka sama rozmowa między naszym okrętem i admirałskim. Doprawdy nie można było nic słyszeć. Mój Ojciec przyszedł i uderzywszy mnie po ramieniu, powiedział: — „No bierzesz teraz chrzest ognia!” — Odpowiedziałam: — „Widzisz Ojczy, że się nie boję, bo córka twoja powinna być odważna.” — Roześmiał się i powiedział: — „Chciałbym się o tym przekonać w innych okolicznościach.

Gdy zarzucono kotwicę, dopiero mnie to bawiło. Niema nic miłszego jak widzieć jak się ten wielki łańcuch zanurza w wodzie i myśleć, że on okręt przymocuje tak dobrze, że już nie będzie się mógł ruszyć. Nie wiem, czy *Izera* jest równie tém jak ja uradowana, jednakże tak być musi, bo wypocznie. Kiedy patrzyłam na ziemię, spostrzegłam zbliżającą się do nas łódź w której byli jacyś panowie w mundurach, myślałam, że to był wujaszek Henryk. Wcale nie! Byli to Brezylianie, oficer zdrowia i nie wiem kto jeszcze. Zdaje mi się, że taki jest zwyczaj, że zawsze udają się na okręta, aby się dowiedzieć czy tam niema chorób, któreby się udzieliły mieszkańcom lądu. Szczęściem siostra Stefania ma się lepiej; zresztą powiadają, że taka jak jęj chorooba nie przeszkadza komunikacyi z lądem. Ojciec starał się dowiedzieć, czy wujaszek jest obecnie w Rio, ale powiedzieli mu tylko, że powrócił ze swojej wyprawy. To najważniejsze; spodziewamy się więc teraz, że nie pojechał zbyt daleko w głąb kraju. *Don Pedro* jest w przystani, pokazano nam go, jestto piękny okręt na który patrzymy z przyjemnością, wiedząc, że to jest okręt naszego wuja.

Ojciec pojechał najprzód na pokład *Don Pedra* z kądem przywieźć wujaszka, gdyby go tam zastał; ale przysłał ztamtąd do Mamy słówko pisane ołówkiem, donosząc, że wujaszek jest na lądzie, zdaje się nawet, że go niema w Rio, że jest na wsi w okolicach; Ojciec pojedzie więc do mieszkania wuja, aby powziąć dokładne wiadomości, a potem będzie go szukał, dopóki go nie znajdzie.

Jesteśmy wszyscy w strasznęj niecierpliwości. Mama aż z tego chora, a mnie się zdaje, że mam gorączkę, tak samo Stefcia, przyglądamy się wszystkim przybywającym łodziom i oczy mnie bolą tak się w nie wpatruję, żeby zobaczyć Ojca i wujaszka. Mania rozumie dobrze jak jestem niespokojna, bo ona także bardzo będzie szczęśliwa, gdy zobaczy swego wuja Adryana. Zajęta jest obok mnie pisaniem do Albertyka i do przełożonej klasztoru, bo z Rio wyszły nasze listy. Ja napiszę do Gustawa, Mama już to w tęg chwili robi.

Piątek, 17 września.

(znowu na morzu).

Ach! jak mam wiele do pisania! Boję się, żebym nie zapomniała połowy. A wszystko tak zajmujące. Na szczęście Mania obiecała dopomódz moim wspomnieniom, teraz myśleć tylko mogę o dobrym wujaszku, o ziemi, i wszystkich jęj przyjemnościach. Co za nieszczęście, że się to już skończyło! Pociesza mię tylko myśl, że jeszcze będziemy odpoczywali w Burbon. Ale cóż ja mówię? To mię nie może po-

cieszyć, bo siostra moja Mania opuści nas... Ach! nigdy nie będę mogła rozłączyć się z nią, to też nie chcę o tém myśleć.

Muszę więc opowiedzieć o Rio; — opisać nasz tam pobyt, Pani dała mi na to dzień czasu. Zresztą biedna Mama ma morską chorobę, Stefcia także, a Pani dogląda ich, tym sposobem nie mogłaby wiele pracować ze mną. A przytém Mama jest tak smutna po pożegnaniu się z wujem! Myślę, że to jest główną przyczyną jęj choroby, więcej niż kołysanie się okrętu, które się rozpoczęło od dziś rana, tak że wstrząsa nas na wszystkie strony.

W niedzielę wieczór Ojciec długo nie wracał i byliśmy bardzo niespokojne, Mama mówiła: — „Czyżby miał mu się zdarzyć jaki wypadek? albo może Henrykowi i nie chcą mi donieść o tém.“ — Kiedy skończyłam pisać dziennik, posłam na pokład, gdzie wszyscy byli zgromadzeni; tam zostaliśmy aż do obiadu, którego nikt oprócz Berci jeść nie mógł. Po obiedzie zaczęliśmy przechadzać się wszerek i wzdłuż upatrując Ojca. Na pomoście było bardzo smutno, aż mi się na płacz zbierało; wszyscy prawie podróżni i oficerowie wysiedli na ląd. Nawet dobre siostry udały się na ląd do jakiegoś klasztoru i te pięć dni przyniosły wielką ulgę siostrze Stefanii. Wreszcie o w pół do dziewiątej, kiedy Bobuś nie chciał usnąć bez Mamy, zmuszoną była opuścić pomost, ale Pani była łaskawa zostać z nami. Na nieszczęście deszcz ulewny zaczął padać, co nas zmusiło powrócić do pokoju. Byłam mimowolnie w bardzo złym humorze; bo to bardzo nieprzyjemnie tracić dzień wypoczynku, siedząc sa-

mym na tym szkaradnym statku i niepokojąc się jeszcze o Ojca i o wuja.

Mania starała się uspokoić mnie i zachęcić do cierpliwości, kiedy nagle usłyszałam dużo w baterii głosów, wybiegłam czémprędzej z pokoju, ale to była pani Bontems, która z dziećmi i z panem Leblond wracała; pojechali razem zjeść obiad na lądzie i nawet to mnie gniewało, (to było bardzo źle) że Adela pierwój od nas wysiadła na ląd. Jak tylko poznałam że to ona, wracałam do pokoju, żeby nie opowiadała mi co widziała, ale ona pobięła za mną wołając, — „Słuchaj, słuchaj, mam bardzo dobrą wiadomość dla ciebie, twój wujaszek Henryk płynie tu, jest bardzo miły!“ — A ponieważ krzyknęłam ze wzruszenia, pani Bontems dodała: — „Nadewszystko nie powiadaj tego Mamie zbyt nagle, boby ją to zanadto wzruszyło.“ — Ale to było nad moje siły, nie słuchałam już niczego i wbiegłam jak szalona do pokoju Mamy wołając z całej siły: — „Mamo, Mamo, wujaszek!“ — Gdzie? pytała Mama, drżąc ze wzruszenia; gdzie jest? gdzie jest?... — Przybywa, zdaje mi się na okręt.“ — Więc Mama zawołała do mnie: — „Zostań tu!“ — I czémprędzej pobięła, w jednej chwili weszła na drabinę i znikła na pomoście. Nie byłam kontenta, że mi kazała zostać i miałam wielką ochotę nie być posłuszną, boby mi może Mama przebaczyła z powodu tak ważnego zdarzenia, ale nie śmiałam tego uczynić; a przytém pomyślałam sobie, że Pan Bóg się będzie gniewał i że lepiej Mu podziękować za szczęśliwe przybycie wujaszka, powiedziałam więc po cichu: — „Dziękuję Ci Boże!“ — To mię trochę uspokoiło.

Jednakże zdawało mi się bardzo długo czekać na Mamę, bo też wystawcie sobie co Mama zrobiła?

Pobiegła najprzód mimo deszczu na miejsce, gdzie łodzie przybijają do okrętu i właśnie gdy tam przybyła, spostrzegła wysokiego oficera w mundurze okrytego płaszczem, który wchodził na ostatnie stopnie drabiny. Zawołała więc: — „Henryku czy to ty?—A on odrzekł:—„Moja Elizol!...—Wtedy Mama rzuciła się w jego objęcia i tak długo ścisnęli się, nie myśląc o tych którzy na nich patrzyli, ani o niepogodzie, że aż to majtków wzruszyło. Jerzy mi to opowiadał,—i mieli łzy w oczach, myśląc także o swoich siostrach, matkach i żonach. Wreszcie Ojciec zaprowadził Mamę i wuja do siebie, żeby już mogli być sami i tam zaczęły się rozmowy bez końca.

A ja przez cały ten czas czekałam na dole! Ach! naprawdę znajduję, że to nie bardzo pięknie ze strony Mamy tak o mnie zapomnieć! Miałam ochotę płakać. Pani starała się uspokoić mnie, a Joasia co chwila patrzyła, czy nie zobaczy ich schodzących. Wreszcie zawołała:—„Słyszę twoją Mamę!“—Serce zaczęło mi bić gwałtownie i zamiast biedz na przeciw wuja, stałam onieśmielona obok Stefci, która także nie śmiała iść. Ale Bercia chociaż już rozebrana pobiegła i zawołała: — „Dzień dobry wujaszku, dzień dobry Tato!“ — Małgosiu, chodźże, mówiła Mama. Oto jest ten wujaszek, którego miałś taką ochotę zobaczyć.“

Nie miałam siły, nie ruszyłam się z miejsca. Bo też ten mundur mnie straszył. Ale wujaszek zawołał głosem, który mi przeniknął serce:—„Jako mo-

ja Małgosia tak mię przyjmuje?“ — Nie mogłam już wytrzymać, pobiegłam do niego; wziął mię na ręce, podniósł i ucałował serdecznie. Jaki ma dobry wyraz twarzy! Nie rozumiem jak mogłam bać się go chociaż przez jedną chwilę. Kiedy wziął na ręce Stefcię powiedział:—„To prawdziwy twój portret Elizol!“—I pieścił ją długo. Potem poszedł przyjrzyć się Bobusiowi, który spał i powiedział:—„Czy chce czy nie chce, muszę go pocałować mego syna chrześtnego. Jakież on śliczny!... Jakież on śliczny!“ — Bobus otworzył oczy, uśmiechnął się do niego i znowu zasnął. Mama zaprowadziła wujaszka do Pani i przedstawiła go jój; Pani nie byłaby go poznała, bo nie widziała go od czasu, gdy razem z Mamą były na pensyi, gdzie wujaszek który wtedy był studentem przychodził do swojej siostry. Wujaszek był nadzwyczaj dla Pani uprzejmy; ach! naprawdę kocham go z całego serca; ma minę tak szczerą i taki jest miły! Powiedział Pani, wyciągając do niej rękę:—„Pozwolisz Pani, że po bratersku witac będę przyjaciółkę mojej siostry Elizy.“—I pocałował ją bez ceremonii. Potem spojrzął na Manię i Joasię, mówiąc:—„A to są siostry moich siostrzenic. Dziś wszystkich całuję.“—Mania była zmieszana, ale znajduje, że wujaszek jest tak dobry, tak naturalny, że podobał jój się tak samo jak mnie. Po kilku chwilach byłam już zupełnie swobodną w obejściu się z wujem; Stefcia i ja zasiadłyśmy na jego kolanach, gdy tymczasem Bercia którą spać położono, patrzyła na nas z wysokości swego łóżka i wymawiała mi, że zajęłam jój miejsce; jednak zasnęła w końcu.

Jaka zajmująca była rozmowa! Wujaszek i Ojciec opowiadali nam jak się wreszcie spotkali; biedny Ojciec wiele miał trudu; był zmuszony jechać szukać wujaszka nie domyślającego się wcale, żeśmy przybyli, aż o dwie mile od Rio na wsi u przyjaciół. Po pierwszych uniesieniach niespodziewanej radości, zjadłszy razem obiad, udali się w drogę do miasta. Mieli właśnie wsiadać w łódź wujaszka żeby popłynąć do okrętu, w śliczną łódź z namiotem w której byliby zabezpieczeni od deszczu, gdy spostrzegli czółno, na którym mieściła się jakaś pani i dzieci prawie przemokłe; Ojciec poznał panią Bontems, a kiedy wujaszek dowiedział się, że ta pani płynie na nasz okręt, zawołał na wiosłarzy, aby się zbliżyli, a potem prosił panią Bontems, żeby z panem Leblond i dziećmi wsiadła do jego łodzi, a on z Ojcem wsiedli do małego zamoczonego czółna, gdzie im było bardzo źle. Jak to pięknie z ich strony! To też pani Bontems nie przestaje wychwalać tego postępu i powtarza wszystkim, że oficerowie naszego okrętu powinni być podobni do mego wujaszka.

Kiedy wujaszek zegnał nas tego wieczora, polecił nam; abyśmy nazajutrz wcześniej byli gotowi, bo przyjedzie po nas i zabierze nas na ląd. A chociaż Mama mówiła mu, że zapewne nie będzie miał dosyć miejsca, aby nas wszystkich przyjąć, odpowiedział:—„Na wojnie, jak na wojnie. Zadowolnicie się tém, co będę mógł wam ofiarować. Chciał nawet przyjechać po nas o siódmej, ale Mama nie chciała wcześniej jak o dziewiątej.

Przestaję teraz pisać, bo bardzo jestem zmęczona.

Sobota, 18 września

Jestem zmuszona przerwać moje opowiadanie o Rio, aby opisać wypadek, jaki o mało nie miał miejsca wczoraj wieczorem z winy Stefci; ale podług mnie to była przesłiczna wina i na szczęście Pan Bóg pozwolił, że wszystko skończyło się dobrze.

Byliśmy wszyscy na dunecie, Ojciec namówił Mamę, żeby wyszła na świeże powietrze, leczyc się z morskiej choroby, a Mama przystała na to, chcąc zrobić Ojcu przyjemność. Stefcia poszła także, czując się daleko lepiej. Świeże wieczorne powietrze było tak przyjemne, że zostaliśmy do bardzo późna na pomoście, gdzie nam było bardzo dobrze. Stefcia jednak zaczęła usypiać, siedząc na stosie lin, z głową opartą na kolanach Mamy, gdy nagle nakazano manewr, skutkiem czego musiałyśmy ustąpić, żeby nie przeszkadzać; posunęłyśmy się więc z krzesłami aż do balustrady dunety. Ta mała balustrada jest bardzo straszna, nie ma wcale krat, składa ją tylko pręt miedziany, który w pewnej wysokości okala dunetę, a pod którym ktoś co upadnie może przesunąć się i wpaść w morze. Ja stałam ostatnia przy balustradzie i brał mnie zawrót głowy, widząc, że morze wzburzone i że gdybym się pośliznęła, zniknęłabym natychmiast w bałwanach. Prócz tego kołysanie było mocne, przepędzi-

wszy kilka dni na ziemi, odwykłam już od niego. Ale Pani która zawsze spostrzeże, co jest dla innych złe lub niebezpieczne, a która nigdy nie boi się niczego dla siebie, potrafiła przejść pomiędzy mnie i balustradę, objęła mnie wpół i przycisnęła do siebie.

Wszystko to trwało sekundę, chociaż potrzebuję nie wiem wiele czasu do opisanie tego; prawie w tej samej chwili Mama krzyknęła: *Stefcia!* z taką siłą, że było słyhać jej głos mimo szumu bałwanów i hałasu manewrów. Patrzymy naokoło, nie ma Stefci!... Ach! nigdy się tak nie przeleżałam! Uczułam, że ręka Pani, którą trzymałam stała się zimna, ale gdy i ona również zawołała: *Stefcia!*... Głos cichy odpowiada za nią:—„Jestem tu...” —Pani się odwraca, ja także; wołamy do Mamy:—„Ona tu jest!” —A Mama która w tej chwili przybiegła do nas, spostrzega również jak my: że Stefcia trzymając się jedną ręką balustrady, pod którą stała, drugą rączką trzyma się silnie sukni Pani. Nóżki jej były na samym brzegu, aż dreszcz przechodził...

Pani ją chwytając oddaje Mamie i wszyscy, nawet Ojciec, który był bardzo wzruszony, pytamy biednej małej:—„Cóż ty tam robiła?” — Stefcia ukryła twarz na ramieniu Mamy i nie odpowiadała; zobaczyłyśmy, że płakała.—„Co ci jest kochanie?” —mówiła Mama, całując ją; bo ona i Pani domyślały się wszystkiego. Ja nie rozumiałam jeszcze i powtarzałam:—„No, mówże, to bardzo źle, że nas tak przestraszasz i nie chcesz nam tego przynajmniej wytłómaczyć.” —Ale Stefcia odrzekła wreszcie:—„Nic nie ma w tém nadzwyczajnego, ja

trzymałam Panią! — Jakto, trzymałaś Panią? — No tak, a gdyby była upadła!...”

Byliśmy wszyscy zachwyceni, a ja nie mogąc się wstrzymać, całowałam Stefcię wołając:—„Ach! ty jesteś daleko lepsza odemnie! Ja się pozwoliłam trzymać Pani i nie trzymałam jej!...” —Ale dla czego płaczesz duszeczko? pytała Mama, gdy tymczasem Pani całowała Stefcię.—Bo się okropnie bałam, odrzekła Stefcia po cichu. — Bo też byłaś w wielkiem niebezpieczeństwie, zawołała Joasia, czy nie widziałaś jak morze jest czarne. — O! owszem; i to właśnie... —I znowu zaczęła płakać.—„Słuchaj moje dziecko, powiedział z kolei Ojciec, biorąc Stefcię na kolana, miałaś bardzo dobre chęci, ale byłaś bardzo nierozważną, bo w żadnym razie pomoc twoja nie zdałaby się na nic; nie takie jak ty dziecko wstrzymać może dorosłą osobę. Przebaczymy to jednak przez wzgląd na dobre twoje chęci, a nadewszystko, jeżeli więcej tego nie uczynisz. Tylko nie psuj odważnego czynu łzami, które są oznaką słabości.”

Stefcia otarła oczy, a Ojciec ucałował ją, potem zeszliśmy na dół. Ale nie mogliśmy położyć się spać, tak byliśmy wzruszeni, dziękowałam też Bogu całym sercem, że ocalił moją kochaną siostrzyczkę narażoną na tak wielkie niebezpieczeństwo, za najmniejszym poruszeniem mogła była wpaść w wodę. Stefcia była też bardzo wzruszoną, bo sobie przypominała te wielkie bałwany, które tak blisko siebie widziała i słyszała; ale nie myślała wcale o tém, że piękny czyn spełniła. Zresztą Mama i Pani nie chwaliły jej wcale; ale tak były czułe dla niej.

Kiedy poszła już spać, ja zadawałam Pani rozmaite pytania; powiedziałam jój:—„Czy Pani mną pogardza? Bo bardzo zasługuję na to.—Dla czego drogie dziecko?—Bo ja myślałam tylko o sobie, gdy tymczasem Stefcia myślała tylko o Pani.—A Mania! zawołała Joasia; czy nie widziałas?—Cóż ona zrobiła?—Oto stanęła za krzesłem pani Guyon, aby ją przytrzymać, a ona przecież sama mogła się obsunąć, bo jeszcze mnie przytrzymywała.—Ach! mój Boże, widzi Pani, ja tylko jedna jestem egoistką!— I ja także, zapewniam cię Małgosiu, dodała Joasia.—To mnie wcale nie pociesza Joasiu. Ale niech Pani powie, proszę, jak się to stało, że ja wcale nie myślałam o Pani?—Widziałas, że ja silnie stoję, kiedy ciebie trzymam, dla tego myśl niebezpieczeństwa nie przysła ci do głowy, drogie dziecko, rzekła Pani z uśmiechem.—Ach! to prawda, ale jednak obawiam się, czy nie jestem egoistką, bo nigdy nie myślę o tém, co mogłoby komuś sprawić przyjemność, albo być dla innych pożytecznem. Mania ciągle tém tylko jest zajęta, tak jak Pani; Pani wie, że ona zawsze obiera sobie najgorsze miejsce i że, chociaż wcale tego nie pokazuje wszystkiego sobie odmawia, żeby oddać Joasi albo mnie, albo komu-bądź innemu...—Ale cóż ty mówisz Małgosiu? przerwała Mania.—Wszystko co ona mówi jest prawdą, zawołała Joasia, a więc pozwól jój mówić. Cóż dalej Małgosiu?—To dalej, że Mania jest aniołem i Pani także.—Tak to prawda, odparła Joasia, która stała na pół rozebrana patrząc na mnie z uwielbieniem za to co mówiłam.—Ale ani ty Joasiu, ani ja nie jesteśmy aniołami.—O! wiem o tém dobrze!

—Tylko to mnie dziwi, mówiłam dalej, że Stefcia jest także aniołkiem i wyprzedza nas; nie od dziś jest ona tak dobrą; czyż nie jest co dzień uprzejmą, łagodną, i.... Jakto się nazywa cnota przeciwna egoizmowi, proszę Pani?—Poświęcenie.—A tak, otóż Stefcia jest poświęcającą się, Mania jest poświęcającą się, Pani jest nią więcej jak wszyscy, Mama jest nią ciągle, a więc tylko ty, Bercia i ja nie jesteśmy takimi.—Jednakże nie jesteśmy szatanami, moja Małgosiu.—Nie, niezupełnie Joasiu, ale jabym także chciała być poświęcającą się; jakto trzeba robić proszę Pani. Widzę doskonale różnicę między osobami lubiącemi się poświęcać i temi które nie są takie; na przykład jest tu na okęcie mała dziewczynka, której nie chcę nazwać, boby Pani nie była kontenta zemnie; a więc ta mała dziewczynka mówi zawsze: *ja najpierwsza* i nieraz sprzeczałyśmy się z sobą o to, bo ja także myślałam tylko o *sobie* i nie chciałam, żeby ktoś był pierwszym odemnie. Ta dziewczynka wcale nie jest podobna do Mani, ani do Stefci które narażają się na niebezpieczeństwo i nie myśląc o sobie chcą ratować drugich. Chciałabym je naśladować, ale przy sposobności nigdy o tém nie myślę.“

—„Moje dziecko, rzekła do mnie Pani, siadając i biorąc mnie na kolana; zasadą poświęcenia jest miłość.—A więc proszę Pani miłość daje wszystkie cnoty?—Wszystkie moja Małgosiu, bo tylko miłość Boga i bliźniego pozwala nam zwyciężyć miłość nas samych. Gdy kto kocha tylko siebie, myśli tylko o sobie, i wszystko czyni dla siebie; jestto źródło złego i wszystkich naszych błędów. Przeciwnie kto

kocha Boga; zapomina o sobie samym dla Niego, Jemu tylko chce służyć; Jemu poświęca wszystko; Jemu jest *oddanym* i bliżnim dla miłości Boga. Wtedy wszystkie cnoty łatwemi się stają.—Jednakże proszę Pani, ja kocham Boga, a nie umiem się poświęcać.—Nie jesteś spodziewam się samolubną, drogie dziecię, tylko nie umiesz jeszcze zapomnieć o sobie, odmówić sobie czego, *poświęcić się*, a to z tego powodu, że jesteś bardzo żywa i że dajesz się unieść roztargnieniu, które ci przeszkadza zauważyć i schwytać stosowną chwilę, w której mogłabyś zobowiązać innych i uczynić im co dobrego. Ale odpowiedz mi szczerze, gdyby cię proszono o jaką-bądź przysługę, o odmówienie sobie czego, poświęcenie czegoś, zapomnienie o sobie, czy nie zrobiłabyś tego natychmiast? czy nie byłabyś z tego szczęśliwą?—O tak, Pani, to mi się przytrafiło raz w Paryżu, pamięta Pani, gdym chciała zostać w domu dla towarzystwa Berci, która była słaba, gdy tymczasem Ojciec zaprowadził Gustawa i Stefcie do ogrodu Botanicznego? Byłam wtedy daleko szczęśliwsza niż gdybym widziała wszystkie zwierzęta świata.“

— „Tak, Małgosiu, w poświęceniu jest tysiące radości, których egoista zrozumieć nie może, jeżeli więc pojmujesz je i pragniesz ich, nie jesteś egoistką.—Co za szczęście.—Przypuśćmy więc, że Adela naprzykład przyjdzie cię prosić, ażebyś wyrzekła się dla niej jakiejś przechadzki, jakiej przyjemności, uczynisz to chętnie, nie prawdaż?—O! Pani nie wiem doprawdy; nie zdaje mi się; gdyby to tak było dla Pani, albo dla Mamy, albo dla Mani, na-

wet dla Joasi, ale dla Adeli!...—Moje dziecię, poświęcenie pochodzi, jakem ci już powiedziała z miłości; otóż serce przepełnione miłością kocha wszystkich swoich braci, więc też dla wszystkich bez wyjątku się poświęca.—Jabym się nigdy dla Adeli poświęcić nie potrafiła.—Nie mów tego i prosz Boga, żeby ci dał miłość, bo jeszcze nie masz prawdziwej. Poświęcać się dla tych których kochasz naturalnie i bez przymusu, jestto czynić to co ci się podoba, jestto sobie tylko dogadzać, chociaż w dobrym i szlachetnym celu.—Ale proszę Pani, czyż nie dla tego Stefcia poświęciła się dziś dla Pani, że Panią kocha?—Owszem, moje dziecię, sądzę, że kochaneczka powodowaną była głównie przywiązaniem jakie ma dla mnie, ale jestem pewna, że zrobiłaby to dla każdej innej osoby, którą widziałaby narażoną na niebezpieczeństwo. Tybyś zrobiła to także, nawet dla Adeli, gdybyś ją widziała w niebezpieczeństwie nieprawdaż?—O! niezawodnie, ale co mnie trapi, to że ja nigdy nic nie widzę, gdy tymczasem Mania i Stefcia wszystko zauważają ze swoją spokojną miną. Wie Pani co, ja myślę, że są osoby *stworzone* do poświęcania się?—To być może, rzekła Mama, która słyszała koniec naszej rozmowy, są serca których całe życie jest poświęceniem“... I nachylając się do Pani pocałowała ją.—„Niech cię Bóg błogosławi, że uczysz dzieci moje, być podobnemi do ciebie! Jak mnie wzruszył postępek mojej Stefcii!“

To mówiąc zabrała Panią do swego pokoju, a ja poszłam spać. Ale już zaczęłam się trochę poświęcać i jestem z tego uszczęśliwiona. Bawiłam się z dziećmi na pomoście, kiedy Laura zaplatała się

nogą o sznurek i upadła. Adela ją podniosła i zaczęła krzyczeć: — „Znowu rozdarłaś sukienkę.“ — Laura zaczęła płakać i zaklinać Adelę, żeby nic nie mówiła matce, ale Adela odpowiedziała: — „Owszem powiem, bo dopiero co naprawiłam twoją sukienkę i bardzo mi będzie nieprzyjemnie znowu to samo robić, musisz być ukarana.“ — Biedactwo zanosilo się od płaczu, powtarzając: — „Mama, mnie bić będzie! mama mnie bić będzie!“ — Mania się zbliżyła, żeby pocieszyć Laurę i uspokoić Adelę i spytała tej ostatniej: — „Czy nie mogłabyś naprawić sukienki siostry tak, żeby pani Bontems tego nie spostrzegła?“ — Ach! tak, dobra jesteś! Pracować zamiast się bawić! Nie, z pewnością, dosyć będę miała czasu nudzić się, gdy nadejdzie godzina szycia. — A więc, powiedziała Mania, biorąc małą za rękę, chodź ze mną Lorciu, ja ci to naprawię.“

Ale mnie nagle przyszła do głowy myśl; poskoczyłam do nich wołając do Mani: — „O zaklinam cię, pozwól mi spełnić to małe poświęcenie, kiedy o niem myślę; to jest gdys ty mnie na tę myśl naprowadziła! — Otóż powiedziała Adela szyderskim tonem, znowu nowe szumne słowo! I będziesz tak nierozsądna, że dla tego niezgrabiasza stracisz godzinę rekracyi? — Ale Adelciu, ja czynię to dla tego, żeby nie być egoistką, bo gdyby mi to nie sprawiło umartwienia, nie miałabym zasługi. — Znajdujesz więc, że jestem egoistką? — Nie gniewaj się Adelo, bo ja jeszcze wczoraj wieczór byłam samolubną, tylko już nie chcę być nią dłużej. Chodź Lorciu.

Zeszliśmy do pokoju Pani, a ponieważ Mama chciała, żebym nabrała wprawy w szycie i często

zdarzało mi się cerować moje sukienki, potrafiłam więc zrobić to dla Lorci. O! jakże się cieszyłam, skończywszy tę robotę! A zajęło mi to cały czas rekracyi, była to więc istotnie ofiara. Ale co znajdowałam dobrém, to że Adelcia zeszła natychmiast za nami i czekała u nas na Lorcię, jak gdyby już nie chciała się bawić. Może zadała sobie taką pokutę. Jestem bardzo szczęśliwa, że tak prędko miałam sposobność dowieść, iż nie jestem egoistką, a ponieważ Mania zapewnia, że codziennie nadarza się ich tysiące, proszę ją więc, żeby zwracała na nie moją uwagę, żebym i ja spostrzedz je mogła.

Dziś odbywały się ćwiczenia armatnie, bardzo to zajmujące, to obraz wojny. Wszyscy kanonierzy są przy swoich armatach, oficerowie wydają rozkazy, odbywają poruszenia, które byłyby potrzebne, gdyby okręt był zaatakowany; przygotowują amunicję, nabijają armaty i niby to przykładają doń ogień... Odbywa się to wszystko z pośpiechem, ale razem w wielkim porządku! Widzę, że nasi poczwi majtkowie doskonaleby nas bronili. Chłopcy okrętowi rozstawieni są na brzegu pomostu i na dnie okrętu, aby podawać kanonierom naboje w miarę jak ich potrzeba. Śmiałam się z całego serca, gdy zobaczyłam Jerzego przy tém zajęciu. Majtkowie, którzy nie służą przy armatach mają stać na pokładzie, aby bić się ręczną bronią, albo wdzierać się na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, gdyby ten śmiał się przybliżyć.

Bardzo także lubię patrzeć na ćwiczenia ręcznej broni i na tych wszystkich majtków, którzy stają do przeglądu ustawieni na pomoście w ubiorach

czystych i eleganckich. Tylko nie zdaje się, żeby byli tak zręczni w robieniu bronią jak żołnierze infanteryi morskiej, których tu mamy; widać, że ci ostatni więcej mają wprawy i oficerowie tak dobrze ich uczą! Panowie de Lagny i Reboul podobają mi się bardzo; Mama mówi że wyglądają bardzo szlachetnie.

Przestaję już pisać, bo ten dziennik taki jest długi, że aż strach!... Żałuję tylko, że dotąd nie opisałam jeszcze ceremonii, jaka się co wieczór odbywa, gdy majtkowie mają iść spać, nazywają ją *wprawieniem w ruch* okrętu, ale nie jest to ruch bojowy, owszem bardzo pokojowy, bo spać idą. O naznaczonej godzinie dają znak, a potem marsz! Wszyscy oprócz tych, którzy zostają na straży dla kierowania okrętem, zbliżają się z każdej strony do parapetu, zdejmują zeń nakrycie ceratowe (parapety są to brzegi, jakby ściany Izery, zdaje się, że w nich porobiony jest rodzaj szaf); i cóż oni tam biorą? oto łóżka swoje, to jest hamaki; każdy bierze swój na plecy, potem wszyscy schodzą do bateryi, zawieszają hamaki na hakach umyślnie tam umieszczonych i potem spać się kładą.

Jutro będę znowu opisywała Rio.

Niedziela, 19 września.

A więc powracam do Wujaszka, który miał przyjechać po nas w Poniedziałek rano, (jutro będzie tydzień, a zdaje mi się, że już wieki odtąd upłynęły!) Dobry Wujaszek był bardzo słowny, bo

Łódź jego przybiła do okrętu o pięć minut do dziewiątej. Byłam już gotowa i chodziłam od pół godziny z Ojcem i z Manią po pomoście. Mama natychmiast włożyła kapelusz i zabraliśmy nasze pakunki, co było nie małą rzeczą. Na szczęście Wujaszek przybył w największej łodzi Don Pedra; bo było nas dużo! O jaką radość czułam opuszczając *Izerę*, a jednakże bardzo się bałam zejść z tych dziwnych schodków, które są sztywno przywiązane do okrętu; a których stopnie tak są wąskie! To mnie bawiło, że wszyscy z kolei schodzili za mną. Mama i Pani nie znajdują, aby ten sposób schodzenia był bardzo wygodny, ale gdy Ojciec i Wujaszek dopomogli im, jakoś im się udało zejść. Jeden majtek niósł dzieci. Nasz stary Mario był na górze oparty na baryerce i dawał nam przyjazne znaki, ach! bardzo byłabym chciała, żeby i on mógł pójść na ląd! ale to była i tak już wielka łaska ze strony Komendanta, że nam pozwolił zabrać z sobą Jerzego. Mama udawała, że potrzebować będzie usług tego malca, który inaczej nie byłby wysiadł na ląd i tak prosiłiśmy Komendanta; że w końcu pozwolił. Trzeba było widzieć jak Jerzy był kontent! Śmiał się sam do siebie w kącie łodzi. Ale co mi sprawiało przykrość, to że inni chłopcy okrętowi i nowicjusze i cała załoga musieli umierać z chęci wyjścia na ląd, a kilku zaledwo dano na to pozwolenie. O! gdybym ja była Komendantem, posyłałabym wszystkich ludzi na ląd we wszystkich portach, gdzieśmy wypoczywali, to posłużyłoby im na zdrowie i byłiby silniejsi do manewrów, Powiem Bobusiowi, żeby na to pozwolił, gdy zostanie Admirałem.

Murzyni robili wiosłami na naszej łodzi, Bercia, która dotąd zna tylko Barbarę, strasznie się bała, a Bobuś patrzył na nich także swemi niebieskiemi szeroko otwartemi oczami, jak gdyby nie wiedział, czy się ma śmiać czy płakać, ale w końcu zaczął się śmiać; ale Bercia strasznie się rozkrzyczała, gdy jeden murzyn chciał ją wziąć na ręce i zanieść na ziemię i Wujaszek musiał to sam zrobić. Jaką nam sprawiło przyjemność chodzenie po tej podłodze krowiej, która jest ziemią! Tak ją lubię tę podłogę, która nie kołysze się pod nogami, jak podłoga okrętu! Ale co dziwne; z początku zdawało nam się, że i ona się rusza i słyśmy zupełnie krzywo. Wujaszek musiał prowadzić Mamę, a Ojciec podał rękę Pani. Ach! gdyby tam był mój brat, onby był prowadził mnie albo Manię i byłabym tak szczęśliwa widząc go i rozmawiając z nim o wszystkim. Jestem pewna, że w podróży nie sprzeciwiałby mi się, bo miałby zbyt wiele zajęcia; a przytém teraz, dałabym za to wiele, żeby mi się mógł sprzeciwiać, bo byłby z nami, Mama nie byłaby tak smutna i wszyscy bylibyśmy weselsi! Biedny Gustawie, gdy myślę o tobie, mam ochotę płakać. Co ty teraz robisz? Uczysz się greckiego, czy łaciny? Bo jestem pewna, że pracujesz podczas wakacyi, aby nie tracić czasu! Musisz się bardzo nudzić chociaż dobry pan Guer robi co może, żeby cię rozzerwać, prowadzi cię na przechadzki i wozi z sobą na wieś. Ale na co się zdadzą wakacje temu, kto nie jest z rodzicami? Przyjaciele mogą być nie wiem jak dobrzy, zawsze to nie ojciec i matka. Ach! jak rozmawialiśmy z Wujaszkiem o Gustawie! Jakaż

to byłaby radość dla Mamy, gdyby mogła była pokazać swemu bratu najstarsze dziecię, to z którego Ona i Ojciec tak są dumni! Wujaszek śmiał się, gdy mu powiedziałam, że Gustaw i ja spieraliśmy się często i powiedział, że także dawniej sprzeciwiał się Mamie, jako też biednej Cioci Małgosi, która umarła bardzo już dawno temu, ale mimo to bardzo kochał swoje siostry i one jego także. Ale ja mu odpowiedziałam, że to zawsze bardzo źle, bo Pan Bóg nie lubi kłótni i ja żałuję szczerze, że byłam złą względem Gustawa. Powiedział mi, że mam słusność.

Ot znowu tyle gadaniny, powie Pani. Zatrzymuję się co chwila w opowiadaniu, aby pisać o czém inném; to też dziennik mój jest zawsze w takim nieporządku, że nic w nim odnaleźć nie można. Wracam więc do przyjazdu naszego do Wujaszka.

Widok domów, ulic, powozów i tylu ludzi, którzy chodzili w różne strony wprowadzał nas w podziwienie; Stefka i Bercia były tém uderzone. Co mnie najwięcej dziwiło, to żeśmy spotykali czarnych, którzy śpiewali niosąc pakunki i biegnąc; wiadać, że sami siebie zachęcają tym sposobem do pracy. W Rio, które zdaleka wydaje się tak pięknie, ulice są bardzo brzydkie i bardzo brudne; ale jest jedna czy dwie ładne i wujaszek mieszka na najpiękniejszej; nie jest to dom, tylko pawilon, bo on potrzebuje tylko *zajazdu*; jeszcze jeden pan, który jest kupcem i przyjacielem wuja i ma młodą żonę Portugalkę mieszka na górze, wujaszek zajmuje tylko dół.

Dobry pan Daya i jego żona odstąpili nam największego swego pokoju z gabinetem dla Mamy Pani i dla nas; wieczorem kładli materace na podłodze i dosyć nam było wygodnie. Ojciec sypiał na dole u Wuja, Barbara z dwoma murzynkami służącymi pani Daya, a Jerzy na materacu w gabinecie Wujaszka. Wszystko sprawiało wielki nieład, bardzo zabawny. Na nieszczęście trwało to niedługo.

Jeszcze jedna rzecz była bardzo przyjemna, to jest pierwsze nasze śniadanie na łodzi. Wujaszek pytał się Mamy, co by chciała jeść? Odpowiedziała, że pić będzie kawę ze śmietanką. Pani, Mania, Joasia i ja jadłyśmy salatek; taka świeża, zielona, doskonała! Stefka i Bercia prosiły o filiżankę ciepłego mleka, a Bobuś śmiał się na głos pijąc je także. Było jeszcze na stole wiele innych rzeczy, ale myśmy to wybrały. Ojciec jadł rzeczy posilniejsze. O! jakie doskonale jedliśmy owoce! Znajdowałam, że daleko są lepsze jak w Maderze, bo już nie miałam mdłości. Mania i Joasia były zachwyczone widokiem owoców z Burbon, i drzew podobnych do drzew ich ojczyzny. Kiedy podczas przechadzki spostrzegły, palmy, drzewa owocowe, banany i t. d., Joasia wydawała okrzyki radości, a Mania bardzo była wzruszona. Biedna Mania! Wszystko przypomina jej matkę, na szczęście mówi o tém ze mną i to jej sprawia ulgę. O! jak jestem dumna; Wujaszek znalazł ją śliczną i tak był dobrym dla niej i dla Joasi także.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam drzewo bananowe, zrobiłam zapytanie, które wszystkich roześmie-

szyło; jednakże pewną jestem, że wszyscy Paryżanie myśleliby tak samo, bo drzewo to ma bardzo długie i szerokie liście, koloru delikatnego zielonego, jak atlas; ale liście te są tak cienkie i tak delikatne, że najmniejszy powiew wiatru rozdziera je i tworzą się z tego frendzle. Ja zawołałam więc, spostrzegłszy je: — „O! Wujaszku! Któż to się bawi wycinaniem tych wszystkich liści?“ — Było to bardzo głupie pytanie, ale też można było przysiąc, że to zrobione naumyślnie.

Przerwałam pisanie, aby zjeść podwieczorek i razem odpocząć, bo już nie mogłam pisać dalej. Złapano warcabnicę; miałam wielką ochotę zobaczyć ją i bardzo mi się podobają te piękne ptaki; zdaje mi się, że dla tego zowią je warcabnicami, że są białe i czarne, jak kraty na warcabnicy, a warcabny bardzo mnie bawia i na okręcie słyszę ciągle o nich, bo to jest rozrywka bardzo tam uprawiana. Warcabnice latają gromadami naokoło, podobne są do gołębi, ale są to gołębie morskie. Powiadają, że znajduje się ich tyle dla tego, że zbliżamy się do Kapu; spostrzegać się też dają zagłoscigi. O! to przesłiczny ptak! prawdziwy orzeł morski. Chciałabym, żeby przyleciał bliżej nas; powiadają, że on czasem leci za okrętem i łatwo go wtedy schwytać. Jak to musi być zabawne!

Ale muszę wreszcie dokończyć o Rio, a potem pochodzić z Manią po pokładzie, nim zajdzie słońce, bo już zaczyna być zimno w tych okolicach i znajdujemy wielką różnicę z klimatem okolic podrównikowych, gdzie chorowaliśmy aż od straszego upału. W Rio ucierpieliśmy także wiele od niego

i z wielką przyjemnością używaliśmy kąpieli. O! jak to było miło! wszystkim nam zrobiły one dobrze. A potem Mama mogła kazać uprać naszą bieliznę, co także było bardzo przyjemnie.

Przedewszystkiē chcieliśmy iść do kościoła, aby pierwsze nasze kroki były do Boga i żeby Mu podziękować, że nas doprowadził do Rio. Co mi się wydało dziwnē i nie bardzo wygodnē, to brak krzeseł do siedzenia; musieliśmy stać lub klęczeć, bo taki jest zwyczaj w tym kraju.

Wujaszek jeździł z nami cały dzień, wynajawszy ogromny powóz; ale wieczorem wychodziliśmy piechotą, żeby i małe mogły iść razem z nami. Okolice Rio są bardzo piękne. Odwiedziliśmy kilku przyjaciół Wujaszka w ich prześlicznych mieszkaniach, z których jedno położone jest nad małą rzeczką z pysznemi nad brzegiem drzewami, podziwialiśmy też ogrody pełne kwiatów. Z prawdziwą przyjemnością używaliśmy tych przechadzek, ale nie mogę opisywać wszystkiego co widziałam, nie doszłabym nigdy końca. Pani Daya rzadko wychodziła z nami, szkoda, bo nam się bardzo podobała. Jēj mąż jest bardzo dobry, znajduje, że wszyscy przyjaciele Wujaszka są bardzo mili i szlachetnej postawy.

Wujaszek zaprowadził nas do modniarki francuzkiē, aby obstałować dla nas kapelusze, chciał przez to dowieść Mamie, że w Rio można dostać paryzkich strojów i mój kapelusik jest doprawdy prześliczny. Dobry Wujaszek nie wiedział już co wymyśleć, aby nam dogodzić; darował nam suknie, chusteczki i rozmaite zapasy na resztę podróży mię-

dzy innemi skrzynkę blaszaną pełną ciastek z *arrow-root*, które są przewyborne. Arrow-root, jest to korzeń, z którego robią delikatną mączkę i z niej wiele dobrych rzeczy. Mamy także dwa wielkie słoje pełne konfitur z guyaw i ananasów, przytēm masę pomarańcz, które jemy jak sałatę z wódką i z cukrem, jest to doskonałe lekarstwo przeciw morskiej chorobie.

Ale co mi się podoba nadewszystko, to książki, które mi dobry Wujaszek darował; niemało się natrudził nim je kupił, ale ja czytając je mam wielką przyjemność. Jest cały Berquin, którego znalazłam tylko jedną część; Magazyn dla dzieci; śliczne powieści przez panią Guizot; powieści dla moich małych przyjaciółek przez panią Bouilly. Czytamy to wszystko z Manią. Ach! jak to miło czytać! Zdaje się nam, że znamy wszystkie osoby z naszych powiastek. A potem to zachęca nas do dobrego; Pani powiada, że tego właśnie szukać trzeba w czytaniu: *stawać się lepszemi i nabierać światła*. Ma słusność; ponieważ dobre przykłady wzbudzają w nas zamiłowanie cnoty, a złe pokazują, jak występek jest szkaradnym. Ale słyszę, że dzieci wydają radosne okrzyki na pokładzie, trzeba się dowiedzieć co się stało.

Poniedziałek, 20 września.

Dziś rano zaczęłyśmy na nowo *porządnie* lekcye i Pani była bardzo kontenta ze mnie. Co za szczęście!

Wczoraj pobiegłam na pomost schowawszy co prędzej kajet i cōż spostrzegłam na dole dunety.

Najprzód tłum wielki: Ojca, Komendanta, Panią, pana Suze, pana de Vère, doktora, księży, a potem Stefkę, Manię, Joasię, Adelcię, Bercię, Laure, Julka; wreszcie nawet Bobusia, którego Ojciec trzymał na rękę; a w pośród całego tego tłumu dwóch mocnych majtków trzymających coś, co się broniło i śmiechy i krzyki.

Starałam się wsunąć blisko Pani pytając:— „Co się to stało? co to takiego?”— I spostrzegłam ptaka, o! ależ był wielki! Z największą zaledwie trudnością mogło go utrzymać dwóch majtków, podnosił i spuszczał piękną swą głowę, starając się wymknąć. Wzbudzał we mnie litość, ale razem rada byłam, że go złapano, bo był to żagłościg (albatros). Biedny ptak! imię jego nawet jest piękne. Pióra ma cienkie i miękkie jak jedwab, na szyi i na wierzchu są one koloru brunatno-orzechowego, a reszta jest popielata i biała. Oczy ma prześliczne i pozór tak szlachetny i wspaniały, że zaraz widać, iż to jest król morskich ptaków. Schwytano go na wędkę, gdy płynął za naszym okrętem jak piękny łabędź. O! to okrutne! Będą się starali utrzymać go przy życiu czas jakiś, a jeżeli zdechnie, to go wypchają. Zniechęcono go przez ciekawość; z rozpostartymi skrzydłami, ma trochę więcej jak dziesięć stóp szerokości. Biedny żagłościgu, warto też być tak wspaniałym pięknym, aby cię za to złapano i wypchano!... A przynajmniej może żona twoja, albo twój brat chce dowiedzieć się, co się z tobą stało i da się także złapać; bo od dziś rana drugi żagłościg płynie za naszym okrętem; ślicznie patrzeć na niego, gdy płynie ze skrzydłami trochę rozłożonymi i miną pełną god-

ności. Na nieszczęście, może nam łatwo towarzyszyć bez zmęczenia, bo znowu zaskoczyła nas cisza. Od wczoraj nie posuwamy się wcale, my cośmy tak z Rio płynęli szybko, a morze jest gładkie i jednostajne jak prawdziwe zwierciadło. Abyśmy tylko nie pozostali tu długo, albo żeby się to nie skończyło burzą, czego zdaje mi się obawia się kapitan! Jesteśmy blisko *przylądka Burzy*, a chociaż zmieniono mu imię i nazwano go *przylądkiem Dobrej Nadziei*, przeraża on jeszcze wszystkich. To też gdy słyszę, że mówią o nim, cała drzę....

Wolę daleko powrócić myślą do kochanego Rio, gdzie byliśmy tak szczęśliwi i spokojni. Na nieszczęście opisywać muszę nasz wyjazd, a to smutne wspomnienie. Te pięć dni odpoczynku przeszło mi bardzo prędko; Wujaszek był tak dla mnie dobry jak Ojciec. Jednakże mówił mi komplementa, a Ojciec nie mówi ich nigdy! I tak, pierwszego dnia mieliśmy właśnie iść do stołu; Mama kończyła czesać mi włosy, bo te nudne loki moje targają się zawsze, gdy biegam i z niecierpliwością czekam ich odrośnięcia, żeby mi je podnoszono jak dawniej przed odra. Wujaszek pogłodził mnie wtedy po włosach, jak gdyby umiał je czesać! I zaczął mówić. — „Jakie to dziecko ma pyszne czarne włosy! Zupełnie takie jak twoje Elizo!” — Wtedy Mama zapytała: — „Czy znajdujesz, że ona podobna do mnie? Zdania są bardzo podzielone w tej mierze.” — Nie, odpowiedział Wujaszek, ani do ciebie, ani do Guyona; Stefcia zupełnie podobna do ciebie. Jednakże Małgosia ma oczy trochę podobne do twoich, ale inny ma w nich wyraz; o ile twoje są łagodne i tklive,

o tyle jęć są żywe i śmiejące. A przytém co za płeć, co za świeżość! Prawdziwa róża z mojej siostrzenicy. — No, no, odpowiedziała Mama, nie psuj mi Małgosi, ona się tęp wcale nie zajmuje. — Tak sądzisz, powiedział Wujaszek, śmiejąc się, biedaczko; ja ci zaręczam, że Małgosia wie już, że jest ładna, bardzo ładna i bardzo zgrabna; nie prawdaż mała? — Ja, Wujaszku, zawołałam, ale ja się tego wcale nie domyślałam, i nawet wiem dobrze, że Wujaszek sobie żartuje ze mnie. — A, filutko, odrzekł Wujaszek, ty żartujesz, nie prawdaż? Przyznaj się, że nie pierwszy raz to słyszysz. — Nie, Wujaszku, mówiono mi to często, ale Pani mówi, że to niczego nie dowodzi, bo to samo mówią wszystkim dzieciom, żeby zrobić przyjemność rodzicom. — Ha, ha, powiedział Wujaszek, śmiejąc się z całego serca, ona ma słuszość, ona ma słuszość! Jednak ja nie dla tego wcale mówię, żeby zrobić przyjemność twojej Matce, patrz tylko na jej nieukontentowaną minę. — Szalony jesteś Henryku, odpowiedziała Mama, ale Małgosia już jest dość duża, aby wiedzieć, że jeżeli ma jakie przymioty, winna je Bogu; więc chociażby nawet była ładna, nie będzie się tęp pyszniła.“

Złe jednak, że mi to Wujaszek powiedział, bo od tego czasu myślałam już o tęp kilka razy, a boję się, żeby to nie było nie dobrze. A potęp patrzyłam w lustro, chcąc zobaczyć, czy to prawda, że jestem ładna i zdawało mi się, że tak, to mi sprawiło przyjemność. Nie śmiem z Panią o tęp mówić, ale niby niechcący dam jęc do przeczytania mój dziennik, żeby o wszystkim wiedziała i żeby mi powiedziała, co o tęp myśli.

Zwiedziliśmy okręt Wujaszka, bo Mama chociaż już ma dosyć okrętu, chciała poznać mieszkanie brata na statku, aby sobie zawsze móć przedstawić w myśli miejsce w tępóćm się on znajduje. Bardzo to ładne mieszkanie; a co mi było najprzyjemnięp to, że spostrzegłam w pokoju Wuja mały portret Mamy, kiedy jeszcze była małą dziewczynką. Jaka Mama była ładna! I dzisiaj jeszcze nią jest.

O! jaki smutny był ostatni dzień u Wujaszka! Biedna pani Daya płakała, chociaż poznała nas dopiero od tak niedawna i bardzo mało umie po francusku co było nieprzyjemnie Mamie, ale mimo to pokochała Mamę i Panią i zachwycala się Bobusiem. Obie murzynki dawały nam przyjacielskie znaki, szczególnięp Barbarze; zabawne były te kobiety, bo nie umiały powieźć po francusku, nie więćć jak tylko: *Dzień dobry pani; dzień dobry panience*, i to jeszcze z bardzo złą wymową. Powtarzały nam więć to bez ustanku. Jeżeli dałyśmy im co, mówiły: *Dzień dobry panience*; jeżeli Mama żądała od nich jakieć posługi, odpowiadały: *Dzień dobry pani!* Bercia co chwila biegała do nich, aby się przypatrzeć ich minom i znakom. Jerzy także śmiał się z nich jak szalony. Tak mu dogadzały i pobyt na ładzie zrobił mu tak dobrze, że zupełnie inacześ wygląda; jakby się tęp jego matka cieszyła! Jerzy pisał do nięp; to jest Mania i ja nakłoniłiśmy go, żeby z Rio do swojej rodziny napisał. Pisiłiśmy wszyscy spodziewam się, że listy nasze dojdą. Alberyk i Gustaw będą bardzo radzi, że dowieźą się tyłu szczegółów.

Kiedyśmy już wkładali kapelusze, aby powrócić na okręt po ostatnim obiedzie, ach! jak nam się zrobiło smutno. Ojciec nawet był smutny, zgadywałam to po jego twarzy; przykro mu było opuszczać Wujaszka. Ale Mama!... Aż żal było patrzeć na nią! Płakała przez cały obiad, a później jeszcze więcej. Co chwila patrzyła na brata, a kiedy jęj podał rękę, by ją zaprowadzić do miejsca, gdzie łódź czekała na nas, wydawała się tak nieszczęśliwą, że aż płakać zaczęłam. Słyszałam całą rozmowę, bo Wujaszek trzymał mię za rękę.

Elizo moja odwagi! mówił dobry Wujaszek, może niedługo zobaczymy się znowu. Kto wie czy nie będę kiedy posłany do Indyi, czy nie znajdę sposobu odwiedzenia cię. Ty także nie zostaniesz na zawsze w tym kraju, a nasza piękna Francya może niedługo ujrzy nas połączonych. Ach! odpowiedziała Mama, jak mi się przyszłość wydaje smutną. Henryku! Gdybyś ty wiedział, jak smutne oblegają mnie przecucia. Ten kraj nieznany przeraża mnie. Oddalenie od Gustawa, od ciebie, myśl, że dzieci moje wystawione będą na klimat pałacy i szkodliwy.... Co za niepokój, mój Boże!—Widzisz, odrzekł Wujaszek, jak te dzieci dobrze zniosły dotąd podróż; a przytém moja droga ty tak wątła, tak mało energiczna, kiedy nie idzie o poświęcenie się dla ukochanych, wypełniasz teraz święty obowiązek, towarzysząc mężowi, Bóg i nadal będzie się tobą opiekował. —Mam téż tę nadzieję i bardzo jęj potrzebuje. Ty się za mnie będziesz modlił Henryku.... bo ty się modlisz, nie prawdaż? Nie zapomniałeś wiary naszej dzieciinnój, nauk i przykładów

naszej tkliwej Matki, naszego szlachetnego Ojca? —Nie, z pewnością Elizo, wspomnienia dzieciinne są niezatarte i zawsze z radością przywodzę je sobie na pamięć. Zresztą, życie marynarza stawia go w ustawicznym związku z ideami religijnymi i choćbym stracił te, które mi zaszczipiono, odzyskałbym je był po tysiąc razy podczas mego marynarskiego zawodu. — Bogu niech będą dzięki, rzekła Mama. O! tak, morze jest wielkim nauczycielem! Edward także ma duszę religijną i spodziewam się, że nadejdzie dzień....—Mama dokończyła nachylając się do ucha Wujaszka i nie mogłam reszty usłyszeć, ale domyśliłam się; Mama chciała powiedzieć, że Ojciec pewnie wkrótce dopełni tego, czego tak pragniemy! O! coby to była dla mnie za radość, gdybym mogła widzieć go zbliżającego się wraz ze mną do świętych Sakramentów. Byłby to po dwakroć najpiękniejszy dzień mego życia.

Rozmowa ta zajmowała mię tak, że chciałabym, aby trwała bez końca. Wujaszek mówił jeszcze o Gustawie i powtarzał Mamie, że dobrze zrobiła zostawiając go we Francyi, że jeżeli Wujaszek tam pojedzie z pewnością, odwiedzi swego siostrzeńca, co Mamę bardzo ucieszyło. A potem Wujaszek chwalił swego chrzestnego syna i ciągle się z nim pieścił, gdy tymczasem małeństwo patrzyło na nas zasypiając na rękach Barbary. Wujaszek dumnym jest z tego, że jest jego ojcem chrzestnym. Bercia zasiadła na kolanach Wujaszka w łódce, gdzieśmy weszli z trudnością, bo to bardzo niewygodnie; trzeba zawsze czekać aż bałwan przeleci, aby módz przejść przez deskę, która łączy łódkę z ziemią,

a jeżeli ktoś nie pośpieszy się, woda zmoczy mu nogi, co się też przytrafiło Stefci, na szczęście było bardzo ciepło.

Wujaszek wszedł z nami na Izerę, nie mógł się z nami rozłączyć i długo z Mamą i z Ojcem chodził po pokładzie. Ja patrząc na niego czułam się dumną wobec oficerów i załogi; Wujaszek ma postawę tak wspaniałą, wysoki, szczupły, twarz ma piękną, całą postać wojskową! Jest o tyle blondynem, o ile Mama jest brunetką, co dziwne, bo zdawałoby się, że powinno być zupełnie przeciwnie.

Ach! jakżeśmy płakali, kiedy się z nami żegnał; Mama nie mogła go puścić od siebie i w jego oczach widać było także łzy, kiedy ją ścisnął w swoich objęciach. Usiłował się śmiać, całując nas, ale zdaje mi się, że nie miał do tego najmniejszej ochoty. Patrzyliśmy za jego łodzią tak długo jak tylko mogliśmy ją widzieć i krajało nam się serce, widząc jak się oddalał, aż wreszcie nie już nie mogliśmy rozróżnić. Ojciec odprowadził go do lądu, jak wrócił, zadawałyśmy mu tysiące pytań, ale nie bardzo lubi odpowiadać na pytania smutne, szczególnie, gdy sam ma zmartwienie; oznajmił więc, że nie ma nic nowego do powiedzenia nam, że Wujaszek kazał nas jeszcze ucałować i podziękować nam, żeśmy go uczynili tak szczęśliwym przez te kilka dni. Ach! to my byliśmy szczęśliwi, my powinniśmy mu dziękować. Bóg łaskaw, że nam udzielił takiego szczęścia; mówiłam też to Mamie tego samego dnia wieczorem, starając się ją pocieszyć. Zamiast płakać, powinniśmy się cieszyć, aby się nie okazać niewdzięcznymi, bo zastaliśmy w Rio Wujaszka, a

takeśmy się przecie modlili o to do Boga. Ale mówiąc to, płakałam razem z Mamą.

Na drugi dzień podniesiono kotwicę o piątej zrana, co mnie zbudziło, bo ci wszyscy ludzie, którzy stąpają miarowym ciężkim krokiem, obracając winde w około, której owija się łańcuch i powoli wyciągając go z morza robią straszny hałas. Widziałam, jak Mama i Pani wychylały się przez okno i starały się coś zobaczyć; włożyłam więc prędko szlafroczek i pobiegłam do nich. Mama mi powiedziała: — „Przyrzekł mi patrzeć na nasz odjazd z tamtej wysokości.“ — Ale napróżno natężyliśmy wzrok, nie spostrzegłyśmy nic. Mama zaczęła płakać, zostałyśmy więc przy niej aż do dnia, aby ją rozerwać, chociaż nie chciała tego. Ale *Izera* tak się zaczęła kołysać i grzęznąć, jak mówią majtkowie, że Mama i Stefcia dostały morskiej choroby, jak to już pisałam. To bardzo nieprzyjemnie, że ta morska choroba napada za każdym razem, gdy się ląd opuszcza.

Biedny Gustawiel... dziś już jest dwa miesiące, jakeśmy się z tobą rozstali.

Wtorek, 21 września.

Cisza trwała niedługo, już się skończyła i wiatr jest bardzo pomyślny. Schwytano jeszcze jednego żagłościga i mnóstwo warcabnic lata około nas. Dziś rano pan Leblond przyniósł mi jedną z nich, dano mu ją, a on mnie ją oddał. Byłam uszczęśliwiona, ale kiedy podawałam ją małym, aby ją także pocałowały. Mania, która była już na górze

z Panią i Bobusiem, zeszła czémprędzej po nas, żebyśmy zobaczyły drugą, którą schwytano; miała na szyi zawiązaną wstążeczkę. Pobieglyśmy na górę, skacząc po kilka schodów na raz; ja nawet chciałam już zostawić za sobą małe i sama pobiedz prędzej, ale na szczęście zauważyłam, że Mania wszystkie nas przepuszcza przed sobą i pomyślałam: — „Oto jest małe poświęcenie, które mogę dopełnić.“ — Wtedy wzięłam Bercię za rękę, chociaż to mnie opóźniało, ale może zanadto ją ciągnęłam, bo aż się dwa razy potknęła, a ja jej powiedziałam: — „Niezgrabna!“ — co wcale nie było uprzejmie; zresztą małeństwo śpieszyło się jak mogło. Zrobiłam jednakże pierwsze usiłowanie.

Kiedyśmy przybyły na pomost, pan de Vère pokazał mi małą karteczkę, którą znaleziono przy wstążce ptaka, były na niej słowa: — „*Anna na okręcie Kamilla*.“ — Zaczęliśmy czynić rozmaite domysły o tej Annie. Ci panowie mówili, że to jest może jaka śliczna panna, że może jej okręt jest niedaleko, bo papier nie zdawał się być zmoczonym. Ja powiedziałam, że ona musi być dobrą, kiedy wypuściła biednego ptaka i że trzeba zrobić tak samo. Pobiegłam więc po moją warcabnicę, którą Barbara bawiła Bobusia, a pan Suze chciał, żebym napisała swoje imię na kawałku papieru, napisał więc za mnie. — „*Małgosia na okręcie Izera*.“ — Potém dodał na żart: — „*Przesyła Annie przyjacielskie pozdrowienie*.“ — Śmieliśmy się wszyscy; myśląc, że Anna może to przeczyta i kiedy byliśmy jeszcze na pomoście, oznajmiono nam, że widać okręt. Na nie-
szczęście był on bardzo daleko; nie wiem czy moja

biedna warcabnica będzie tak głupią, żeby się tam znowu dać schwycić.

Środa, 22 września.

O! Pani! jakie Pani daje mi zawsze doskonałe nauki! Ale wdzięczną jestem za nie, bo to wszystko dla mego dobra i wiem, że ich bardzo potrzebuję. Otóż, wczoraj podczas lekcji katechizmu, nie domyślałam się niczego, chociaż dobrze wiedziałam, że Pani czytała mój dziennik z dni poprzednich, bom jej go sama zniosła, ale nie myślałam o tém wtedy. Mielśmy lekcję o *grzechach głównych* i Pani kazała nam je powtórzyć, a potém tłómaczyła je. (Miałam dobry stopień). Kiedy mówiła o pysze, objaśniała, że to jest zbyteczny szacunek dla siebie samych, który sprawia, że przekładamy siebie nad drugih i chcemy się nad nich wynosić i jak dla miłości Boga trzeba pokonywać tę wadę, pamiętając, że od Niego mamy wszystko i upakarzając się przed Nim, bo my sami nic nie mamy i nie jesteśmy niczém. Przeto nie powinniśmy uwielbiać samych siebie, ale owszem, odrzucać każdą myśl, któraby nam sprawiała próżne zadowolenie z nas samych.

— „Jakież są moje drogie dzieci, mówiła dalej, przedmioty, któremi szatan stara się nas kusić? — Dla jednych jest to wielkie imię, piękny majątek, stanowisko wysokie w społeczeństwie... Ale czyjaż to wola użyć im tych darów? Zkądże powód wzbijania się w dumę?

Dla innych przedmiotem takim jest nadzwyczajna zdolność, wyższy rozum, pamięć wyborna, umysł i serce obdarzone bogatemi skarbami... Ale od kogóż je otrzymali? Czyż na to mają od Boga tak szlachetne dary, aby je przeciw Niemu obrócić przez dumę, przyznając sobie zasługę, która Bogu się tylko należy?

U innych wreszcie, pycha okazuje się w próżności, która jest niepokonowaną chęcią podobania się, a karmi się dziecinnymi pochwałami, błahemi myślami. To co jest najbardziej nikomego na świecie, powaby zewnętrzne,—to się dla nich staje drogiem. Zachowują w umyśle niektóre pochlebne grzeczności, które im ktoś powie, natchniony złe zrozumianem przywiązaniem, pobożaniem, albo też grzecznością i będą czerpać niebezpieczną słodycz w zastanawianiu się nad temi miłemi wspomnieniami, które w końcu odwrócą ich duszę od rozmyślań pożytecznych i świętych myśli.

Zresztą, nie można uwierzyć, żeby kto naprawdę pokochał to, co nauczył się nienawidzić; pamiętać bowiem trzeba, że *ciało nie jest niczem, że dusza jest wszystkiem*, bo ciało musi pójść kiedyś do grobu, — kto wie czy to nie nastąpi wkrótce, — gdy tymczasem dusza stanie przed Bogiem, aby zdać z czynów rachunek i usłyszeć wyrok wiecznego życia lub śmierci wiecznej, że piękność duszy jest najważniejszą, a piękność ciała nieużyteczną, często nawet zgubną i do zbawienia przeszkadzającą; że trzeba pragnąć jedynie dóbr niebieskich... Powinniśmy pamiętać o tém wszystkiem, ale jeżeli nie będziemy czuwać pilnie nad sobą, szatan zwycięży

w nas poczucie tych prawd, bo on zawsze korzysta ze sposobności i wchodzi drzwiami, które mu zostawiamy otwarte; a gdy raz damy przystęp myślom próżnym, trudno już potem je odepchnąć...

Jednakże moje dzieci, jeżeli zdarzyło wam się kiedy nie dość prędko odrzucić pokusy tego rodzaju, nie zniechęcajcie się i zdajcie się na Boga, który może i zawsze chce pomagać wam we wszystkich niebezpieczeństwach. Powiedzcie Mu:— „Mój Boże! błagam Cię, naucz mnie poznawać nędzę duszy mojej, słabość i niedołężność ludzkiej natury, a nie będą wzbijać mnie w dumę dary zewnętrzne, z których mnie chwala, a które przecież od Ciebie mam jedynie. Daj mi siłę odrzucania wszystkich myśli próżnych i pysznych, któreby mi jeszcze przyjsć mogły i spraw, abym myślała tylko o nabyciu cnót i zasług, mogących uczynić mnie miłą w oczach Twoich, bo Tobie tylko chcę się podobać. Ach! jeżeli to prawda, że twarz moja ma jakie powaby, czyż nie powinnam się rumienić, widząc, że dusza moja tak źle godzi się z twarzą, że jestem pełną grzechów w obec Ciebie, który czytasz aż w głębi serca!“

Kiedy Pani skończyła, zbliżyłam się do niej i powiedziałam po cichutku: — „Rozumiem Panią dobrze!—Ale Pani może mnie pocałować, bo nigdy już nie będę pysznić się moją twarzą, owszem wstydzę się teraz tego, widząc, że dusza moja tak jest brzydka!“ — Pani mnie pocałowała i uśmiechając się odpowiedziała mi: — „Pracować będziemy, żeby

ją uczynić piękną.“ — Ach! byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby się to Pani udało! A ja z początku lekcyi myślałam, że Pani mówi do Mani... Potém więc zawstydziałam się bardzo, widząc, że to było zastosowane do mnie.

Piątek, 24 września.

Nie mogłam pisać wczoraj dziennika, bo morze było zbyt wzburzone. O! co za kołysanie! Byliśmy wszyscy chorzy, nie sposób było pracować; Pani jednak próbowała, ale nie można było. Pani była także bardzo cierpiąca.

Wczoraj rano wiatr zaczął się zmieniać, a przedtem był dobry; teraz zmienił się na *wiatr stojący*, co znaczy, że zamiast popychać nas z tyłu, wiał z przodu, jak gdyby nam bronił przejścia; to też pięknie przechylał się nasz okręt z tyłu na przód. Daleko wolę kołysanie okrętu, jak to przechylanie się, bo mniej jest nieprzyjemnie kołysać się w prawo i w lewo, jak przechylać się z tyłu na przód, albo z przodu w tył, jakby kto wyrywał wewnętrzności. Dziś przecie mniej to jest mocne, ale przestaliśmy się posuwać, bo wiatr zawsze nam jest przeciwny; zamiast więc rozpostrzecz wszystkie nasze żagle, rozwijamy ich jak można najmniej.

Wczoraj, gdy wychodziliśmy z naszych kabin na pokład, aby spróbować czy powietrze nie przyniesie nam ulgi, usłyszeliśmy wybuchy śmiechu i krzyki w baterji majtków będących właśnie przy śniadaniu. Bercia wymknęła się nam, aby zobaczyć co to się dzieje, ale natychmiast wróciła, wołając

z przestraszoną miną: — „Wieloryb! wieloryb wszedł przez okno!“ — Pani zaczęła się śmiać i odpowiedziała jej: — „Ależ moje dziecko, to niepodobna.“ — „Owszem, proszę Pani z pewnością wszyscy krzyczeli wieloryb!“... — „Ale czy go widziałaś?“ spytała Stefcia. — Nie, bo uciekłam.“ — Śmiejąc się wyszliśmy na pokład, majtkowie zbierali wodę rozlaną w baterji, ale nigdzie nie widzieliśmy wieloryba. Ponieważ nasz stary Mario powitał mnie, bo właśnie przechodziłam koło niego, spytałam więc: — „Co to nam Bercia opowiada o wielorybie?“ — Ach! odpowiedział, śmiejąc się z całego serca, my majtkowie nazywamy tak bałwan, który nagle uderza, nie wołając z drogi! I właśnie taki wpadł nam do misy, dodając sosu.“ — Inni majtkowie śmieli się także, a ja pobiegłam prędko za Panią, bo mi się wydawało, że z nas trochę żartują. Dla czego też oni mają zawsze nadzwyczajne pomysły? Nazywają na przykład *barankami* bałwany białe i pienne, które widać naokoło, gdy morze jest rozkołysane; Bercia biedaczka złapała się tym sposobem, bo gdy raz Jerzy mówił: — „Oto dopiero dużo dziś baranków!“ — Ona zaczęła wołać: — „Czy tam jest ziemia? Gdzież ona? gdzie? Pokaż mi baranki!“ — I płakała gdy jej tłómaczono, że ich nie ma.

Chciałabym bardzo zobaczyć zbliżka wieloryba, to musi być ciekawe... Na nieszczęście spotkalismy ich bardzo mało i prawie zawsze wtedy, gdy nie było mnie na górze. Raz tylko pan Suze pokazał nam jednego, Mani i mnie, ale widzieliśmy tylko coś wielkiego czarnego, jakby wielki grzbiet ryby i wytryski, które sprawiał oddychaniem.

Ale widywaliśmy często rekinów i raz nawet było z tego powodu wielkie zamieszanie na pomoście, dotąd nie opisałam go w dzienniku. Majtkowie rzucili z okrętu ogromne liny z wędkami, spodziewając się nałowić ryb, ale nie wiele jest dobrych do jedzenia i rzadko miewamy pasztet z tuńczyka, chociaż to doskonała rzecz. Otóż, tego dnia zamiast jakiejś dobrej ryby, schwytano na jedną z wędek ogromnego złośnika rekina, który się bronił w rozpacz, że z łakomstwa dał się schwytać. Z wielką trudnością zdołano wnieść go na pomost, używano do tego rozmaitych sposobów, aż strach brał patrzeć! Wołano:—„Dzieci na bok!“—To nas bardzo przestraszyło i uciekliśmy wszystkie, ale ja pobiegłam do pokoju Ojca, z kądem mogłam przezeńdrzwi widzieć wszystko, co się działo i zobaczyłam ogromnego rekina, który rzucał się po ziemi i uderzał ogromnym ogonem, gdyby był trafił na człowieka, byłby go niezawodnie przewrócił; to też wszyscy stali zdaleka od tak brzydkiego zwierzęcia. Ten widok także na mnie sprawił wrażenie, że nie chciałam już nań więcej patrzeć i nie śmiałam wyjść z pokoju Taty. Napróżno wołano na mnie, że już rekin zabity, to mnie wcale nie uspakajało. Ojciec dał więc znak jednemu z majtków, żeby mi pokazał zdaleka coś czerwonego, co trzymał w ręku. O! co za okropność! To było *serce* rekina; przypatrywano mu się ciekawie; bo ono jeszcze bije całe godziny. Takie mi to sprawiło obrzydzenie, że uciekłam na dół. Przyniesiono nam potem zabawną rybkę, którą znaleziono na rekinie i która żyła na jego grzbiecie, jak mi mówił majtek; powiadał tak-

że, że ta mała rybka nazywa się *trzymonaw*. To dziwne mieszkanie. Wieczorem zobaczyliśmy rekina, którego przywiązano między dwoma ostatnimi masztami. Okropność jaki długi! Miał, jak myślę, przynajmniej *14 stóp*. Kiedy mi pokazano rzędy jego zębów (bo ma ich nie wiem wiele), zdawało mi się, że mię chwyta za rękę lub nogę, jak czytałam o marynarzach, którym te okrutne zwierzęta odgryzały za jednem cięciem członki, jeżeli ci biedni ludzie wpadli w morze, albo nawet gdy się spokojnie kąpali. Co za szczęście, że się to nie przytrafiło Mariowi, albo Ojcu. Majtkowie jedli szkaradne mięso rekina, proszono nas, żebyśmy go skosztowali; jest bardzo białe, ale łykowate. Ach! nie chciałabym go skosztować za wszystkie skarby świata!

Niedziela, 26 września.

Ach! ten szkaradny czas trwa ciągle, nie mogliśmy pisać wczoraj. Chciałam się wziąć do dziennika, ale po kilku wierszach musiałam przestać. Ciągle mi było mgło i kręciło mi się w głowie, Mama leżała w łóżku. Dziś rano wstała na Mszę, której z trudnością mogła wysłuchać do końca, tak była cierpiąca. Baliśmy się wszyscy, żeby ksiądz Laurent, który Mszę odprawiał, nie miał jakiego przypadku, bo z powodu kołysania, trudno było utrzymać naczynia na ołtarzu i księży Bertranda i Verrier służący do Mszy stali po obu stronach, czuwając, żeby nic nie spadło. Jeżeli w przyszłą niedzielę morze będzie tak wzburzone, nie będzie

można odprawiać Mszy; to byłoby smutne, ale spodziewam się, że nie będzie tak źle i że już ominiemy przyładek.

Po Mszy Mania i ja czytałyśmy razem pobożne rzeczy: o pokorze. Mania wybrała ten rozdział, mówiąc:—„Trzeba zaszczeplać w sobie dalej naukę panny Valmy.“—A kiedy skończyła czytać, dodała:—„Wszystko to nie wiele stosuje się do ciebie, Małgosiu, ale bardzo jestem kontenta, że się tęp zajmuję przy tobie, aby ci dowieść, że wiem, jak mi to jest potrzebne i że pragnę się poprawić.“—„Ależ Maniu, zawołałam, czy myślisz, że Pani mówiła do ciebie na ostatniej lekcji?—Niezawodnie i to sprawiło na mnie wielkie wrażenie, chociaż panna Valmy tak była wyrozumiała, że nie zwracała się wprost do mnie.“—Ale mylisz się Maniu, zapewniam cię! Ja także z początku myślałam tak jak ty, ale potem widziałam dobrze, że się to stosowało do mnie.—O! powiedziała Mania, uśmiechając się, nikt nie jest mniej od ciebie dumny!—Owszem Maniu, zaczęłam być dumną, bo Wujaszek chwalił moją twarz, ale na szczęście przestałam nią być od czasu, gdy Pani dała nam taką naukę.—O! tęp lepiej. Zresztą zdaje mi się, że i ja jestem mniej dumną, gdybyś wiedziała, jak sobą pogardzam w miarę, gdy się lepiej poznaję; panna Valmy wiele dobrego sprawiła we mnie.—Nie dziwię się wcale! Ale Maniu, mnie możesz powiedzieć, czy jesteś także dumną z twojej twarzy?—Z mojej twarzy! odrzekła Mania, a dla czegożbym nią być miała?—Bo jesteś bardzo ładna, nawet śliczna!—Nie zdaje mi się, ale w każdym razie, cóż to znaczy? O! nie,

Małgosiu, ja wcale o tęp nie myślę, zaręczam ci, że o to nie dbam. Jestem taką, jaką mnie Bóg stworzył, czy ładna jestem, czy brzydka, o to mniejsza, abym tylko Jemu się podobała, jak mówi panna Valmy nic więcej nie pragnę.—A więc Maniu?...—Więc pytasz z czego jestem dumną? Gdy się zastanowię, widzę, że nie mam się czém pysznić, a jednak jestem dumna, bo nie lubię, kiedy kto mną rządzi, nie lubię przyznawać się do winy i cierpię, widząc, że popelnila co złego, że się w czémkolwiek omyliła. Wreszcie nie umiem wytłómaczyć sobie mojej dumy, ale czuję, że nie jestem łagodną i pokornego serca jak to nam Pan Jezus zaleca.—Ale owszem Maniu, ja znajduję, że taką jesteś, bo przecie zawsze słuchasz Mamy i Pani, robisz wszystko co ci każą, nigdy się na nic nie użalas i znosisz wszystko cokolwiek ci kto złego zrobi. Ach! ty jesteś sto razy, dwieście razy pokorniejszą odemnie. A przytęp mówisz o swoich wadach przedemną młodszą od ciebie! Wszystko to dowodzi pokory...—Cóżbyś o mnie powiedziała Małgosiu, gdybym nie słuchała tych dwóch głosów, które Bóg na to zesłał mnie, biednej sierocie, aby one uczyły mnie, oświecały? O! nie, niema w tęp zasługi, że im jestem uległa, bo zbyt jestem szczęśliwa, że je posiadam! Ale cóż się ze mną stanie, gdy ich mieć nie będę?“

Mania miała łzy w oczach, ucałowałam ją i powiedziała:—„Będziemy się modliły za ciebie moja siostró“..

Ach! mój Boże w jakim byliśmy strachu przez te wszystkie dni! Doprawdy okropnie jest być na morzu w czas podobny! Co za różnica z ziemią, gdzie się siedzi spokojnie w domu, czy na dworze jest wicher, czy deszcz, czy grzmoty! A chociaż się jest w podróży, można się zatrzymać, wejść do oberży, do chatki, gdziekolwiek. Niema się czego obawiać zatonięcia. Ale tu gdzieś pójść? co zrobić? Bóg Sam tylko może nas uratować i nikt prócz Niego nie da nam spokoju; to też modliliśmy się gorąco! Ach! myślę, że nawet doktor byłby poszedł na Mszę, gdyby można było ją odprawić. Jednakże ci panowie, na ich czele Komendant chcą nam wmówić, że to nie było nic wielkiego i że nie byliśmy narażeni na żadne niebezpieczeństwo, bo byliśmy za daleko od Przylądka i że nie trzeba było obawiać się wyrzucenia na wybrzeża, od których wiatr nas odpychał. — Ale czyż można za nic uważać morze! Pytam się, czy ono jedno nie jest bardziej przerażające od wszystkich razem lądów? Gdyby nasz okręt zatonął, czyżbyśmy nie byli zginęli? Mnie to gniewa, gdy oni mówią, że nie mieliśmy powodu bać się, bo jestem pewna, że się mylą. Zresztą ja przeciwnie myślę, że mniej jest niebezpiecznie być wyrzuconym na wybrzeże, niż utonąć na pełnym morzu; bo tam można mieć przynajmniej małą nadzieję, że ktoś przybędzie z pomocą, a przytém, chociaż na chwilę przed śmiercią widzi się ziemię. Ach! już mam dosyć tego morza i nie wiem co bym dała, żebyśmy już przybyli na miejsce!

Ale niechże sobie przypomnę dni ubiegłe, bo nie było sposobu napisać słówka, chociaż skutkiem silnego kołysania moja teczka upadła raz aż na środek pokoju, jakby mię zapraszała, żeby ją wziąć. Wzięłam ją rzeczywiście, ale odłożyłam natychmiast, raz, że byłam bardzo chora, a potem, że było zupełnie ciemno, bo pozamykano u nas okiennice. Ach! ta ciemność bardzo była przykra!

Wieczorem w Niedzielę niepogoda się zwiększyła, wiatr i deszcz nie ustawały przez całą noc. Robiono rozmaite manewra, więc nie mogliśmy spać. Zdawało mi się ciągle, że pod ciężarem tych nóg, które biegały nad naszymi głowami, zapadnie się sufit. A ta straszna piszczalka kapitana? Jeszcze mi brzmi w uszach i aż mię dreszcz przejmuje, gdy pomyślę jak straszliwie świszcze w nocy! A rozkazy oficerów, to także rzecz przerażająca! Z początku jest cicho, a potem gruby głos przemawia i zaledwie rozkaz zostanie wydany, wszystko drży pod stopami ludzi, biegnących wykonać manewra. Mania zawsze podziwia ten widok i mówi, że na okręcie kupieckim jest zupełnie inaczej. Tam jest tylko dwunastu lub piętnastu ludzi załogi i manewra wykonywane są wolno, gdy tymczasem tu, mamy naj-
mniej z 500 ludzi, licząc w to żołnierzy morskiej piechoty, którzy pomagają także, ale są niezgrabni. Chociaż nie wszyscy potrzebni są do manewrów, ale zawsze to bardzo przyjemnie, że jest tyle rąk, ile trzeba. Kiedy każą rozpinać żagle, albo je zwinąć, albo zmieniać kierunek okrętu, zaraz wzdłuż całego pomostu stają rzędy ludzi, ciągną za liny i przez cały ten czas nikt nie mówi ani słowa. Sły-

chać tylko głos oficera oddziału i tę straszną pischalkę. Ale co najpiękniejsze, to gdy tłum majtków rzuca się nagle na drabinki z lin będące u wszystkich masztów i gdy siadają na drąg żaglowy jak na konia, aby przez oczka żaglu poprzewlekać sznurki, to jest zmniejszyć wysokość żagli, tworząc przez to rodzaj fałd; w tym celu żagle mają rzędy grubych sznurów, które się nazywają pletnią i wiążą się stosownie do tego, czy trzeba wziąć jedno albo kilka oczek; jacy oni są zręczni ci majtkowie. Ale zawsze się boją, żeby nie spadli tak jak Mario. Maszty te dobrze się trzymały podczas wichrów, bo też są trwałe!

W Poniedziałek wiatr i deszcz nie ustawał, nie podobna było wyjść na pomost, a w baterji było zupełnie ciemno, bo okiennice były zamknięte i nawet na klapie zamykającej schody położono przykrycie z ceraty, ażeby deszcz nie zaciekał. Bardzośmy się wszyscy nudzili. Panowie oficerowie infanterji grali w karty w sali z oficerami marynarki i panem Leblond, ale nie wiem, jakim sposobem nie pospadali z krzeseł przy takiem ciągłem kołysaniu się okrętu. Ksiądz Verrier i Bertrand przyszli nas odwiedzić, co nam sprawiło bardzo miłą rozrywkę, ich rozmowa tak jest zajmująca! Opowiadali nam o swoich missyach, bo już odbyli dużo podróży i jestem pewna, że wiele zrobili dobrego. Teraz jadą po męczeństwo do Chin; myślałam o tém patrząc na nich i wzruszona byłam tą myślą, że jeżeli taką śmiercią umrą, to ja rozmawiałam z świętymi. Święci zatem są tacy sami jak wszyscy inni ludzie, bo ci księża tacy są naturalni. Nie zajmują

wcale drugich sobą, owszem prawie ich nie słysząc. Nikt niema z nimi kłopotu, wszyscy ich kochają, a majtkowie mówią, że gdyby wszyscy księża byli do tych podobni, byłoby to błogosławieństwem Bożem. Ale ja zaręczałam Jerzemu, że wszyscy księża są bardzo dobrzy, że znamy we Francji kilku, których bardzo kochamy, że może to powiedzieć majtkom. Podczas tej wizyty Mama pytała księdza Verrier, czy zechce nas wypowiadać w razie gdyby czas się pogorszył; odpowiedział, że on i jego towarzysze są na nasze rozkazy. Ale ponieważ Ojciec żartował sobie z naszego strachu, czekaliśmy jeszcze ze spowiedzią; byłoby to nas jednak bardzo uspokoiło, szczególnie gdyby księża chcieli byli dać i mnie także rozgrzeszenie.

We Wtorek wiatr jeszcze się powiększył... O! co za burza! Biedna Izera nie wiedziała jak się obrócić, kręciła się na wszystkie strony, jak gdyby miała konwulsje i jęczała w sposób żalony, bo wszystkie deski trzeszczały i pischęły. Ojciec przyszedł nam powiedzieć, żebyśmy nawet nie myślały iść na górę; na śniadanie, bo nie mogłybyśmy utrzymać się na nogach, ani w baterji, ani na drabinie, że Komendant przysłał nam śniadanie do naszych pokoi. Gdyby nie taki strach byłoby mnie to bardzo bawiło siedzieć przy śniadaniu na ziemi jak majtkowie, mieć talerze na kolanach i jeść w tak zabawny sposób! Karafka zataczała się w jedną stronę, szklanki i butelka w drugą; co chwila sos przelewał się przez brzegi półmiska i talerzy, wtedy krzyczałyśmy i śmiałyśmy się! Ale to wcale nie bawiło Mamy; była bardzo blada i zgadywałam, że

się modliła. Pani była poważna, a biedny Bobuś cierpiący; wyrzynają mu się kły, co go bardzo osłabia, a przy tej niepogodzie jeszcze mu gorzej.

Cały dzień modliłyśmy się w tej ciasnej dziurze, Mama nie chciała nawet pozwolić, żebyśmy wytknęły nos do baterii, bo gdy Bercia wybiegła na chwilę, upadła i zrobiła sobie ogromnego guza na czole. Jaki to był długi dzień! Myślałam już, że nie skończy się nigdy, a jednak bałyśmy się nocy. Mama nie kładła się, Pani także; Ojciec często przychodził donosić im o stanie pogody. Z naszej kabiny słyszałyśmy wszystko, aż wreszcie wstałyśmy ja i Mania, która starała się nie zbudzić Joasi wstając, bo ten mały tchórz przyszedł spać z siostrą; zabrała mi nawet moje miejsce, bo ja chciałam spać z Manią. Wszystko co stało na naszych stolikach spadało na ziemię, rzeczy wiszące także spadały, nasze kufry toczyły się po ziemi, prawdziwe zniszczenie. Pani położyła Stefkę i Bercię na swoim łóżku, bo niebezpiecznie było zostawiać je na górze, przy takim kołysaniu; biedaczki budziły się kilka razy, pytając z płaczem co ten hałas ma znaczyć. Ojciec siedział jakiś czas z nami, bo go o to poprosiłam, ale gniewał się, widząc, żeśmy tak przestraszone i powtarzał: — „Ach! kobiety! kobiety!“

Wreszcie nad ranem burza cokolwiek ucichła. Dzień wczorajszy był lepszy, ale morze jest jeszcze bardzo wzburzone, chociaż wiatr ustał, i bardzo czarne, wcale nie podobne do owego dawnego błękitnego morza; nie lubię takiego morza, przestrasza mnie ono.

Jesteśmy teraz bardzo daleko od Przylądka, ten wielki wiatr oddalił nas od niego, dla tego to mówiono nam, że nie było niebezpieczeństwa. Ale wczoraj wieczorem Mania i ja wyszedłszy na chwilę z Panią na pomost i usiadłszy na ławce strażniczej, słyszałyśmy jak Komendant mówił do Ojca: — „Aby tylko wiatr nie zaczął trzęść nami na nowo! Nie poszłoby nam łatwo, nie prawdaż?“ — Ojciec odpowiedział, spoglądając z boku na mnie: — „Ach! kto chce zawsze może uniknąć złego.“ — Ale my z Manią zadrżałyśmy i nie powtórzyłyśmy tego Mamie. To nas uspokaja tylko, że od dziś rana niebo jest daleko jaśniejsze. Mogłam nie źle napisać ten długi dziennik, to dobry znak! Ach! mam nadzieję, że Bóg się nad nami zlituje!... Zresztą zapewniano nas, że obecna pora sprzyja przebyciu Przylądka.

Wtorek, 5 października.

Biedny mój dzienniku, o mało na zawsze nie przestałam cię już pisać... Jeszcze chwila, a byliśmy zginęli wszyscy; tym razem wszyscy to przyznają. A ja czy byłabym teraz w niebie. Ach! często zapytywałam o to mego sumienia, bo nie było sposobu nie myśleć o tem. Nawet Cesia Dufon, która zawsze mówi, że jest za małą, aby myśleć o śmierci, musiałaby jednak zająć się nią tak jak my. Ale jesteśmy jeszcze przy życiu i mamy nadzieję, że kiedy Bóg nas uratował, nie chce widzieć, abyśmy pomarli tak wcześnie.

Ale muszę zebrać odwagę i opowiedzieć wszystko, chociaż drzę jeszcze na samą myśl tych okropnych chwil. O! ja powiadam, że kto się nie znajdował w podobnym położeniu, nie wie co to strach! Jeżeli kiedy będę na lądzie, nie będę się bała niczego, tylko sobie przypomnę morze; wszystkie inne niebezpieczeństwa muszą się małemi wydawać w porównaniu! Ale zacznę już opowiadać.

Z czwartku na piątek noc była dobra, jak mi się zdaje, chociaż nie przypominam jej sobie dobrze, bo spałam cały czas. To tylko wiem że w piątek kołysanie było tak silne, że nie mogłam pisać dziennika. Niebo znowu było zupełnie czarne i widać było jak straszne chmury biegły jedna za drugą z przerażającą szybkością. Wiatr dał straszliwy! popychał nas naprzód; ale przez pół tylko cieszyliśmy się z tego, bo to mogło stać się niebezpiecznym.

Płynęliśmy po dziewięć węzłów na godzinę i mówiono, że gdyby ta szybkość trwała ciągle za *dwa tygodnie* przybylibyśmy do Burbon. Jednak wszyscy byli poważni, bo mówiono: — „Zbyt tak jest dobrze, to się źle skończy.“ — Tak płynęliśmy aż do połowy soboty; byłoby przesłiznie, gdyby morze nie było tak brzydkie, ale było tak wzburzone, że gdyby nie wiatr, który nas pchał bardzo szybko i zarazem utrzymywał w równowadze, byliśmy okropnie podrzucani. Mimo to z wielką trudnością można było utrzymać się na nogach. Mama nie wychodziła ze swego pokoju i co chwila wołała Ojca, żeby ją uspokoił i żeby go mogła zobaczyć. Pani chciała wieczorem spróbować wyjść na pokład

z Manią i ze mną, bo mi bardzo było duszno, a Mania miała mocne bicie serca i myślałyśmy, że jej lepiej będzie na powietrzu. Ale kiedy weszłyśmy na górę nie podobna było się ruszyć; usiadłyśmy na stosie lin i patrzyłyśmy w milczeniu na to wielkie czarne morze, które się piętrzyło przed nami.

Wreszcie ja powiedziałam: — „Proszę Pani, mnie się zdaje, że to źle... Może zginiemy?“ — Pani spojrzała w niebo z uśmiechem i rzekła: — „Oko Boskie czuwa nad nami... — Tak, proszę Pani, ja o tym wiem, jeżeli Bóg zechce, ocali nas, ale jeżeli nie zechce?... — Gdyby nie chciał, drogie dziecię, to trzeba przyjąć wolę Jego, nieprawdaż?... — Tak, Pani, ale to mnie przeraża, bo tyle popełniłam grzechów. Gdybym przynajmniej była otrzymała rozgrzeszenie! I gdyby nie było tak strasznie tonąć w morzu! — To musi być śmierć bardzo szybka, rzekła Mania, ale przyznaję, że tak jak ty wolałabym umierać na ziemi. Jednakże niech się dzieje wola Boska. — O! Maniu, ty prostobys poszła połączyć się z twoją matką; ale pomyśl, ja musiałabym patrzeć na śmierć mojej Mamy, na twoją; na śmierć Pani i Ojca i siostr i Bobusia!... Gdybym tylko sama zginąć miała, zdaje mi się, żebym to łatwiej zniosła. — Nie, moje dziecię odrzekła Pani, podług mnie lepiej jest zginąć razem; biedna wasza Matka nie opłakiwałaby swoich dzieci... Ale nie mówmy o tym i ufajmy dobroci Bożej. Starajmy się tylko być zawsze gotowemi do stawienia się przed Nim. Prawdziwa odwaga nie zależy na tym, żeby nie przypuszczać niebezpieczeństwa, albo go zaprzeczać, ale żeby umieć je przyjąć spokojnie. Cokol-

wiek bądź się stanie postępujemy po chrześcijańsku, to jest polegajmy z ufnością na Bogu, a niczego nie będziemy się obawiali.—Ale Pani łatwo to mówić, bo Pani nie ma na sumieniu żadnego ciężaru, ale ja, Pani wie dobrze, że muszę się niepokoić. Niech Pani pozwoli, żebym się wypowiadała, a będę spokojniejszą.—Pojmuję twoje chęci, drogie dziecię i pomówię o tém z Mamą. Ale nie mów tak o mnie jak mówiłaś, bo nikt nie miałby powodu obawiać się więcej odemnie sprawiedliwości Bożej, gdybym nie wierzyła w jego miłosierdzie... Owszem, módl się za mnie moja Małgosiu, bardzo tego potrzebuję...”

Nakazano manewr i musiałyśmy ustąpić z naszego miejsca, zeszyłyśmy więc na dół, bo już było za zimno. Bałwany wznosiły się coraz wyżej. Kiedy byłyśmy w baterii usłyszałam, że jeden majtek mówił do drugiego:—„No, stary, coś gorąco się robi! Za godzinę *Izera* tańczyć będzie ładnego galopa.“—Zbladłam i byłabym krzyknęła ze strachu, gdyby nie Adelcia, która niedaleko stojąc słyszała to także i zaczęła krzyczeć z całej siły; nie chciałam więc robić tak jak ona, a potem przypomniałam sobie, co nam Pani mówiła i pomyślałam: — „Niech Bóg czyni jak zechce.“—Pani Bontems zaczęła majtków łajać za to, że przestraszyli jej córkę, mówiąc, że na tym okręcie nie mają względów ani dla niej, ani dla jej córki. Kiedy wchodziłam do pokoju, usłyszałam jak majtek odpowiadał:—„Ach, córka pani to dopiero miękkiego serca. Oto tamta pannenka nie większa od paniniej, ani drgnęła, chociaż słyszała mnie także, widziałem to po jej twarzy

i dalibóg żałowałam, że się wymówił. Ale ta mała ma w żyłach krew marynarską.“—Bardzo byłam kontenta, że nie krzyknęłam i powiedziałam sobie:—„Otóż Małgosiu, teraz czas być odważną, bo wstyd byłoby dla Ojca, gdybyś nią nie była.“—A potem dodałam:—„Ale szczególnie dla miłości Boga!“—Mówiłam o tém z Manią, ona odpowiedziała:—„Bez wątpienia, zresztą czyż nie prawda Małgosiu, że gdyby Bóg zażądał od nas życia, potrafiłybyśmy oddać Mu je bez szemrania.—O! tak Maniu, jak się wypowiadam, ale boję się, bym nie drżała, gdy ta chwila nadejdzie na prawdę.—Bądź spokojna, Bóg nam dopomoże wtedy; ale jak mówi panna Valmy, *postępujemy po chrześcijańsku!* O! Małgosiu, co za szczęście złożyć dowód, że Bóg potrafi nawet dzieciom wlać siłę i odwagę. To byłby dowód, jak religia jest prawdziwą, ona bowiem tylko może w chwili śmierci natchnąć ufnością i radością.—Masz słusność Maniu, o! jak lubię cię słuchać, gdy tak mówisz, to mi dodaje ochoty do czynienia dobrze. Ale czy myślisz o tém, że biedna Mama i Pani i wszystkie dzieci i Ojciec zginęliby także i że nasz biedny Gustaw i twój Alberik zostaliby sami na świecie?—Ach! tak myślę o tém i żałowałabym bardzo mego drogiego Alberika, ale modliłybyśmy się za nich w niebie... Ale nie sprowadzimy przecież wypadku, chociaż się doń przygotowywać będziemy; Bóg nas może ocali. Tylko bądźmy gotowe, ja mam tak jak i ty zamiar wypowiadać się.“

Mama powiedziała Pani, że znajduje naszą prośbę bardzo słuszną; że sama tego także pragnie i że

poprosi księdza Verrier, aby przyszedł. Pani przygotowała nas, ale nie mogę powtórzyć jej słów. A były one tak wzruszające! Ale to byłoby za długo. Ksiądz Verrier przyszedł i udał się do pokoju Mamy, gdy my tymczasem czekałyśmy w pokoju Pani, póki na nas kolej nie przyjdzie. Mama wyspowiadała się pierwsza i z wielką radością otrzymała rozgrzeszenie. Potem Pani, potem Mania, Joasia a wreszcie ja, ale ksiądz Verrier powiedział mi, że Mama prosiła, aby mi nie dawał rozgrzeszenia, chyba wtedy, gdyby było koniecznie potrzebnem; gdyż w przeciwnym razie wołałaby, żebym je otrzymała dopiero w wigilię pierwszej Komunii, jak się to zwykle robi. Więc też spowiedź nie zupełnie mię uspokoiła, chociaż to dobrze, że wyznałam wszystkie moje grzechy i powiedziałam księdzu: — „Przynajmniej niech mi ojciec przyrzeknie, że nie zapomni o mnie, gdyby się niebezpieczeństwo zwiększyło.“ — Odpowiedział mi, że mogę na niego liczyć. Stefka spowiadała się także, a ponieważ Bercia mówiła: — „Więc ja tylko jedna, jak widzę, mam zostać z grzechami, i Bóg gniewać się na mnie będzie.“ — Ksiądz Verrier kazał więc jej odmówić klęczący akt skruchy i dał jej piękną naukę stosowną dla niej, zachęcając ją, aby na przyszłość była grzeczniejszą i posłuszniesz. Przyrzekła to z miną tak poważną i wzruszoną, tak była wtedy śliczna, żeśmy ją potem wszyscy ucałowali. Bobuś jeden nie miał nic do powiedzenia. Koteczek! on ze wszystkich najszczęśliwszy, gdybyśmy zginęli zostałby zaraz aniołkiem i tak już jest nim. Na szczę-

ście nie dostał on tego szczęścia! Barbara spowiadała się także.

Nie mogłyśmy się zdecydować iść spać, bo czułyśmy, że tam na górze było coraz gorzej. Chociaż oficerowie przychodząc udzielać nam wiadomości, mieli twarze wesołe, widać jednak było, że nie mówili prawdy. Ale czynili to w dobrym zamiarze i mam nadzieję, że Bóg im przebaczy to małe kłamstwo. Ojciec mówił nam także inaczej jak było, powiedziałam mu, że źle robi, bo nie wie, ile Bóg nam może dodać odwagi. Odpowiedział mi, pół śmiejąc się, a pół seryo: — „Może cię wystawię na próbę moje dziecko.“ — I dotrzymał słowa, ale opowiem to później. Mama prosiła Pani, żeby poszła, jeżeli będzie mogła aż do pokoju sióstr zobaczyć, jak im jest, czy czego nie potrzebują i pozwoliła mi iść z Panią. Zastałyśmy siostry odmawiające różaniec; były spokojne i uśmiechnęły się do nas łagodnie, odpowiadając: — „Widziałyśmy straszniejsze rzeczy... — O! moja dobra siostro, rzekłam do siostry Aleksy, to mię trochę uspokaja, to dowodzi, że można uniknąć śmierci. Gdyby jednak Bóg chciał, żeby już naprawdę przyszedł nasz koniec? — Moje towarzyszki i ja jesteśmy gotowe, moje dziecię i byłby to piękny dzień dla nas ten, w którym otrzymały byśmy szczęście, na jakie pracujemy... A ty, czy nie byłabyś szczęśliwa, idąc do nieba? — O! tak, ale musi Siostra przyrzec, że modlić się będzie za mnie! — Bez wątpienia, drogie dziecię, modliłyśmy się w tej chwili za wszystkich towarzyszy podróży.“

Poszłyśmy potem odwiedzić panią Bontems; krzyczała i rozpaczała, pokoik jej był zalany wodą,

która wpływała przez otwór armaty. Pani pomogła jęj pozatykać wszystkie dziury; a ponieważ pani Bontems nie przestawała powtarzać, że zginiemy, Pani przemówiła do nięj kilka słów łagodnych, chcąc ją uspokoić i zachęcić do polecenia się Bogu. Ale pani Bontems odpowiedziała cierpko: — „Nie widzę wcale do czego służą te modlitwy; wszystkie wasze pacierze i litanie nie zmieniają w niczem pogody, i nie przeszkodzą nieszczęśliwej matce zginąć tu z czworgiem dzieci. — Ale jeżeli rzeczywiście mamy zginąć, dodała Pani z dobrocią, to właśnie pora do modlitwy, aby przygotować się do tak ważnej chwili; jakąż inną pociechę, jaki inny mamy ratunek. — Adalcia co rano i co wieczór mówi pacierz; niech Pani wierzy, że inaczej nie poszlaby spać. — Bardzo dobrze, moje dziecko, rzekła Pani zwracając się do Adelci, pacierze te odmawiane pobożnie sprowadzą na ciebie i na twoją mamę błogosławieństwo Nieba. Proś wraz z nami Boga, aby bronił nas wszystkich. Odeszłyśmy, ale ja doprawdy byłam rozgniewana na panią Bontems, że takim tonem odpowiadała Pani i gdyby nie moje dobre postanowienia, byłabym jęj to okazała.

Środa, 6 października.

Tak byłam wczoraj zmęczona, że nie mogłam dokończyć opisu burzy. Dziś więc znowu zasiadam do pisania, a mam dużo czasu wolnego, bo Pani musi zostać przy Mamie, żeby jęj pomódz w doglądaniu Bobusia. Biedny pieścioszek, nabawił nas

wczoraj strachu; właśnie gdy pani kończyła z nami katechizm, dostał nagle jakby konwulsyi, siedząc na kolanach u Mamy. Na szczęście trwało to chwilę tylko i doktor nas uspokoił, ale dziś jeszcze Bobus jest blady, a Mama, którą najmniejsza słabość przeraża, boi się, żeby mu się to jeszcze nie wróciło. Chociaż jęj powtarzam, że nie będzie nic złego, bo doktor jest dzisiaj kontent, Mama mi nie chce wierzyć. Ale ja mam nadzieję, témbardziej, że doktor zapewnia, iż dzieci nieraz miewają konwulsye podczas ząbkowania. Wracam więc do strasznej naszej burzy.

W ową nieszczęśliwą sobotę wieczorem o dziewiątej, Mama kazała nam iść spać, ale ona i Pani nie rozebrały się. Wiatr huczał tak mocno, że pytałyśmy się, czy to czasem nie grzmot i zdaje mi się, że jedno i drugie było razem. Morze uderzało w nasze okiennice, jakby miało zamiar wybić je; wszędzie słyhać było wycie wiatru; ach co za okropność! Nagle, właśnie gdy pytałam Mani, czy śpi, a ona odpowiadała: — „Nie,“ — straszny łoskot rozległ się na pokładzie, a sufit nasz zadrżał, jak gdyby miał się zapaść. Myślałyśmy wszystkie, że piorun uderzył i Mama padła na kolana, wołając: — „Panie, miej litość nad nami!...“ — Wyskakuję z łóżka, a że miałam na sobie szlafroczek, biegnę więc do Mamy, mówiąc: — „Już po wszystkich, już po wszystkich!“ — — Pani bardzo blada, ale spokojna, wyjmuję z łóżka Bercię, która się obudziła i płakała. Mania stara się uspokoić Joasię, każe jęj się modlić. Stefka tylko spała jak aniołek. Barbara tak

zbladła z przestachu, że przestała być czarną, a jej skóra zdawała się być popielatą.

Wreszcie zaczynamy poznawać, że to jeszcze nie ostatnia chwila, bo wszystko było tak samo, jak pierwój, wiatr, morze, hałas. Wtedy Mama zawołała: — „Edward, chcę widzieć Edwarda!” — Pani uchyla drzwi i widząc pana Patu, który szedł na górę na służbę, mówi mu, żeby poprosił Ojca. Zdało nam się, że bardzo długo czekałyśmy na niego, a jednakże Ojciec nie kładł się; był na pokładzie, żeby na wszystko uważać; może też komendant prosił go o radę. Przyszedł wreszcie, a Mama spytała natychmiast: — „Edwardzie, co się stało? — Nic nowego, — A ten piorun? — Jaki piorun? — Jakto nie słyszałeś? — Ach! zawołał Ojciec śmiejąc się, wiem już, słyszałyście łoskot tej windy, która z wielkiego masztu spadła na pokład. O mało co nie uderzyła mnie w głowę. — Edwardzie, zawołała Mama, ja nie chcę, żebyś szedł na górę. Zaklinam cię, zostań z nami! — Moja duszo, odrzekł Ojciec, prędzej utrzymałabyś rybę bez wody przy życiu, aniżeli potrafiłabyś zatrzymać w pokoju marynarza, który słyszy burzę huczącą. — A więc, odpowiedziała Mama ze łzami w oczach, morze jest dla was wszystkiem? Pozwolilibyście prędzej zdala od was zginąć żonie, dzieciom, niż poświęcić im jedną chwilę tego widoku. — Szalona jesteś, moja duszo, odrzekł Ojciec, całując Mamę; gdybym sądził, że mamy zginąć, przyszedłbym niezawodnie umrzeć obok ciebie, albo raczej próbowałbym cię ocalić, ale nie jesteśmy jeszcze w tej ostateczności i moje miejsce jest na pokładzie, gdzie pracuję dla ogólnego ocale-

nia. — Przynajmniej przyrzeknij mi, że przyjdiesz do nas, jeżeli niebezpieczeństwo się zwiększy. — Przyrzekam.“

O! po odejściu Ojca byliśmy jeszcze smutniejsi! I pomyśleć, że winda mogła go zabić, a on nie chciał zostać na dole! Mama była tak przygnębiona, że nie wiedziałyśmy, co robić, by ją pocieszyć. Wtedy Pani poradziła nam, żebyśmy tak jak Siostry odmówiły Koronkę, oddając się pod opiekę Maryi Gwiazdy morza... To nam przyniosło ulgę, tylko bardzo nam było niewygodnie; siedziałyśmy na ziemi na kołdrach, zmuszone trzymać się poręczy łóżek, żeby się nie potaczać. Wreszcie wzięłyśmy sobie materace, bo ja nie chciałam wracać do łóżka, ani Stefka także, która bardzo się przestraszyła, gdy obudzona zobaczyła taki nieład; ale potem wkrótce zasnęła znowu.

O drugiej z rana jeszcześmy nie spały; jednak oczy mi się już zaczynały zamykać, gdy nagle słyszę, jak Mama krzyknęła przeraźliwie: — „Edwardzie! Edwardzie! Moje dzieci! Mój Gustaw!”

Zrywamy się w okropnym przestachu i widzimy, że okręt wcale się już nie kołysze, tylko przechyla się ciągle coraz więcej w jedną stronę... Zawołałam: — „Ach! mój Boże, cóż to teraz będzie? — Niezawodnie, wszystko już skończone! mówiła Joasia płacząc. — Nie budźmy małych, zaleca nam Pani. — Masz słuszość, odpowiada Mama; niech przynajmniej nie doznają przestachu kochaneczki! Chodź tu, Małgosiu moja, przytul się do Matki!” — I zarazem nachyliła się Mama nad Bobusiem, którego całowała. — „Panie, Panie, powtarzała, miej

litość nad temi ukochanemi, nademną, nad moim Edwardem, nad nami wszystkiemi! O! Karolino, moja Karolino, co za chwila!... Co się stanie z moim Gustawem?...—Odwagi, moja droga, mówiła jej Pani, klęcząc przy niej i przyciągając do siebie Manię i Joasię. Jeszcze może nie wszystko stracone. Módlmy się, o! módlmy się z ufnością.

Ja tak byłam przerażona, że nie mówić nie mogłam, ścisnęło mnie coś w środku, bo starałam się nie krzyczeć i całowałam ręce Mamy, nie śmiejąc patrzeć na nią, bo byłabym szlochala. Tylko kiedy zobaczyłam, jak Mania ukłękła z drugiej strony Pani i wyciągnęła do mnie rękę po za Mamą, gdy tymczasem przyciskała do siebie Joasię, gdy powiedziała do mnie: — „Pamiętaj o mnie droga siostrzeczko!...“ — Znalazłam odwagę odpowiedzieć jej: — O! tak, siostrzeczko, ale się boję, bo ksiądz Verrier zapomniał widać o mojem rozgrzeszeniu...“ — Zaczęłyśmy się modlić; spodziewałyśmy się, że Ojciec przyjdzie; powiadają, że to trwało niedługo, ale nam czas ten wydawał się wiekiem. Okręt był ciągle przechylony.... O! jak to było strasznie, przerażająco nie słyszeć trzeszczenia i pozostawać tak spokojnie bez kołysania! Było tylko słycać rozmaite rozkazy i manewra. Wreszcie w chwili, w której Pani kończyła modlitwę Ś-go Bernarda: — „*Pomnij o Najświętsza Panno Maryo, że nie słyszano nigdy* i t. d., okręt zatrzeszczał, zapiszczał, poruszył się i podnosił powoli, aż znowu rozpoczęło się kołysanie...

Ach! jak nam się ono miłym wydało, nam, które go zwykle tak niecierpimy. Uderzyło mnie to, że widać Najświętsza Panna modliła się za nas i z ca-

łego serca dziękowałyśmy Bogu również jak i Najświętszej Pannie. Wreszcie Ojciec przyszedł, rzuciłam mu się na szyję i zaczęłam płakać. Powiedział: — „Znowu łzy!“ — Ale nie miał miny, że się za nie gniewa. Mama wyciągnęła do niego rękę, pytając: — „I cóż?“ — A cóż, odpowiedział, chwila była krytyczna, ale krótsza skutkiem manewru fałszywego, to jest źle zrozumianego, okręt był przez chwilę w niebezpieczeństwie, ale dość było przernięcia jednej liny, aby nas ocalić! — Ale Ojcie, wiatr jest ciągle tak silny! — Musisz się przyzwyczaić do niego, bo może potrwać jeszcze dwadzieścia cztery godzin.“ — Ojciec zabawił z nami czas jakiś i kazał nam opowiadać jak to wszystko było; potem znów poszedł na górę. Miał twarz poważną; widziałyśmy, że wszystko jeszcze nie skończone.

Ale muszę zjeść podwieczorek, już dłużej pisać nie mogę.

Dziś jeszcze o trzeciej.

Zjadłam podwieczorek, a potem poszłam na pokład z Mamą, Panią i Barbarą, która trzymała na ręku Bobusia. Małeństwo ma się coraz lepiej. Morze jest piękne i niebo bardzo niebieskie. Jak to miło mieć znowu pogodę! Teraz na przykład nie płyniemy prędko, bo ledwie upływamy cztery do pięciu węzłów, ale wolę to, jak płynąć zbyt szybko. Mania pisze obok mnie do Alberyka, a małe zostały na pokładzie z Mamą i z Panią. Mnie pilno by-

ło wszystko opisać, dla tego też wołałam zejść na dół, témbardziej że i Mania zesła.

Kiedy Ojciec odszedł na górę, usłyszałyśmy w baterji głosy i krzyki; była to pani Bontems ze swemi dziećmi. Użała się i narzekała, mówiąc, że nie może dłużej zostać zamknięta w swojej dziurze, w której nędznie zginie zaduszona, że nikt się nie troszczy o nią, ani o jej biedne dzieci. Budziła wszystkich hałasem jaki robiła. Mama jej żalowała i mówiła:—„Biedna kobieta! Rzeczywiście, bardzo to smutno być samą. Karolino, gdybyśmy też poprosili ją do siebie?—Myszę, że byłaby temu bardzo rada, odpowiedziała Pani.“—Wtedy Mania powiedziała mi po cichu:—„Małgosiu, poprośmy, żeby nas po to posłano, to będzie grzeczność, która nas zupełnie pogodzi z panią Bontems, wiesz, że zawsze żali się na mnie i na ciebie, pomimo wszystkich naszych usiłowań. Jeżeli mamy stanąć przed Bogiem, powinniśmy mieć spokojne sumienie względem bliźniego, nieprawdaż?—O! Maniu z pewnością zrobię to bardzo chętnie, chociaż nie bardzo będzie przyjemnie widzieć ich wszystkich tutaj i nie móż umrzeć spokojnie w rodzinném kółku.“

Ale Mama nie chciała pozwolić, abyśmy wyszły z pokoju. Żalowała nawet, że powiedziała to do Pani, która zaraz poszła do baterji pomówić z panią Bontems. Ta przystała z radością, mówiąc jednak, że wie, jak nam zawadzać będzie i że tylko z miłosierdzia zaprosiłyśmy ją do siebie. Mówiła tak głośno, że wszystko słyszałam przy drzwiach, z kąda patrzyłam, czy Pani nie stanie się co złego. Wreszcie cała rodzina weszła do nas, a ja powiedzia-

łam Mani:—„Widzę, że trzeba być uprzejmą.“—Ona mi odpowiedziała:—„Bądźmy *chrześcijankami*, bo panna Valmy uczy nas, że ten wyraz wszystko znaczy.“—Powiedziałam więc Adelci:—„Adelciu, jeżeli jesteś zmęczona, połóż się na moim materacu będzie ci bardzo dobrze!“—Ona odparła:—„Ale ty się także położysz?—O! nie, rzekłam, ja wolę nie kłaść się i zostać z Manią.“—Uśmiechnęła się z miną, która znaczyła: *zawsze Mania!* Zapytałam Pani po cichu:—„Czy w tém jest co złego, że ja wolę umrzeć obok Mani, jak obok Adelci?“—Pani odpowiedziała:—„Nie, z pewnością, ale dla miłości Boga staraj się przewyciężyć niechęć.“—Wtedy rzekłam Adelci:—„Zresztą zostaw mi kawałek wolnego miejsca, jeżeli mi się spać zechce, to się tam położę.“

Mania i ja położyłyśmy na drugim materacu małego Julka i Laurę; dałyśmy także jeden materac pani Bontems, ale wołała usiąść. Mania zaczęła kołysać małą Zuzię, aby ją uspić. Pani Bontems nie przestawała mówić, opowiadała o swoim strachu, nareszcie powiedziała nam, że słyszała pana Patu, mówiącego do jednego z oficerów, który go pytał o stan pogody:—„Od godziny położenie znacznie się pogorszyło, jesteśmy pchani ku lądowi, ale wiatr zmienić się może.“—Jużśmy były zapomniały troszkę naszego niepokoju, zajmując się panią Bontems, gdy znowu na te słowa strach nas ogarnął, Mama aż chora z tego była. Gdybyśmy były same, byłybyśmy się modliły dopóty, ażby modlitwa sprawiła Mamie ulgę, ale trudno było to zrobić przy nich wszystkich. Wreszcie Mania, wi-

dząc, jak ta rozmowa męczyła Mamę, znalazła sposób wzięcia na siebie całego ciężaru, wołając panią Bontems do małej Zuzi, która się budziła i rozmawiając z nią dla zatrzymania jej. Adelcia zasnęła, a kiedy ja, chcąc się położyć, bo już dłużej wytrzymać nie mogłam i oczy kleiły mi się mimowolnie, poszłam ucałować Mamę, słyszałam, jak po cichu mówiła do Pani: — „Karolino, jestem zmordowana!“... A więc i Mama nie znajduje, żeby ta rodzina była przyjemną! Ale ma tym więcej zasługi, bo mimo to przyjmuje ich i jest zawsze dobrą i uprzejmą dla nich wszystkich; chcę ją naśladować o ile tylko potrafię.

Kiedy Ojciec znowu do nas przyszedł, był bardzo zdziwiony widząc towarzystwo tak powiększonem; ale poznał w tém dobroć Mamy i powiedział jej, że zawsze jest ta sama. Doniósł nam, że zaczyna już świtać, myślałam zatem, że jesteśmy już ocaleni, i że gdy ziemia będzie widzialną, podpłyniemy ku niej z pewnością, zasnęłam więc spokojnie.

Kiedy się obudziłam, był już dzień i wszyscy powstawali, rodzina Bontems odeszła. Mania opowiadała mi, że sama pani była bardzo uprzejma i powiedziała, mówiąc o mnie: — „Córeczka pani jest bardzo żywa, ale ma prawdziwie dobre serce!“ — Wygrałyśmy więc sprawę, to szczęście! Ubrałam się przy straszném kołysaniu, gorszém zdaje mi się, niż kiedykolwiek, ale ponieważ było widno, nie bałam się tak bardzo. Ojciec przyszedł znowu do nas i powiedział: — „No, córeczko, obiecałem wypróbować twoją odwagę, teraz pora po temu; chcesz

pójść ze mną na pokład i zobaczyć morze? — Nie, Edwardzie, zawołała Mama, ja tego nie chcę; co za nierozsądek! Nie bierz z sobą dziecka, zaklinam cię. — Ale ja powiedziałam Mamie cichutko: — „Byłoby to źle odmawiać tego Ojcu, moja Mamuniu, a kiedy z nim będę, nie ma niebezpieczeństwa. Proszę cię, pozwól mi iść!“ — „Chcę, żeby Małgosia nauczyła się przewyciezać strach, odpowiedział Ojciec; jest to oddać jej prawdziwą przysługę; zresztą nie będzie narażoną na nic złego. — To weź ją, ale błagam cię jak o łaskę, nie puszczaj ani na chwilę jej ręki i odprowadź ją jak można najprędzej. — Maniu, zawołałam, czy chcesz pójść także? Nie, nie, odrzekła Mama, twój Ojciec nie mógłby czuwać nad dwiema, tak dobrze jak nad jedną, ona pójdzie drugim razem!“

Ucałowałam Mamę i wyszłam z Ojcem, który mnie trzymał, pomagając mi iść. Powiedział do mnie wchodząc na drabinę: — „Zobaczysz co to jest morze, gdy się rozniewa; ale nie będzie strachu ani krzyków, nie prawdaż? Pokaż, żeś córką marynarza.“ — Nie odpowiedziałam nic, bo gdy Ojciec mówił tak do mnie, kołysanie tak przechyliło okręt, że na górze nad schodami spostrzegłam morze, aż zbłądłam tak było czarne! Ścisnęłam mocniej rękę Ojca i z trudnością wchodziłam na górę, chwytając się stopni, żeby nie spaść w tył. Wszedłszy na pokład stanęliśmy przy dunecie; Ojciec trzymał mnie obie rękami, żeby mi się nie wymknęła przy silniejszym kołysaniu.

O! nigdy w życiu nie zapomnę widoku jaki tam ujrzałam! Był on straszny, ale przytém tak piękny,

choć ta piękność strachem przejmuje tak jest dzika. Nie mogę dobrze wyrazić tego, a jednak zdaje mi się, że jeszcze patrzę na to wszystko. Co chwila okręt nasz nurzał się, to na prawo, to na lewo, to z przodu lub w tył. A przytém bałwany wysokie, jak góry odbijały się o parapet i obryzgiwały nas pianą. Cały pokład był zalany; woda płynęła do baterii; wiatr wyl ze straszną zaciętością, jakby się gniewał, że nie dajemy mu rozdzierać żagli, a gdyby rozpięto najmniejszy, byłby go zerwał natychmiast, bo i tak podarł ich nie wiem wiele. Okręt nasz ze swemi gołemi masztami wydawał się pusty i osamotniony. Patrząc na wysokie ich wierzchołki, które chyliły się i prawie nurzały w morzu za każdym przechyleniem okrętu dostawałam zawrotu głowy. Obawiano się, żeby maszt przedni nie złamał się i przedsięwzięto środki ostrożności. Znajdowałam, że oficerowie i cała załoga byli poważni. Niebo było tak ciemne, tak przerażające, że chcąc w nie spojrzeć bez strachu, trzeba było mieć na pamięci, że mimo to Bóg w niém przebywa, — ponieważ zawsze jest wszędzie. — Ale myślałam o Nim i mówiłam sobie: — „Widzi nas podczas tej burzy i nie opuści... A Matka Najświętsza modli się za nami.“... Myśli te dodały mi odwagi.

Komendant rzekł do Ojca przechodząc koło nas: — „jak możesz Guyonie przedstawiać dziecku taki obraz? — Hartuje ją“, — odpowiedział Ojciec.

W tej samej chwili spostrzegłam straszny bałwan, czarny od dołu, a zupełnie biały od piany w górze, który pędził na nas prędzej od innych i wznosił się wysoko ponad parapet. Zamknęłam

oczy przytulając się do Ojca, potem czułam, że wszystko na mnie spada, bo mi się zrobiło zimno, i że doznaję tak mocnego wstrząśnienia, jakby mnie kto wyrwał z rąk Ojca. Wtedy krzyknęłam, ale raz tylko, a potem nie wiem co się stało, ale nie już nie słyszałam i gdy znowu otworzyłam oczy, znalazłam się w pokoju Ojca na jego łóżku, a dobry mój Tata miał łzę w oku; o! jeszcze ją widzę! i pochylał się nademną z flaszeczką w rękę. Spytałam go: więc ja nie utonęłam? — Ale nie mała wariatko, uspokój się i przyjdź prędko do siebie, żeby cię mógł odprowadzić do Matki, która musi być niespokojna. — Ale ja jestem zupełnie zdrowa, z pewnością, cóż to się stało Tato? — Stało się to, że bałwan spadł ci na głowę, ale nikt z tego nie choruje. — Ja też nie jestem chorą. Czy Tata będzie mnie uważał za tchórza, dla tego, że krzyknęłam? — Nie, Małgosiu, jesteś owszem odważną dziewczynką, bo starasz się przezwyciężyć; jestem kontent z ciebie.

Tak byłam dumną z tego co mi Ojciec powiedział, że nie byłabym tego wypadku za nic w świecie oddała. Otrząsnęłam się jak mogłam, żeby nie pokazać się Mamie zmoczoną; miałam mokre włosy, ale można było myśleć, że to od deszczu. Kiedy przechodziliśmy przez pokład, wracając do siebie, majtkowie którzy się znajdowali bliżej wołali: — „Brawo, córko dowódcy Guyona!“ — To mnie bardzo ucieszyło i patrzyłam na nich z uśmiechem, aby im podziękować. Mama przelekła się, zobaczywszy mnie tak zmoczoną, ale ponieważ Pani zaraz mnie wzięła do siebie, żeby mi zmienić sukien-

kę, nie potrzebowałam opowiadać całego zdarzenia, które byłoby bardzo wzruszyło Mamę. Mani tylko i Pani opowiedziałam, co mi się zdarzyło, bo Mama możeby powiedziała, że Ojciec postąpił nierozsądnie.

Nie słuchaliśmy w tę niedzielę mszy, chociaż tak jej potrzebowaliśmy, ale to było niepodobieństwem. Ksiądz Verrier przyszedł do nas, a ja mu powiedziałam, jak mi żal było, że nie dostałam rozgrzeszenia. Odpowiedział, że prawie całą noc był na pokładzie i że gdyby niebezpieczeństwo było mu się wydało nieuchronnem, nie byłby o mnie zapomniął; że zresztą, jeżeli Mama chce, dla większej pewności da mi rozgrzeszenie, którego słusznie pragnę. Podziękowałam bardzo, ale ponieważ sądziłam, że niebezpieczeństwo minęło, sama wolałam czekać do pierwszej komunii. Nie śmiał nalegać, ale potem dowiedzieliśmy się, że właśnie w tej chwili tak wielkie groziło nam niebezpieczeństwo, że Komendant wezwał cały sztab i Ojca, chcąc się z nimi naradzić o krokach, które przedsięwziąć należy. Dla tego to ksiądz Verrier zrobił mi tę propozycję tak ostrożnie, bo nie chciał nas przestraszać.

Wreszcie Bóg zlitował się nad nami. Koło dwunastej, w chwili gdy położenie było tak złém, że Ojciec chciał, żebyśmy poszły na górę do niego pod pozorem zmiany powietrza, ale rzeczywiście, żebyśmy łatwiej mogły być uratowane, gdyby się stało jakie nieszczęście, wiatr, jakby cudem obrócił się w inną stronę, — (wszyscy w tém cudowność uznali, — i oddalać nas zaczął od ziemi równie szybko, jak nas wprzód do niej przybliżał. Wtedy ra-

dość ogólna powstała na okręcie! Szukano się wzajemnie, aby sobie udzielić dobrej wiadomości; biegano, krzyczano... Ach! jaki to miły był nieład! Komendant, który aż do tej chwili nie opuszczał na chwilę pokładu i sam kierował manewrami, zszedł pierwszy powiedzieć Ojcu szczęśliwą wiadomość i uspokoić Mamę. Kiedy obydwaj poszli znowu na górę, padliśmy na kolana i podziękowaliśmy Bogu z radością i wdzięcznością, która się nie da opisać. W niedzielę po południu i przez cały poniedziałek, wiatr był jeszcze bardzo silny i morze bardzo wzburzone, ale nie było niebezpieczeństwa, bośmy się ciągle oddalali od brzegów; nie rozpinano tylko żagli, żeby zbyt nie zboczyć z drogi. Wreszcie w nocy z poniedziałku na wtorek, wiatr zmienił się znowu, ale łagodnie i zaczynamy płynąć powoli. Mówią, że dziś wieczór albo jutro rano, przebędziemy ten nieszczęśliwy przylądek, i spodziewają się, że nie będzie już burzy, bo opłaciliśmy jej sowity haracz. Jestem bardzo kontenta, że się tak stało. Nasza biedna *Izera* wiele doznała uszkodzeń, ale nie są one tak ważne, żebyśmy się dla nich mieli zatrzymywać u przylądka, który takbyśmy już radzi zostawić po za sobą. Dopiero w Burbon naprawiać będą te szkody. Nie mam już siły; cały dzień przepędziłam przy tym nieskończonym dzienniku!...

Czwartek 7 października.

Ach! doprawdy, nie wiem jak opisać dzisiejszy poranek, bo miałam znowu sprzeczkę. Sprzeczać się

w dzień moich urodzin, kiedy skończyłam lat jedenaście... to okropnie. A jeszcze wtedy, gdy Bóg był tak dobry, że nas uchronił od śmierci wśród tylu niebezpieczeństw. We wtorek mówiła Pani przy katechizmie, że On chce zapewne, żebyśmy się coraz więcej doskonalili, nim przed Nim staniemy. Ale też tym razem, wina nie na mnie jednej ciąży, i tём mi przykrzój, że tak mię dręczy sumienie, bo przecież Adela zaczęła i daleko była gorsza odemnie.

Moja dobra Pani, proszę, przeczytaj Pani ten dziennik, a potem daj mi Pani dobrą radę! Trzeba przecież, żeby mi Pani powiedziała, że nie jestem tak zła, jak się tego obawiam i żeby mię Pani pocieszyła, gdy jestem zbyt nieszczęśliwą; to też opowiem Pani, jak się to stało. Wie Pani, że Adela wtrąca się we wszystko co do niej nie należy; otóż, gdy ja bawiłam się ze Stefką, z Bercią i Joasią, Adela chciała, żeby one nie słuchały mnie, tylko żeby robiły to co jej się podoba; a kiedy jej powiedziałam, że jest nieznośna, co prawda, ona tak zaczęła krzyczeć, że aż jej matka nadeszła i zaczęła mi mówić bardzo nieprzyjemne rzeczy. To mię wprowadziło w jeszcze większą złość, i kiedy pani Bontems odeszła, rozgniewałam się bardzo na Adelię, mówiąc, że ją wszyscy znajdują źle wychowaną, że jej nie lubią, że nie będę nigdy bawić się z nią, a nawet mówić do niej; bo chociaż chcę słuchać rad Pani, ale to na próżno, nigdy nie dojdę do tego, żebym ją polubiła i t. d.

Ale nie potrzebuję Pani powtarzać słów moich, bo Pani może dobrze zgaduje, co ja mówiłam i my-

ślałam. Jednakże muszę Panią ostrzedz, że Adelia bardzo źle mówiła o Mamie, o Pani i o Mani; nie powtórzę jej słów, bo Pani nie lubi plotek, ale może Pani zrozumieć, dla czego gniewałam się na tę dziewczynę; bo przecież moja Mama była tak dobra dla jej matki, a ja jej samą ustąpiłam mego łóżka! Zaręczam Pani, że ona nie ma dobrego serca, kiedy może zapomnieć o dobrém, jakiego doznała od nas. Przytém, ma ona jeszcze wiele innych wad, o których będę tu mówiła, bo inaczej Pani mi mówić nie pozwala, a mnie to korci. Zresztą, będzie to z mojem dobrem, bo jestem pewna, że Pani nauczy mię być wyrozumiałą na wszystko; a jednak założyłabym się, że Pani by nie chciała widzieć mnie podobną Adelci!

Adela zawsze stroi miny i szuka sposobności zwrócenia na siebie uwagi śmiechem, albo bardzo głośnem mówieniem, co Pani musi znajdować bardzo złém, bo mię Pani uczyła, że to nieładnie, i że trzeba tylko myśleć o podobaniu się Bogu i Rodzicom. Prócz tego, jest ciekawa i gadatliwa, nie można przy niej nic powiedzieć, żeby zaraz nie robiła tysiące pytań i zawsze znajduje jakiś powód, żeby przyjść do naszego pokoju, zajrzeć w każdy kąt i wszystkiego dotknąć. Gdyby jeszcze nie robiła plotek! Ale ona zaraz idzie opowiedzieć wszystko matce i przesadza w opowiadaniu, albo zmienia rzecz tak, że kłamie; jak tu kiedyś było, gdy utrzymywała, że Pani i Mama mówiły o niej przed komendantem coś złego; i siostra Aleksa z trudnością uspokoiła panią Bontems, która chciała zrobić Pani scenę na pokładzie. Adela skłamała więc, a Pani

uczyła mnie zawsze, że kłamstwo jest rzeczą szkodliwą; więc ja nie mogę mieć szacunku dla dziewczynki, która kłamie.

Wiem jednak dobrze, że Adelcia ma pewne zalety, pomaga swojej matce w gospodarstwie, ubiera Lorcę i Julka i dogląda Zuzi; ale to jeszcze bardziej przewraca ją w głowie, bo jest z tego dumna, że matka ciągle ją chwali przed wszystkimi, dodając nawet, że ja nie byłabym w stanie zrobić tego, jak gdybym ja nie była kiedyś sama jedna ubrała Bercia! A potem cóż to trudnego sprzątnąć taki mały jak ich pokój? To w minutę zrobić można.

Zresztą, kochana Pani nie skończyłabym, gdybym chciała wyliczać wszystkie wady Adelci, bo zapewniam Panią, że ma ich bardzo wiele, a ja dla tego o nich mówię, żeby Pani widziała, że niepodobieństwem jest dla mnie nie klócić się z nią, a nade wszystko kochać ją; to jest ja chcę ją kochać, bo ona jest moim bliźnim, i prędzej zrobiłabym jej coś dobrego, niż coś złego, bo Bóg tak każe, ale nie mogę czuć dla niej przyjaźni, ani szukać jej towarzystwa, ani się z nią bawić. Zresztą, widzi Pani powiedziałam jej to, a muszę przecież dotrzymać słowa. Dla tego też piszę do Pani, aby Panią błagać o pozwolenie nie mówienia wcale do niej i unikania jej, bo przez to uniknę kłótni, której Pani nie lubi, ani Mania, ani też moje sumienie. Tylko ponieważ wstydziłabym się za nadto, gdyby mi Pani ustnie odpowiadała na to wszystko, proszę i błagam, aby Pani zechciała być tak dobrą i *napisała mi odpowiedź w moim dzienniku*. Tym sposobem miałabym zawsze przy sobie rady Pani i Pani pozwolenie, je-

żeli mi je Pani da, ale boję się, że nie. Może Pani nawet powie, że bardzo źle postępuję, na dziewczynkę, która ma *lat jedenaście*... A więc niech kochana Pani wytłómaczy mi, jak mam zrobić.

Przeżyliśmy wczoraj wieczór Przylądek i wszystkim nam lżej na sercu, że się to już wreszcie skończyło. Ach! co to za Przylądek! Nigdy nie zapomnę burz, któreśmy przeżyli. Bobuś jest ciągle cierpiący, Mama znajduje, że zmizerniał i trapi się tym. Pieszczotka kochana, śmieje się tylko wtedy gdy jest na pokładzie z Mariem, który jest dumny jak król, kiedy trzyma na rękach swego małego admirała. Stefcia była także niezdrowa od czasu ostatniej burzy, bardzo ją ona przeraziła. Dziś rano leżała podczas śniadania. Ja owszem wstałam bardzo rano, aby wcześniej jak zwykle pójść ucałować Mamę, Ojca i Panią z powodu mych urodzin. Jaka ja już teraz duża, ja, co myślałam, że bym była duża, gdy skończyłam lat dziesięć!... Ach! przypominam sobie dobrze ten dzień! Byłam jeszcze wtedy we Francji, a teraz jesteśmy tak daleko od niej. A na przyszły rok będziemy jeszcze dalej, bo aż w Pondiszery. Przypominam sobie, że w kilka dni po moich urodzinach dowiedzieliśmy się o nominacji Ojca z której byłam tak kontenta. Ale dziś jestem smutna, myśląc o Gustawie i żałuję, że go tu z nami nie ma, żebym i jego mogła ucałować. Biedny Gustaw! właśnie pierwszego dnia burzy 28 września skończył *lat trzynaście*. Musiało mu być bardzo smutno samemu, ale byłby jeszcze smutniejszy, gdyby wiedział o naszym położeniu. Mama mi dała 5 franków, Ojciec także, Stefka i Bercia nie mogły

mi dać podarunków, bo na okręcie nic kupić nie można. Mania mi powiedziała, że szczerze modliła się za mnie, a moja dobra Pani pieściła mnie bardzo, zalecając mi, żebym stawiała się lepszą, o czém zapomniałam przez tę szkaradną Adelcię i przez jej sprzeciwiania się. Pani dała mi dzień wolny, nie mogła rozmawiać ze mną tyle co chciała, bo doglądała Stefci, ale może zechce pomówić zemną na piśmie jak przeczyta mój dziennik. Oby tylko nie znalazła, żem bardzo zła!

Czas jest ciągle piękny; niebo i morze mają pyszny kolor niebieski, nie możemy się im napatrzeć. Wcale nie jest już zimno, ale bardzo wolno płyniemy.

Tego samego dnia 11-a wieczór.

Odpowiedź Małgorzatce.

Wiesz, dziecię moje, że od czasu jak mogłaś wreszcie z łatwością i sumiennie zacząć pisać dziennik przestałam się nim zajmować, zostawiając cię własnym siłom i nie czytając nawet twojej pracy inaczej jak wtedy, gdy mi ją sama przyniesiesz. I dziś nie odstąpiłabym od tego zwyczaju, ale biorąc pióro aby nakreślić słów kilka obok twoich, czuję, że konieczność mnie zmusza, abym w najwłaściwszy sposób wyryła w umyśle twoim słowa poważne, surowe może, których jednak słusność zrozumiesz, bo z góry już odgadujesz co ci powiem.

Smutno mi bardzo kochane dziecię, że po tylu pobożnych naukach, po tylu łaskach, których ci udzieliła dobroć Boska, nie wiesz jeszcze co to jest *miłość bliźniego*, miłość Boga, a bliźniego dla Boga. Czyli raczej, że odpychasz tę miłość, bo nie grzeszysz przez niewiedzę, ale przez brak dobrej woli i wspaniałomyślności. Nie dla tego żebyś nie rozumiała jak powinniśmy przez miłość dla Boga kochać bliźniego, ale że znajdujesz to bardzo trudnem... Ale Małgosiu, gdyby to było łatwem, gdzieżby był dowód miłości dla Boga? Czyż śmiałabyś Mu powiedzieć:—„Mój Boże wiele zrobiłam dla Ciebie, kochając moją rodzinę, kochając Manię, albo dobrą siostrę Alekse, albo wszystkich tych do których czuję pociąg i sympatyę! Wypełniam prawo Twoje, wprowadzam w czyn zasady, zachowuję przykazania, okazując się przywiązaną i serdeczną dla osób, które kocham, chociaż chowam w sercu gorycz i wstręt ku tym które mi się nie podobają, albo na które użalać się mam powód i nie chcę ich więcej widywać, nie chcę mieć z nimi jakichkolwiek stosunków.

Czyż Bóg powiedział:—„Kochaj *niektórych bliźnich swoich* jak siebie samego?“—Czy też:—„Kochaj *bliźniego twego* jak siebie samego?“—Jakiż więc masz powód moje dziecię do wyłączania Adelci od ogólnego prawidła?—Błędy jej może, które mi w tak złém przedstawiasz świetle?—Ależ Bóg Boską Swoją nauką objął występnych nawet. A czyż Pan nasz Jezus Chrystus przestał kochać grzeszników, kiedy umarł dla nich i z wysokości krzyża modlił się jeszcze za wszystkich uniewinniając nawet katów swo-

ich! Bez wątpienia trzeba nienawidzić zło, ale nigdy tych którzy je popełniają, bo oni potrzebują miłości i litości tém większej, że są na drodze zguby.

Zresztą Małgosiu kimże ty jesteś, żebyś śmiała pierwsza rzucić na bliźniego kamieniem? Jaktó! ty która tyle razy obraziłaś Boga, chociaż odebrałaś od Niego tyle dowodów miłosierdzia i czułości, ty siostrze twojej przed Bogiem odmawiasz wyrozumienia i miłości, której tak bardzo potrzebujesz dla siebie!... Podnosisz błędy innych, liczysz je, zapominając, że Bóg tak samo postąpi z tobą jak ty z bliźnimi twoimi postępujesz. Ach! gdyby w tej chwili Bóg zrobił rachunek win twoich, powiedz mi moje dziecię, co by się stało z tobą?

A jednakże trzeba usłyszeć kiedyś wyrok; trzeba będzie zobaczyć winy nowe, winy dzisiejsze zapisane, jeżeli żalem zmasane nie będą... Bo jesteś bardzo winną; zamiast pokonywać zło uczucia, oddajesz im się z zimną krwią, dobrowolnie, nie przez zapomnienie lub nierozwagę. *Napisalaś grzech twój...* I wszystkie wyrazy w których zawarłaś oskarżenie Adelci powstają przeciwko tobie pierwój niżeli przeciw niej. Zapewne nieprzeczę temu, że Adelcia ma wady, bo one widoczne i niemniej nagany godne, choć w innym są rodzaju jak twoje. Ale ona ma wymówkę, której ty nie masz; ona nie odbiera takiego wychowania i takich nauk jakie tobie są udzielane... To też nie chcę się rozpisywać nad jej błędami, tak drobiazgowo odmalowanymi przez ciebie; wolę lepiej zauważyć, że pomimo tych wad dziecko to ma w gruncie dobre przymioty, któreby się prędko rozwinęły, gdyby miała wyższe światło i pomoc

duchowną. Oddana jest sercem matce, braciszce i siostrzyczkom; jest czynna, usługna i dla nich uprzedzająca; poświęca nawet niekiedy dla ich wygod i dla gospodarstwa upodobania i przyzwyczajenia swego wieku, jest bardzo rozsądna, a jeżeli się tém trochę pyszni, powinniśmy żałować jej, że nie umie przewyciężyć uczucia, które jest zło, a którego inni doznają z więcej błachych powodów...

Zresztą cobądź o niej mówisz, ma ona dobre serce, a jeżeli jej słowa nie zawsze to okazują, dowodzą tego jej czyny, a to więcej warto; czy ona kiedy miała do ciebie urazę za twoje niechrześcijańskie postępowanie? Poproś ją o jaką przysługę nawet natychmiast po sprzeczce, w której wymieniliście wyrazy najbardziej obrażające, a zobaczysz zaraz jak szczęśliwą będzie oddając ci ją. Podaj jej rękę, a zabawa rozpocznie się na nowo jak gdybyś jej nie była powiedziała nic nieprzyjemnego. Małgosiu, czy dziecko które żywi w sercu swoim niechęć i rodzaj nienawiści względem bliźniego tak samo postępuje? dziecko, które śmie czynić postanowienie unikania i odpychania od siebie siostry w Chrystusie?

Mówisz, że chcesz jednak kochać Adelcię jak bliźniego i czynić jej dobrze? Cóż ty rozumiesz przez miłość bliźniego? Co możesz dobrego uczynić Adelci zrywając z nią wszelkie stosunki? Jak pogodzić te dwa postanowienia tak odrębne: *wykonywać miłosierdzie i samęj sobie odebrać wszelką do tego sposobność?* Zresztą czyż będziesz miała rzeczywistą miłość w sercu, jeżeli dobrowolnie nadasz sobie

wszelkie pozory nienawiści. Moje dziecię, gdy chcemy wmówić w siebie, że można pełnić miłosierdzie oddalając się od bliźniego z oziębłością, odrazą, albo niechęcią rozumiemy wtedy niedorzecznie a zarazem kłamliwie. Czy byłabyś przekonana o przywiązaniu naszym do ciebie, gdybyśmy nigdy do ciebie nie mówili i poprzestawali na kochaniu cię zdaleka, nie dając ci żadnych tego dowodów? Czy serce twoje byłoby zadowolone tym rodzajem kochania? A więc Bóg nakazuje nam czynić drugim to, cobyśmy chcieli, żeby nam czyniono, a tém samém kochać ich jakbyśmy sami chcieli, żeby nas kochano.

Ale po co słów tyle? Jedno wystarczy, to, które nakazuje kochać bliźniego *dla miłości Boga*. Małgosiu, wiem, że kochasz Boga, to jest chcesz Go kochać... bo miłość twoja jest jeszcze bardzo słaba i niedoskonała. Kochaj więc braci twoich, dzieci tego Boga, twego Ojca i Dobroczyńcy, Tego, Którego masz przyjąć w pięknym dniu pierwszej Komunii... Ofiary jakie spełnisz dla miłości bliźniego Pan przyjmie tak jakbyś je Jemu Samemu uczyniła. Policzy usiłowania twoje i nagrodzi je wspa-
niale! Ach! gdybyś nie miała żadnego do pokonania wstrętu, żadnej do stoczenia z sobą walki, nie miałabyś cnoty moje dziecię; a miłość bliźniego jest enotą...

Podaję ci te uwagi, kochane moje dziecko i proszę Pana, aby je zaszczerpił w sercu twojem, niech w niem wydadzą owoce.

Pozwolenie o które mię prosiłaś, pozostawiam do twego uznania, ocenisz je podług nowych wra-

żeń jakich doznasz i postanowień jakie osądzisz się obowiązana uczynić. Nie możesz na seryo myśleć, że jesteś związana względem Adelci, grzeszném przyrzeczeniem jakie jej zrobiłaś, czyż obietnice twe względem Boga nie są dawniejsze i świętsze? A ponieważ popełniłaś błąd przyrzekając coś złego, maszże popełniać jeszcze większy pozostając w złém pomimo wyrzutów sumienia?

Ale powtarzam, daję ci wolność wyboru. Zastanów się nad postępowaniem twojem, przebiegnij myślą dobrodziejstwa, jakimi Bóg cię obsypał w tym nowym roku, który dla ciebie upłynął, przypomnij sobie Jego niezliczone łaski, wszechmocną opiekę, jaką teraz właśnie nam okazał, tę opiekę, którą Opatrzność Jego rozciąga nad tobą, w której cię widzę tak spokojnie śpiącą nad przepaścią i powiedz, czy Ten Który cię stworzył, odkupił, zachował, może wymagać od ciebie za wiele dowodów miłości?

O! Małgosiu, dziecię moje kochane, ty, co jesteś przedmiotem najstalszych, najtkliwszych mych uczuć, najgorętszych modlitw moich, czyż staniesz się dla mnie przedmiotem bóleści, gdybym nie widziała zapalającego się w tobie ognia tej miłości, *bez której wszystko inne jest niczém?*

Piątek, 8 października.

Moja dobra, moja kochana Pani, jak ja dziękuję, że Pani napisała dla mnie to wszystko i że mi Pani robiła takie wyrzuty!... Ach! płakałam bardzo i jesz-

cze płacze, czytając słowa Pani, bo one są surowe, ale zasłużone. A przytém są tak wzruszające! Pani wie jakie one wrażenie zrobiły na mnie i co przyrzekłam kiedy ze łkaniem rzuciłam się w Pani objęcia, mówiąc:—„Nie, Małgosia już nie będzie zasmucać Pani! Nie będzie już zła... Chce ona posiadać miłość bliźniego!“—A Pani mi jeszcze mówiła takie słiczne rzeczy, że nigdy ich nie zapomnę i tak serdeczną Pani była dla mnie. Ach! doprawdy Pani jest zbyt dobrą, bo Pani powinna znieawidzić szkaradne takie jak ja dziecko, a Pani mnie kocha. Bo téż Pani ma w sercu miłość bliźniego!... Ach! jakbym ja chciała być podobną do Pani!

Wstydzę się teraz bardzo, że miałam myśl prośzenia Pani o to szkaradne pozwolenie; zły duch natchnął mnie nią widać, ale trzeba było ją odepchnąć. Gdyby nie kochana Pani, nie tylko myślałabym o tak złych rzeczach, ale jeszcze robiłabym je. Jak Pani postąpiła wspaniałomyślnie, że mi napisała odpowiedź, wtedy gdy spałam i że się za mnie modliła, ażebym zrozumiała wszystko co mi Pani mówiła! To téż ja zrozumiałam dobrze i postanowiłam kochać Adelcię, mówić do niej, bawić się z nią, a nawet być bardzo dla niej uprzejmą dla miłości Boga. Byłam niepokieszona dziś rano, kiedy skończyłam czytać odpowiedź Pani; takie sobie robiłam wyrzuty, że sama Pani zaledwie mogła mnie uspokoić, powtarzając mi, że będę mogła naprawić swoje winy bardziej chrześcijańskim postępowaniem. Podała mi sposób, aby moje dobre postanowienia nie upadły znowu tym razem; to jest, żeby przy każdej sposobności zrobienia czegoś dla

Adelci powiedzieć Bogu:—„Dla Ciebie to czynię mój Boże“... To téż jeżeli Adelcia nie podziękuje mi, albo mi powie coś niegrzecznego, albo mi się sprzeciwiać będzie, nic to nie szkodzi, ja się nie rozgniewam, bo czynię to dla Boga i powiem sobie:—„Bóg jest zadowolony ze mnie, tego mi właśnie potrzeba“...—Zresztą będzie to wielkie szczęście, że dla Niego cokolwiek przecierpię, bo mu przez to okażę moją miłość i przyjmę wszystko niemile jako karę za moje grzechy.

Ponieważ nie mogę nic ukryć przed Manią, która mię pytała dla czego jestem tak smutna, dałam jej wszystko do przeczytania: moją szkaradną prośbę i piękną odpowiedź Pani. Wielkim to jednak wstydem było dla mnie! Ale Mania powiedziała, że mi bardzo dziękuje; bo również jak ja skorzysta z nauk Pani; to mię trochę uspokoiło. Po śniadaniu widziałyśmy na pokładzie Adelcię; Mania i ja poszłyśmy rozmawiać z nią. Była bardzo grzeczna, bo kiedy ją zapewniałam, że bardzo żałuję zrobionej jej wczoraj przykrości i tego co powiedziałam, że się z nią już bawić nie chcę, ona odparła, że już tego nie pamięta i prosiła mnie, żebym zagrała z nią w warcaby. Natychmiast przystałam na to.

Dziś rano miałam za mój wyciąg *wybornie*. Bo téż to, cośmy miały opisywać, było tak zajmujące. Wyswobodzenie Jerozolimy przez Krzyżowców, których Mania i ja tak kochamy pomimo ich błędów i nieświadomości. Kiedy myślę o Godfrydzie do Bouillon i o Tankredzie, jestem dla nich przejęta uwielbieniem. Tacy byli odważni, a tacy pobożni. O! jakąż radość czuć musieli wszyscy chrześcijańscy

rycerze, kiedy mogli ukłknąć u grobu Świętego, który odebrali niewiernym. Na nieszczęście biedna Jerozolima teraz nie należy do nas, to smutno...

Historia wieków średnich podoba mi się bardzo, znajdowałam ją z początku zawiklaną, bo wszystkie te dzikie ludy, które jak strumienie spadły na państwo Rzymskie, bałamuciły mnie swojemi dziwaczniemi imionami: Westgotowie, Ostrogoci, Alanie, Swewy, Wandalowie i t. d., czy ja wiem! Są jeszcze inne których sobie w tej chwili nie przypominam. Ale za to pamiętam o moich pradziadach Frankach, którzy osiedli wreszcie w Galii i wyglądali jak dzieci prawdziwi. Na szczęście są oni teraz narodem najwięcej ucywilizowanym.

Jakie to dziwne te napady barbarzyńców. Można by powiedzieć, że to potop ludzi, który zalał wielkie państwo Rzymskie, aby je ukarać za zbrodnie, a szczególnie za bałwochwalstwo i za wszystkie okrucieństwa wyrządzone chrześcijanom. A gdy to mnóstwo narodów całą przeszło Europę, poczęły obierać sobie miejsca, osiadły w nich spokojnie i dały początek nowym ludom, które miejsce dawnych zajęły. Ach! Bóg wszystkiem dobrze kieruje! Rozdaje ziemie komu chce i jak chce, jak Pani mówi, a Opatrzność Jego rozporządza wszystkiem. Obiecał rozszerzyć chrześcijaństwo po całej ziemi i tak się stało.

Ale ponieważ Bóg nie chciał, aby świat pograżył się w ciemności, chociaż dla ukarania ludu ucywilizowanego a złego, użył nieumiejętnych i prostaków, pozwolił więc, aby kościół przechował wszystkie znane już wiadomości i oddał je potem ludziom.

Pani ma więc słuszość, mówiąc, że kościół jest jakby arką Noego i że uratował od zatonięcia wszystko co było dobrem!

Jak skończymy historię średnich wieków, będziemy się uczyły historii wszystkich narodów nowoczesnych po szczególe; a najprzód historii naszej pięknej Francji, która obchodzi nas więcej niż dzieje wszystkich innych krajów.

Ach! jak to zabawnie uczyć się! Ale trzeba, żeby nas to czyniło dobrymi, a ja jestem jeszcze tak zła.

Środa, 13 października.

Mój Boże! mój Boże! miej litość nad nami! Boże jest bardzo, bardzo słaby i widzę, że wszyscy są o niego niespokojni. Ach! co za dni przeżyliśmy od czasu jak ostatni raz pisałam mój dziennik. Jakżeśmy się przestraszyły Mania i ja, gdy w sobotę usłyszałyśmy, że Mama okropnie krzyknęła wróćwszy do siebie. Kiedyśmy pobiegły zobaczyć, co się stało, zastałyśmy pieszczoszkę bladego z przewróconemi oczami, sztywnego! Ach! serce mi się kraje, gdy go widzę w tym stanie. Od wczoraj dopiero jest lepiej. Przez trzy dni był prawie ciągle w tych okropnych konwulsjach, co chwila lękamy się ich powrotu. Cóżby mogło zapobiedz im? Co mi najboleśniej, to że nie mogę zrobić nic dla ulżenia kochanemu braciszкови memu. Jak więc Mama musi cierpieć widząc, że nie poradzić nie może.

Doktor próbował już wszystkiego, ale widać nie ma sposobu powstrzymania napadu konwulsyi; jesteśmy więc zmuszone patrzeć jak Bobuś wije się w męczarniach. Ach! to okropne! Za każdym razem chcą mnie z pokoju oddalić, ale byłoby mi jeszcze przykrożej. Jednak to niepodobna, żeby się ta choroba nie miała dobrze skończyć, Bóg miłosierny nie chciałby nas doświadczać do tego stopnia, bo rozumiem, trzeba dorosła osoba cierpiała, taka która popełniła grzechy, trzeba zatém, żeby za nie odpokutowała; ale taki aniołek jak Bobuś.... Ach! gdybym ja mogła być chorą w jego miejscu! Toby mi wyszło na dobre, nie użalałabym się, owszem powiedziałabym, że Bóg słusznie postępuje, karząc mnie. Ale nie mogę się z tém pogodzić, że choruje Bobuś, którego tak kocham i który jest naszą pieśczętką i największą naszą radością. A jednak nie chcę szemrać przeciw Bogu, bo wszystko, co On czyni, jest zawsze z naszym dobrem; jeżeli zsyła na nas smutek i chorobę Bobusia, to może dla tego, że chce doświadczyć naszej wiary i miłości; tak mówiła Pani dziś rano. To też tak Boga proszę żeby się nad nami zlitował, szczególnie nad Mamą, że spodziewam się iż mnie wysłuchać zechce. Gdyby ten stan potrwał jeszcze czas jakiś, Mama nie wytrzymałaby takiej boleści. Dzień i noc płacze i gdyby nie Pani, która stara się podtrzymać jej odwagę i która jej pomaga w doglądaniu Bobusia, zachorowałaby także z pewnością. Ojciec jest smutny i niepokojny, co na mnie robi wrażenie, bo jeżeli i on się boi, to widać, że źle jest wielkie! Doktor stara się nas uspokoić, ale przypominam sobie, że jak

dziadek Mani był już umierający, doktor utrzymywał, że jest lepiej; to też nie mogę wierzyć naszemu doktorowi.

Ach! mój Boże, tak się smuciłam, gdy Mania miała zmartwienie, czyż ja także mam je mieć teraz? Przypominając sobie, co Pani mówiła, boję się, bo dla mnie nie byłoby dosyć mojego cierpienia, Mama by przecie ucierpiała najwięcej, a ja nie mogę przyjmować nieszczęść zesłanych dla Mamy.

Mój Boże, błagam Cię, wróć zdrowie memu bratczkowi; zanadto go kochamy, abys nam miał go zabierać. O! Panno Najświętsza! módl się za nami! Bobuś zdaje się być troszkę lepiej od chwili, gdyśmy wczoraj polecili go wszyscy Tobie; miej go nadal w Swojej opiece, a zobaczysz jak będę dobrą przez wdzięczność dla Boga i dla Ciebie.

Czwartek, 14 października.

Bobuś który dzień przepędził spokojnie, miał jeszcze wczoraj wieczorem okropny atak; kiedy konwulsye ustały pozostał zimny, bez ruchu i wszyscy baliśmy się, żeby już nie... Ach nie mogę wymówić tego wyrazu!

Sam doktor nie mógł ukryć swego niepokoju, a Mama zemdliała. Mieliśmy więc podwójny prze-

strach; Siostra Aleksa przybiegła, bo ona i drugie Siostry są tak dobre, że pomagają Pani, która nie podolałaby wszystkiemu; chociaż Mania, Barbara i ja zajmujemy się bezustannie podawaniem wszystkiego, czego doktor potrzebuje, bielizny, lekarstw i t. p., albo przygotowywaniem ziółek. To mnie tylko pociesza, że pomagam Pani przy Bobusiu, to też gdy widzi, że płaczę, żąda odemnie filiżanki albo czego innego, albo mówi: — „Zmów modlitewkę za dziecko.“ — Wtedy padam na kolana gdzie w kącie i wołam z płaczem: — „Mój Boże! mój Boże! zostaw nam Bobusia! nie bierz go na aniołka! miej litość nad biedną moją Mamą!“ — I powstając, jestem silniejsza, czuję się trochę pocieszoną i idę pocałować Bobusia. Biedny pieszczonek! taki zmieniony, że czasem zdaje mi się, że inne dziecko widzę; ma twarz taką jak u dorosłej osoby i ciągle jęczy. — Kiedy otworzy swoje śliczne oczy, zdaje się, że patrzy na nas nie poznając nikogo nawet Mamy i to nam najprzykrzejsze ze wszystkiego. Mama ciągle mu mówi: — „Patrz na mnie mój aniołku! uśmiechnij się do Mamy.“ — Ach słysząc to, wszyscy płaczą!

Przed chwilą przyszedł Mario, dowiedzieć się o zdrowie małego, a ponieważ zostawiamy drzwi otwarte, żeby Bobuś miał więcej powietrza, Mario podszedł bliżej: kiedy spostrzegł swego małego admirała biedaka w takim stanie i Mamę tak bladą i zmienioną na kolanach przy łóżku, nie widząc nic prócz Bobusia, nie rzekł nic, ale widziałam jak dwie duże łzy spadły mu z oczu; to mię tak zasmuciło, a zarazem tyle mi sprawiło przyjemności, że

wzięłam go za rękę, mówiąc po cichutku: — „Módl się pan za nas!“ — Odsunął mnie lekko, żeby uciec i słyszałam, że mówił coś do siebie odchodząc, jakby się gniewał, ale zdaje mi się, że to było ze wzruszenia. Komendant, oficerowie, wszyscy podróżni, przychodzą dowiadywać się, a każdy wygląda tak smutno i tak pocziwie. Majtkowie nie robią żadnego hałasu w baterii z przyczyny choroby Bobusia, nawet nie biją w bęben.

Biedaczek nasz kochany ciągle śpi od wczoraj wieczór po tych strasznych konwulsjach, ale podobno ten sen jest niepokojący, nie wiem dla czego; kładą mu więc co chwila na głowę okłady z wody i z octu, na nieszczęście nie ma lodu. Dziś rano przystawiono mu pijawki, ciągle ma przytęm synapizma na biednych swoich nóżkach, które są całe od nich poranione. Mówią, że to wszystko robi się dla jego dobra, ale ja znajduję, że to barbarzyństwo tyle cierpień zadawać tak małemu dziecku.

Stefcia jest słaba, ale nie ma nic niebezpiecznego, choruje tylko ze zmartwienia. Siostra Honorata wzięła ją, żeby ją oddalić od Bobusia, bo widok ten zanadto wzrusza Stefkę. Siostry wzięły także do siebie Joasię i Bercię, żeby pokój był wolniejszy, bo i tak jest nas już tyle osób. Na szczęście, że Mama i Pani chcą mnie mieć przy sobie, to mi także sprawia boleść, bo nie mogę ani jeść ani spać, ale to nic nie szkodzi; przynajmniej widzę Bobusia. Pani chciała teraz właśnie posłać mnie na pokład z Manią, żebyśmy odetchnęły świeżym powietrzem, ale tak ją prosiłam, żeby mi pozwoliła nie iść, że wre-

szcie przystała na to. Bałabym się, żeby nie było nowego napadu, podczas gdy mnie nie będzie. Powiedziałam Pani, że usiądę w kącie na mojem krzeselku i pisać będę dziennik, że się cicho zachowam i zrobiłam tak.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

12019 MKD

90,000 -

WiMBP im. J. Piłsudskiego
w Łodzi



230000164909

